

De. 4-1
TOM CCLXXI.

SERYA 9.

ROK 68.

ZESZYT 811.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

L I P I E C.

1908.

TOM III.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5,

—
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

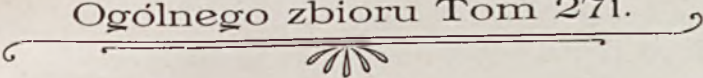
	<i>Str.</i>
1. ŁUNA, — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	1
2. MICKIEWICZ I DOMEJKO, — przez <i>Józefa Tretiaka</i>	24
3. ZARYS POGLĄDÓW DEMOKRACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ WE FRANCYI, — przez <i>Ks. d-ra Antoniego Szymańskiego</i>	49
4. RUCH UMYŚLOWY W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczowskiego</i>	69
5. KONIEC „WIELKIEGO SEZONU,“ — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	110
6. „BARD POLSKI,“ — przez <i>Karola Kwiecińskiego</i>	134
7. EOLITY, — przez <i>K. Stołyhwę</i>	151
8. PIŚMIENICTWO: STEFAN ŻEROMSKI: Dzieje grzechu, — przez <i>Józefa Weyssenhoffa</i>	174
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Kwestya jubileuszu Słowackiego. — Organizacya opieki nad dziećmi opuszczonemi. — <i>Drewnica i Karolin</i>	184
10. WSPOMNIENIE POZGONNE: ś. p. <i>Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk)</i> , — przez <i>M. G.</i>	195
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	199

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 6.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


Ogólnego zbioru Tom 271.



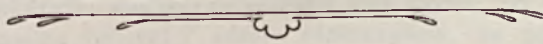
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1908.—Tom III.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1908.

ŁUNA.

XXII.

Przyjaciele, przed którymi Paweł wspominał dzieje swego duchowego przewrotu (a czynił to chętnie i szczerze), zwykle żartowali z niego, iż potrafił zasnąć w chwili krytycznej, że na dnie „przepaści wątpienia“ znalazł wygodną poduszkę spoczynku, że nie rozwiązał, ale przespał zagadnienie — i zawierała się w tym żarcie pewna doza złośliwej słuszności. Rozmowa z Hanką i nocna wędrówka po mieście stanowiły moment przełomowy. „Dotarłem do kresu — z naiwną prawdomównością, nie przybierając pozy Manfreda, opowiadał zwykle Paweł — stanąłem na szczycie nad samą przepaścią, nie mogłem dłużej wytrwać... Życie wydało mi się niedorzeczną męczarnią, nie widziałem wyjścia... Wówczas zapadłem w sen... Był świt, gdym obudził się... poszedłem do okna i, patrząc w jasność poranku, zrozumiałem i pogodziłem się...“

Nie umiał wytłómaczyć przyczyn nagłej zmiany, pamiętał tylko, że ukazała mu się zwycięska siła życia, że, jak noc, rozwiały się groza śmierci i zmora nieszczęścia, że powiew wiary przepłynął mu przez duszę, że minęło straszliwe poczucie samotności i obcości w stosunku do reszty ludzi, że ogarnęła go krzepiąca zaduma... Spoglądając w cichą pracę brzasku, który łagodnym światłem powlekał niebiosy, myślał o życiu, o pokoleniach, które były, o nieprzerwanym trudzie, o niewidzialnej nici, wiążącej ludzi i wydarzenia, o wiekuistych prawach i mądrym ładzie, który z nich wynika... myślał, że od początku czasów mijają noce i dnie, że każdego dnia tak samo rozpalają się zorze przedwschodnie, że tylu ludzi patrzyło w światy i odeszło, że i on

kiedyś odejście, że przeznaczenie śmierci i niedoli trapi nie jego jedynie, ale wszystkich żyjących, że tak, jak on, zastanawiali się i dumali ci, którzy pomarli, że człowiek, pomimo cierpień, kocha życie...

Te zwyczajne myśli niósł mu spokój. Z wierchołka, na którym przebywał, jak gdyby zawieszony nad światem, sam na sam ze śmiercią, z przerażeniem, z bólem, schodził ot w dół na pospolitą równinę i zmieszał się z rzeszą ludzką i czerpał otuchę z przeświadczenia o koleżeństwie, o wspólności doli, o jednakowym udziale.

„Rodzili się ludzie, pracowali na ziemi i znikli... umrą ci wszyscy, którzy żyją dziś i on z nimi”—w tem prostem spostrzeżeniu zawierała się pociecha. A jednocześnie utrwałała się w Pawle ufność i kołała go wiara, że wije się pod powłoką przemijających zjawisk trwałe pasmo celowości, że istnienie ludzkie kryje w sobie myśl doniosłą, że w duszy człowieka mieszka utajone słowo nadziei—i znowu postanawiał dociekać i szukać, pokrzepiony przekonaniem, iż dotrze do jądra owej nieznannej wiedzy, że znajdzie...

Chmura zwątpienia przesunęła i w duszy uczyniła się cisza. Ze spokojem Paweł rozpoczął nowy dzień, zabrał się do zajęć. W mieszkaniu, w interesach, w życiu były bezład, zamęt i rozprzężenie, spowodowane pobytem panny Malinowskiej. Uciechy i gorączkowa działalność w partyi przez kilka ostatnich miesięcy pochłaniały całkowicie czas i uwagę i było dużo roboty. Porządkował tedy z zapałem, z zamiłowaniem, z pedantyzmem: przeglądał stosy nierozpieczętowanych listów, wśród których były i ważne od administratora Naborowa, sprawdzał rachunki magazynów, dziwiąc się dużym wydatkom, wstydząc się ilości skonsumowanych win, wódek, likierów, koniaków, obliczał kasę i długi, odpisywał, tłukł się po salonach, gdzie kurze, zaduch, zwiędłe bukiety, kapelusze damskie i rękawiczki stanowiły nieznośne przypomnienie epoki życia, poświęconej „szczęściu,” przestawiał, kazał wynosić i czyścić, piłował służbę za zaniedbanie. Lokaj próbował przebiegle zawiązać z nim gawędę polityczną i w celu odwrócenia burzy opowiadał o tem, co się dzieje na mieście, ale Paweł nie przerwał pracy. Odezwały się w nim dawne nałogi, obudziła się dawna, pedantyczna natura. Z ogromnem zadowoleniem obejrzał mieszkanie, gdy wszystko stanęło na miejscu, gdy zabrano kosz z rzeczami panny Malinowskiej i znikły ostatnie ślady. Wydawało mu się, że spalił mosty, że odzyskał dom i wrócił do siebie, że skończył niezbędne przygotowania, że nastaje nowy okres...

Po południu wyszedł na ulicę i doznał nieokreślonego wrażenia. Widział pochody, sztandary rozmaitej barwy, słuchał namiętnych przemówień, Klemens Pius Drzazga wykladał mu roz-wlekle swoje poglądy, znajomi sypali sensacyjne nowiny, ale on, niegdyś zapalony działacz, pozostał chłodnym. Myślał także, że sztucznymi są objawy radości, że w mowach wodzów brzmi nuta fałszu, że ludzie starają się oszukać samych siebie...

Walka partyj przestała go zajmować i, pożegnawszy krainę martwych abstrakcyj, patrzył z innego punktu, innymi oczami. Podczas gdy tam, w przygodnych trybun, przygodni bohaterowie dnia rozstrzygali losy kraju i na lotnym piasku słów zakładali raje przyszłości, Paweł, zmieszany z tłumem, zaglądał w twarze, badał, snuł swoje wnioski. I zdumiewał się, że ludzie tak chętnie sięgają po złudzenia, tak chciwie słuchają kłamstw. Stało się to, czego wyczekiwał, nad czem przez szereg miesięcy skutecznie pracował, a nie rozgorzało mu serce zapałem. Przypatrywał się manifestacyom, niby jakiejś komedyi, w której obu stronom, t. j. tym, którzy ją uplanowali, i tym, którzy ją robili, chodziło o to, by zadurzyć się, zasłonić prawdę, zapomnieć o tem, co było istotnie ważnem. Niby ów dziwak, który, zatknawszy uszy, przechadzał się po sali balowej pomiędzy tańczącymi — nie brał udziału w świątecznym obchodzie, nie podzielał radości... Jak widz w teatrze, któremu ucieszna gra aktorów nie rozwiewa nekającej troski o dom, gdzie zostało chore dziecko, gdzie czekają wierzy-ciele, nieznośna żona, gdzie jest pustka po czyjejś śmierci, Paweł uciekał wciąż myślą od otaczającej go rzeczywistości i szukał czegoś w dali. Przekonań, ugruntowanych na nowej wierze, nie było jeszcze; zmieniły się tylko uczucia, zamknęły się jak gdyby jakoweś drzwi wewnętrzne, zamilkły naraz pewne struny, i nie umiał zdać sobie sprawy z tej metamorfozy. Dlatego też jakkol-wiek odznaczał się wogóle otwartością, nie mówił o tem ani Śnia-łowskiemu, gdy ten przypominał mu przymierze braterstwa, ani Hance Skibowskiej, która wybuchła przed nim i piekła mu czoło gorejącym wzrokiem, ani dawnym towarzysiom broni, których starał się unikać, którym kłaniał się z daleka... Wracał do do-mu, z pewnem zaniepokojeniem przeciskał się przez ciżbę, jak gdyby wstydził się, a także jak gdyby bał się, że mogą go nie-puścić, że przeczytają mu z twarzy jego myśli, że będzie zmuszo-ny kłamać... Chciał pierwiej rozważyć w samotności... Prze-brnąwszy plac, gdzie wrzało najszumniej życie, zatrzymał się na chodniku i spojrzął w tłum, na nieprzeliczoną mnogość głów, ku gestykulującym mówcom... Łam ludzki chwiał się i szumiał,

od czasu do czasu wybuchały oklaski, niekiedy zrywał się krzyk... Tłum chwalił, potępiał, cieszył się, tłum bawił się... Wśród sykania albo oklasków mówca schodził z trybuny, zastępował go w tej chwili inny. I znowu jakiś pan w kapeluszu, z brodą albo z wąsami zrywał sobie płuca, wrzeszczał, potniał, bił się w piersi, machał rękami... Ale słowa ginęły w hałasie i Pawłowi, który nic nie słyszał, dziwnie niedorzecznym i śmiesznym wydawał się daremny wysiłek mówcy. Nad roznamiętnioną rzeszą, nad krzykliwymi wodzami powoli mijały bezbarwne i bezkształtne chmury jesiennego nieba... Oczy Pawła przez krótką chwilę spoczęły w niebiosach i pomimowoli zestawiały lichotę i małość tego, co było na ziemi... Nasuwała się myśl zniechęcająca. A ludzie napływali wciąż ze wszystkich stron rozweselonemi gromadami i tłum wzrastał. Szły strojne panie i młode panienki, szli uczniowie ze szkół, staruszkowie... Każdy miał na ustach te same słowa... Jakiś dowcip obiegał miasto i sto razy obił się o uszy Pawła... Na niektórych twarzach malowało się uczucie najbardziej wstydlive, to, które najstaramniej kryje się przed ciekawością pospólstwa: wzruszenie szczęścia... Wszyscy cisnęli się do mównic, z których lały się obfite nauki... Jakaś wynędzniała kobieta z niemowlęciem na ręku stanęła koło Pawła, nasłuchiwała, rozglądała się... potem odwróciła się nagle do Pawła, przysunęła się blisko, zajrzała mu w oczy.

— Będzie co z tego?—spytała.

Spojrzenie Pawła padło na bladą twarzyczkę dziecka. Osłupiałe źrenice patrzyły kędys nieruchomo, nie mrużyły się powieki. Na niemych, zaciśniętych, chorych wargach zastygła prośba jakaś, zdawało się prośba o śmierć...

W tej chwili z bocznej ulicy wychylił się pochód. Maszerujące szeregi rozdzieliły ich... Huknęła nad głową strofa pieśni. Paweł szukał jeszcze owej kobiety...

— A i wy tu? Dobrze, że was widzę...—usłyszał naraz.

Zdyszana Orkiszowa złapała go za poły.

— Właśnie szukałam was. Spostrzegłam z daleka, nie mogłam dopędzić... Ludzie mają do was interes... Ryszard wybierał się... Wracajcie zaraz do domu, bo może czekają już tam... Odprowadzę was kawalek...

I biegnąc obok niego, trzepała jak zwykle, opowiadając o wrażeniach, nastrojach, uczuciach.

— Przez wszystkie te dni—mówiła—nie kładłam się wcale spać. Włóczyłam się po mieście, patrzyłam, oczekiwałam... Czy wy odczuwaliście nastrój trwogi? To było także ciekawe i nie-

zwykle! Trwoga zawisła nad miastem i wydawało się, że to jakiś wielkolud trzyma w ręku niezmierną skałę. Ciśnie, czy nie ciśnie? Ludzie szeptali, pytali siebie wzrokiem... Teraz jest święto! Radość, jak złocisty wodotrysk, nadzieja... Stoimy wszyscy u uchylonych drzwi... Jestem oszołomiona, upojona... Z nocy, z podziemi odrazu do słońca... Wiosna ludów... Niema takiej rzeczy, którejbym nie dokonała... Skrzydła, niby dwa płomienie, więją mi w duszy...

Paweł potakiwał uprzejmie.

— Zabieraliście głos? Chyba nie! Nie słyszałam was... Próbowalam mówić, ale zaczęli żartować, że pieję, jak kogut... Śniałowski dokazuje... pastwi się nad przeciwnikami. Przed chwilą zmiażdżył poprostu Różyckiego, który nadymał się, wspinał się, przybierał pozy Jowiszowe. Śmieją się ze Śniałowskiego, że przemawia, jak ksiądz z ambony, że pokutuje w nim zakonnik, że bałamuci mistycyzmem, ale on porywa pomimo wszystko... Gdyby mu dali władzę! Dzieło odrodzenia, do którego wzywa, wyłania się z przyszłości, jak słońce z chmur. Mówił precudnie o wspólnocie, o własności wspólnej, którą porównał do rozłożystego drzewa, rzucającego na wszystkich cień, mówił, że tak było dawniej w piastowskiej dali, że dopiero potem ludzie ścięli drzewo rozłożyste i porąbali i każdy zabrał sobie po martwym kawałku... Ale wy nie zgadzacie się ze Śniałowskim?

— Niezupełnie—lakonicznie odparł Paweł.

— Tak, tak... on wogóle niema uznania... niektórzy uważają go nawet za szkodliwego, bo jest nieobliczalny... Dziś buduje, jutro burzy... opowiadają, że urządził z rana jakiś pochód żałobny, że dopiero potem zmienił zdanie—niezrażona chłodem Pawła gadała Orkiszowa.

Koło domu spotkali Ryszarda, który dążył właśnie do Pawła. Orkiszowa zadała wodzowi kilka pytań, na które nie otrzymała odpowiedzi, potem opowiadała znówu, potem pożegnała ich i pomknęła, żeby, jak wyraziła się, wskoczyć na sam grzbiet fali czasów... Oni zaś poszli razem. U bramy certowali się chwilę o pierwszeństwo, ta sama ceremonia powtórzyła się pode drzwiami. W salonie usiedli sztywnie i sztywnie milczeli. Obaj patrzali bezbarwnie w przestrzeń...

— Zacznę od małego wyjaśnienia—odezwał się gość—i przeproszę hrabiego za przykrość, która spotkała go na posiedzeniu... My nie solidaryzujemy się bynajmniej ze Śniałowskim... To sekiarz...

— Śniałowski miał rację—przerwał Paweł—i ja nie gniewałem się...

Zezowate oczy wodza badały go uważnie.

— Hrabia wraca z miasta—zmienił temat. Jakież wrażenia? Wygląd niezwykle, prawda? To tak, jak gdyby z pod śniegu wyrosły w godzinę zielone łany zboża... Szumi to i faluje... a plon jeszcze wątpliwy... są puste kłosa... Święcimy tryumf, ale nie-opuszcza nas troska o przyszłość... Zwycięstwo trzeba wyzyskać i walka trwa... przeciwnicy nasi uderzyli w największy bęben — mówił szybko ze sztucznym ożywieniem. Hrabia podziela te nasze obawy?... Musimy porozumieć się...

Była chwila milczenia.

— Pan zapytywał o wrażenia... trudno to streścić... Patrzałem dziś inaczej... spojrzałem oczami...—Paweł szukał odpowiedniego wyrazu—oczami człowieka śmiertelnego—dokończył, zadowolony z określenia.

— Oczami człowieka śmiertelnego?!—powtórzył gość—wyznaję, iż niezupełnie rozumiem...

— Pan nierozumie!—ucieszył się Paweł—ale ja wyraziłem się trafnie... Właśnie na tem polega różnica. Wy patrzycie abstrakcyjnie, partye mają do czynienia z człowiekiem abstrakcyjnym, a raczej nie z człowiekiem, ale ze zbiorowością... Obchodzą was losy burżuazji, proletaryatu, włościaństwa, jednostkę i życie jej wykreślenie zupełnie z rachunku... Obracacie się w martwej krainie, w sztucznym świecie formuł, programów, doktryny, a życie jest gdzieindziej.

Ryszard przyglądał się mówiącemu, ale słuchał z roztargnieniem. Od czasu do czasu przymykał powieki, może znużony po całym szeregu niespanych nocy... Spostrzeżenia gospodarza, którego w partyi traktowano lekko, który wyrobił sobie opinię „piły,” nie zajmowały go... Nie była to pora na zasadnicze rozprawy...

— Spacerując dziś po mieście—z przejęciem prawil Paweł—po raz pierwszy wyjaśniłem sobie... Dotychczas za waszym przykładem dzieliłem społeczeństwo na klasy, na obozy, a życie utożsamiałem z walką polityczną... Idea zasłoniła mi człowieka, żywą rzeczywistość... Spojrzałem inaczej, i cała gra, owe mowy, pochody, potyczki szermiercze, śpiewy, to wszystko, co tam się robi, wydało mi się niepotrzebnem... Zebrał się tłum ludzi głodnych, ciemnych, chorych, stroskanych, tłum istot, które za lat dziesiątek znikną na zawsze, po to, by obchodzić jakieś zwycięstwo, z którego nikomu nie przybędzie, by urządzić sobie hecę radosną, by słuchać kłamstw... Zostaną przecież na ziemi

i głód, i choroba, i śmierć i wróćą ci, którzy śpiewają, do pracy nad siły, do nędzy, do niedoli, która czyha... Wodzowie kłóca się z sobą i wciągają do jałowej walki zbałamucone tłumy... toczą się zapasy o przyszłość, której nikt nie doczeka, znękani życiem słuchają bajek o dalekiej i wątpliwej, mimo krzykliwych zapewnień, pomyślności... Wolność, gdy jej niema, wydaje się skarbem, wolność osiągnięta jest jak złamany szeląg...—wykładał zatokowany.

Gość uśmiechnął się i czekał przerwy, by wstawić jakąś uwagę.

— Mowę swoją hrabia przeplata dowcipnymi aforyzmami—rzekł.—Gdyby czas pozwalał, urządziłibyśmy dyalog polityczny... Pamiętam, toczyliśmy niegdyś spór w tem mieszkaniu... dziś, niestety... Zaznaczę wszakże, że podzielam niektóre poglądy hrabiego... Mistyczne obietnice Śniałowskiego, który, przyparty do muru, nie potrafiłby dokładnie wskazać, dokąd dąży i prowadzi, który stworzy może przemijającą sektę, ale konkretnych zdobyczy nie osiągnie, i owe łzawe deklamacje o białym orle brzmią fałszywie wśród głodnych i obdartych... Zgadzam się, że chwała ojczyzny nie nakarmi, nie ogrzeje, nie wyleczy... Przeciwnicy nasi ideałami patryotycznymi starają się zatkać usta, które wołają o chleb i sprawiedliwość... My zaś postawiliśmy cele praktyczne. Walczymy z uciskiem, z krzywdą, z nędzą... domagamy się praw do życia dla niewolników, którzy stanowią trzy czwarte narodu... A co się tyczy obchodu, to przecież każdy przyzna, że stała się duża rzecz, że trudno było przejść do porządku... Zły szeląg wolności, użyty roztropnie, przyniesie olbrzymie zyski... Nie myślimy założyć próżniaczko rąk, oddawać się wyłącznie radości... pójdziemy naprzód, o ile się uda, o ile wystarczy sił... I właśnie...

Wódz urwał, spuścił na mgnienie oczy, jak gdyby przypatrywał się deseniom dywanu, potem podniósł spojrzenie i wiódł niem ostrożnie po twarzy Pawła.

— Odbyliśmy parę posiedzeń bez udziału hrabiego -- mówił uprzejmym tonem—czas naglił, nie zdążyliśmy zawiadomić wszystkich. Należało ułożyć plan akcji... Otóż, jakkolwiek towarzysze zapewniają tam na ulicach o niezwalczonej potędze, powiem otwarcie — uśmiechnął się przelotnie — że właśnie tych sił... że strona materialna jest najsłabszą... W walce rozstrzyga zawsze ten, który stoi najmocniej, a my jesteśmy trochę wyczerpani... Postanowiliśmy tedy zwrócić się do ofiarności, i hrabia, który zawsze świecił przykładem, nie odmówi zapewne.

Paweł nie potrafił ukryć grymasu niechęci.

— Pieniądze dać najłatwiej i gotów byłbym—wycedził.

— Spodziewaliśmy się, liczyliśmy bardzo—z pośpiechem podchwycił Ryszard.—Hrabia szedł z nami wiernie i wytrwale w czasach ciężkich... dziś zmieniły się okoliczności, rozszerzyło się pole pracy, zbliżamy się do celu...

— Do jakiego celu?—niespodzianie padło pytanie.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Dziwi mnie, że hrabia zapytuje... Nie prowadzimy przecież podwójnej gry, nie osłaniamy działalności tajemnicą... Istnieją programy... Czyżby znowu jakie wątpliwości?

Wódz patrzył w Pawła z uśmiechem pobłażliwym.

— Pamiętam rozmowę z panem... Pan wskazywał wówczas szczęście... to szczęście wydaje mi się dwuznacznem...

— Ludzie religijni mówią i myślą o niebie—z tym samym uśmiechem odparł Ryszard—a jednocześnie pędzą tu życie bardzo rozropne, bardzo ziemskie: kupują, sprzedają, zbierają pieniądze, wydają za żonę, żenią się... Ktoś powiedział złośliwie, że ideał jest strojem galowym... Snułem, panie hrabio, marzenie o szczęściu na ziemi, o wyzwolonej ludzkości, o człowieku silnym, o człowieku, który będzie... To rzeczy dalekie i mgliste... Spór nasz obracał się w dziedzinie filozofii... Dziś trzeba nam zejść na grunt rzeczywistości, dążyć do celów praktycznych... Reprezentujemy interesy skrzywdzonych, owego tłumu głodnych, obdartych i ciemnych, nad którym hrabia litował się...

Zamiast odpowiedzi Paweł bębnił palcami po marmurze stołu. Upłynęło kilka chwil... Potem gość zaczął także wystukiwać palcami jakąś melodyę, a jednocześnie przyglądał się wesoło gospodarzowi... Paweł nie zwrócił nawet uwagi na żart...

— Nie odmawiałem nigdy—rzekł poważnie—pieniędzy nie żałuję i dziś, ale przypuszczam, że wybyście przyjąć nie zechcieli, gdybym powiedział, że odsunąłem się od was, że nie należę już...

— Użylibyśmy, proszę pana, taktyki kościoła, który nie odpycha od swego łona zbłąkanych owieczek, ale wątpiącym synom powtarza: wzbudź w sobie wiarę—żartobliwie, niedbałym głosem wstawił wódz, pragnąc zapewne zbagatelizować doniosłe wyznanie.

— Przez cały rok pracowałem w waszych szeregach, ale pewien niepokój nie opuszczał mnie nigdy. Wydawało mi się, że nie jestem zupełnie w porządku z sobą i z wami, że należałoby sprawę postawić otwarcie... Nie umiałem włożyć serca w robotę, trapiły mnie wątpliwości, zostały między nami niedomówienia—spokojnie, dobitnie, już bez zakłopotania opowiadał Paweł.—Czu-

łem to, że tolerujecie mnie zaledwie, rozumiałem, że potrzebną wam była moja ofiarność... Im bliżej poznawałem was, tem więcej znajdowałem różnic. Stanowiłem zawsze opozycję. W obozie waszym uważano mnie za raroga... Niektóre posiedzenia zapisały mi się głęboko w pamięci... Śmiech wybuchał wśród zebranych, gdy występowałem ze swoim programem, gdy mówiłem o porozumieniu, o harmonijnem współżyciu, o potrzebie utworzenia związku wszystkich stronnictw, gdy broniłem religii... Sojusz, który zawaraliśmy, był sztucznym i musiał prysnąć... Gdybym w tej chwili zapowiedział wam, że zostanę w szeregu, ale nie dam ani grosza, wyrzucilibyście mnie sami... Wszak prawda?

Gość milczał.

— A potem—ciszej dodał Paweł—mam wam za złe, że jakkolwiek surowo sądzicie przeciwników... że patrzaliście przez palce na moje postępowanie, które było nikczemnem, na Malinowską, że nikt z was nie potępił...

— Nie wciskamy się, proszę pana, do życia prywatnego—chłodno zauważył wódz.

— Uczynił to, potępił śmiało i otwarcie Śniałowski... Żałuję, że nie stało się to wcześniej... Możeby opamiętał się... Paskudna kobieta plugawi wasz obóz... Robiłem dziś rano rachunki... obliczyłem, ile pieniędzy stopniało w jej rękach... Reprezentowaliśmy oboje, ja i ona, sprawę uciśnionych, ubogich i pochłanialiśmy dobrobyt setek rodzin... Była w tem ohydna obłuda... Nie pojmuję, że miałem odwagę stawać przed tymi, których krzywdziłem, że nikt nie zarzucił mi fałszu... Uganiałem się za szczęściem, które pan niegdyś wskazał jako cel...

Wzruszenie ożywiło martwy głos Pawła, roznieciło blask wśród nudnej jego twarzy. Jaśniały mu oczy, wygładziło się ząsepione zwykle czoło. Znać było, że sięga do głębi uczucia i myśli. Odważny, nieco naiwny sąd, który czynił nad sobą, obudził może szacunek w Ryszardzie, ale on mimo to spróbował jeszcze raz nadać rozmowie obrót żartobliwy.

— My nie jesteśmy chyba winni grzechów hrabięgo — rzekł niedbale — i zaręczyć mogę pana, że nie o takim szczęściu mówiłem wówczas... — zaśmiał się. — W każdej armii są markietanki i doprawdy, panie hrabio, nawet najsurowsza dyscyplina nie wzbrania żołnierzom zabawy... Lepiej byłoby dla hrabięgo i dla nas, gdyby owe zabawy nie doszły do skutku... zapewne, zapewne... Ale ślub czystości wyszedł jakoś z mody... a z drugiej strony, niech każdy czuwa nad samym sobą...

Poruszywszy raz sprawę drażliwą, która nękała mu sumienie, Paweł nie chciał dać za wygraną. Szczere słowa wybiegały jak gdyby same na usta.

— Tyle z moich porachunków osobistych. O zasadniczych zarzutach wspominałem także... Podobała mi się w akcji waszej owa opieka, którą roztaczacie nad ludem pracującym, i dałem się pociągnąć w nadziei, że przekonam się i co do reszty. Dziś po roku mogę stwierdzić, iż dzielą nas różnice bardzo poważne. Marzyłem o zjednoczeniu wszystkich stronnictw, o zaprowadzeniu harmonii pomiędzy warstwami, wy siejecie nienawiść i niezgodę.. Walczycie nie tylko z kościołem, ale i z religią, która potrzebna jest masom... wydaje mi się także, że hasła patryotyczne, wypisane w programie waszym, kłócą się z działalnością...

Zamyślił się na chwilę i przetrząsał w pamięci dowody, które nagromadził był dawniej, w dniach, gdy brał czynny udział, gdy mieszkał jeszcze w „hotelu“ partyi.

— Zapyta mnie pan—zaczął jakgdyby chwiejnie—dlaczego milczałem tak długo, jeśli widziałem owe różnice już dawniej... Odpowiem na to, że nie zatajałem nigdy swoich przekonań... Nie chciałem wszakże opuszczać waszych szeregów... Człowiek, pochłonięty pracą, idzie na oślep, i potrzeba wstrząśnienia... Przez kilka ostatnich dni w samotności dociekałem... Zaszły we mnie zmiany... Wycofam się zapewne zupełnie z areny publicznej, zamknę się w domu, który zaniedbałem... Próbowałem dotychczas różnych dróg, a wszystkie dążyły do celu, który szumnie się nazywa uszczęśliwianiem ludzkości... Jak Atlas chciałem dźwigać losy świata, zapominając o tem, że każdy niesie przedewszystkiem własne życie... My, Atlasi, umieramy, a ludzkość trwa... Spojrzawszy oczami człowieka śmiertelnego, zrozumiałem, że należy się pewna częśćka i mnie, jako jednostce... Życie ucieka, zostało może nie wiele już lat...

Gość słuchał z jawnym znudzeniem. Wyjmował wciąż zegarek, bawił się nim, przekładając z ręki do ręki, otwierając i zamykając kopertę, liczył minuty, przyglądał się obrazom i sprzętom.

— To znaczy, że hrabia, zakosztowawszy chleba ideału—rzekł obojętnie—postanowił iść odtąd ścieżką egoizmu.

— Egoizmu?...—powtórzył Paweł.

— Tak. Przecież pan powiedział wyraźnie, że trzeba żyć dla siebie... Nazwano oddawna uczucie, z którego wypływają podobne przekonania, egoizmem.

Paweł sam nieraz potykał się w dumaniach o ten kamień obrazy.

— Wyraziłem się zapewne niewłaściwie... Nie znalazłem jeszcze klucza od drzwi, pod którymi stanąłem, ale ten klucz istnieje. Wy, przedstawiciele doktryny społecznej, topicie jednostkę w zbiorowości, nauczając, że jesteśmy niby krople w morzu, niby atomy, jak mrówki, sługi mrowiska, jak pszczoły, niewolnice ula... Sam głosiłem te prawdy... Dziś myślę, że krótkie życie człowieka, obdarzonego świadomością, musi mieć jakieś znaczenie, zawierać cel własny, a taki, który może być osiągniętym na przestrzeni lat... Ani zwycięstwo proletariatu, ani dobrobyt robotników w roku dwutysięcznym drugim, ani niepodległość, ani rozkwit nauki — mówił powoli i monotonicznie, posuwając się za pracą myśli — bo nie doczekam, nie zobaczę, nie będzie mnie i tych wszystkich, którzy dziś są... Liść na drzewie trwa sześć miesięcy, ale każdy ma swoją wiosnę i swoje lato, zanim zginie... Paweł Naborowski przyszedł na ziemię, odejdzie rychło... Dlaczego był?... Gdyby tu panowało powszechne szczęście?... Ludzie cierpią i umierają... i partye są bezsilne wobec niedoli i śmierci...

— Hrabia ma najzupełniejszą słuszność — złośliwie przerwał wódz i wstał zdruzony rozmową, która nie doprowadziła do żadnego wyniku.

Paweł patrzył w okna, odwrócony do gościa plecami.

— Dusza nieśmiertelna, posłuszna wiekuistym prawom, nadanym przez Siłę Wyższą — odezwał się cicho, jak gdyby rozmawiał z sobą.

— Panie hrabio, chwila obecna nie nadaje się do dysput filozoficznych — niecierpliwie przerwał mu znowu gość.

Było milczenie. Paweł dumał.

— Pan twierdził tu niegdyś — odezwał się niespodzianie — że Boga niema... Jakie są dowody?

Oczy wodza zmrużyły się lekko. Z uśmiechem spojrzął.

— Hrabia wkłada mi w usta... z całą stanowczością twierdząc, że nie twierdziłem nigdy...

W zmrużonych oczach tkwił półuśmiech.

— Pożegnaj już pana...

Paweł odprowadził gościa do drzwi. Zamienili z sobą kilka obojętnych zdań. Ryszard długo wkładał i zapinał rękawiczki, potem pedantycznie strzepywał kurz z kapelusza. Zdawało się, że ma jakieś słowo na ustach, że dlatego ociąga się. Ale wyszedł nie powiedziawszy nic...

Otwarta i odważna rozmowa przyniosła Pawłowi ulgę. Pozybył się ciężaru zobowiązań, wyrwał z dwulicowości, która nuży-

ła, rozciął w sposób stanowczy i prawy splątany węzeł... Od dnia dzisiejszego nie należał już do partii. Naiwne marzenia, które piastował przed rokiem, marzenia o przodownictwie w społeczeństwie, o doniosłej roli, o buławie stopniały jak śnieg na chodniku, ale nie żałował niczego. Odczuwał zadowolenie jak niewprawny jeździec, gdy uda mu się wreszcie zsiąść z konia, nad którym nie umiał zapanować, jak żołnierz po powrocie ze służby... Pobyt w partii skojarzył się ze wspomnieniem Malinowskiej, owych miesięcy bezładu, zamętu, wrzawy, odurzenia, waśni, — tęsknił do spokoju i porządku... Po raz drugi czy trzeci zrywał z przeszłością, palił mosty, przebywał przewrót—i znowu uśmiechała mu się nadzieja, zrodzona z utajonej, instynktowej wiary w życie...

Przechadzając się po salonie, za którego oknami trzepotały się na wietrze ciemne skrzydła wieczoru, przeżuwał te same myśli, myśli wczorajszego dnia, ubiegłej nocy. Zarzut egoizmu zostawał nieodparty, więc szukał w dalszym ciągu onego nieuchwytnego słowa, któreby, godząc życie ze śmiercią, czyniło istnienie jednostki celowem i niesamolubnem... Chwilami zdawało mu się, że zbliża się do rozwiązania zagadki, że dociera do kresu, ale natychmiast sam zaczynał zbijać własne dowody, i wniosek kruszył się pod ciosem rozumowań...

„Służąc idei, celom proletaryatu, ojczyzny, nauki, człowiek zaprzepaszcza siebie i sens własnego, krótkiego życia—powtarzał do znudzenia — służąc zaś sobie wyłącznie, grzęźnie w egoizmie, marnuje się w jałowej pogoni za szczęściem... Jest coś pośredniego, istnieje ogniwo łączności...”

Od czasu do czasu bieg roztrząsań przerywała przelotna myśl o księżniczce. Pamiętał słodką godzinę, którą z nią spędził, spokój, który w nim czynił się, jasność, którą zaczynał spostrzegać... najbardziej zaś oczy pamiętały radość... I chciałby sam pójść, żeby pytać, żeby dowiedzieć się i uczyć się, oczy pragnęły radości...

Ale dziś było zapóźno...

XXIII.

Wybrał się nazajutrz w godzinie wizyt. Po pracowitym ranku, spędzonym z teściową i adwokatami wśród akt i rachunków na naradach mozolnych i długich, podczas których pani Ka-

mieniecka wykazała więcej od niego sprytu, doświadczenia i przebiegłości, należała mu się chwila wytechnienia. Zresztą pretekst był doskonały, bo wypadło złożyć sprawozdanie księżnej, która pierwsza wystąpiła z projektem akcji ratunkowej. Zbliżając się do starego pałacu Mirskich, spostrzegł z daleka księżniczkę Marylkę. Szła sama, śpiesząc kędyś. Poznał ją po ruchach, po owym wdzięku prostoty i spokoju, który był jej wrodzony, którego nie zatraciła na ulicy. Posuwała się w tłumie, nie dbając, nie widząc przechodniów, szła jak gdyby przez pokój własnego domu, niby połą ścieżką. I Pawłowi zdawało się, że niema dokoła niej ludzi, że chodnik jest pusty... Ścigał ją spojrzeniem, potem bez namysłu, prawie bezwiednie podążył za nią... Dopędził u progu kościoła, wszedł razem, skierował się pod główny ołtarz, gdzie uklękała... Służący kościelny przyniósł natychmiast księżniczce krzesło, ale ona modliła się na klęczkach. Ani razu oczy jej nie porzuciły książki... Głowa była nisko pochylona...

W świątyni odbywało się solenne nabożeństwo. Pawła, który odwykł od kościoła, ogarnęły w pierwszej chwili onieśmienie i bojaźń. Bał się księży, którzy snuli się w komżach, szwajcara, który przechadzał się groźny, tłum; obawiał się, że popełni jakąś niedorzeczność, że zgorszy nieodpowiednim zachowaniem się wiernych, że wyprowadzą go jak intruza, że wszyscy w kościele poznali odrazu, iż on nie należy do pobożnych... Rozglądał się z zakłopotaniem, chciał wycofać się, obejrzał się na drzwi, żeby przekonać się, czy odwrót nie jest odcięty... Zauważył, że ludzie wchodzili i wychodzili, że wśród modlących się byli i gapie, że w bocznej nawie kilku panów spędzało czas na rozmowie—i minęła niorozsądna obawa. Postanowił we wszystkim naśladować księżniczkę. Ukląkł, potem, gdy celebруюcy zaczął okadzać ołtarz, wstał za jej przykładem. Pieszcząc oczami jej włosy, pasemko, które wymykało się z pod kapelusza, uśmiechając się do nadziei, jak wówczas czekał i pragnął, żeby spojrzała na niego. Ale ona nie widziała go, może nie chciała widzieć... Modliła się ciągle z książki...

Były chwile, że myśl Pawła odwracała się od księżniczki i dążyła na daleki szlak. W wonnym obłoku majaczyły, niby twarze drogich osób o zmierzchu, jakoweś obrazy, z tchnieniem kadzidła spływały wspomnienia. Wsłuchiwał się w jedностajną, ogromną pieśń organów i ogarniało go marzenie, sen pochylał się nad duszą... Oto rozpostarło się przed wzrokiem jego jezioro, siwe i chmurne u brzegów, przerzniete szerokim, złotym gościńcem... marszczy się woda, ukazują się na mieniającej się powierz-

chmi nieuchwytne zarysy, znikają... spoglądał z żalem... a złoty gościniec gasł to rozpałał się na nowo... Zdjęty tęsknotą szedł ku niemu przez wodę... I śniło się mu, że zapada coraz głębiej w odmęt, że pochłania go słodka toń, że idzie na dno, gdzie zaczerpnięta kraina dzieciństwa, cudowny ogród dawnych uczuć, zatopiony dzwon wiary. Ręka dziecka poruszyła serce dzwonu, rozległo się w głębinach jeziora wołanie, przez mgnienie drżały na ustach wyrazy nieświadomej prośby... Szukał oczami w kościele Boga. Przed Nim pochylała się nisko głowa księżniczki, do Niego modliły się rzesze pobożnych, o Nim nieustannie mówili księża w łacińskich zwrotach, organy śpiewały chwałę Jego—i świątynia pełna była Jego chwały... Tu, wśród tłumu wiernych myśl bluźniercza, że Boga niema, ginęła bez śladu, jak suchy liść w lesie zielonych drzew, wątplenie stawalo się niedorzecznością. Straszliwy blask Majestatu oslepiął, niezmierna moc Boża przejmowała serce bojaźnią... Paweł usłyszał, jak gdyby głos matki, gdy czytała w przeciagu długich godzin w onym posepnym miesiącu po śmierci ojca:

„Mówcie Bogu: jako są straszne sprawy Twoje, panie... Chodźcie a oglądajcie dzieła Boże: straszny w radach nad syny człowieczemi... dla wielkości mocy Twojej będą klamać przed Tobą nieprzyjaciele Twoi...“

Przypomniały mu się dalekie, rzekłbyś, zaświatowe słowa, skojarzone ze smutkiem i przerażeniem, które matka kazała wyrzeć na grobowcu ojca, jako ostrzeżenie dla syna. W porywie pierwotnego strachu, w uniesieniu czci Paweł chciał paść na kolana i bić się w piersi, bić czołem przed oną niewidzialną Mocą razem z tłumem, który korzył się struchlały, który zebrał się tu, żeby błagać... W organach huczała potężna melodia „Magnificat“ odwiecznego hymnu chwały. Wznosiły się dymy kadzidła i przesłaniały ołtarz, w górze od blasku świec słała się złocista luna, za luną światła był tajemniczy mrok absydy...

„Fecit potentiam in brachio suo“ — uczynił moc ramieniem swoim, uczynił moc ramieniem swoim—tłómaczył Paweł strofę hymnu, który brzmiał w świątyni, a jednocześnie uwaga jego zatrzymała się na dziwnej, skrywającej się w duszy sprzeczności. Przypuszczenie, że Boga niema, i niegdyś po rozmowie z wodzem socjalistycznym i dziś i zawsze, ile razy dotykał tego obojętnego zresztą przez długie lata przedmiotu, napelniało go trwogą. Odczuwał niepokój i żal, w przesadnym strachu czekał, że z ręki, karzącej bluźnierstwo, padnie na niego i na tych, którzy przeczyli, grom druzgoczący, z pośpiechem bojaźliwym odpychał wąt-

pienie... Przerazenie duszy mówiło mu, że Bóg jest, Bóg groźny i srogi, mściwy i wszędzie obecny... A z drugiej strony, gdy próbował twierdzić, pojęcie Boga było jak próżna czara, jak obumarłe łożysko rzeki, która dawno wyschła i myśl o istnieniu Boga gasła i czyniła się ciemność. Brakowało mu odwagi, żeby ze stanowczością odrzucić, i brakowało czegoś, czego nie potrafiłby nazwać, żeby uznać, żeby napęlić próżną czarę, martwe pojęcie ożywić twórczą treścią... Zapominał o Bogu, bo to było najłatwiejszem, w chwilach zaś przełomowych, w których wypadało dać odpowiedź dokładną sobie samemu albo innym, wahał się, chwilejnie krążył dokoła zagadnienia i, nie docierając do głębi, muskał myślą jego powierzchnię i przechodził wreszcie nad niem do porządku. Rozumiał, że trwoga, której doznawał wobec przeczenia, że owa bojaźń kary wynikały z przesądów, zaszczerpionych mu w dzieciństwie, ale nie zdołał ich stłumić; tak samo nie umiał odsunąć innego przesądu, nabytego już w latach późniejszych, przesądu, który utożsamiał religię z ciemnotą, i, hołdując teorii, że religia potrzebną jest jedynie dla mas, wykreślił ją z własnego życia. Tylko czasami, gdy z głębin świetlanego jeziora zaczynał wołać zatopiony dzwon wiary, odzywała się w nim tęsknota, i oglądał się wówczas za widomym znakiem, pragnął cudu, któryby rozstrzygnął wątpliwości, szukał... Szukał i teraz oczami w kościele Boga. Przelotne uniesienie, w którym chciał klękać i bić czołem i błagać szeptem pokornych słów, minęło, i myśl czyniła powierzchowne spostrzeżenia, spojrzenie śledziło szczegóły... Widział twarze świętych na obrazach, płomyki świec, połyski szychu na białej kapie celebrującego, tonzury, złociste promienie monstrancyi, dziwił się, że księża długo okadzali ołtarz, a potem siebie wzajemnie, nie podobały mu się pośpiech i banalność głosu, którym odczytywano modlitwy; gdy umilkły organy, zastanawiał się nad stylem tej nieładnej, a dużej świątyni, ganił fałszywe marmury i zły smak ozdób, nabożeństwo wydawało mu się długiem... Ani w kościele, ani w sobie nie znalazł już nic... Ze wszystkich krańców miasta zeszły się tłumy pobożnych, znękanii ludzie błagają, otwarły się dusze, drżą serca, ogromną pieśnią wybuchły organy, ścielą się dymy kadzielnic, księża wzywają — i gdzie jest Bóg? gdzie?—powtarzał... Niechby oczom, wpatrzonym w blaski ołtarza, ukazała się widomie Jego potęga, niechby skruszone rzesze pokrzepiła pewność, że jest, że słucha, że rozciąga się nad nimi miłosierdzie Jego... Jak ziemia szeroka i długa, wznoszą się na niej świątynie, od wieków ludzkość wielbi w nich moc Jego i wielkość, miłosierdzie i dobroć, i od

wieków toczy się spór o to, zali istnieje Ten, któremu oddają cześć... Za czarną chmurą niewiedzy kryje się oblicze Boga — a może próżnia?... I giną w próżni błagania, hymny hołdu, ofiary, słowa miłości... I nicość sztydzi z oszukanej ciżby wiernych, którzy korzą się przed własnym marzeniem, przed snem wyobraźni, przed złudzeniem... Przerażony śmiercią człowiek przerzucił nad otchłanią most religii, most, zbudowany z pocieszających nauk o nieśmiertelnej duszy, o wiecznym żywocie, o zaświatowej szczęśliwości, o Bogu, który stwarza, wykreśla drogi i cele, rządzi, kieruje, sądzi... Religia rozstrzygnęłaby w sposób stanowczy i najprostszy zawile zagadnienie życia, gdyby istniała pewność, gdyby istniały dowody niezachwiane, że wiara nie jest jedynie odbiciem pragnień serca człowieczego...

W zielonym lesie żywych drzew szeleścił suchy liść wątpienia. Spojrzenie Pawła ogarnęło tłum pobożnych, gorejący ołtarz i księży, zmierzyło potęgę filarów i ogrom kościoła, zawisło przez chwilę pod sklepieniem, wróciło na ziemię i zatrzymało się na księżniczce, która modliła się, wierzyła... I znowu niedorzeczną, wątlą i bluźnierczą wydawała się Pawłowi jego wątpiąca myśl tu w niezmiernej świątyni, którą budowały wieki, która pełna była ludzi i chwały Bożej...

Nieszpory kończyły się. Paweł wyszedł za księżniczką, zbliżył się do niej mimo obawy, że to nie uchodzi. Wyraz niewidziany jeszcze, obcy, wyraz powagi i skupienia zsunął się z twarzy księżniczki, gdy spotkały się ich oczy. Zmieszła się, pokryła zmieszanie uśmiechem, przywitała go uprzejmie i przyjaźnie.

— Pani modliła się... Czy to święto dzisiaj? — zagadnął banalnie.

— Wszystkich świętych... pan zapomniał!... a dzwony biją od rana, dzwony na głuchych, na zatwardziałych, na obojętnych...

Zapanowała nad chwilowem zakłopotaniem i była już taką, jaką ją znał.

— Nie znam się dostatecznie dobrze na przepisach światowych — rzekła wesoło — i przeraziłam się, gdy pan zbliżył się... Niech pan powie... czy wolno rozmawiać na ulicy?

Ostatnie ślady wzruszenia religijnego, w którym zawierało się jakgdyby coś surowego i smutnego, znikły w jej obliczu. Rozweseliły się jej oczy i mowa ich była o radości, o młodości, o wiosnie... W niskim, męskim kapeluszu wyglądała trochę na chłopca.

— Wyszedłam przed końcem, bo mama się niepokoi... w tych czasach... śpieszyć trzeba.

Ruszyli szybko. Paweł przypomniał sobie obowiązek galanteryi i zabrał jej modlitewnik.

— Jeśli sądzić o pobożności z rozmiarów książki, w takim razie, księżniczko... — zażartował.

— Na nieszporach odczytuję zawsze psalmy... po angielsku.

— Jakkolwiek oni Boga nazywają Lord'em...

— To cudowny język w modlitwie... Niech pan także czyta psalmy...

— Dobrze, księżniczko...

— Znalazłam dziś werset, niezmiernie głęboki. In the greatness of Thy strength Thine enemies shall lie unto Thee.

— Dla wielkości mocy Twojej kłamać przed Tobą będą nieprzyjaciele Twoi — przetłómaczył Paweł. — Pani odczytywała dziś ten psalm?

— Tak. Czemu pan się dziwi?

— Bo to jest jedyny, który uniem na pamięć... powtarzałem go sobie podczas nieszporów...

Spojrzała na niego, żeby przekonać się, czy nie żartuje.

— Spotkały się myśli nasze... Nie wiem, jak pan rozumie ów werset... Mnie się wydało, że nienawiść, bluźnierstwa, bezwyznaniowość... że psalmista przeczuł i wyjaśnił przyczynę... że nieprzyjaciele nie chcą uznać wielkości mocy Bożej i stąd wojna...

— Zapewne, zapewne — z roztargnieniem odparł.

Księżniczka umilkła, urażona trochę, że on tak niedbale przeszedł do porządku nad słowami, które wypowiedziała z przejęciem, olśniona ich głębią. Było milczenie.

— Przyglądałem się pani w kościele — odezwał się Paweł. — Pani modliła się, pani wierzy, a istnieje dziwna sprzeczność... Świątynie budowane są z marmuru, z granitu, świątynie trwają i stoją niewzruszone, tymczasem gmach religii, jak mgła, i wiara, jak wyrazy, pisane w powietrzu, zrozumiałe tylko dla tego, który pisze...

— Panie, panie...

— Tak, księżniczko... Byli prorocy, byli święci, był na ziemi Ten, którego nazwano Synem Bożym i nie zostawili po sobie śladu... Pisali w powietrzu wyrazy płomieniste i najpiękniejsze, wyrazy, które znikły... Gdyby choć jeden znak trwały i niezawodny...

Powtarzał jej z prostotą i szczerze, jakgdyby powiernicy, jakgdyby łączyła ich poufała zażyłość, myśli wątpienia i niepokoju, wrażenia, których doznał w kościele, spostrzeżenia, które poczynił podczas nabożeństwa... Opowiadał potem o modlitwach

swego dzieciństwa, o zaprawionej przerażeniem religii matki, o psalmie, wyrytym na grobowcu ojca, wspominał dzieje ostatnich dni, wtajemniczał w zawiłe sprawy duszy, szukającej celu i trwałej myśli życia... Księżniczka słuchała uważnie. Zwały się przedudne brwi na zadumanem czole... patrzyła w ziemię, zwolniła kroku... Zadowolenie, które sprawiała jej, pochlebając miłości własnej, spowiedź Pawła, świadcząca o tem, że on, dojrzały i mądry, traktuje ją poważnie i ma do niej zaufanie, przelotne zadowolenie rozplynęło się w uczuciu żalu i litości. Przypomniały się jej żalosne wyznania, które czynił niedawno, przed kilku dniami, prawdziwe i smutne słowa o pustce i szarzyźnie życia, o zmarowanych latach, o śmierci — i litowało się serce...

— Nie odpowiem panu dziś — rzekła cicho, gdy skończył — bo nie jestem uzbrojona... Pan postawił trudne pytanie... Będę zastanawiała się, rozważę... i wrócimy do tego przedmiotu...

Paweł zatrzymał się i słuchał, jakgdyby wyroku. Podniosła na niego zamysłone spojrzenie i patrząc mu w twarz, dumiała. Mówiła potem:

— Katechizmu i historii świętej można się nauczyć, ale wiarę trzeba zdobyć samemu... Znaki niezawodne, których pan szuka, są w duszy każdego... „Światłość prawdziwa oświeca każdego człowieka na świat przychodzącego...” Gdyby słońce ukrywało się zawsze za chmurami, nikt nie wątpiłby, że jest, że świeci, widząc dzień... Tak samo o Bogu...

Urwała, zauważywszy, że zubożniał nagle dla tematu, który rozwijała. Myśl jego uciekła ze szlaku dociekań religijnych. Spoglądał w jej oczy, obejmował wzrokiem jej postać... Jakiś czas szli w milczeniu. Skręcili w boczną uliczkę, która biegła wzdłuż ogrodu.

— Tu jest ów ogród — odezwał się — miałem tu przyjść na wiosnę... Księżniczka pamięta obietnicę?

I szukał jej spojrzenia. Ale ona odwróciła twarz, patrzyła ku drzewom, tłumiła uśmiech, wywołany uroczystym brzmieniem głosu Pawła.

— Pamiętam... Pan swoją dysputą nastroił mnie tak abstrakcyjnie, że nie spostrzegłam, iż zbliżamy się już do domu... Okna salonu są ciemne...

— Będę czekał wiosny... wiosna daleko jeszcze... będę czekał...

— Dobrze... Ale możemy i dziś wejść przez ogród i w randę. Chce pan? Pokażę panu...

Zadzwoiła i kazała przynieść klucz od furtki. Czekali. Księżniczka przebiegała palcami po żelaznych prętach ogrodze-

nia, niby po strunach harfy i zabawiała go rozmową. On przyglądał się zabawie jej zwinnych, małych rąk.

— Wypogadza się — mówiła. — Przepowiadałam, że radość rozpędzi chmury... jest związek i wpływ tajemniczy... Czy pan zauważył, że deszcz nigdy nie pada podczas obchodów...

— Nie wiem, księżniczko...

— Gdy ktoś przyniósł nam onegdaj wieczorem dobrą nowinę — ciągnęła dalej już w ogrodzie — rzuciłam się do okna. Szukałam na niebie i na ziemi potwierdzenia... Przypuszczałam, że miasto da wyraz szczęściu, że pochodnie i blaski, że pieśń i dzwony... A była ciemna i dżdżysta noc... za to dziś... Pan kiedy dowiedział się?

— Nie pamiętam... zdaje mi się z wieczora...

— Jakto?! — zdziwiła się — pan, który pracował, przygotowywał, dążył, teraz tak obojętnie! Przecież to jest niezmierne szczęście!... Gdy mijały dnie trwogi, myślałam i powtarzałam: niech kruszą, łamią, burzą, byleby zaświtała wolność... I czuję, że przyszła, widzę...

Paweł milczał. Idąc za nią, patrzył to w głąb parku, to w ślady jej stóp na wilgotnym piasku ścieżki... Oto spełniało się, stawało się rzeczywistością naiwne marzenie serca o tem, żeby być z nią, żeby przechadzać się wśród drzew ogrodu... I przejdzie, zniknie, umknie ta chwila wyśniona, rozwieje się jak mgła... Cóż po niej, po krótkim mgnieniu, które przemija, które nie należy do niego... Obejdą dokoła aleje ogrodu — potem wizyta w salonie, potem powrót do domu — i życie puste i nudne, blade i zimne... Przemija sen... Zamieniają między sobą słowa obojętne i niepotrzebne o wypadkach politycznych... ona zapytuje, odpowiada jej... Nie takim było marzenie, które wyśnił... Zdawało mu się wówczas, gdy z okien salonu spoglądał, że ukazuje się w dali świetlista zjawia szczęścia... Niema go tu w ogrodzie... skryło się szczęście...

Za to park był niezwykle piękny. Wśród miasta, w nieznośnem państwie kamienia, cegły i asfaltu, drzewa zawładnęły tym zakątkiem i królowały w chwale i powadze, odwieczne, ogromne, dostojne. Jakgdyby gdzieś w pustkowiu wiejskiem, stały się wonie zwarzonych liści, snuły się cicho gwary i szumy, pachło jesienią, upajało powietrze. Wyrosły, wybujały, zwały się olbrzymie drzewa, rozplotły niezmierne sklepienie, strzegły swego przybytku i trwały... Dokoła rozlewał się spokój, unosiła się śniąca cisza, zaduma rozpostarła marzące skrzydła... mieszkała tu przeszłość i spoglądała nieruchomym wzrokiem... Drzewa pamiętały

dawne czasy... Wysoko, nad splątana siecią gałęzi, błękitniało blade, listopadowe niebo. Zapatrzone w dalekość niebios, w daleki kraniec świata, gdzie dogasały zorze, kołysały się lekko wierzchoły i żegnały złote blaski zachodu. I ważyła się na chwiejących się wierzchołkach, na obojętnem czole olbrzymów myśl, że wszystko przemija, że one tylko stać będą, że krótkim i lichem jest życie, które toczy się u ich stóp... Widziały wiele, doświadczyły, poznały, przeżyły wiele zim i wiosen drzewa i kolebały się obojętnie, nietrwożne, spokojne w mocy swojej...

W alei, którą szli, panował mrok. Ze starych, omszonych pni lipowych uśmiechały się, zdawało się, pomarszczone i dobrotliwe twarze. Od czasu do czasu spływał po konarach, z gałęzi na gałąź, z góry w dół chłodny dreszcz szelestu. Była to wieść niedobra o zimie, która zbliżała się. Dowiadywały się liście i zaczynały dygotać, opadały przerażone, marły...

Posuwali się wolno po miękkim, suszczącym posłaniu liści. Księżniczka opowiadała.

— Z okien salonu pan widział tylko jedną część, a ogród jest dosyć duży. Mamy w nim kawałek wsi. Niegdyś były tu rozmaite banalności wiejskie: posągi, altany, strzyżone krzewy, klomby — pokasowaliśmy to wszystko. Zaraz skończy się aleja, którą nazwałam królewską, pokażę panu ulubione ustronie...

— Więc nie owa ława?... — pożałował.

— Nie panie... proszę patrzeć...

Stanęli na niewielkiej łące, otoczonej ze wszystkich stron drzewami. Znużone mrokiem „królewskiej“ alei oczy z radością witały trawnik, wolną przestrzeń, rozległy szmat niezastłoniętych niebios, światło gasnącego dnia. Łąka zasypana była liśćmi. Tu i owdzie kępa zielonej jeszcze trawy, która przetrwała przymrózki, dawała złudzenie życia i lata. Na przeciwległym skraju, tam, gdzie za kolumnadą pni białął stary mur, dwie niebotyczne jodły wykwitły wiecznie żywą i wiecznie smutną tajemnicą swojej cyprysowej zieleni, trzecia, młodsza i mniejsza, wysunęła się o parę stóp i rosła wśród trawnika, trochę pochylona naprzód w towarzystwie dęba—junaka. Powiewały nad niemi, nad młodocianą ich przyjaźnią, długie warkocze bolesnych brzoź, które umierały w zlocistej chwale, kapały im na głowy złote krople liści... Szeleściła poruszona powiewem brunatna oponcza dębu...

Patrzyli oboje, wsłuchani w wieczorny szept parku, pograżyli się w zadumie, która przyszła, ogarnęła duszę, mijać nie chciała. Odezwały się gdzieś dzwony. Musiała być ta sama, co przed rokiem godzina, w której Paweł pokochał swój sen... Księżnicz-

ka zapomniała tym razem o pacierzu. Przebrzmiały dzwony... I pogasty zwolna owe przecedne na zachodzie łuny, w które spoglądały chwiejące się, wysokie, najwyższe wierzchołki drzew... Przychodził wieczór. W odmęcie nikłego błękitu błysnęła gwiazda.

— Ten dąb jest moim rówieśnikiem — przemówiła księżniczka — pamiętamy z nim już wiele wiosen... rośniemy razem — przeżyje mnie...

— Trzeba nam iść, panie — dodała — rozumiejąc, iż należy położyć kres tej chwili i milczeniu.

Podniosła na Pawła spojrzenie, zdziwiła się bladeści i wyrazowi jego twarzy. Patrzył w nią, a w oczach miał prawie strach.

— Co panu jest? — spytała mimowoli.

— Nic, pani...

— Trzeba już iść.

Poszli przez łąkę, wracali inną drogą. Co jakiś czas księżniczka szukała wzrokiem w toni chłodnego nieba gwiazdy, która, zdawało się, wędrowała za nimi. U wejścia do ciemnej alei księżniczka zatrzymała się i jeszcze raz spojrzała w przedziwny zakątek, w sielskie, proste piękno ustronia. Jakieś wspomnienia, jakieś przecucia splatały się z żalem i wiały przez duszę. Pochyliła głowę i stała chwilę w zamyśleniu i w żalu. Paweł obejmował ją wzrokiem, odwracał oczy, jakgdyby bał się, że zakłóci zadumę, i znowu patrzył, żegnając... Było mgnienie tam na łące, że zgłębił utajone pragnienie serca, pojął treść snu, zestawił marzenie z rzeczywistością, osądził trzeźwo możliwość. Przez rok cały, może od dnia poznania, kołysała się na fali nieuświadomionego uczucia nadzieja nieuchwytna — objawiła mu się nagle i zgasła od technienia rozsądku. Uczyniły się w sercu próżnia i mrok... Szczęście, nazwane po imieniu, wydobyte z głębi nieświadomości na powierzchnię, rozwiało się, jak dym. Kołysała się długo na fali marzenia nadzieja — teraz zjadliwe myśli rozsądku szeptały, że nie będzie tego szczęścia, że za późno, że nie warto rość, nie wolno spodziewać się. Pragnienie wydawało się zbyt śmiałym — nie było wiary... I, spoglądając ku księżniczce, oczy żegnały na zawsze swój najjaśniejszy sen, swoją radość... Dlatego odbiły się w nich przerażenie, trwoga rozłąki... onieśmienie i bojaźń ogarnęły Pawła. Przed godziną na ulicy opowiadał, wspominał, wyznawał, obcował z księżniczką w prostocie przyjaźni — i dziwił się sobie, bo już by nie mógł, bo marły mu na ustach słowa. Zmienił się, zmieniła się księżniczka. Była obca, daleka, zupełnie inna, tak daleka, że ręka nie odważyłaby się dotknąć rąbka sukni,

że myśl nie odważała się gonić za pragnieniem... I wyrzekął się szczęścia...

Zanurzyli się w mroczną nawę alei. Księżniczka szła pierwsza, śpieszyła. Szeleściły pod jej stopami liście.

— Wróci pan tu na wiosnę?— spytała. — W popołudniowych godzinach cienie kładą się i odpoczywają na łące... podbiał kwitnie jak na wsi.

— Nie przyjdę, księżniczko...

— Przed chwilą pan przypominał mi obietnicę, miał pan przyjść... Cóż się zmieniło?

— Zmieniło się...

— Wyjadę stąd... nie będę — dodał głucho.

— Pan wyjedzie?...

— Nie dla mnie tu wiosna...

I znowu głos jego brzmiał uroczyście i tragicznie. Przez mgnienie swawolna chęć kusiła księżniczkę: miała odpowiedzieć mu w tym samym dramatycznym tonie, zanaśladować jego głos... już uśmiechnęły się oczy, ale pożałowała go.

— Wiosna jest i dla pana i dla mnie—odparła z dobrocią— dla wszystkich... przeminą miesiące smutku.

Nie podziękował jej za pociechę. W milczeniu doszli do werandy.

— Dokąd pan odjeżdża?— zapytała.

— Nie wiem jeszcze... zapewne na wieś... zakopię się tam... przemarnowałem tyle lat życia—zmaruję resztę...

Księżniczka zatrzymała się na stopniu, szybko odwróciła się, uczyniła giest, jakgdyby chciała ująć jego ręce.

— Co pan mówi!—zawołała— pan działacz i pracownik... jakie tu zmarnowanie... teraz właśnie może pan radować się, że trudy jego wydały owoc... nadeszły czasy wesela dla narodu... ojczyzna zmartwychwstaje z radosnem Alleluja na ustach... potrzebni są ludzie zapału, poświęcenia i wiary... zabierze się pan do czynu... tyle nowych zadań, takie ogromne rzeczy!...

— Dobrze, księżniczko, zostanę— odpowiedział cicho— wezmę się do pracy... Robiłem dotychczas dużo, może bez skutku, ale w pragnieniu pożyteczności. Tak zwane cele ogólne leżały mi na sercu, nie byłem samolubem...

— Widzi pan—przerwała żywo—i naraz postanowił pan wyprzeć się najlepszej cząstki...

— Tak, księżniczko... Nie byłem samolubem... gotów jestem i dziś wziąć udział w dążeniach narodu... Będę dźwigał do ostatka, póki sił starczy... Zapytam tylko, co z tego, jaki odbiorę

zysk dla siebie... Człowiek nie może być narzędziem... Upłynie życie, napiszą w nekrologu kilka chwalebnych słów — mówił monotannie.

— Nie zupełnie rozumiem...

Księżniczka patrzyła w niego uważnie.

— Pani chciałaby mnie zaprządz... pani z chłodnego punktu użyteczności... A człowiek nie jest ani zwierzęciem pociągowym, ani martwym narzędziem... Każdemu śni się jakieś szczęście... Może nie mam już prawa... może przyszła pora, w której wypada zapomnieć o sobie...

Podniósł na nią wzrok, wzrokiem dopowiadał... Spotkały się ich spojrzenia i teraz dopiero księżniczka z oczu jego wyczytała, odgadła, wydobyła wyznanie, którego nie spodziewała się, o którym nie pomyślała ani razu... Zmieszczała się niezmiernie, przywarła powieki. Potem odwróciła się i w milczeniu poszła ku drzwiom... Nie znalazła w sobie odpowiedzi...

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

MICKIEWICZ I DOMEJKO

wśród emigracyi (1832.—1838). ¹⁾

I.

Emigranci polscy w Dreźnie, dzięki współczuciu mieszkańców tego miasta i przychylności władz miejskich, poczęści też dzięki tradycjom dawniejszym i świeżym, które wiązały dwór saski z Polską, czuli się tu z początku, jak u siebie. Ale niedługo to trwało. Rządowi rosyjskiemu nie podobało się nagromadzenie licznego wychodźstwa polskiego w stolicy saskiej i przez swego agenta dyplomatycznego w Dreźnie zaczął natarczywie domagać się usunięcia tych wszystkich Polaków, którzy brali udział w powstaniu, a nie chcieli teraz prosić o amnestyę i wracać do kraju.

Domejko nie myślał już o powrocie, zwłaszcza, że w maju 1832 r. otrzymał bolesną wiadomość o śmierci matki. „Był to najcięższy okres dla mnie od opuszczenia domu—powiada Domejko w świeżo wydanym pamiętniku *).—Sądziłem, że go nie znośę.“ Przyjaciele, ażeby go rozerwać, rozproszyć smutne myśli, pociągnęli go z sobą na wycieczkę do Szwajcaryi saskiej, wkrótce zaś po powrocie stamtąd zaczęła go policya — używając wyrażenia Mickiewicza—„grzecznie wypraszać“ z Drezna. Z grona czterech przyjaciół, on jeden, jako uczestnik powstania z pod rządu

¹⁾ Patrz w „Bibl. Warsz.“ 1906 r. (w zeszycie majowym) artykuł p. t. „Mickiewicz i Domejko do czasów drezdeńskich.“

²⁾ Źródła do dziejów Polski porozbiorowych, V. Pamiętniki Ignacego Domejki (1831—1838) z autografów wydał Józef Tretiak. W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności, 1908.

rosyjskiego, nie mógł się ociągać z wyjazdem. Odyniec miał paszport, tak samo Mickiewicz; Garczyński, jakkolwiek powstaniec, nie był poddanym rosyjskim, a przytem stan zdrowia jego nakazywał mieć pewne dla niego względy.

Mickiewicz już dawniej powziął zamiar nie wracać do kraju a w Dreźnie, gdyby chciał, mógł dłużej siedzieć. Ale miał kilka rzeczy gotowych do druku, które tylko w Paryżu mogły być swobodnie drukowane, wybierał się więc tam prędzej czy później, a wolał odbyć tę podróż w towarzystwie przyjaciela, niż sam. „Mnie dotąd dają pokój — pisał do Józefa Grabowskiego około połowy czerwca — ale sam nie chcę czekać, nim na mnie kolej przyjdzie i mam osobiste powody posunięcia się ku Francji, bo moim dawnym opiekunom nie ufam, znając ich długie ręce. Mam też potrzebę Paryż odwiedzić dla interesów, których gdzieindziej ułatwić nie można.“¹⁾ A bratu mniej więcej w tym czasie donosił: „Wypędzają naszych, a między nimi Domejkę, z którym ja puszczam się w drogę, bo potem musiałbym sam wlec się. Udaję się do Paryża, ale po drodze zabawię nieco tu i owdzie w Niemczech...“²⁾

Znaleźli się i inni towarzysze podróży, będący w tem samym położeniu, co Domejko. Należeli do nich: stary kościuszkowski żołnierz, legionista, Łagowski; major 4-go pułku, Słubicki; kapitan z napoleońskiej służby, towarzysz Napoleona na Elbie, Puntner; szef 1-go pułku Mazurów i zarazem poseł mazowiecki, Trzeciński; wreszcie naczelnicy oddziałów powstańczych, a zarazem posłowie: Aleksander Jełowicki, Żarczyński i Nakwaski. Liczne więc było towarzystwo podróżne, a lądowa ta Odyseja w oryginalny odbywała się sposób. „Najęliśmy—powiada Domejko — duży powóz, długi, trzęsący, w którym wszyscy mogliśmy się pomieścić; jechaliśmy powoli, zatrzymując się na noclegi i popasy, gdzie się nam podobało i oprócz gościnnych przyjęć, których doznawaliśmy od komitetów miejscowych niemieckich, a które po wszystkich miastach i większych miasteczkach znajdowaliśmy, ustanawianych przez rady miejskie na ugoszczenie emigrantów polskich, nie szczydziłszy sobie wygod własnymi pieniędzmi, na których nam jeszcze nie brakło. Jechaliśmy na Norymbergę, Bayreuth, Carlsruhe do Strassburga, bo taka nam droga była przepisana na paszportach i na tej drodze znajdowały się komitety...“³⁾

¹⁾ „Korespondencya Ad. Mickiewicza.“ Lwów, 1880. T. I, str. 99.

²⁾ Tamże, T. I, str. 100.

³⁾ „Pamiętniki Ign. Domejki,“ str. 61.

W tej arce lądowej przez całą drogę było gwarno. „Przez całe dni, w drodze i gdzieśmy się zatrzymywali—przypomina sobie Domejko w pół wieku po owej Odyssei—jakie to nieustanne toczyły się rozmowy, wzajemne zwierzenia się! Mickiewicz miał momenta wesołe, górował nad nami, już to opowiadaniem rzeczy domowych, tegoczesnych, czy historycznych, już żartami i pobudzaniem do gawędki, gdy się już drudzy ustawać zdawali.“ Łagowski opowiadał „cuda“ o Maciejowicach, o legionach, o więzieniach i morzeniu głodem za rządów W-go Księcia; kapitan Słubicki „szczegółowo, po mistrzowsku, bo nie wdając się w to, czego sam nie widział, opisywał batalię pod Grochowem, ile ucierpiał ranny i w niewoli, jakim sposobem potrafił, za pomocą jednego poczciwego kozaka... dostać się do swoich.“ Wesoły Trzcicki „rozweselał nas opowiadaniem pociesznych scen ze zjazdów, sejmików i hulanek szlacheckich.“ Posłowie: Jełowicki, Zarczyński i Nakwaski tworzyli sejm w miniaturze i prowadzili gorące rozmowy, które były jakby dalszym ciągiem sejmowych rozpraw. Przedmiotem tych rozmów była reforma konstytucyi, sposoby jej strzeżenia, wolność druku, handlu, stowarzyszeń i zgromadzeń publicznych i t. p. rzeczy, które już nie istniały. „Na nic nie było zgody — powiada z dobroduszną ironią Domejko—trudne porozumienie się. Co do Polski, nie zostawało wiele do mówienia, już była odbudowana...“ ¹⁾

Późno spisane wspomnienia Domejki nie mówią o jednej ważnej i ciekawej rzeczy, odnoszącej się do tej Odyssei emigranckiej, rzeczy, o której dowiadujemy się skądinąd. Oto owocem tej podróży była pewna broszura polityczna, napisana po francusku, opatrzona inicjałami Domejki, jako autora, ale niewątpliwie pochodząca z głowy Mickiewicza. Tytuł jej: *De l'émigration des Allemands en Russie précédé de quelques lettres sur mon dernier voyage en Allemagne, au mois de juin 1832, par I. D., réfugié polonais.* Roku wydania niema. Dokładnie oznaczyć czasu ukazania się tej broszury nie mogę, ale figuruje już ona w spisie bibliograficznym rzeczy drukowanych we Francyi od listopada 1830 r., a odnoszących się do sprawy polskiej, który to spis umieszczony jest w październikowym zeszycie miesięcznika *Le Polonais* z r. 1833. Inicya-

¹⁾ Opis podróży podaję na podstawie dwu źródeł: listu Domejki do X. Siemieńskiego (Kor. IV, 1—8) i „Pamiętników Domejki“ (60—62). Tam, gdzie się te dwa źródła niezupełnie zgadzają ze sobą, daję pierwszeństwo pierwszemu, jako wcześniejszemu.

ły I. D. rozwiązane są tu w nawiasie: Ignace Domejko. Prawdopodobnie wydana została jeszcze przed ukazaniem się trzeciej części *Dziadów* i *Ksiąg pielgrzymstwa*.

Broszura, jak to już w tytule zaznaczono, składała się z kilku listów — z wrażeniami z podróży po Niemczech i z refleksyj politycznych, jakie te wrażenia wywołują w naturze. Pierwszy list jest datowany z Tarandt (24 czerwca 1832 r.), drugi z Plauen (28 czerwca), trzeci z Hof (30 czerwca), czwarty z Norymbergi (2 lipca), to jest z tych miejsc, które, jak się trzeba domyślać, były wyznaczonymi w paszporcie dla naszych podróżnych etapami podróży. Uwagi polityczne, wysnute z wrażeń podróżnych, wiążą się bezpośrednio z czwartym listem, niczem nie odgraniczone od niego.

O cóż chodzi w tej broszurze? Jaka potrzeba ją wywołała? Wiadomo, jak Mickiewicz pojmował wówczas swoje zadanie: kiedy miecze schowane, piórem walczyć za Polskę z jej wrogami, w których widział wrogów wszelkiej wolności w Europie. Już niektóre potężne, a gotowe pociski wioził z sobą: trzecią część *Dziadów* i szereg płomiennych satyr na Petersburg, objętych ogólną nazwą *Ustępu*. Na horyzoncie jego zamiarów już widniały *Księgi Narodu* i *Pielgrzymstwa*, a może w części, w pierwszym rzucie, już były napisane. Ale to wszystko były rzeczy do ziomeków zwrócone, po polsku pisane, jeżeli już nie z treści, to z języka swego dla europejskiego ogółu niedostępne. Czy zdobędą sobie odrazu taką sławę, że zaraz przełożone zostaną na obce języki? rzecz wątpliwa, a gdyby się nawet tak stało, to czy będą dość zrozumiałe dla cudzoziemców?

A tymczasem Mickiewicz czuł potrzebę natychmiastowej walki z rządem rosyjskim, który nawet za granicami Rosji przypominał swoją potęgę, rugując emigrantów polskich z Drezna, wbrew życzliwości rządu saskiego i sympatyom mieszkańców tej stolicy. W podróży przez Niemcy zauważył, iż rząd rosyjski, nie poprzestając na wywieraniu nacisku na słabsze państwa niemieckie, usiłuje pozyskać dla siebie usposobienie warstw ludowych, budząc wspomnienia wspólnej walki z Napoleonem i wspólnego zdobycia Paryża. Jednocześnie spostrzegął z rozmów, jakie miewał w podróży z liberalną inteligencją niemiecką, że z tej strony nie można się spodziewać skutecznego oddziaływania na masy w duchu, przeciwnym owym usiłowaniom, ponieważ ci liberali zanadto wiele metafizyki i erudycyi, a za mało uczucia wkładają w swoje wywody i stąd nie wywierają wpływu pożądanego na tłumy. Najboleśniej zaś dotknął go jeden fakt w podróży: spotkanie emigran-

tów niemieckich, ciągnących z rodzinami i dobytkiem do Rosyi dla kolonizowania jej pustych obszarów. Jakto? więc kiedy oni, emigranci polscy, uchodzą ze stron rodzinnych, nie mogąc znieść ucisku i kiedy całe Niemcy dla ich krzywd i nieszczęść wyrażają współczucie, w tej samej chwili w tychże samych Niemczech znajdują się ludzie, którzy dla materyalnych korzyści gotowi są obrać sobie Rosyę za drugą ojczyznę i dają się pociągnąć jej wezwaniu? Przeciwiństwo było rażące i głęboko dotknęło duszę poety; widział w tem nowy i to moralnej natury tryumf nad Polską. I w tej to chwili — jak się domyślam — powziął zamiar napisania broszury, w języku dostępnym dla całego świata, broszury, która miała oświecić politykę rosyjską w Niemczech, miała być przestroga dla całej Europy i zarazem pierwszym ciosem w walce, którą poeta zamierzał prowadzić ze zwycięzcą.

Dlaczego Mickiewicz wystąpił do tej walki ze spuszczoną przyłbicą, dlaczego ukrył się za inicjałami swojego przyjaciela Domejki? Wszak wiemy, że nie myślał już wtedy o powrocie do kraju; z tego więc względu wypieranie się autorstwa było mu niepotrzebne. Ale był inny, bardzo wyraźny powód, dla którego musiał ukryć swoje autorstwo. Broszura powinna była pochodzić od jednego z tych, co brali udział w powstaniu, a nie chcąc poddać się zwycięzcy, schronili się na ziemię niemiecką i tam z wielkiem współczuciem, niekiedy entuzjazmem byli przyjmowani. Bo w ustach takiego człowieka przeciwiństwo między emigracją polską, a imigracją niemiecką do Rosyi nabierało daleko więcej siły i znaczenia; stąd też i bezimienny autor określony był jako *réfugié polonais*. Tego tytułu Mickiewicz nie mógł sobie nadać i dla tego uprosił przyjaciela o przyjęcie na siebie autorstwa broszury.

To wszystko są przypuszczenia, bardzo prawdopodobne, ale nie oparte jeszcze na wyraźnych dowodach, że nie Domejko, któremu bibliografia przypisuje autorstwo broszury, ale Mickiewicz był jej autorem. Dowody takie znaleźć można w samej broszurze, na każdej niemal stronie. A naprzód sam pomysł broszury odpowiada najzupełniej tej myśli Mickiewicza, wyrażonej w liście do Lelewela, o „kontynuowaniu wojny piórem, gdy miecze schowane.“ Powtórę jest tu wiele ustępów, które znajdują analogię, czasem z dosłownością wyrażenia, we współczesnych utworach lub korespondencji poety.¹⁾ Wreszcie to, co autor broszury mó-

¹⁾ Jako przykład, przytoczę parę takich ustępów. Na stronie 1-ej broszury czytamy: „C'est un simple chargé d'affaires de la Russie... qui a ordonné

wi o Rosyi, w szczególności o Petersburgu, Odessie i stepach południowych, może pochodzić tylko od człowieka, który zna te strony i stosunki dobrze, który patrzył na nie własnymi oczami, to jest od Mickiewicza, nie od Domejki, który tam nigdy nie był. ¹⁾

Że nie Domejko jest jej autorem, świadczy i ta okoliczność, że nie uczynił żadnej wzmianki o tej broszurze w swoich wspomnieniach. A przecież trudno przypuścić, aby mógł zapomnieć o pracy, która, gdyby był jej autorem, byłaby pierwszą jego pracą drukowaną.

Wreszcie niemalej wagi świadectwem, przemawiającem za autorstwem Mickiewicza jest pewien ustęp ze współczesnego listu Bohdana Zaleskiego do Nabelaka, z datą 3 listopada 1832 r. Donosząc, pełen zachwytu, o *Trzeciej Części Dziadów*, która już była wydrukowana, ale jeszcze w handel księgarski niepuszczoną, Zaleski dodawał: „Oprócz tego, Mickiewicz pisze teraz *polityczne*

à la cour de Saxe de nous faire quitter le royaume, ou accepter la grâce de l'empereur, pour aller chasser les zibelines dans les forêts de la Sibérie etc.“ A w liście do brata, pisanym na parę dni przed rozpoczęciem podróży Mickiewicz pisze: „Biada będzie, jeżeli cię wystraszą z Księstwa! Wiem, jak to przykro przywyknąć do włóczęgi, lepiej wszakże po Niemczech, jak po Sybirze *wojażować*.“ (Kor. I, 100). Na str. 13 broszury: „L'échelle du pouvoir absolu n'est nulle part si bien graduée et maintenue qu'en Russie,on il n'y a pas même d'alkoran ni de mufti pour mettre des bornes à l'ambition et aux caprices effrénés du tzar.“ A w *Księgach Narodu Polskiego*: „Bo i u Turków Sul-tan musi szanować prawo Mahometa, ani może go sam wykładać, ale są na to księża tureccy. W Rosyi zaś Imperator jest głową wiary, i w co każe wierzyć, w to wierzyć muszą.“

¹⁾ Tak np. czytamy na stronie 12-ej: „Les grands déserts de la Russie méridionale, quoique fertiles et sous un beau ciel, semblent être destinés à la vie des peuples nomades. On n'y trouve aucun vestige qui pourrait nous indiquer des établissemens d'anciennes peuplades, ou quelques débris d'une société stable et agricole. Les plaines immenses et l'herbe sauvage qui s'agite au souffle du vent, ne sauraient avoir d'appas, que pour des pâtres tatars et leurs troupeaux. Il n'y a pas de forêts; les arbres ne s'y plantent que difficilement, n'y prennent pas racine, se fanent, deviennent secs ou sont rongés par des nuées de sauterelles, qui moissonnent ordinairement les travaux des pauvres habitans de ces régions, qui bravent la puissance du tzar et les armées de porcs dont il a essayé la voracité, il y a quelques années, pour combattre inutilement ce fléau devastateur.“

brozurki po polsku i *po francusku*.¹⁾ Ponieważ o żadnej broszurze politycznej Mickiewicza z owych czasów, pisanej po francusku, nic nie wiemy, więc ta wiadomość może odnosić się tylko do tej, o której tu mowa.

Na jedną jeszcze rzecz w tej broszurze o emigracji Niemców chcę zwrócić uwagę: ustęp, przedstawiający pochod emigrantów przypomina z jednej strony, pod względem retorycznym, *Farysa*, mianowicie tę chwilę, kiedy alegoryczny ten bohater spotyka „starożytną karawanę, wiatrem z piasku wygrzebaną:“

„Mais que vois-je? Quelles sont ces grandes caravanes de familles, que nous rencontrons, avec leurs enfants, leurs vieillards et leurs fortunes et qui passent devant nous etc.“

Z drugiej strony, pod względem realizmu epickiego, pod względem szczegółów przedstawienia, widzimy tu, jakby naśladowanie *Hermana i Dorotei*, gdzie obraz pochodu emigrantów tak wybitne zajmuje miejsce. „Les chariots étaient pleins de toutes sortes d'effets, de lits de plumes, d'oreillers, de coffres et de corbeilles. Sous les couvertures on apercevait des enfans à la mamelle, des paniers et des outils de labourage. Les hommes et les femmes marchaient à côté des chariots, les garçons couraient çà et là, des hommes âgés se traînaient derrière, de vieilles femmes suivaient tristes, abattues.“ Naturalnie, podobieństwo obrazów mogło wpływać z podobieństwa opisywanych sytuacji, ale nasuwa się pytanie, czy widok emigrujących Wirtemberczyków, o których w pamiętniku podróżnym Domejki głuche panuje milczenie, nie przypomniał Mickiewiczowi podobnych scen z *Hermana i Dorotei* i nie pobudził go do odświeżenia sobie w pamięci tych obrazów? A jeżeli jeszcze zwrócimy na to uwagę, że w pięć miesięcy po tych wrażeniach Mickiewicz donosi Odyńcowi: „Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju *Hermann i Drotea* (Goetego); już ukropiłem tysiąc wierszy“ i jednocześnie skarży się, że miał w tych czasach tyle „różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wie, jak czasem może kilkanaście wierszy sklecić,²⁾ to gotowi jesteśmy wśród tych „bazgrań i rozprawek“ domyślać się i broszury o emigracji Niemców, a epizodowi spotkania się emigrantów niemieckich z polskimi przypisać pewną rolę w genezie *Pana Tadeusza*. Rola ta ograniczyłaby się

¹⁾ „Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego,“ wydał Dionizy Zaleski. Lwów, 1900, str. 42.

²⁾ „Kor. Ad. Mickiewicza.“ T. I, str. 105.

tylko do przypomnienia Mickiewiczowi goethowskiej sielanki, niemniej jednak mogła być ważną, jeżeli za przypomnieniem poszło ponowne odczytanie poematu i obudzenie w poecie nastroju epickiego.

*

*

*

Od granicy francuskiej, od Strasburga, zmienił się charakter podróży Mickiewicza i Domejki. Nie w licznym i gwarnej towarzystwie polskim, jak dotychczas, ale sami, we dwóch tylko, mieli ją odbywać dalej i nie ułatwienia, ale przeszkody znajdowali na drodze. Mianowicie rząd francuski nie rad był gromadzeniu się emigrantów polskich w Paryżu i rozmieszczał ich po tak zwanych *zakładach* na prowincyi, gdzie zostawali na żołdzie francuskim, ale zarazem i pod władzą prefektów. Ani Mickiewicz, ani Domejko nie mieli ochoty osiadać na prowincyi i oświadczyli, że nie potrzebują zasiłków od rządu, a jednak prefekt strasburski nie chciał im dać paszportu na przejazd do Paryża i pozwolił tylko pojechać do Châlons, aby stamtąd starać się o pozwolenie przyjazdu do stolicy.

Już w Strasburgu, w ciągu pięciodniowego tam pobytu, mieli sposobność nasi dawni Filareci zetknięcia się z emigracją polską na gruncie francuskim i tu już doznali „pierwszych przysmaków“, jak się wyraża Domejko, emigracyjnych kłótni, niesnasek i innych złych narowów, wynikających z wykolejonego i próżniaczego życia. „Wielu żyło w Strasburgu — pisze Domejko w pamiętniku — nie chcąc do zakładów należeć, a nie mając środków do utrzymania się. Widać było po ulicach nasze polskie mundury wyszargane, krzyże wojskowe i niejedyn, który je nosił, cięży, jakby na kiermaszu, szukał, jak to mówią, okazji. Wielu też pokazało się oszustów, którzy, pod tytułem oficerów polskich, oszukiwali mieszkańców i nadużywali ich przychylności ku nam.“ Nie brakło już i kłótni emigracyjnych, do czego powód dało przybycie generała Chrzanowskiego do Francyi; znaleźli się tacy, którzy go w pismach francuskich („*Courrier du Bas Rhin*“) piętnowali, jako zdrajcę, szpiega, pułkownika rosyjskiego, a kiedy generał Dębiński stanął w jego obronie, zjadłość zwróciła się przeciw obrońcy. Jakże pilną potrzebą okazywało się wydanie *Książ*

Pielgrzymstwa, które przed duszami wygnańców odślaniały ich wysokie powołanie i wzywały je do wewnętrznego doskonalenia się.

Mickiewicz, jadąc do Paryża, miał cel jasno wytknięty przed sobą: walkę w sferze idei i czuł, że do tej walki jest potężnie uzbrojony. Inaczej było z Domejką. On jechał, nie wiedząc dobrze, po co jedzie do Paryża, ciągniony więcej przykładem i zachętą przyjaciela, niż własnym, wyrozumowanym przekonaniem. Mickiewiczowi był potrzebny Domejko, jako kawałek Litwy, kawałek rodzinnego świata, który chciał mieć z sobą na dalekiej obczyźnie; Domejce był potrzebny Mickiewicz, jako światło przewodnie wobec zamglonej, niepewnej przyszłości.

Ten stan niepewności jego maluje się wyraźnie w jednym z ustępów pamiętnika. Kiedy był w policji strasburskiej dla wzięcia paszportu do Châlons, przyszło tam dwóch młodych wieśniaków alzackich z młodszą od nich dziewczyną, ażeby otrzymać paszporty do Ameryki. „Byli to emigranci, co na zawsze opuszczali kraj, wioskę, rodziców i krewnych swoich, dla szukania lepszej dla siebie ojczyzny i lepszego bytu. Spokojni byli i weseli; wesoło rozmawiali ze starszymi, którzy im towarzyszyli, ani znać było, że czekał na nich statek, który za parę godzin miał ich na zawsze rozłączyć. Miły Boże! pomyślałem sobie, tym ludziom tak łatwo opuszczać na zawsze kraj swój: ufają w siłę, w zdrowie i w pług, którym potrafią przyswoić dla siebie niekniętą jeszcze od stworzenia świata rolę. Jakaś tajemnicza siła, wola Boża, Opatrzność, prowadzi ich w strony, gdzie może nowy, lepszy stan i porządek rzeczy przygotowuje się dla ludzkości.“ „Mnie inne cele, widoki i nadzieje zajmują; — które gdy zawiodą, jak sobie zaradzę? Nie żołnierz, nie uczonec, nie rolnik, nie rzemieślnik — nawykły do spokojnego życia.“¹⁾

Wśród wrażeń podróży tęsknota do opuszczonej na zawsze Litwy, od której coraz bardziej się oddalał, nie mogła wydobywać się na wierzch, ale kiedy zmęczenie drogą sen sprowadzało na zmysły, wtedy dusza Domejki na skrzydłach owej tęsknoty ulatywała w kierunku wręcz przeciwnym temu, w którym jego ciało unosił dyliżans pocztowy. Bardzo zajmujący obrazek tych sennych marzeń dyliżansowych zostawił nam Domejko w swoim pamiętniku. Dwie noce i prawie dwa dni jechali nasi podróżni wielkim dyliżansem do Châlons, mając za towarzyszy podróży gromadę powołanych do wojska popisowych. Gdy noc nadeszła,

¹⁾ „Pamiętniki Ign. Domejki,“ str. 66.

hałaśliwi towarzysze posnęli; niebo było pogodne, księżyc jasno świecił, konie biegły ochotczo, chłód nocy lipcowej nie dokuczał. „Co chwilę zasypiałem i ocykałem się: zaledwo zmrużyłem powieki, stawiało mi się Zapole, gospodarka, dom, rodzina, tak żywo, tak jasno i wyraźnie, że nigdy może w rzeczywistości, na jawie, nie widziałem ich jaśniej i wyraźniej;—a gdy się budziłem, przesuwało mi się przed oczyma, jakoby w panoramie, jakie miasto, wieś, czy miasteczko, ze swojemi białemi domami, tak właśnie, jak je wyobrażałem sobie we snach młodości mojej, kiedy mi się tak chciało wojażować... Tylko że dusza moja była tak daleko odemnie, od moich zmysłów, że do niej nie dochodziły wrażenia, jakie od nich odbierałem. To, co mi było obecne, tak blade było, w słabych, bladych odcieniach; a to, co widziałem we snach tak długo żywe, porywające za serce, gorące, drażliwe, że owe sny nieporównanie rzeczywistsze dla mnie były od samej rzeczywistości:—i tak dalece mieszały mi się sny z przedmiotami na jawie, że rozróżnić nie mogłem jednych od drugich i w danym momencie nie wiedziałem, co było we śnie, co było na jawie, gdzie byłem i czy jeszcze żyję w domu, czy też na zawsze go opuściłem.“¹⁾

W Châlons nasi podróżni musieli przez kilka dni czekać, aż przyjdzie z Paryża pozwolenie na dalszą ich podróż do stolicy. Właściwie pozwolenie takie, jak się zdaje, potrzebne było tylko dla Domejki, ale Mickiewicz nie chciał rozłączać się z towarzyszem, więc i on czekał. Tu spotkali się z inną stroną emigracyjnego życia, z przejeżdżającymi przez Châlons powstańcami, którzy dążyli do tak zwanych zakładów emigracyjnych, aby werbować emigrantów polskich, jedni do służby belgijskiej, inni do rewolucyjnych szeregów niemieckich, w nadziei, że niebawem wybuchnie w Niemczech rewolucya. Tutaj spotkali się także z cholera i nagła śmierć pewnego „wesołego, młodego i pięknego wiarusa“ tak przeraziła i zasmuciła Mickiewicza, który miał kiedyś umrzeć podobną śmiercią, że odebrała mu sen i apetyt i że Domejko zaczął lękać się o jego zdrowie. Dla otrząśnięcia się z przykrych wrażeń podróżni zwiedzali okolice Châlons, między innymi sławne wspomnieniem pogromu Attyli pola katalaunskie, a kiedy wróciwszy do Châlons przekonali się, że nieprędko doczekają się wyraźnego zezwolenia od ministra na dalszą podróż do Paryża, postanowili za radą pewnego urzędnika francuskiego

¹⁾ Tamże, str. 68.

ruszyć niezwłocznie pocztą rządową do stolicy, licząc na to, że jadących w ten sposób nigdzie o paszporty nie zapytają.

Nareszcie 1 sierpnia bardzo rano znaleźli się w mieście, do którego Domejko, jak sam powiada, rwał się od czasów uniwersyteckich. Mickiewicz bawił tu już w ubiegłym roku czas jakiś, nie było więc ono taką nowością dla niego, jak dla Domejki; jednakże w pierwszych dniach towarzyszył Domejce w zwiedzaniu rozmaitych osobliwości Paryża; potem zostawił przyjaciela jego własnej ciekawości, ten zaś chętnie rzucił się do jej zaspokajania. Wszystko go interesowało, wszystkiemu się chciał przypatrzeć, wszystko poznać: wykłady w Sorbonie i Collège de France, obrzędy kościelne i nowatorstwa religijne, obrady parlamentu, pochody królewskie, bale republikańskie i ruchliwe życie uliczne, a wszystko, co go szczególnie uderzyło i zajęło wnosił do swoich notatek, na których podstawie w starości skreślił swoje wspomnienia z owych czasów.

Już nie ciekawość, ale potrzeba serca wiodła go do poznania życia paryskiego emigracji polskiej, w którym sam miał brać udział. Były to właśnie początki jej organizowania się. Emigracja rozrzucona na prowincyi w t. zw. zakładach, wybierała dla każdego zakładu osobny komitet; ale chodziło o powiązanie całej emigracji polskiej, która przybyła do Francyi, jednym węzłem i w tym celu obrano w Paryżu ogólny komitet centralny. Ten komitet porozumiewał się z prowincjonalnymi i na publicznych posiedzeniach zdawał sprawę ze swoich czynności. Posiedzenia odbywały się w pewnej sali, przeznaczonej dla podobnych zgromadzeń, przy małej uliczce Taranne i bywały bardzo burzliwe. Schodzili się tu ludzie bardzo różnych przekonań, usposobień, poglądów, dręczeni niepokojem o przyszłość, rozdrażnieni niepowodzeniem i szukający tylko, na kogoby zwalić winę złęgo.

Ani Mickiewiczowi, ani Domejce te spory i miotania się nie mogły przypaść do smaku; ale jakże nie chodzić na zgromadzenia, na których mogli się coś dowiedzieć o nadziejach, troskach emigracji, o stanie jej umysłów? Więc chodzili obaj, a raz zdarzyło się nawet, że Domejkę obrano przewodniczącym; pamiętał on też dobrze, jak trudno mu było utrzymać porządek.

Ze zgromadzeń przy ulicy Taranne i innych podobnych w hotelu Vauban (przy ul. Saint-Honoré) spory i namiętna polemika krzykaczy przenosiła się do pism i broszur emigracyjnych, nawet do francuskich wydawnictw. Rzucono się i na Mickiewicza, co on obojętnie przyjmował. We współczesnym liście do Garczyńskiego, (5 marca 1833 r.), który niecierpliwie oczekiwał ukazania

się swojego *Wacława* i głosów krytyki o nim, pisał mu: „O sądy publiczności nie troszcz się; jakżeby ci chciał udzielić połowę mojej obojętności! Na mnie gotują się tu krytyki straszne w pismach francuskich i niemieckich; słyhać, że Gurowski etc. chcą mię zdyskredytować, mają dowodzić, że jestem głupi, przewidując, że Polacy uwierzą, kiedy wyczytają taki sąd w pismach zagranicznych, a zagraniczni sprawdzić nie będą mogli. Cała ta historia moich przyjaciół gniewa, mnie śmieszy.“¹⁾

W liczbie tych przyjaciół był naturalnie Domejko; ale jeszcze więcej, niż on, brał do serca szarpanie sławy Mickiewicza daleki i złożony chorobą Garczyński, który żałował, że go w Paryżu niema, boby „potrafił podobno za życia im jeszcze usta zamurować,“ dając do zrozumienia, że wyzwiałby na pojedynek tych, co się ośmielali ubliżać autorowi *Dziadów*.²⁾

Ale jeżeli Mickiewicz był obojętny na krzyki, jakie się na niego podnosiły, jeżeli powtórnie upewniał Garczyńskiego: „co mnie się tyczy, mojej sławy lub moich pism, śmieję się, a przynajmniej jestem spokojny zupełnie,“ to jednak martwiła go ta „gra w liczmany i puste orzechy,“ w jaką bawiła się emigracya. „Nasi po większej części zapominają o polskiej sprawie i kłóca się tylko o retorykę polityki, o formy przyszłe, o szkielet jakiegoś narodu przyszłego, nie myśląc, czy się urodzi to dziecko, którego kości mają rozbierać.“³⁾ A jeszcze silniej wyraziła się ta niechęć Mickiewicza do sporów i swarów emigracyi w prologu *Pana Tadeusza*:

O czem tu dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów?...

Z luźnej organizacyi ogółu emigracyjnego, który łączył w sobie ludzi rozmaitych przekonań i usposobień, zaczęły bardzo prędko wydzielać się dwa stronnictwa, oparte na pewnych zasadach. Jednem z nich było Towarzystwo demokratyczne, które wiązało się z najskrajniejszymi pod względem przekonań żywiołami Zachodniej Europy i ulegało wpływowi ich zasad; drugie stanowili ludzie, którzy się grupowali około Czartoryskiego, utrzymywali

¹⁾ „Kor.“ I 109 — 110.

²⁾ „Kor.“ III 177.

³⁾ „Kor.“ I 110.

stosunki z dworami i ich gabinetami, licząc na pomoc dyplomacyi w sprawie polskiej. Z tego grona wyszły Towarzystwa: Historyczno-literackie i Pomocy naukowej, a także Tow. Dobroczynności dam polskich, które niosło pomoc rodzinom ubogich emigrantów.

Domejko miał i w jednym i w drugim stronnictwie znajomych i przyjaciół, ale konserwatyzm jego przekonań pociągał go więcej ku drugiemu. Jego dobra wola prędko była zużytkowaną przez księżną Czartoryską, która stała na czele Towarzystwa Dobroczynności, mając za sekretarkę Hofmanową z Tańskich: wezwany był do pomocy, jako pośrednik w rozdawaniu miesięcznych wsparć dla dzieci biednych emigrantów. „Stąd też poszło powiada on w pamiętniku, że nazywano mnie w Towarzystwie Przyjacielem Dzieci. Staratem się w istocie ułatwiać tym cnotliwym damom stosunki z najuboższą częścią emigracyi, uwiadamiając je o niejednej prawdziwie biednej, bez sposobu życia rodzinie. Wiele też było nieszczęśliwych w naszej emigracyi, obarczonych dziećmi matek, w ostatniej potrzebie znajdujących się, któreby bez mego pośrednictwa nie przyjęły wsparcia prosto z rąk księżnej.“ I dodaje: „Mogę zapewnić, że nigdy to Towarzystwo nie odmówiło pomocy demokratom i przeciwnikom księcia, ilekroć istotnie jej potrzebowali.“¹⁾ I w Towarzystwie pomocy naukowej odgrywał Domejko rolę podobną, pośredniczył w rozdawaniu i rozsyłaniu posiłków uczącym się po zakładach emigrantom.²⁾

Kiedy w obozie demokratycznym krzykacze w rodzaju Czyńskiego i Krempowieckiego na uroczystych obchodach powstania, wobec cudzoziemców, lżyli wszystko, co było w Polsce, „dla miłości niby chłopów“, a na ich „zuchwałe szkalowania poklaskiwali nasi, jakby na piekielnej uczcie“, tak że „krew ścinała się“ w Domejce i „zimny pot występował mu na lica“ — inni z tego obozu, szczerzy i szlachetni zapaleńcy, gotowi nieść życie w ofierze, a wierzący w cudowną siłę demokratycznych hasel, roili o natychmiastowem wywołaniu nowego powstania w Polsce i ciągnęli z sobą Domejkę, znając jego gorący patryotyzm. Ale Domejko obok szczerego patryotyzmu posiadał zdrowy rozsądek, który odrazu ocenił całe szaleństwo i szkodliwość wyprawy Zaliwskie-

¹⁾ Pamiętniki Ign. Domejki, str. 117 — 118.

²⁾ Mówiąc o tem w swoim pamiętniku, Domejko robi także uwagę, że nigdy nie dostrzegł w księciu „najmniejszej niechęci w dopomaganiu swym największym nieprzyjaciółom i przeciwnikom.“ Tamże, str. 106 — 107.

go. Nie przyłączył się więc do niej, starał się przekonać jej uczestników, że źle robią, ale to mu się nie udało. Następnie zaś, kiedy wyprawa fatalny przybrała obrót, zajmował się zbieraniem składki dla żony i dzieci Zaliwskiego, co mu dało sposobność zbliżenia się do sędziwego przyjaciela i obrońcy Polaków we Francji, Lafayette'a.

II.

Że Mickiewicz w pierwszych dwóch latach po przybyciu do Paryża mniej brał udziału, niż Domejko, w ruchliwym życiu emigracyjnym, przyczyna tego tkwiła nietylko w głębokim wstąpieniu jego do „potępieńczych swarów,“ ale i w tem także, że czuł w piersiach potężną, szeroką falę natchnienia, która szukała dla siebie ujścia w samotności, w dali od emigracyjnej wrzawy. W istocie trudno zrozumieć, jak mógł poeta w tych czasach gorączkowych, wśród tylu przedmiotów i okoliczności, rozrywających jego uwagę, skupić się do wydania z siebie wielkiego arcydzieła, tchnącego majestatycznym spokojem eposu i to daje miarę wewnętrznej potrzeby tworzenia, jaką czuł wtedy, a która wszystkie przeszkody pokonać umiała.

Jaką rolę odegrał Domejko w historii *Pana Tadeusza*? Historia ta, pomimo poważnych prac Romana Pilata o autografach tego poematu, jest dotychczas w wielu punktach niejasna, albo zupełnie ciemna. Na pytanie, kiedy i gdzie się urodził pierwszy pomysł *Pana Tadeusza*, nie mamy wyraźnej odpowiedzi. Byłoz prawdą, co twierdził Józef Grabowski w przypisku do listu Mickiewicza z 26 kwietnia 1832 r.¹⁾, że już w Dreźnie pisał Mickiewicz *Pana Tadeusza*, a jeszcze przedtem w Łukowie, w Poznańskiem, „powziął myśl i początek“ jego? Wprawdzie Bohdan Zaleski w swoim liście do syna Adama (Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania *Pana Tadeusza*)²⁾, zdaje się, że potwierdzał to świadectwo, pisząc: „Jak to już wiesz, mój Władysławie, *skądinąd*, ojciec twój wydumał *Pana Tadeusza* na wsi, w Poznańskiem; tam obmyślił pierwszy plan poematu i zaczął go od opisu dworu szlacheckiego w Polsce.“ Ale potwierdzenie to, rozważyw-

1) Zob. „Kor.“ T. I, 98.

2) „Kor.“ T. II.

szy je bliżej, wygląda na kombinację Zaleskiego, opartą na świadectwie Grabowskiego. Naturalnie, jeżeli Mickiewicz jeszcze w Łukowie zaczął pisać *Pana Tadeusza*, to nie mógł zaczynać od inwokacji do Najśw. Panny, aby dusze wychodźców przносиła na ojczyzny łono, a mógł zacząć tylko od tego, co po inwokacji następowało.¹⁾ Sam Zaleski wskazuje poniekąd kombinacyjny charakter podanej przez się wiadomości słówkiem *skądinąd*. Co się tyczy Grabowskiego, przypisek jego brzmi tak ogólnikowo, że mało budzi zaufania ku sobie. Miałżeby Mickiewicz zwierzać się przed Grabowskim z tego, co zatajał przed najbliższymi przyjaciółmi, Odyńcem i Garczyńskim, którzy, jak to widać z korespondencji poety, nic jeszcze podczas pobytu Mickiewicza w Dreźnie o *Panu Tadeuszu* nie wiedzieli? Rzecz to trudna do przypuszczenia i łatwiej zgodzić się na to, że i Grabowski wykombinował sobie z pewnych słów listu Mickiewicza tę wiadomość o łukowskim początku *Pana Tadeusza*, w którą tem chętniej uwierzył, że mu schlebiała.²⁾

Nie wiemy tedy nic pewnego o tem, kiedy się w głowie Mickiewicza urodził pierwszy pomysł jego szlacheckiej sielanki, która się potem w epopeję zamieniła. Mogło to być i w Poznańskim, mogło być i przedtem jeszcze, w Rzymie, pod wpływem opowiadań Rzewuskiego, a może dopiero w drodze do Strasburga, kiedy spotkanie emigrantów niemieckich przypomniało mu obrazy z *Hermana i Dorotei*. Ale kiedykolwiek się urodził ten pomysł, do wykonania jego przystąpił poeta dopiero po przyjeździe do Paryża w r. 1832. Na początku grudnia tego roku, jak to wiemy z listu jego do Odyńca, było już tysiąc wierszy *ukropionych*.³⁾

¹⁾ W pierwotnym tekście było wprawdzie: „Ty *mnie* powrócisz cudem na Ojczyzny łono“ (a nie *nas*), ale Zaleski mógł tylko tekst drukowany wciągać do kombinacji.

²⁾ Mianowicie mogły mu podsuwać tę myśl następujące słowa listu Mickiewicza z 26 kwietnia 1832 r.: „Chcę więc teraz zakopać się w przeszłości, nim jakie przyszłości nadzieje błysną“ („Korr.“ I, 95). Że te słowa jednak nie odnoszą się do *Pana Tadeusza*, świadczy o tem inny ustęp tegoż listu: „Jeszcze nie wszystko, com zaczął, pokończone, a póki nie skończę, to nie ruszę z Drezna.“ A w parę miesięcy potem (19 czerwca 1832 r.), przed samym wyjazdem z Drezna, pisał do brata Franciszka: „Nic teraz nie robię, bo prawie wszystko, com zamierzył, pokończyłem, żyję zatem oddany lenistwu...“ Z tego widać, że przeszłość, w której się chciał zakopać, to przeszłość III cz. *Dziadów*, a nie *Pana Tadeusza*.

³⁾ „Korr.“ I, 105.

Rozpoczynając poemat, Mickiewicz miał zamiar nazwać go nie *Panem Tadeuszem*, ale *Żegotą*. To imię stoi na czele pierwszej kartki brulionu, która się dochowała dzięki temu, że Domejko „odkradł“ ją, jak powiada, Mickiewiczowi, gdy została przepisana. Sam też Domejko w pewnej notatce świadczy o tym pierwotnym zamiarze poety.¹⁾ Znając stosunek, jaki wiązał Mickiewicza z Domejką, którego w koleżeńskim gronie nazywano zwykle tą formą imienia Ignacy, nie można wątpić, że w tym tytule chciał poeta złożyć hołd swemu przyjacielowi i dawnemu koledze, z którym go tyle wspomnień łączyło i dlatego to zapewne Domejko tak cenił te pierwsze karty brulionu, że nie chciał się z nimi rozstać aż do śmierci.

Któż miał być Żegotą w poemacie i nadawać tytuł utworowi? Prof. Pilat we wspomnianej rozprawie dowiódł, na podstawie autografów, że nie Tadeusza chciał tak nazwać zrazu poeta, i podał bardzo prawdopodobny domysł, że to ojciec jego, Jacek Sopllica, miał nosić imię Żegoty i zgodnie ze znaczeniem swoim w powieści nadawać jej tytuł. Z tego wynika, że oprócz imienia nic nie brał Mickiewicz od przyjaciela dla swego bohatera, ponieważ jakichkolwiek rysów im wspólnych niepodobna dopatrzeć. Jeżeli chodzi o wewnętrzną charakterystykę, to w Jacka Sopllicę Mickiewicz włożył własny temperament i po części historję własnych uczuć. Ale jeżeli dla bohatera, któremu nadał imię Żegoty, nie prócz imienia nie wziął od przyjaciela, to pozatem, dla całego poematu, czerpał bardzo wiele od niego. Ze ściślejszego grona przyjaciół, które go wówczas otaczało, a do którego, oprócz Domejki, należeli: Stefan Zan, Zaleski Bohdan, Witwicki i niektórzy inni, nikt lepiej od Domejki nie znał i nie pamiętał szczegółów tego życia szlachecko-litewskiego, które miało być uplastycznione w *Panu Tadeuszu*, nikt nie mógł więcej od niego podać materiału do spraw myśliwskich, które w tym poemacie tak szerokim tłem się rozpostarły. Wiemy od Odyńca, jakie to w sąsiedztwie Zapola odbywały się polowania, jak wesoło czas spędzano w dzień na łowach, wieczorem wśród gwarów i swarów myśliwskich przy kominkach i stołach nakrytych. „Kłótnie bowiem Asesora z Rejentem o Kusego i Sokoła w *Panu Tadeuszu*—powiada Odyniec—ponawiały się co chwila, z powodu tego lub owego ogara czy charta, a mianowicie każdego szaraka czy lisa, który uszedł od

¹⁾ Porówn.: „Autografy pierwszych trzech ksiąg *Pana Tadeusza*“ przez Romana Pilata. „Pamiętnik Tow. im. Ad. Mickiewicza,“ Rocznik V, str. 82.

chartów i strzałów myśliwskich. Pojednawczą powagą, nakształt pana Wojskiego, bywał zwykle w takich razach Żegota.“¹⁾ I gdy po ukończeniu *Pana Tadeusza* chodziło o przemianowanie pewnych osób lub miejscowości w tym poemacie, „najpożyteczniej mu w tej rzeczy — świadczy Bohdan Zaleski — służył Domejko, który, jako Litwin i spółpowietnik *Pana Tadeusza*, doskonale znał ojczyście strony.“²⁾

Wreszcie i na to trzeba zwrócić uwagę, że w początkach pisania tego poematu Mickiewicz mieszkał przez jakiś czas razem z Domejką. Wprawdzie do tworzenia potrzebna mu była samotność i kiedy chwilowe wypadki, jak pisał do przyjaciół, „rozbiły mu duszę na części,“ musiał ją potem „w samotności sztukować i kleić.“ Ale towarzystwo dawnego kolegi, z którym tyle węzłów łączyło Mickiewicza, nie psuło mu samotności i owszem pomagało do nastrojenia się na ton odpowiedni. „Mieszka tu ze mną Żegota—pisał w kwietniu 1833 r. do Odyńca—i on mię ożywia rozmowami.“ Pisał to w tym samym liście, w którym przypominał, jak to w Dreźnie z oczu towarzyszy nabierał ognia i ochoty.³⁾ Jakby przez wdzięczność za to ożywianie i jakby dla charakterystyki materiału, który poeta czerpał od przyjaciela, wprowadzoną została do poematu anegdota o Domejce i Dowejce, uwieczniająca nazwisko tego, którego imię w pierwszym zapędie miało stać na czele powieści szlacheckiej. Uwieczniała ona także i nazwę rodzinnej wioski Domejki, Niedźwiadki (ze zmianą na Niedźwiadek) i była jakby obmyślaną dla objaśnienia, skąd poszła ta nazwa.

*

*

*

Mickiewicz przyjeżdżał do Paryża z duszą przejętą gorącym uczuciem religijnym, przekonany, że jedyną busolą dla uczuć narodowych winna być religia. Jak religijnie, choć w inny sposób,

1) „Wspomnienia z przeszłości,“ str. 306—307.

2) „Kor.,“ II, str. XX. Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania *Pana Tadeusza*—list do syna Adama przez I. B. Zaleskiego.

3) „Kor.,“ I, 113.

niż u Mickiewicza, nastrojoną była dusza Domejki, widzieliśmy to w poprzednich rozdziałach.¹⁾ Ale emigracya paryska, do której przybywali, zajęta wyłącznie polityką i teoryjami społecznymi, dla spraw religijnych była najzupełniej obojętną. „Z tylu dobrych i prawych Polaków, którzy składali naszą emigracyę — pisze Domejko w swoim pamiętniku — mogę powiedzieć, że za przyjściem do Francyi nie znałem jednego, któryby się odznaczał pobożnością i dawał z siebie przykład drugim.“ Formy religijne szanowano, ale służyły one tylko do objawiania uczuć patryotycznych. Nawet nieliczni księża, którzy wzięli udział w emigracyi, a którzy zaraz przy parafialnych kościołach francuskich znaleźli służbę, nie byli ożywieni gorącym duchem religijnym (byli „zimniejszego charakteru,“ jak się wyraża Domejko) i na ogół emigracyi pod względem religijnym żadnego wpływu wywierać nie mogli.

Mickiewicz zapewne zaraz po przybyciu do Paryża spostrzegł różnicę, jaka zachodziła między jego nastrojem a nastrojem ogółu emigracyi i stąd uczuł potrzebę co rychlejszego wypowiedzenia tych myśli, które miały nadać nowy kierunek emigracyi i całemu narodowi, a z których jeszcze w marcu 1832 r. zwierzał się przed Lelewelem w liście: „Może nasz naród jest powołany opowiadać ludom Ewangelię narodowości, moralności i religii.“²⁾ Zachęte do tem prędszego wykonania tego zamiaru i to bardzo silną, mógł znaleźć w adresie, który mu wkrótce po przyjeździe do Paryża przysłali rodacy z Besançon, w tamtejszym zakładzie wojskowym zgromadzeni. Było tam bardzo wielu byłych uczniów Uniwersytetu wileńskiego, dla których poezya Mickiewicza, jako ciągnąca soki z tradycyj litewskich i z Wilna rodem, miała większy urok, niż dla innej braci emigracyjnej. Otóż, dowiedziawszy się, że Mickiewicz pojechał do Paryża, aby połączyć się z wychodźstwem, czyli, mówiąc słowami jego czcicieli, „aby nawiedzić smutnych braci swoich pod obcem niebem“ i „ozłocić gwiazdą nadziei tęskniące za ojczyzną, za rodziną serca,“ postanowili oni wyrazić mu cześć i wdzięczność za pomocą pamiątkowego daru i dodanego doń adresu. Dar „ubogi, lecz dumny wewnętrzną ozdobą,“ składał się z pierścienia, ulanego z monety niezwyklej, jednej z tych, które powstały ze stopienia ofiarnych pierścieni, złożonych na ołtarzu ojczyzny—adres uwydatniał stosunek bohaterskiej poezyi Mickiewicza do tylko co przebrzmiałego powstania. „Wal-

¹⁾ „Mickiewicz i Domejko do czasów drezdeńskich.“ Bibl. Warsz., 1906.

²⁾ „Kor.“ I, 94.

cząc za swobodę, za prawa nasze, *kilkaśmy chwil przeżyli górniej, świetniej jeszcze jak niegdyś ojcowie nasi; Tyś je nam głosem nieba umiał przepowiedzieć*, może, da Bóg, niedługo hymnem za szczęście ludów w niebo uderzysz, w nowe się ustroisz wieńce, nową zabrzmisz sławą!¹⁾

Tak więc przypominali mu jego młodzi wielbiciele poematu *Wallenroda* w szczególności *Pieśń Wajdeloty*, jako utwór poetycki, który zapalił ich do górnego porywu i który jakoby miał być zapowiedzią zbrojnego powstania. Mówiłem już dawniej²⁾, że w tym względzie zachodziło wielkie nieporozumienie między poetą a narodem. Wajdelota litewski, mówiąc o jednej chwili górnie przeżytej, miał na myśli wewnętrzne podniesienie ducha, jakie poezya bohatera wywołuje, a jeżeli wieszczył przy końcu poematu, że z jego pieśni „wstanie mściciel naszych kości,” to miało się to stać nie zaraz, ale w dalekiej perspektywie, „kiedyś w przyszłości.” Tymczasem naród, to jest młodzież narodowo usposobiona, wzięła to za wezwanie do natychmiastowego czynu.

Jeżeli już przedtem mógł poczuwać się Mickiewicz do pewnej odpowiedzialności za wybuch powstania listopadowego, to w adresie, który otrzymał w kilka czy kilkanaście dni po przyjeździe do Paryża,³⁾ odpowiedzialność owa zarysowała się przed nim najwyraźniej. Adres uznawał go za kierownika uczuć narodowych i w błogim optymizmie wróżył, iż poeta niebawem „uderzy w niebo hymnem dziękczynnym za szczęście ludów.” Prawda, że pod względem optymizmu Mickiewicz zbliżył się bardzo do tych, którzy mu adres posyłał; gorąca atmosfera drezdeńska, to wszystko, co słyszał tam o bohaterskich epizodach powstania, natchnęło go duchem ufności w zasoby sił narodowych, w potęgę zapału narodowego. Ale tembardziej uczuwał potrzebę nadać uczuciom patryotycznym emigracyi ten kierunek, który uważał za jedynie zbawczy dla Polski, a którego braku w niej dostrzegał—kierunek religijny, a zakreślając emigracyi apostolskie stanowisko wśród ludów Europy, wytknąć jej wiele przywar, nie licujących z tem stanowiskiem.

Nie tu miejsce na roztrząsanie, ile było złudzeń w poglądach Mickiewicza na znaczenie narodu polskiego w dziejach Europy, a emigracyi w chwili współczesnej; tu wystarczy powiedzieć, że

1) „Kor.,” III, 154.

2) „Mickiewicz i Domejko do czasów drezdeńskich.”

3) Adres nosi datę 8 sierpnia 1832 r.

głównem zadaniem *Ksiąg pielgrzymstwa* było ostrzedz emigrację polską przed niewolniczym hołdowaniem olśniewającej kulturze Zachodu, której materialistyczny charakter tak raził poetę i wezwać ją, aby wobec tej kultury, czysto rozumowej, nie wstydziła się kultury serca, chrześcijańskiej, wyniesionej z pod strzechy rodzinnej, ale i owszem rozwijała ją, przeciwstawiała tamtej i wraz z poetą wyższość jej uznała. „Ludzie uczeni—pisał tam—rozdawali zamiast chleba truciznę i głos ich stawał się jak szum młynów pustych, w których nie było już zboża wiary, a więc młyny szumia, a nikt się z nich nie nakarmi,“ i zwracając się do współbraci, wygnańców, zapytywał: „a w bitwach waszych i więzieniach, i ubóstwach, aza nie więcej was nakarmił pacierz, aniżeli nauka Voltaire’a i Hegla, które są jako trucizna i nauka Guizota i Cousina, którzy są jako młyny puste?“ I zalecał im, aby pamiętali, że „cywilizacja prawdziwie godna człowieka musi być chrześcijańska“ i stąd wyprowadzał wniosek: „nie wy macie uczyć się cywilizacji od cudzoziemców, ale macie uczyć ich prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej.“

Księgi pielgrzymstwa wywołały wielkie wrażenie, nie tylko zapewne nowością poglądów na zadanie emigracji i na jej stosunek do cywilizacji Zachodu, ale także, i może najwięcej, swoją aktualnością, tem, że dotyczyły wielu wewnętrznych spraw i sporów emigracyjnych. Mickiewicza najwięcej obchodził ich wpływ na rozbudzenie religijności wśród współwygnańców i cieszył się on, znajdując bardzo prędko ślady tego wpływu: „Pokolenie młode bardzo dojrzało—pisał do Garczyńskiego w kwietniu 1833 r.—do zadziwienia, wiesz, że rozprawiają o teologii.“ A nieco niżej dołączał wyznanie, które było komentarzem do poprzedniej wiadomości: „Nie lubię Paryża; ale mój tu pobyt może i nie był bez jakiegoś pożytku.“ Do młodzieży, w której sercach najgłośniej odbiło się echo *Ksiąg pielgrzymstwa*, należeli Kajsiewicz i Rettel; ci wzywali poetę, aby objął przewodnictwo nad ich duszami, a w tem wezwaniu znalazł Mickiewicz, według własnych słów jego, „wielką pociechę i nagrodę, i zachęcenie.“ Jego zaś list, z którego te słowa wyjęte, pisany pod koniec 1833 r.¹⁾, jest jakby uzupełnieniem *Ksiąg pielgrzymstwa*. „Lękam się—pisał tam—abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepożyteczną siewą światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od zwycięstwa zależy cała siła zewnętrzna. Kraj i człowiek wewnątrz bezwładny

¹⁾ „Kor.“ I, 137.

upada. Ludzie wewnętrzni, często jak sternik wśród burzy, rzucają się do rudla; patrzą w niebo, ruszają się mało, ledwie ręką czasem skiną, a los łódki jest w ręku ich. Drudzy, biegają po pokładzie, krzyczą i mieszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednej fali nie odwróci, jednego wiatru nie opanuje.“

Ten ostatni przykład ludzi, biegających po pokładzie i krzyczących, znajdował bliską analogię w ówczesnych ruchach politycznych emigracyi, rola zaś sternika wśród burzy, mało ruszającego się a patrzącego w niebo, przypadła w udziale Mickiewiczowi. Taki mniej więcej charakter miała jego *Odezwa do rodaków w Galicyi* (z datą 29 listopada 1833 r.), ostrzegająca przed niebezpieczeństwem przedwczesnych ruchów, a zarazem pokrzepiająca nadzieją niedalekiej lepszej przyszłości, w tym samym duchu przewagi życia wewnętrznego nad zewnętrznym, założone było wkrótce przez niego *Towarzystwo Braci Zjednoczonych*, którego celem było odrodzenie narodu przez głębokie przejęcie się nauką Chrystusa. „Modlić się codziennie za siebie, ojczyznę i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół; przykazania Pańskie słowy i uczynki wypełniać; przykładem swym rodaków do tego zachęcać i na drodze tej spólną siłą utrzymywać się; jak najmocniej przedsięwierzemy i postanawiamy.“ Był to program zarówno etyczny, jak polityczny, zupełnie odpowiadający tej myśli, wyrażonej w *Księgach pielgrzymstwa*: „O ile powiększycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.“

Domejko należał do tego szczupłego grona emigracyi, które kupiło się koło Mickiewicza i zupełnie podzielało jego zasady; zapisał się do Towarzystwa Braci Zjednoczonych i był podpisany na Odezwie do rodaków. Ale wśród tego religijnie nastrojonego grona był wyjątkową postacią. Jego czynna i praktyczna natura nie mogła poprzestawać na życiu wewnętrznym. Nie był poetą, jak uczestnicy tego grona, Mickiewicz, Zaleski, Witwicki, a choćby nawet Gorecki, więc jego energia duchowa nie znajdowała dla siebie ujścia w poezyi; nie miał też skłonności do życia kontemplacyjnego, jaką miał np. inny uczestnik, Bogdan Jański. Dlatego ochłonawszy, jak powiada, z „rewolucyjnej zawieruchy“ i z emigracyjnej politykomanii, oddał się całkowicie naukom, do których od młodości miał pociąg, mianowicie naukom przyrodniczym.

Z początku było to chwytnie nauki na wszystkie strony bez ład i systemu. Chodził na wszystkie cokolwiek głośniejsze kursa przyrodnicze do Sorbony, do Collège de France, do Ogrodu Botanicznego i do Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł. Horyzont jego wiedzy, rzecz naturalna, bardzo się rozszerzał, ale rozpro-

szzone te studia ani gruntowniejszego wykształcenia, ani przygotowania do jakiegoś fachu dać nie mogły. Szczęściem w osobie pana de Beaumont, profesora geologii, znalazł się doradca, który widząc w Domejce szczególne zamiłowanie w geologii, skierował go do szkoły górniczej i wyjednał mu wstęp do niej. W ten sposób, po trzech latach nauki, Domejko został ukończonym górnikiem.

Ale studia przyrodnicze, którym przez kilka lat oddawał się z wielkim zapałem, nie ostudzały w nim wcale ducha religijnego, który go wiązał z gronem Braci Zjednoczonych. Bardzo wymownem świadectwem w tym względzie jest pewien ustęp z jego Pamiętników. Wskazuje on, jak Domejko, studyując naturę, pomimo zupełnej obojętności religijnej swoich profesorów paryskich, wszędzie przeczuwał i szukał w niej Boga i jak starał się swoje pojęcia i uczucia religijne zestroić, skojarzyć z nowymi pojęciami, które mu przynosiła wiedza przyrodnicza. „Wyznać muszę — powiada on tam — że w całym tym niezliczonym szeregu kursów, o których wspominałem... nie usłyszałem wymówionego choćby przypadkiem, choćby od niechcenia słowa Bóg, Stwórca, choć we wszystkich tych kursach, wykładanych przez najslawniejszych uczonych tego wieku, cóż było przedmiotem nauki, przedmiotem badań? To, co było i jest dziełem nieśmiertelnego Boga i spraw Jego.“¹⁾

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Domejko czynił ważny dla swej przyszłości krok, który go miał zaprowadzić na całe półwieku na drugą półkulę, t. j. kiedy wstępował do szkoły górniczej — Mickiewicz również przedsiębrał ważną, stanowczą zmianę w swoim życiu. Po napisaniu *Pana Tadeusza*, po wyprowadzeniu z siebie całego świata poetyckiego, który żył i kształtował się w jego wyobraźni przez dwa lata, uczuł czezość i pustkę w duszy i ażeby ją zapełnić, aby się uwolnić od smutków, które go gnioły, postanowił ożenić się. Małżeństwo z dawną znajomą, Celiną Szymanowską, która na wezwanie poety przybyła z Petersburga, tak było w tajemnicy przygotowane, że nawet przyjaciele poety nic o niem nie wiedzieli. Do nielicznych wtajemniczonych w tę sprawę należał Domejko, on też był drużbą jego przy ślubie. Był to jeszcze jeden objaw tej serdecznej przyjaźni, jaka łączyła tych dwóch ludzi od czasów młodości.

¹⁾ „Pamiętniki Ign. Domejki“ (1831—1838), Kraków, 1908, str. 156.

Od tej chwili dla Mickiewicza nastaly ciężkie czasy zabiegów o utrzymanie rodziny. Dopóki był sam, bardzo niewiele potrzebował i nie troszczył się o jutro; teraz było inaczej. Dochody z poezji polskiej były niestale, niepewne i niedostateczne, ale gdyby tak zyskać sobie wziętość u publiczności francuskiej, podstawa materyalna byłaby zapewniona. Mickiewicz spróbował tę myśl wcielić w życie i tak powstał dramat *Les Confédérés du Bar*, w części tylko dochowany. „Masz tedy wiedzieć—pisał do Odyńca w sierpniu 1837—żem napisał dramę, czyli po twojemu dramat. Jeżeliby jego reprezentacya dobrze poszła, byłoby to wielką finansową aferą... Wszystko to robię poprostu dla chleba; jeśliby się udało, mógłbym na długi czas spokojnie po ojczyznej literaturze wędrować.“¹⁾ Dramat był o tyle pisany dla chleba, że po francusku, że dla Francuzów był przeznaczony, ale niestety, nie odpowiedział wymaganiom publiczności paryskiej i przez dyrekcję teatru Porte-Saint-Martin nie został przyjęty. Nie wiodło się poecie także i z drugą pracą wówczas podjętą, z „Historją Polski,“ i w chwili, kiedy Domejko, po ukończeniu szkoły górniczej, był zajęty wyszukiwaniem rudy żelaznej w dobrach pewnych bogatych Alzatzczyków, Mickiewicz pisał do niego: „Nad historją ciągle ślęczę i trafiam coraz na nowe trudności, w których mi ciężiej dokopać prawdy, niż tobie żelaza,“²⁾ a w kilka miesięcy potem przyznawał się Kajsiewiczowi, że jego historia idzie twardo i leniwo, „bo się wdałem podobno nie w swoje.“³⁾

W tych czasach, trudnych dla Mickiewicza, przed Domejką otwarła się nagle, niespodziewanie świetna, daleka, ale dalekością swoją niepokojąca perspektywa. Jeden z byłych profesorów jego, mineralog Dufrenoy, dyrektor szkoły górniczej, proszony o to, aby polecił kogoś na posadę profesora chemii i mineralogii do Coquimbo w Chili, przypomniał sobie swego niedawnego ucznia i widocznie ceniąc jego zdolności i pracowitość, zaproponował mu tę posadę. Mickiewicz był pośrednikiem w tej sprawie, on pierwszy uwiadomił Domejkę o tem, co się gotuje dla niego i zachęcał do porozumienia się z p. Dufrenoy. Spoglądał on wówczas trzeźwo na położenie emigracyi i nie miał złudzeń politycznych, któreby go nakłaniały do powstrzymywania przyjacielea od wędrowki za ocean. Właśnie około tego czasu pisał do Odyńca, który po

¹⁾ „Kor.“ I, 162.

²⁾ Tamże, I, 164.

³⁾ Tamże, I, 167.

kilku latach siedzenia w Dreźnie miał wracać do kraju: „Nasze tu położenie nic nie rokuje na przyszłość pomyślnego, zaciąga się dokoła niebo, jak na deszcz długi i chłodny. Co gorsza, nasi niewiele dotąd skorzystali z wędrówki i z doświadczenia biedy, i sama emigracya z wewnątrz siebie jeszcze nie wypuściła światła, któreby za jutrzeńkę nadziei wziąć można było.“¹⁾

I sędziwy Niemcewicz zapatrywał się na wyjazd Domejki do Ameryki mniej więcej tak samo, jak Mickiewicz, i utrzymywał, że „wielu z naszych dobrzeby zrobiło, gdyby, korzystając z czasu, nim co pomyślnego zabłyśnie dla Polski, starało się być użytecznymi w dalekich krajach dla zjednania wszędzie miłości i przychylności dla naszej sprawy; lepiejby to było, jak prowadzić niepotrzebne spory i waśnić się wobec cudzoziemców.“²⁾ Tylko ks. Adam był nieuleczalnym optymistą i dziwił się, „że p. Domejko ma odwagę puszczać się na tak daleką i na tak długą podróż do Chili, kiedy my tu jesteśmy zajęci sprawą naszą żywotną dla Polski,“ a kiedy Domejko zapewniał księcia, że pierwsza wiadomość o pomyślnym obrocie sprawy narodowej, jaka go zaleci, znajdzie go gotowym do niezwłocznego powrotu, książę odpowiedział: „Och, mylisz się pan, pierwiej niż dobra wiadomość dojdzie do pana Domejki, znajdziemy się już na pół drogi do Polski.“³⁾

Ale i sam Domejko nie z lekkim sercem i nie odrazu zdecydował się na wyjazd do Ameryki. Wprawdzie tu, gdzie był, u pp. Köchlin w Alzacyi, wiele złego przeczuwał dla siebie, wiele kłopotu na swoją starość. „Nauka prędkoby wyleciała i prędkoby mnie wyssali, że potem ni sobie, ni ludziom.“⁴⁾ Tam zaś warunki były bardzo korzystne, posada zaszczytna, a przytem podróż taka odpowiadała marzeniom jego lat młodych o dalekich wojażach. Ale porzucać Francję, gdzie było tyłu blizkich jego sercu, gdzie w emigracyi miał jakby kawałek ojczyzny, gdzie wreszcie ciągle jeszcze tlały jakieś nadzieje polityczne—i ruszać za ocean do zupełnie obcych i nieznanych ludzi—nie było rzeczą łatwą do postanowienia. To też posyłając na ręce Mickiewicza list do p. Dufrenoy, przyjmujący jego propozycyę, tak pisał do przyjaciela: „Nie bez namysłu jednak i nie bez jakiegoś poniekąd wstrętu napisałem list, który tu załączam. Jakieś nieodgadnięte

1) „Kor.“ I, 161.

2) „Pamiętniki Ignacego Domejki“ (1831—1838), str. 108.

3) Tamże, str. 107.

4) „Kor.“ I, 231.

w sobie chcenie i niechcenie miałem, mnóstwo przeważało się w myśli mojej rzeczy, które chyba ci wygadam kiedy: bo trudno wypisać. W końcu Bogu się poleciłem, a kto wie, może kiedy przez antypody powrócę do Polski.“¹⁾)

Przy końcu stycznia 1838 r. odjeżdżał Domejko z Paryża w swoją daleką zaoceanową podróż i żegnał się ze wszystkimi przyjaciółmi i znajomymi, których miał tyłu w Paryżu. Ale zgodnie z nadziejami, które mu dodawały odwagi, z nikim nie żegnał się na zawsze, „ze wszystkimi do widzenia, do widzenia, do widzenia! Gdzie?—Bogu wiadomo.“²⁾) W dniu jego odjazdu Mickiewicz pisał do Kajsiewicza: „Jestem dziś w smutku, tracę Domejkę, starego i doznanego przyjaciela. Bóg wie, kiedy go obaczę.“³⁾)

Nie mieli się już nigdy zobaczyć. Kiedy Domejko w niepełna pół wieku potem wracał z antypodów do Francji i do Polski, Mickiewicz spoczywał już oddawna na cmentarzu w Montmorency. Ale odjazd do Ameryki nie przerwał ich stosunków, ich korespondencji, która przeciągnęła się aż do śmierci poety i odzwierciedla w sobie wzajemny stosunek tych dwóch ludzi, tyłu związanych tradycjami, tak blizkich sobie szlachetnością ducha, a tak różnych usposobieniem. Ale okres ten, który obejmuje lat kilkanaście, a w którym sprawa towianizmu główną odgrywa rolę, nie wchodzi w ramy niniejszego artykułu; będzie on przedmiotem osobnego studjum.

JÓZEF TRETIAK.

¹⁾) Tamże 232—233.

²⁾) „Pamiętniki Ign. Domejki,“ str. 183.

³⁾) „Kor.“ I, 167.

Zarys poglądów Demokracji chrześcijańskiej WE FRANCYI.

Wynik wojny francusko-niemieckiej miał decydujący wpływ na powstanie ruchu społeczno-chrześcijańskiego w drugiej połowie XIX w. Pod wpływem nieszczęść ojczyzny dwaj oficerowie de la Tour du Pin i hr. de Mun oraz ks. Maïgnen zaczęli pracę umoralnienia ludu. Widząc przyczynę wszystkiego złego w rewolucyi, mniemali, że najważniejszą sprawą jest religijno-moralne wychowanie ludu. W 1872 r. założyli w Paryżu kółko robotnicze, które rozrosło się z czasem w poważną instytucję „L'Oeuvre de Cercles.“ Oprócz religijnego działalność ich miała charakter arystokratyczno-monarchistyczny. Wszelako zetknięcie się z życiem ludowem dowiodło, że jedna ze spraw najpilniejszych,—to poprawienie losu biedaków. Du Pin i de Mun, nie tracąc z oczu głównego celu, zwrócili w tym kierunku swe wysiłki. Powoli stali się przywódcami ruchu społ.-chrześc. we Francyi i wraz z innymi, tworząc t. zw. „Union de Fribourg,“ pracowali nad rozwinięciem ekonomii chrześc. Encyklika Rerum Novarum (r. 1891), oparta głównie na materiałach, zebranych przez Union de Fribourg, uprawniała ostatecznie kierunek ekonomiczny. Wielu katolików, zwłaszcza młodych kapłanów, jęło się pracy nad ludem, by go wydostać z „niezasłużonej nędzy.“ Skupiali się wszyscy koło hr. de Mun. Jednakże wobec tego, że skutki nie odpowiadały wyłożonej pracy, przystąpiono do krytycznej oceny dotychczasowych poglądów. Za przyczynę niepowodzenia uznano to, że są one zbyt mało demokratyczne. (Por. wpływ pism Leona XIII o uznaniu republiki francuskiej). Od tej chwili datuje się powstanie demokracji chrześcijańskiej, czego pierwszym wyrazem był nagły, może zbyt gwał-

towny zwrot ku republice (ks. Dabry). Sprawa „du ralliement“ zdawała się usuwać na drugi plan pracę społeczną. Jednakowoż ks. Garnier, ks. Naudet i inni zwrócili cały ruch ku pierwotnym społecznym celom. Jednym z najgorliwszych działaczy pierwszej doby był L. Harmel, fabrykant z Val-des-Bois.

Pracę agitacyjną zaczynano zawsze od założenia „Cercle d'études“, którego członkami rzeczywistymi i prezesem mogli być tylko robotnicy. Obok tych kółek powstawały stopniowo instytucje, mające na celu podniesienie dobrobytu robotników, jak sekretaryaty, kasy. Ruch szerzył się wśród młodzieży (ks. Garnier, Jan Bonjean, Marek Sanguier) i wśród robotników. W r. 1893 zwołano pierwszy kongres robotników chrześc. do Reims. Po postanowieniu następnego kongresu również w Reims stowarzyszenia połączyły się w związki. Tak powstały np. „Union ouvrière de Metalurgie et de l'Industrie textile“ w Lille (700 członków, p. Leclercq), „Union dém.“ w Ardennes (p. Doubray-Schmidt), „Fédération des travailleurs chrétiens du Centre et de l'Ouest“ (ks. Dulong, pp. E. Desgrées du Loû i Flornoy).

Prawie każdy związek posiada swoje pismo. Z miesięczników należy wymienić popularną „Sociologie catholique“, zał. 1891 roku w Montpellier przez ks. Sahuta, obecnie pod red. Coulazon'a; poważniejszą „Chronique des Comités du Sud-Est“, w Lille, redagowaną przez Bernea; wychodzący przez kilka lat „XIX Siècle“ (p. J. de Saint-Ferréala i ks. Pastoret); wreszcie, najpoważniejszy z nich, „Démocratie chrétienne“, założony w 1894 r. przez ks. Sixa; o ile „Wiek XIX“ walczył z kapitalizmem i lichwą, o tyle „Démocratie“ oddaje się systematyzacji poglądów.¹⁾

¹⁾ Wymieniam ważniejsze prace: *Ks. Dehon*: „Catéchisme Social“, Paris, Blond. 1898, 308. *Ks. Blanc*: „Etudes Sociales“, Lyon, Vitte, 1897. *Ks. Gayrand*: „Democrates chrétiens. Doctrine et programme.“ Paris, Lecoffre, 1899; „La République et la paix religieuse“, Paris, Perrin, 1900. *Ks. Naudet*: „Christianisme social: Propriété, capital et travail“, Paris, Blond, 1898; „La démocratie et les démocrates chrétiens“, Paris, Briguët, 1900. *V. Maumus*: „Les catholiques et la liberté politique“, Paris, Lecoffre, 1898. *Fonsecrive*: „Catholicisme et Démocratie“, Paris, Lecoffre, 1899; „La crise sociale“, 1901. *Lorin H.*: „Organisation professionnelle et le code du travail“, Paris, Blond, 1907. *L. Gregoire* (Goyau): „Le pape, les catholiques et la question sociale“, Paris, Perrin, 3 wyd.

Z prac historycznych: *A. Steinhäuser*: „Christliche Demokratie in Frankreich“, Einsiedeln, Benzinger, 1899. *Ks. Veggian*: „Il movimento sociale cristiano nella seconda metà del 19 sec.“ Vicenza, Galla, 1902.²⁾ *M. Eblé*: „Les

Na pierwszy kongres narodowy demokracji r. 1896 w Reims zebrało się 600 delegatów od 20,704 członków, połączonych w 213 stowarzyszeń. Na zjeździe następnego roku, w Lyonie, wybrano Conseil National, w skład którego weszli: Delhon, Lemire, Naudet, Garnier, księża; Leclercq, Payan, Doubray-Schmidt, Chartrain, robotnicy; Harmel, prezes, Berne, Muthon, Lorin, Desgreés du Loû, Coulazon, inteligenci.

Działalność praktyczną rozwijają demokraci w dwóch kierunkach: oświatowym i podniesienia dobrobytu, bądź to przez stowarzyszenia zawodowe i kasy, bądź przez instytucje dobroczynne (ogrody robotnicze ks. Lemire'a), bądź wreszcie przez pracę parlamentarną. Tutaj warto wspomnieć o urządzeniu fabryki Harmela w Val-des-Bois, opartem na zasadzie: „le bien de l'ouvrier par l'ouvrier et avec lui, jamais sans lui, à plus forte raison au grand jamais, malgré lui.“ Działa tam Conseil d'usine i Conseil des ouvrières, złożony z robotników i robotnic. Do jego kompetencji wraz z dyrekcją należą sprawy następujące: rozstrzyganie sporów, nieszczęśliwe wypadki, zdrowotność, terminowanie i nauka, warunki pracy, udział w dochodach, płaca i dyscyplina.

Po tych wstępnych uwagach, przedstawię ekonomiczne i polityczne poglądy demokracji.

Demokracja chrześcijańska we Francyi powstała po wydaniu encykliki Rerum Novarum w r. 1891. Garstka świeckich i księży o gorącym sercu poszła za wskazaniem Leona XIII: „Idźcie w lud.“ Oparwszy się na tych społeczno-ekonomicznych poglądach, które głosił hr. de Mun i mgr. de la Tour du Pin, chciała lud, a zwłaszcza tłumy robotnicze, podnieść materyalnie i moralnie. Praca nie szła: lud był obojętny. Za przyczynę niepowodzenia uznano zbyt silne religijne zabarwienie akcji i zbyt wielki w niej brak pierwiastków demokratycznych. Wskutek tego musiano przystąpić do krytycznego przeglądu dotychczasowych zapatrywań. Wyniki badań były pod wielu względami sprzeczne z ówczesnymi pogląda-

écoles catholiques d'Economie politique et sociale en France,“ Paris, Giard et Brière, 1905. *Turman*: „Catholicisme social depuis Rerum Novarum,“ Paris, Alcan, 1900.

Z licznych czasopism demokr. najpoważniejsze „La démocratie chrétienne“ (rok 15) pod red. ks. Sixa, w Hellemmes-Lille (Nord).

Na polskie przełożono *Naudeta*: „Główne zasady socjologii katolickiej“ i „Nasz obowiązek społeczny,“ obie u Szczepkowskiego, oraz *Goyau* „O katolicyzmie socyalnym,“ u Gebethera i Wolffa.

mi szkoły de Muna. W ogniu powstałej wtedy polemiki demokraci urabiali swą naukę. Z tego, co pisano, możemy ułożyć pewien całokształt poglądów demokracji chrześcijańskiej.

I.

Dla działaczy społecznych zasadniczem jest pytanie, jaką rolę ma odgrywać w stosunkach gospodarczych sprawiedliwość i miłosierdzie. Katolicy spierali się o to długo i gwałtownie, jeszcze gdy działalność de Muna była w pełnym rozkwicie. Jedni, pod wpływem szkoły liberalnej, uznawali zasadę wolności i współubiegania się za zupełnie poprawną ze względów ekonomicznych i zatem uznawali istniejący stan społeczeństwa za normalny. Temu zaś, co było w niem złego, co zbyt ciążyło nad klasą pracującą, należało zaradzić przy pomocy miłosierdzia i ofiarności. Inni, atakując same zasady liberalnej ekonomii, wołali: tego, co wy dajecie w imię miłosierdzia, my żądamy w imię sprawiedliwości. Sprawiedliwość ma objąć wszystkie dziedziny, pole jałmużny ma być ściśle określone.

Spółczeństwo bowiem nie na to powstało, by jedni żyli z łaski innych, by musieli zaspokojenie swoich potrzeb opierać na łaskawości cudzych serc, ale na to, by wspólnie się wspomagając, wszyscy mogli żyć ze swej pracy. Z drugiej strony regulatorem wzajemnych stosunków między ludźmi, zwłaszcza praw i obowiązków, może być tylko sprawiedliwość. Należy dojść do tego, by dać zawsze w imię sprawiedliwości, o ile to możebne, to, co pierwotnie dawano, jako jałmużnę i dobrodziejstwo.

Zwłaszcza w stosunkach między kapitałem a pracą ma znaleźć ta zasada zastosowanie. Kto raz uzna mniejszą lub większą niezależność w ekonomicznej dziedzinie, kto przyjdzie do przekonania, że nędza nie tyle jest skutkiem przyrodzonych nierówności, ile raczej—złego użycia bogactw, że trapi ona ludzkość nie skutkiem niesprawiedliwego biegu rzeczy, ale raczej przez niesprawiedliwość ludzką lub mazgajstwo—a tak patrzą na sprawy demokracji—ten musi koniecznie żądać, by się przedewszystkiem sprawiedliwości stało zadość. „Jałmużna jest naddatkiem sprawiedliwości, a ta podstawą.“

Skoro sprawiedliwość ma rządzić światem, to słuszną, aby wszyscy pracowali. Ludzie bowiem pod wpływem naturalnego popędu tworzą społeczeństwo, nie po to, by żyć z cudzego potu,

ale po to, by się wspólnie wspomagać w samodzielnem zaspokajaniu swoich potrzeb. Pasorzyt gwałci cel społeczeństwa, jest szkodliwym wtrętem, który zdrowy organizm wyrzuca. Każdy ma pracować na swoje utrzymanie. Gdy zaś ma z czego żyć, winien pracować dla dobra innych w ten lub inny sposób. Ale może żyć tylko z oszczędności, t. j. z owoców swej pracy. Kto żyje z pracy innych, aktualnej lub odziedziczonej, kto bierze z ogólnego majątku i nie doń nie dorzuca, jako kompensatę materyalną lub duchową, ten jest pasorzyt i lichwiarz.

Powtórę sprawiedliwą jest rzeczą, by każdy swobodnie mógł żyć ze swej pracy. Społeczeństwem chrześcijańskim nie jest to, gdzie nieznaczną mniejszość utrzymuje i żywi z jałmużny odręcznej lub w instytucjach składającą się z wydziedziczonych i biednych większość! Będzie niem to, gdzie obok bogatych ogół ludzkości będzie żył ze swej pracy lub, co lepsza, z pracy i kapitału, t. j. z aktualnej zapłaty (lub dochodu) i zaoszczędzonej. Choć jest to społeczeństwo — a takim jest nasze — gdzie człowiek spokojny, zdrowy, odpowiednio uzdolniony, nie znajduje należytego utrzymania za swą pracę.

Prawo do życia przez pracę wynika stąd, że praca jest naturalnym środkiem do zaspokojenia materyalnych i duchowych potrzeb. Nie jest nim jałmużna. Nakładając na człowieka obowiązki życia, dał mu Bóg do rozporządzenia ziemię całą, dobra przyrodzone. Zaś jedynie praca może te dobra przerobić tak, by były zdolne zaspokoić potrzeby ludzkie. Nadto, jak już wspominałem, celem społeczeństwa jest wzajemna pomoc w wytworzeniu warunków, potrzebnych do życia i postępu. Przeto zasadniczem jego prawem musi być prawo użytecznej pracy, celem jego ustroju ekonomicznego i w miarę możliwości skutkiem — zachowanie tego prawa: mieć możność życia ze swej pracy. Tembardziej, że dobra ziemskie są do pewnego stopnia wspólną własnością. Natura nie przeznaczyła tego bogactwa temu lub innemu człowiekowi od początku, ale wszystko oddała na dostarczenie środków utrzymania wszystkim ludzi. Dlatego ten, co ma siłę i zdolności, by mógł pracować na siebie, ten, kto się chce wyżywić z opracowania surowców z pierwszej lub drugiej ręki, ten ma prawo żądać, by mu pozwolono żyć ze swej pracy, a nie z cudzej ofiarności. Jeśli się go skazuje na bezczynność lub szukanie jałmużny, to mu się czyni, mniejsza o to świadomie czy nie, dobrowolnie lub nie, krzywdę. Istnienie prywatnej własności, koniecznej dzisiaj dla kulturalnego rozwoju i doskonalenia się, nie zmienia istoty rzeczy. Cel i prze-

znaczenie zostaje zawsze to samo, zmienia się tylko sposób osiągnięcia go.

Podobnież, jak sprawiedliwości, demokraci szczególną uwagę poświęcili pojęciu pracy. Głównym błędem szkoły gospodarczej liberalnej było uznanie pracy za towar, który się sprzedaje, jak wszelki inny, wedle wymagań popytu i podaży; za jakiś, byt samoistny, oderwany od istoty ludzkiej. Jest tylko człowiek pracujący, pracy samej nie masz wcale. Stąd też praca jest czynem ludzkim, w którym cała osoba robotnika bierze udział: rozum i ręce, dusza i ciało. Ten zaś robotnik nie jest zwyczajnem narzędziem wytwarzania, uzupełnieniem maszyny. Przeciwnie, to człowiek rozumny i odpowiedzialny, mający potrzeby i obowiązki religijne, człowiek, którego godność ludzka równa godności innych ludzi.

Z tego wynika, że pierwszorzędnym celem pracy nie jest produkcja i powiększenie bogactw, lecz dostarczenie pracującemu środków do przyzwoitej egzystencji. Praca, to czynność, przez którą człowiek zdobywa sobie przede wszystkim chleb codziennego życia. Sobie przede wszystkim, ponieważ główny cel pracy nosi cechy egoistyczne — utrzymanie samego siebie; dopiero drugorzędny jest altruistyczny — dobrobyt społeczności.

Doszliśmy tak do miary zapłaty za pracę. Robotnikowi należy się słuszną płacą. Ale co jest słuszną płacą? co jest jej miarą? Nie kontrakt, bo robotnik faktycznie nie ma takiej wolności przy jego zawieraniu, jak pracodawca; bo zresztą umowa ma spisać to, co już skądinąd słuszne. Ani popyt i podaż, gdyż praca nie jest towarem. Miarą płacy jest cel pracy, polegający na tem, że praca stanowi jedyny i naturalny sposób należytego utrzymania się i zaspokojenia swoich potrzeb. Ponieważ Bóg wam zabrania samobójstwa — mówi demokraci — w imię Boga protestujecie przeciw głodowi. Ponieważ aktualna lub przeszła praca jest jedynym środkiem dla normalnego człowieka, by się mógł uwolnić od śmierci, to w imię Boga słuszną się wam praca należy. Kontrakt, ustanawiający niższą płacę, niż ta, której robotnikowi potrzeba na swe utrzymanie, jest nieważny i niesprawiedliwy, choćby nawet był zawarty ze zgodą ostatniego, o ile on skądinąd nie ma godziwych środków wyżywienia się. Wpływ popytu i podaży przekracza słuszny zakres, gdy zniża płacę poniżej minimum. Bo cel pracy ekonomicznej — utrzymanie.

Na zaspokojenie jakich potrzeb ma wystarczyć płaca i czy tylko do samego robotnika ma się odnosić? Płaca minimalna, t. j. taka, jaka wystarczy ledwie na zaspokojenie najkonieczniejszych

potrzeb życiowych, nie stworzy harmonii w stosunkach. Normalną płacą ma być wystarczająca, t. j. taka, dzięki której robotnik nie tylko będzie miał z czego żyć, ale będzie się mógł utrzymać na średniej stopie cywilizacji swego kraju, będzie miał możność założenia ogniska rodzinnego i zaoszczędzenia czegoś na czarną godzinę. O quantum spierać się można, zasada nie podlega dyskusji.

Słuszna praca winna być rodzinną, to znaczy wystarczyć na utrzymanie rodziny. Praca-płaca bowiem ma zapewnić egzystencję pracującemu. Otóż pracujący, człowiek taki, jaki wszędzie żyje, to nie człowiek abstrakcji, czuły jedynie na egoizm, ani samotnik, odludek, lecz człowiek rodzinny, ten, którego otacza rodzina. Małżeństwo jest prawem czy faktem, celibat wyjątkiem. Więc zapłata ma wystarczyć na utrzymanie normalnego człowieka, ojca z rodziną. Zresztą, gdyby płaca miała odpowiadać jeno osobistym potrzebom robotnika, to kto z prawa przyrodzonego ma dostarczyć utrzymania tym, co pracować nie mogą, dzieciom, starcom, chorym, żonie, co domu opuścić nie może? Przecież nie dobroczynność, ani miłosierdzie prywatne czy publiczne. Wszak Pan Bóg dał człowiekowi fizyczne i umysłowe siły nie po to, aby prosił braci w imię litości o udzielenie sobie potrzebnych do życia środków, ale na to, aby pracą zarabiał na siebie. Ręka człowieka uczyniona nie na to, by ją kornie wyciągano po jałmużnę, lecz na to, by władała narzędziem.

Co więcej, płaca rodzinna należy się nawet nie żonatym, bo ci, gdy chcą wstąpić w związki małżeńskie, potrzebują pewnych zasobów na zagospodarowanie się; gdy chcą pozostać w stanie bezżennym, potrzebują większych oszczędności, gdyż na starość nie będą mogli liczyć na swą rodzinę. Wszystkie zarzuty, skierowane przeciw tym zasadom, dotyczą jedynie trudności wykonania, nie naruszają w niczem istoty rzeczy.

W dzisiejszych stosunkach między kapitałem a pracą nie zawsze ma zastosowanie słuszna płaca. Wina nie zawsze obciąża pracodawców, którzy nieraz, mimo dobrej woli, nie mogą podnieść płacy. Najczęściej winna temu zła organizacja społeczna. Zresztą nie o to chodzi, gdzie winowajca, winni czy nie, ale o to, że znaczna część społeczeństwa cierpi niezасłużoną nędzę, przeto się jej pomoc należy.

Po sprawiedliwości i pracy, idzie kolej na krytykę własności. Własność prywatna jest rzeczą konieczną. Ona odpowiada skłonności człowieka, który się przywiązuje do tego, co zrobił i wkłada w produkt coś z siebie samego. Pobudza chęć do pracy, nie-

jako zniewala do pracy wydatniejszej, gdyż ma ułatwić utrzymanie się i przyszłość pracującemu i bliskim dlań osobom. Własność jest koniecznością społeczną. Dzięki niej człowiek się może oderwać od pracy na chleb i oddać się pracy kulturalnej, wymagającej nieraz dużych nakładów. Ona zapewnia spokojną przyszłość, zdejmując z człowieka to ciężkie jarzmo niepewności jutra, jarzmo, które może najdotkliwiej ze wszystkich dokucza robotnikowi. Własność pozwala spokojnie patrzeć w przyszłość. Ona jest warunkiem niezależności. Niezależność polega na tem, że jeden od drugiego niezależny w tem, co mu potrzebne do utrzymania, że, by żyć, nie potrzebuje cudzej, bezpośredniej pomocy. To daje własność. Wreszcie jest ona koniecznością demokratyczną. Niezależność ekonomiczna jest podstawą niezależności obywatelskiej i politycznej, jest podstawą wolności. Ci, czyja egzystencja zależy od woli innych, są w rzeczywistości ludźmi niższego stanu. Z tego, że własność jest podstawą i miarą niezależności, wynika, że każdy obywatel demokratycznego państwa powinien coś posiadać na własność. Nie to niszczy równość, że istnieją mniejsze lub większe bogactwa, ale to, że znaczna część ludzkości żadnej własności nie posiada.

Broniąc zachowania prywatnej własności, demokraci energicznie przypominają jej komunistyczną cechę, wynikającą z tego, że Bóg oddał świat na utrzymanie wszystkich ludzi. Człowiek posiada rzeczy na własność, ponieważ taki stan posiadania warunkuje osobisty i społeczny jego rozwój. Bierze z nich to, co mu potrzebne lub pożyteczne, ale swej własności niema prawa używać byle jak, w sposób bezużyteczny lub szkodliwy dla siebie lub dla innych. Skoro kto ma więcej, niż mu potrzeba dla siebie i dla swoich, powinien tę nadwyżkę obrócić na kulturalny pożytek innych lub ich utrzymanie, już utrzymując instytucje, już to dając jałmużnę lub, co lepsza, sposobność do pracy i za nią płacąc.

Jako przykład przytaczają to, o czem mówi od dawna teologia moralna katolicka, że biedny, będący w ostatecznej nędzy, tak, że jego życiu poważne grozi niebezpieczeństwo, bo śmierć, a nie mający znikąd żadnej pomocy, ma prawo byle komu wziąć to i tyle, co i ile potrzeba mu do ratowania życia. Albo znowu uznają za winnego tego, kto by dla przyjemności np. polowania trzymał odłogiem wielkie przestrzenie, kto by władał ziemią, którejby nie uprawiał, wtedy, gdy inni, co jej potrzebują do życia, proszą go, by im pozwolił na niej pracować. Na takich marnotrawców ogólnego dobra należałoby osobny podatek nałożyć. Niektórzy domagają się akcji prawnej przeciw dorobkiewiczom pe-

wnego rodzaju i konfiskaty ich bogactw. Niepodobna przypuścić, by jeden człowiek, nawet przy pomocy swej rodziny, mógł nagromadzić w ciągu części swego życia godziwym sposobem miliony lub miliardy, gdy się zważy, że praca i zasługa dla społeczeństwa mają być, jeśli nie jedynem, to przynajmniej głównem źródłem bogactwa. Wielkie fortuny, powstałe w krótkim czasie a liczące się na miliony, urosły na lichwie i obowiązują do restytucyi.

Natomiast troskliwą opieką należy otaczać drobną własność, gdyż ona warunkuje spokój rodziny i kraju, oraz daje zadowolenie z życia; ona jest oznaką równomierniejszego podziału dóbr i przyczyną wydatniejszego wytwarzania. Wielkie bogactwo wystawia na pokusę pychy i zniszłów, nędza skazuje na nadmierną pracę, często jest powodem włóczęgostwa i niecnoty. Mało ludzi ma dość mocy charakteru, by znosić nędzę. Pewien dobrobyt jest zwyczajnie konieczny dla cnotliwego życia.

Nie bogactwo jest złem lub praca na powiększenie swego dobrobytu, lecz brak miary w zbytku albo w nędzy.

Środkiem, który ma zapobiedz biedzie a wprowadzić sprawiedliwość do stosunków w świecie kapitału i pracy, jest ustrój korporacyjny. Kwestya społeczna powstaje wtedy, gdy ci, co cierpią niezasłużoną nędzę, stanowią wielki odłam społeczeństwa, klasy całe, i gdy cierpią nie wskutek zaniedbania obowiązków miłości albo naruszenia zasad sprawiedliwości przez jednostki, lecz skutkiem tego, że wadliwa organizacya społeczna pozwala na niezachowywanie sprawiedliwości lub wprost do tego zmusza. Dlatego też złemu ma zaradzić nie miłosierdzie i cierpliwość, ale sprawiedliwość, reorganizacya stosunków, prawodawstwo, korporacya i t. d. Specyalny wygląd kwestyi społecznej zmienia się wedle czasu i miejsca. W naszych czasach to sprawa normalnych stosunków między kapitalistą i robotnikiem. Trzy głównie przyczyny zrodziły niedomagania w świecie wytwarzania: 1) liberalizm ekonomiczny, głoszący zupełną wolność pracy, wytwarzania i zbytu, zabraniający wszelkich zrzeszeń o ekonomicznych celach oraz interwencji państwowej; wolna konkurencya musiała rozbitych bez kapitału i narzędzi robotników oddać w niewolę nielicznych, lecz solidarnych kapitalistów, właścicieli narzędzi i surowca; z drugiej strony, niepohamowane współzawodnictwo musiało ściągnąć do fabryki pracę kobiet i dzieci, niszcząc tem rodzinne i moralne życie robotnicze, a nadto, grożąc ciągłym widmem krachu, zaprzęścić spokój o jutro; — 2) złe użycie maszyn, których niewolnikiem stał się robotnik, nie mogący nawet w niedzielę odpocząć, bo maszyna nie odpoczywa; — 3) liberalizm filozoficzny, tworzący

jakieś pojęcia człowieka ekonomicznego i absolutnej własności, oraz nie biorący wcale w rachubę czynników wyższych. Skutkiem tego wszystkiego była nędza robotników i opanowanie wytwórczości i rynków przez niesłuszny i niesprawiedliwy kapitalizm.

Gdy chodzi o naprawę tych stosunków, pierwsza rzecz do zrobienia—to szerzenie odpowiednich pojęć o pracy, własności i t. d., druga—to zaprowadzenie ustroju korporacyjnego.

Korporacja różni się od innych zrzeszeń tem, że swe powstanie zawdzięcza naturalnemu biegowi rzeczy. To, że człowiek jest panem swoich czynów, tego, co robi, ale że nie jest nim względem skutków swego działania; to, że swem działaniem z konieczności wpływa na bliźnich, oddziałują na otoczenie i, może nawet nieświadomie, zmienia je; to wreszcie, że sam nie może podobać wszystkim potrzebom swego życia i postępu, ale w ich zaspokajaniu zależy od innych ludzi, która to zależność wzrasta w miarę postępu, w miarę stosowania podziału pracy—to wszystko stwarza pewną łączność między ludźmi. Owa łączność zamienia się na ścisłą zależność i związaną się między tymi, co podobną wykonywują pracę. Powstają bowiem między nimi specjalne stosunki, podobne potrzeby, konkurencja, słowem mniej lub więcej znaczna liczba nowych stosunków, potrzebujących uregulowania; inaczej, ze względu na wolną wolę człowieka i różne indywidualne skłonności, zapanowałoby powszechnie prawo silniejszego. A jak łączność i zależność powstają w sposób naturalny, tak samo i organizacja, która ma powstałe stosunki regulować, jest wytworem naturalnym. Ci, co się poświęcają jednej i tej samej lub podobnej pracy, na pewnem terytorjum tworzą zawód, profesję, która oczywiście nie może obejmować nie pracujących rencjarzy. Organizacja, która normuje wzajemne stosunki prawne członków profesji na wewnątrz i na zewnątrz, jest organizacją korporacyjną.

Taka organizacja zniszczy panowanie klasy kapitalistów a odda pierwszeństwo zasłudze i cnocie przed pieniądzem. Robotnicy połączeni zyskają większą siłę, staną się czynnikiem wytwarzania, z którym się trzeba będzie liczyć.

Korporacja osiągnie ideał wtedy, gdy zapewni każdemu członkowi dobrobyt i wpływ na urządzenie wspólnych spraw, wpływ odpowiedni do kompetencji zasług każdego, i gdy będzie mogła skutecznie spraw swoich bronić na zewnątrz przy pomocy ingerencji władz publicznych.

Jednostką byłoby stowarzyszenie robotnicze, pracodawców lub mieszane, złożone z robotników i pracodawców, należących do jednego lub podobnych fachów. Te stowarzyszenia, zupełnie

dobrowolne, wybierają określoną, stosownie do swego znaczenia, liczbę delegatów. Ci wraz z przedstawicielami zawodowców, nie należących do żadnego stowarzyszenia, stanowiliby zarząd w danej miejscowości. Dany zawód wraz z innymi mógłby stworzyć osobną komisję do spraw wspólnych (np. oświecenie). Nad zarządami stałyby Rady, którychby się kompetencya rozszerzała na dalsze terytoryum; wreszcie—Izba, składająca się z przedstawicieli wszystkich zawodów, Izba pracy, zawodowa. Koroną tej organizacji byłaby Izba zawodowa międzynarodowa.

Prawa i obowiązki członków określa następująca formuła: „L'initiative à chacun, la délibération aux associés, la sanction à tous.“ Prawo inicjatywy należałoby do wszystkich. Prawo rozstrząsania sprawy czy projektu przysługiwałoby stowarzyszonemu, sankcya zaś byłaby w rękach wszystkich członków korporacji.

Referendum stanowi jeden z głównych przywilejów korporacji demokratycznej. Dlaczego? Podstawową zasadą organizacji zawodowej, zasadą całkiem zgodną ze sprawiedliwością, a bez którejby nie było ani profesyi, ani trwałego pokoju, ani rzeczywistej wolności, jest to, że każdy będzie miał prawo poznania warunków pracy i brania skutecznego udziału w ich stanowieniu. Tego nie można osiągnąć przy dzisiejszym systemie powszechnego głosowania. Zaś przez referendum, przez odwoływanie się do zdania wszystkich zawodowców, będzie można poznać ich wolę i do niej się stosować.

Ponieważ korporacja ma się zajmować wszystkiemi sprawami, ponieważ robotnikom przypadnie udział w ustanawianiu zawodowych ustaw, to oczywiście zakres władzy patronalnej musi się zmniejszyć. Wprawdzie pracodawca jest panem u siebie, ale panem tego, co do niego należy. Otóż w fabryce, obok bieżącego i martwego kapitału, oprócz surowca i narzędzi, co są jego własnością, jest jeszcze zdrowie, wolność, moralność, życie robotnika. Przeto absolutna władza winna ustąpić konstytucyjnej, podobnie jak zmienić trzeba pojęcie własności absolutnej i pracy-towaru.

Do zakresu władzy korporacji należy to, co dotyczy ekonomicznego życia. I tak: ustanawiać regulaminy, konstatować zwyczaje zawodowe i wciągać je do kodeksu pracy, określać czas wypoczynku, długość dnia roboczego, czuwać nad higieną, nad opieką moralną i materyalną kobiet i dzieci, prześladować nieuczciwą konkurencyę.

Wszelako zanim się staną obowiązującemi te postanowienia, wszystkie albo główniejsze, winny być homologowane przez sąd, inaczejby producenci mogli wyzyskiwać konsumentów.

Gdy kryzys nawiedza przedsiębiorstwo, cierpi na tem pracodawca, ale więcej tracą robotnicy. Słuszna przeto, by wtedy, gdy fabryka robi świetny interes, gdy się jej procenty zwiększają, czasami nawet bez żadnej zasługi fabrykanta, np. z powodu jakiegoś wynalazku, by wtedy robotnicy brali udział w zyskach. Konkretnym objawem tego udziału byłyby nie dodatki do pensyi, lecz utworzenie wspólnej własności korporacyjnej, jako podstawy dla fundowania szkół, zwłaszcza zawodowych, zakładania kas wzajemnej pomocy, ubezpieczenia, związków kooperacyjnych i t. d.

Fortuna ta będzie własnością związku, robotnicy będą jej właścicielami i przez pośrednictwo delegatów administratorami.

W miarę wzrostu wspólna własność korporacyjna da możliwość utworzenia kooperacji produkcji. Związki kooperacyjno-produkcyjne składałyby się z przedsiębiorców i robotników, a miałyby wspólny surowiec i narzędzia. Inni patrzą trochę inaczej w przyszłość. Jako formę przejściową uważają udział robotnika w zyskach i stopniową kopartycypację robotników w kapitale przedsiębiorstwa. Jako formę ostateczną—kooperację produkcji, instytucję złożoną najpierw z doborowych robotników, później z tych, co przez oszczędność i kredyt stali się właścicielami narzędzi, oraz z tych, co, dzięki technicznej kompetencji i zawodowemu wykształceniu, stali się zdolnymi do założenia przedsiębiorstwa i kierowania niem.

Będzie to połączenie w jednych i tych samych rękach kapitału i pracy, urzeczywistnienie chrześcijańskiej sprawiedliwości w organizacyi pracy i podziale bogactwa.

Wspomnimy jeszcze o regulowaniu ilości produkcji i konkurencyi. Dzisiejszy system popytu i podaży jest złym regulatorem wytwórczej pracy, nie raz jeden sprowadza podrożenie i zastój, nawet krach. Należałoby produkować to i w takiej mierze, co i w jakiej potrzebne, produkować mniej przedmiotów przepychu i zbytku, a obficie, co konieczne i pożyteczne. Zdaje się, że korporacya mogłaby uregulować ilość wytwórczości, bo, obejmując pod względem poszczególnej produkcji cały kraj, będąc jednocześnie międzynarodową, mogłaby poznać potrzeby i upodobania ludności.

System podaży i popytu idzie w parze z wolną konkurencyą, która jest jedną z najgłówniejszych przyczyn złego. Korporacya winna określić granice wolnego współzawodniczenia, a właściwiej wypowiedzieć walkę nieuczciwej konkurencyi. Toć głównym celem postanowień korporacyi jest to, by urwać głowę konkurencyi, która ma za przedmiot egzystencję ludzką, pracę robotnika; która ma za zadanie zbogacić jednych ze szkodą innych, przesunąć

bogactwo z jednych rąk do drugich, tak, że nowy „nabywca“ niczem nie powiększył narodowego bogactwa, lecz tylko zabrał to, co inny posiadał; która wreszcie jako środków używa podstęp i siły, oszustwa i przemocy. Natomiast zdrowej konkurencji należy się opieka, bo ona jest sprężyną zawodowego życia.

Dopóki zaś korporacji niema, demokraci żądają, by państwo się gorliwie zajęło losem robotników i biednych. Programów ułożono kilka, między innymi zajęła się tem i redakcja „*Démocratie chrétienne*.“ Z jej programu wyliczam kilka szczegółów: co do podatku—zniesienie opłat przy dziedziczeniu niewielkich własności w prostej linii i zaprowadzenie postępowego podatku, które-muby podlegały wszelkiego rodzaju dochody i wielkie kapitały nieprodukcyjne; co do własności—zaprowadzenie homstead'u; co do drobnej własności i wolności testamentowej, utworzenie wspólnej własności ziemskiej przy gminach i związkach, podzielenie jej na działki, nieulegające zajęciu, oraz wypożyczenie ubogim, wreszcie budowa tanich mieszkań dla robotników, również nie ulegających zajęciu, czem się winny zająć gminy i związki; co do stowarzyszeń — uznanie osobowości cywilnej wszystkich związków, nadanie im prawa posiadania i federacyi; co do prawodawstwa — określenie minimum zapłaty i zapewnienie wykonalności, zaprowadzenie święcenia niedzieli, oznaczenie maximum godzin pracy, zabronienie pracy nocnej, wyjąwszy fabryki, gdzie piece ciągle isć muszą, zabronienie pracy matek w fabrykach i ograniczenie pracy dziewcząt, zaprowadzenie obowiązkowego ubezpieczenia, wreszcie dążenie do internacjonalizacyi prawodawstwa; co do kooperacyi — popieranie instytucyj współdzielczych spożywczych i wytwórczych, oraz udziału w zyskach; co do handlu—ograniczenie bezgranicznej wolności handlu, reforma towarzystw akcyjnych i burs, zakaz ażytażu.

To przedstawienie porządku ekonomiczno-przemysłowego możemy zamknąć słowami ks. Callipea: „Solidarność w pracy, życie przez pracę, bogactwo stosownie do nakładu pracy—to są, wedle prawa przyrodzonego i chrześcijańskiego, zasadnicze prawa wszelkiego ekonomicznego porządku.“¹⁾

Z powyższego już widać, że celem wysiłków demokratycznych jest rozwój jednostki, jej materyalne i moralne dobro. Co narusza prawa człowieka, np. zasada bezwzględnego współzawodnictwa, regulowanie zapłaty wedle popytu i podaży—to jest złem.

¹⁾ „*Démocratie chrétienne*,“ III, 1897, 742.

Gayrand streszcza ideał demokratyczny w dwóch słowach: sprawiedliwość i braterstwo. Chodzi o to, mówi, by każdemu zapewnić swobodę wykonywania swoich praw i spełniania obowiązków, oraz by każdy, przy materialnej niezależności, był wolny od wszelkiego ucisku i uciemnienia. Dlatego też demokracja, celem wprowadzenia sprawiedliwości i braterstwa do stosunków ludzkich, musi wziąć za podstawę instytucyj politycznych i cywilnych—równość obywateli wobec prawa, za podstawę organizacyj społecznych—poszanowanie praw, które mają jednostki i rodzina, wreszcie za zasadnicze prawo porządku gospodarczego—organizację korporacyjną. Ta idea doskonalenia się osobistego przebiega we wszystkich określeniach demokracji: jej celem bowiem jest: *promouvoir le développement de chacun en s'appuyant sur tous.* (Naudet).

II.

Demokracja chrześcijańska poświęca swą uwagę głównie ustrojowi przemysłowemu. Jednakowoż zagadnienia polityczne są jej obce.

Demokraci nie uznają istnienia klas, z których jedna miała niejako przyrodzone prawo, oparte na posiadaniu bogactwa lub klejnotu, do kierowania inną, jako politycznie niedojrzałą a zależną pod względem ekonomicznym od tamtej. Kiedyś może to było i potrzebne, dzisiaj cały naród strzeże granic swej ojczyzny, jako też cały wydaje prawa. Istotnym składnikiem demokracji jest cywilna i polityczna równość obywateli, t. j. wszystkich mieszkańców kraju. Nie w tem znaczeniu, żeby ona miała być jakimś prawem należnym z konieczności naturze ludzkiej, prawem apriorycznym. Nie, ona mu przysługuje z prawa historycznego, jako wynik wielowiekowego moralnego rozwoju dogmatu braterstwa ludów. Kto chce ujrzeć narodziny równości niech sobie przypomni tę chwilę, gdy Jezus Chrystus ogłaszał ojcowstwo Boże i braterstwo ludzi, że niemasz ani poganina, ani Żyda, ani barbarzyńcy; tę chwilę, gdy wszystkim dał równy dostęp do wiary i sakramentów, do hierarchii i godności kościelnych. Wtedy to ludzie zrozumieli, że są równi wobec Boga, swego Ojca i wobec kościoła Jezusowego. Ta duchowa równość sprawiła, że mimo nierówności przyrodzonych i społecznych, wywiązały się między ludźmi stosunki i powinowactwo duchowe, które musiały doprowadzić do zrozumienia

i praktykowania cywilnej i politycznej równości między braćmi boskiego pochodzenia i nadprzyrodzonego przeznaczenia. W ciągu wieków różne były koleje tej idei. Ci, co ogłosili prawo władztwa ludu, przyspieszyli jej wprowadzenie do wzajemnych stosunków, ale wykoszlawili jej bieg naturalny i sfalszowali ją, stawiając na miejsce pojęcia dobra ogólnego prostacką i brutalną ideę klasowego władztwa.

Lecz sama idea wolnościowa jest postępem, jednym ze skarbów cywilizacji chrześcijańskiej. Równość polega na tem, by każdy miał świadomość swego człowieczeństwa, to znaczy, by miał świadomość swej działalności, swej wolności, jako człowieka i chrześcijanina, w którym Duch św. mieszka; na tem, by każdy miał świadomość narodowego życia i narodowych potrzeb, by w tem życiu brał czynny udział i wpływał na jego kierunek; na tem wreszcie, by każdy miał świadomość, że jego praca, jakąbykolwiek była, jest społeczną i narodową służbą. To możliwie najdoskonalej rozwinięte duchowe życie umysłu i serca pociąga za sobą, jako objaw i potwierdzenie, równość zewnętrzną. Ta opiera się na wewnętrznej; bez tej niema tamtej. Równość powinna objąć wszystkie dziedziny ludzkiego życia. Na polu ekonomicznem osiągnie się ją nie podzieleniem narodowego bogactwa na równe działki, ale utworzeniem wspólnej własności korporacyjnej, rozszerzeniem posiadania drobnej własności, ułatwianiem nabycia kawałka ziemi, zaprowadzeniem postępowego podatku, tworzeniem spółek współdzielczych. W dziedzinie cywilnej i politycznej każdy obywatel winien mieć prawo brania udziału, osobiście lub przez posłów, w wygotowywaniu praw i rządzeniu państwem, jak również prawo zajmowania wszelkich urzędów, stosownie do swej działalności, a nie wedle różnicy klasy, bogactwa lub wiary.

Wszelako równość nie jest prymitywnem niwelowaniem wszystkiego. Nie hierarchia klas, lecz ich różnorodność jest pożyteczna. Ilościowa i jakościowa różnica w zdolnościach i siłach fizycznych, oraz różnorodność potrzeb, są przyczyną różnorodnej konsumpcji i produkcji. Nie wszyscy są zdolni do wszystkich prac i do każdej. Stąd podział ludzi na zawody, a w dalszym ciągu rozróżnianie społecznego stanowiska i różniczkowanie się majątności wedle znaczenia, jakie ogół przypisuje danej pracy oraz jej wydatności. Potrzebie, istnieje nierówność, gdy jedna funkcya jest wyższa od drugiej w chwili, gdy się obie schodzą, np. zależność robotnika od pracodawcy, dopóki trwa kontrakt i w miarę jego rozciągłości, lub zależność tegoż pracodawcy, jako członka gminy, od tego samego robotnika, o ile ma urząd w gminie. Więc demo-

kracya przyjmuje hierarchię czynów i urzędów. Ale z jednej strony twierdzi, że bez okazanych dowodów nie można przesądzać o niczyjej zdadności do tych lub innych urzędów jedynie na mocy klasowego np. położenia danej osoby. Deklaracyę praw człowieka tak trzeba rozumieć: Na przyszłość urodzenie nie wystarczy, by wyrokować o czyichś zdolnościach; przeciwnie, wszystkich obywateli należy uważać za równych dopóty, dopóki czynami nie dowiodą swej nierówności; wszyscy mają prawo do wszystkich stanowisk, zajmą je ci, co dowiodą, że są do nich zdolni; z drugiej strony, że posłuszeństwo należy się urzędowi, nie osobie. Racyą posłuszeństwa i subordynacyi jest społeczna użyteczność. Wreszcie istnieje nierówność cnót i wad, które mają także silne odbicie w porządku politycznym i ekonomicznym.

Ze względu na to, że nie wszyscy mają odpowiednie zdolności lub czas, by mogli kierować sobą lub innymi, w każdym społeczeństwie na jego czoło wysuwa się grupa ludzi, odznaczających się wielką umysłowością lub enotą. Powinni ją składać ci wszyscy, co mają wielkie przymioty umysłu i serca lub bogactwo, ale rzeczywiście należeć do niej będą ci, co z tych darów korzystają dla dobra współbraci. „Prawo przewodniczenia ściśle odpowiada wartości oddanych społeczeństwu usług.“

Wolność nie polega na możności czynienia wszystkiego, co się chce, lecz na ciągłym posiadaniu możności czynienia tego, co się należy. To znaczy, że wolność, podobnie jak i prawo, opiera się na obowiązku. Nie jest ona celem ludzkich wysiłków ku dobru i prawdzie, ale środkiem. By wolność była rzeczywistą, trzeba jej przeciwstawić, jako równoważnik, autorytet i dać, jako oparcie, gospodarczą niezależność. Niema wolności prawdziwej tam, gdzie prawo do życia przez pracę nie jest zachowywane, gdzie jedna klasa ekonomicznie zależy od innej.

T. zw. wolności, polegające na możności czynienia źle, na tem, że wszystko można mówić, pisać i robić, co się nie sprzeciwia kodeksowi, są dążeniem antyspołecznym, gdyż każde społeczeństwo musi posiadać pewien społeczny dogmat oparty na dekalogu i ewangelii. Gdzie atoli jedność przekonań, zwłaszcza religijnych, zerwana, władze winny błąd tolerować do pewnych granic. Bezwzględne uszanowanie należy się religii, publicznej moralności, własności i autorytetowi. Są jednak inne wolności, nie będące równoważnikiem czynienia źle. Są one następstwem demokratycznej zasady, że obywatel jest w mniejszym lub większym zakresie miarodajnym czynnikiem w zarządzie kraju. Wolności to następujące: religijna, obywatelska (osobista, mieszkania, własności

i zgody na podatek), polityczna (udział w stanowieniu praw i czuwanie nad publicznym majątkiem), wolność nauczania i trybuny, administracyjna i zrzeszania się. Ale, jak gdy chodzi o wolność czynienia źle, należy bronić do upadłego moralno-religijnego dogmatu, tak i tutaj należy uszanować dogmat narodowy i tradycję, inaczej anarchia zatamuje bieg narodowego i państwowego życia. Przedewszystkiem wychowanie ma wyrobić w obywatelach to poszanowanie dla tradycji i poczucie miary i słuszności w żądaniach, oraz w krytyce.

Władztwo nie jest z konieczności przywiązane do pewnej formy rządu. Demokraci kategorycznie wypowiadają się za demokracją, „rządzeniem wszystkich dla wszystkich.“ Cztery prawa winny przysługiwać obywatelowi, bez nich niemasz demokracji: powszechne głosowanie, proporcjonalna równość co do ciężarów i korzyści publicznych, obowiązkowe nauczanie, oraz republikańska forma rządu, t. j. wybieralność władz. Demokracja jest nieuniknionem następstwem rozwoju i jednocześnie stadyum ku formie doskonalszej.

Wola narodu ma być miarodajną, ale ona sama nie jest źródłem dobrego, ani złego. To przywilej sumienia. Jak poznać wolę narodu? Dzisiejsze powszechne głosowanie jest źle zorganizowane. Naród to nie aglomerat indywiduów, gromada osadników, ale coś w rodzaju żyjącego organizmu, gdzie jednostki żyją i własnym życiem i społecznem, głównie w stowarzyszeniach. Urządzenie powszechnego głosowania ma mieć za podstawę życie zawodowe. Wtedy parlament nie będzie zbiorem agitatorów i polityków ze wszystkich stron świata, lecz zgromadzeniem tego, co kraj w każdym zawodzie narodowej pracy ma najlepszego. Będzie on zdolny do podjęcia reform socyalnych, bo będzie się składał z tych, którzy z pracą mają ciągłą styczność. W tych warunkach życie polityczne narodu nie będzie chwilą panowania między dwoma bezkrólewiami, abdykacją woli narodowej na przeciąg czterech lat i dniem jej panowania.

Ale nawet taki parlament, to jakby ekran między wolą narodową a tem, co ją obchodzi. I dlatego naród musi, by demokracja nie była uludą, dotknąć się tych spraw bezpośrednio, ponad ekranem, drogą referendum. Szlachetna to i wspianała rzecz zetknąć się od czasu do czasu wprost z wartościami swego bytu i mieć świadomość swej bezpośredniej odpowiedzialności na stanowieniu praw, którym się ma podlegać.

Francja od dawna nie miała pokoju religijnego. Tak ważna sprawa wzajemnego stosunku między Kościołem i państwem mu-

siała zwrócić na siebie uwagę demokratów. Katolikom, dla obrony swych zasad, nie wypada opierać się ani na konkordacie, bo o niego właśnie chodzi, ani na tytule Boskiego pochodzenia Kościoła, jak to bywało dawniej, ponieważ większość tych, właściwie ci wszyscy, z którymi się ma układać stosunki państwowo-religijne, tego tytułu nie uznają. Państwo nowożytne ogłosiło, jako zasadę, swą niekompetencję w sprawach religijnych, stąd żadnego wyznania nie popiera, ani chce pozwolić, by jakiegokolwiek z nich miało komubądź narzucać swe praktyki, czy to w publicznem, czy w prywatnem życiu. Otóż na tej zasadzie ogólnego prawa należy się oprzeć katolikom, by pozostać przy potrzebnych sobie do życia i rozwoju warunkach lub je wywalczyć. To nie będzie zaparciem się swoich przekonań, ani wycofaniem się, jeno przystosowaniem do historycznego terenu. Państwo winno wypłacać pensję duchowieństwu wszystkich wyznań, jako przedstawicielom instytucji publicznej użyteczności i jednocześnie uszanować wewnętrzną każdego wyznania autonomię w imię swej niekompetencji. Jeśli między takim państwem a Kościołem będzie zawarty konkordat, należy go zachowywać; jeśli go nie będzie, należy na mocy ogólnych praw walczyć o to, by państwo nie uaruszało katolickiego sumienia.

Demokraci często powracają do tego tematu, że nietylko istnieje ekonomia chrześcijańska, co do której się głównie powołują na szkołę de Muna, ale się z lubością rozwodzą nad łącznością katolicyzmu i demokratyzmu. Zarówno demokracja, jak i Kościół mają jeden cel, t. j. uobywatelić i uświęcić człowieka, co znaczy podnieść go na możliwie wysoki stopień samowiedzy i udoskonalenia. Różnica polega na tem, że Kościół troszczy się o duszę, ją podnosi do uczestnictwa w Bóstwie przez sakramenty, jej w moralności i religii daje pomoc, by nie zboczyła od boskiego życia; demokracja zaś troszczy się—o narodowo-polityczne życie.

Swoje hasło do poszanowania godności ludzkiej i wolności demokracja wzięła z Ewangelii. Bóg w stosunku do człowieka nigdy nacisku nie wywiera. Św. Augustyn był wyrazicielem myśli, która przenika Kościół, gdy wyrzekł: Bóg cię stworzył bez ciebie, ale bez ciebie cię nie zbawi. Ojcowie Kościoła, pisarze, koncylia miasto przyjąć prawo pogańskie rzymskie co do prawnego i społecznego porządku, opracowali nowe, przeniknięte nietylko duchem sprawiedliwości wobec upośledzonych i opuszczonych, ale poszanowaniem dla osoby i wolności człowieka. Nowe poglądy zmieniały w swym duchu społeczno-polityczne stosunki. Nietety, królewski absolutyzm, będący objawem odnowienia się po-

gańskiego ducha, oraz rewolucye, przerwały lub wykoleiły naturalny bieg chrześcijańskiego postępu.

Demokracja wymaga bardzo światłej opinii, silnej tradycyi i panowania nad sobą. Trzeba, by obywatel umiał odróżnić swój interes od sprawy ogólnej i miał w sobie dość ofiarności, by wedle sumienia służyć ojczyźnie. A czyż zaparcie się nie jest istotną cechą chrześcijańskiej religijności?

Co więcej, żadna demokracja nie może się rozwijać, jeśli w ten lub w inny sposób nie przeniknie się katolickim duchem, co do pogodzenia wolności z autorytetem. Chrystus Pan podniósł do niebывałej wysokości godność ludzką. Wedle Jego nauki Królestwo Boże mieszka w sercach ludzkich, zależne jedynie od łaski i woli człowieka; człowiek, to przybrany syn boży, odkupiony Krwią Barankową, współuczestnik boskiego życia. Władza postawiona nad człowiekiem, gdyż żyje w społeczności. Z drugiej jednak strony ta władza nie tłumi osobistej inicjatywy. Św. Piotr dzierży ster mistycznej barki, a ster kieruje łodzią, ruchu nie stwarza. Kierownictwo posiada władza, ale siła rozsiąta we wszystkich członkach. Rzadko gdzie spotkać taką inicjatywę i porywanie się na wielkie dzieła, jak w Kościele. Nawet określenia dogmatyczne są stwierdzeniem i definicyą istniejącego już wierzenia. Katolik może się podjąć wszelkiej pracy, pewny poparcia hierarchii. Jej potępienia są wyrazem tego, że ta praca lub ta teoria nie wyszła z ogólnego ducha Kościoła, ale jest z nim w niezgodzie lub sprzeczności. W ten sposób autorytet kościelny nie jest czemś obcym dla dusz katolickich, wiara hierarchii nie jest czemś zewnętrznym wobec wiary wiernych, ani jej myśl wobec myśli wiernych. Otóż z chwilą, gdy obywatele przejmą się tym katolickim duchem godzenia wolności i autorytetu, wtedy demokracja będzie się rozwijała bez przechylenia się na stronę anarchii lub despotyzmu. Nikt sam żyć nie może, społeczeństwa zaś nie można kierować całkiem zewnętrznymi prawami. Siły życiowe demokracji są w obywatelach; rząd ma je poznać, przyswoić sobie. Naród ma uleż powadze rządu, który z jego ducha pochodzi.

Demokracja jest szkołą, ale jest także stronnictwem: 1) społecznym, mającym na celu poprawę społeczno-ekonomicznych stosunków; jednak popiera te grupy polityczne, których żądania są podobne do jej postulatów. Demokracja jest przede wszystkim stronnictwem społecznym—mówi kongres w Reims—ale jeśli które

koło chce się zająć polityką, musi się ogłosić, jako republikańskie; 2) chrześcijańskiem ze względu na swe zasady i środki, a nie wyznaniowem. Jego celem nie jest obrona Kościoła, ani wywalczenie praw dla katolików, lecz walka o dobro robotników i wogóle poniżonych oraz niesprawiedliwie cierpiących, tudzież oświecanie tych ludzi. Inna rzecz, że z tej pracy przyjdzie pożytek dla samego Kościoła. To skutek pośredni, a nie cel.

KS. DR. ANTONI SZYMAŃSKI.

Ruch umysłowy w Niemczech.

Zapowiedziane, poprzedzone licznymi publikacjami i długotrwałymi sporami wydanie pamiętników profesora Franciszka Overbecka, jednego z najbliższych przyjaciół Nietzschego i najbardziej bezstronniejszego z jego krytyków, o którym dotychczas względnie mało mieliśmy sposobności słyszeć, stało się nareszcie faktem dokonany. Dzieło to, będące jednym z najważniejszych źródeł do poznania i zrozumienia należytego postaci Nietzschego, jest zarazem ważnym sprostowaniem biografii Nietzschego, napisanej przez jego siostrę Elżbietę Foerster-Nietzsche, która, jak obecnie widzimy, zbyt dowolnie zretuszowała portret brata. Narazie, niestety, wydanie tomu drugiego tego cennego dzieła, którego opracowaniem zajął się znany powieściopisarz szwajcarski, Karol Albrecht Bernoulli), zostało na żądanie Piotra Gasta, jedynego ucznia Nietzschego, przez wyrok sądu cywilnego w Weimarze zawieszono. Wydawca zaś będzie prawdopodobnie zmuszony usunąć z tego już gotowego tomu cały szereg listów Piotra Gasta, pisanych do profesora Overbecka, a będących jakoby treści zbyt kompromitującej, aby mogły za życia Gasta być opublikowanymi. Ponieważ Piotr Gast, jak wiadomo, kieruje wraz z Elżbietą Foerster-Nietzsche sprawami archiwum Nietzschego w Weimarze i solidaryzuje się z nią we wszystkich sprawach, dotyczących puścizny jej brata, więc trudno przypuścić, aby jedynym motywem protestu Gasta były owe listy. Chodzi tutaj widocznie o ostatnią rozpaczliwą próbę uratowania czei autorskiej Elżbiety Foerster-Nietz-

1) Dzieło pod tytułem „Franz Overbeck und Friedrich Nietzsche. Eine Freundschaft.“ Wyszło w nakładzie Eugeniusza Diederichsa w Jenie.

sche, która, jak to ostatnio ze sporów, dotyczących puścizny Franciszka Overbecka i Fryderyka Koegla, byłego kierownika archiwum Nietzschego, widzieliśmy, nie przebiera w środkach i zdolna jest do napoleońskich coups d'état, jeżeli chodzi o sprawy, krzyżujące jej plany lub zamiary. Wymownym dowodem tego są pomiędzy innymi trzy nie dające się zaprzeczyć fałsze, popełnione z zupełną świadomością przez autorkę w biografii Nietzschego, a mianowicie: niezgodne z prawdą przedstawienie stosunku Nietzschego do profesora Jakóba Burckhardt'a; zatajenie prawdziwego stosunku Nietzschego do panny Lou Salome i ważnego dokumentu, dotyczącego dzieła „O przeszacowaniu wszelkich wartości.“ Tem ważniejsze musi być dla nas świadectwo rzetelne, które odznacza się pozatem tak wysokimi zaletami psychologicznymi, że słusznie mu się nazwa pierwszej psychologicznej oceny życia Nietzschego należy. Profesor Franciszek Overbeck był jednym z najbliższych przyjaciół Nietzschego z czasów profesury bazylejskiej, a jako kolega i współlokator kilkoletni, miał niejednokrotnie sposobność do robienia spostrzeżeń wartościowych, dostępnych jedynie jemu samemu. Pomiędzy przyjaciółmi Nietzschego jest on tym, który brał chyba najbardziej czynny udział we wszystkich sprawach, dotyczących życia Nietzschego. On to we wszystkich ważniejszych kwestyach był doradcą i pomocą niepraktycznego i, jak dziecko niemal, niezaradnego filozofa; on to w przeciągu 18-tu lat prowadził rachunki Nietzschego i w chwili krytycznej, gdy owe zagadkowe listy szamocącego się już z pierwszemi objawami obłędu proroka nadczołwieka zwiastowały zbliżające się niebezpieczeństwo, pospieszył niezwłocznie do Turynu, aby ratować, co jeszcze można było uratować. Jemu to przedewszystkiem zawdzięczamy uratowanie całej niezmiernie ważnej puścizny literackiej Nietzschego. Przyjaźń ta, którą Elżbieta Foerster-Nietzsche w biografii swej traktuje z pewnem lekceważeniem, miała w każdym razie głębsze motywa niż te, które jej Elżbieta Foerster-Nietzsche przypisuje. Klasycznym dowodem tego są pamiętniki, które w niedalekiej przyszłości uzupełnione zostaną przez korespondencję Nietzschego z Overbeckiem, dokumenty wielce podobno dla pani Foerster-Nietzsche kompromitujące, które się stały głównym powodem napaści jej na pamięć Overbecka. Siostra Nietzschego rości sobie nieograniczone prawa do wszystkich dokumentów, dotyczących biografii lub puścizny brata i w tem mniemaniu pragnęła po śmierci Overbecka zagarnąć całą korespondencję Nietzschego, skierowaną pod adresem Overbecka, korespondencję, która, jak się należało spodziewać, zawierała niejedną ustęp, mo-

gący stanowić jaskrawy kontrast z jej biografią. Że wdowa po Overbecku i wydawca jego puścizny, Bernoulli, na propozycje jej, na jej groźby i proźby zgodzić się nie mogli i nie chcieli, jest rzeczą tembardziej zrozumiałą, jeżeli sobie uprzytomnimy powody tego niedowierzania. Stosunki pomiędzy rodzeństwem nie były bynajmniej tak idealne, jak to Elżbieta Foerster-Nietzsche w biografii swej opisuje. Podobno Nietzsche w listach swych, pisanych do Overbecka, niejednokrotnie skarżył się na siostrę swoją; podobne ustępy znalazły się i w puściznie Fryderyka Koegla, który przez dłuższy czas zarządzał archiwum Nietzschego—Elżbieta Foerster autentyczności tych kopij, które wzięte być miały przez samego Koegla z oryginałów, znajdujących się w archiwum, na razie zaprzecza. Wmieszanie się nagłe siostry i niemiłe zawikłanie stosunku Nietzschego do panny Lou Salome, co do którego nas Bernoulli po raz pierwszy nieco dokładniej informuje, jest np. jednym z dowodów braku taktu pani Foerster-Nietzsche. Najjaskrawszym jednakże dowodem, jak dalece zapatrywania rodzeństwa się różniły, jest solidarność pani Foerster-Nietzsche, ówczesnej panny Nietzsche, z wstrętnemi Nietzschemu ideami antysemity, wagneryanina i kolonizatora, doktora Bernarda Foerstera—tegoż samego d-ra Foerstera, z którym, wbrew woli brata, połączyły ją potem śluby małżeńskie.

W biografii swej usiłuje Elżbieta Foerster-Nietzsche sformułować problemat: — kto był właściwie powiernikiem Nietzschego, jako rywalizację pomiędzy „przyjaciółmi“ Nietzschego a siostrą. Według niej przewagę mieli początkowo „przyjaciele,“ wkońcu jednakże siostra jakoby odzyskała swe utracone i zapoznane prawa (patrz biografię Nietzschego, str. 834). Wywody te są już chociażby z tego względu fałszywe, że w roku 1885 nastąpił ślub Elżbiety Nietzsche z doktorem Foersterem i wyjazd obojga do Ameryki. Od tego to czasu aż do powrotu Elżbiety Foerster po śmierci męża do Europy — powrotu który nastąpił już po wybuchu obłędu Nietzschego — stosunki pomiędzy rodzeństwem były bardzo konwencyjonalne. Jedyńm więc okresem, podczas którego pewna zażyłość pomiędzy rodzeństwem, o ile takowa wogóle była możliwa, mogła mieć miejsce, były lata 1881, 1882 i 1883, czas pracy Nietzschego nad pierwszemi dwiema częściami Zarathustry... W Sils-Maria (w r. 1881) i w Rzymie (1883) widzimy nawet Elżbietę Nietzsche wraz z Piotrem Gastem przy boku Nietzschego. Filozof-poeta-prorok wtajemnicza ją we wszystkie ważniejsze sprawy swoje, oddaje w jej ręce trudną i uciążliwą korespondencję z ówczesnym wydawcą swoim, antysemitą Schmeitzerem — bo co

do wydawców, to i Nietzsche nigdy nie był uprzywilejowanym wybrańcem losu—i pozwala jej nawet czytać korekty wychodzących prac. Co do okresu więc powstawania pierwszych dwóch części Zarathustry, nie ulega żadnej wątpliwości, że Elżbieta Nietzsche należała do najbardziej na pozór wtajemniczonych. Fakt ten jednakże sam przez się niczego jeszcze nie dowodzi. Świadczy on co najwyżej o dobrych intencjach Nietzschego. Czy jednakże też same dobre chęci istniały ze strony siostry Nietzschego, jest kwestyą, wymagającą jeszcze udowodnienia. Elżbieta Nietzsche już wówczas prowadziła bardzo ożywioną korespondencję z doktorem Foersterem i żarliwie występowała wobec brata i matki w obronie jego kolonizacyjnych i antysemitycznych planów; trudno byłoby więc w każdym razie oczekiwać od niej głębszego zrozumienia dla tak zupełnie odmiennego świata myśli brata. O ile okres ten później w biografii przedstawiony został inaczej, jest już rzeczą redakcyi, której ślepo wierzyć dziś niepodobna. Świadczenie zaś Overbecka posiada wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Jako typ suniennego i skromnego uczonego o bystrym umyśle krytycznym i szlachetnem sercu, robi profesor Overbeck bardzo sympatyczne wrażenie, które potęguje się jeszcze w miarę zaznajamiania się z rolą, jaką w życiu Nietzschego odegrał. Początkowo w Bazylei przyjaźń tych dwóch młodych wówczas jeszcze uczonych nosiła cechy żywej wymiany myśli, aczkolwiek o 10 lat młodszy Nietzsche wówczas już trzymał prym. Overbeck zawczasu poznał niezwykle uzdolnienie swego kolegi i bez wahania uznał jego pierwszeństwo; mimo to pozostał jednakże w swym światopoglądzie dość niezależnym. Różnica wieku była tutaj przede wszystkim na przeszkodzie, aby Overbeck mógł być stać się uczniem Nietzschego. Drugą ważną przeszkodą był fanatyzm Nietzschego.

Należałoby zwrócić specjalną uwagę na charakter tego fanatyzmu. Nietzsche posiadał wysoce przenikliwy zmysł krytyczny. Jego uzdolnienie krytyczne jest nawet do pewnego stopnia jedną z najwybitniejszych zalet jego talentu. Krytycyzm ten jednakże był raczej intuicyjny niż analityczny, dlatego też mógł iść ręką w rękę z drugą wybitną cechą jego charakteru: z jego skłonnością do przesady. Niejednokrotnie w dziełach jego natrafiamy na aforyzmy, będące znakomitą ujęciem i sformułowaniem zagadnienia, a kończące się niemal że karykaturalnem wyolbrzymieniem. Takie stanowisko zajął np. Nietzsche wobec pod wieloma względami pokrewnego sobie Szyllera. Że podobne ekscesy nie mogły przypaść do smaku ścisłemu Overbeckowi, jest rzeczą zro-

zumiała. Różnica ta zasadnicza z biegiem lat nieustannie wzrastała, im bardziej Nietzsche czuł się powołanym na proroka i prawodawcę nowej Europy. Że mimo to stosunek przyjacielski trwał dalej, przypisać głównie należy wysokiej rzetelności i taktowi Overbecka, który nigdy nie przestał cenić wielkich zalet umysłu i charakteru swego przyjaciela, zbyt dobrze jednakże znając jego osobliwości, nie brał wszystkiego, co Nietzsche o sobie pisał lub mówił, bez pewnej przymieszki krytycyzmu. O stosunku swoim do Nietzschego pisze Overbeck raz pod adresem tych, którzy starali się przyjaźń jego w innem, mniej korzystnem świetle przedstawić, następujące słowa: „Przeciw publicznej krytyce naszej przyjaźni w gruncie rzeczy nic nie miałem aż do końca. Wszak była o tyle rzeczowo uzasadniona, o ile dotyczyła mojej niewystarczającej zależności. O tem mogła, dajmy na to, publiczność wiedzieć, co zaś do reszty mego stosunku względem Nietzschego, to nic o nim dotychczas nie wiadano. Nie miałem więc powodu do bronienia się.“ Przyjaźń Overbecka nosi cechy wybitnie męzkie; podziw jego dla przyjaciela łączy się z zupełną niezależnością umysłową, a miłość jego nigdy nie jest ślepa. Nawet tam, gdzie chodzi o krytykę, mamy jeszcze wrażenie, że krytykiem jest człowiek czujący doniosłość i wierzący w niepospolitość krytykowanego. Nietzsche sam skarżył się niejednokrotnie na brak zapłała ze strony Overbecka, nie przeszkadzało mu to jednak we wszystkich ważniejszych sprawach zasięgać przez dłuższy szereg lat rady swego „starego, wiernego“ Overbecka, a Ernst Homeffer ma zupełną rację, pisząc w swem ciekawem studyum krytycznem: „Nietzsches letztes Schaffen“ następująco o tym stosunku: „Overbeck oddał niejedną usługę przyjacielską Nietzschemu. Każda sama przez się może się na pozór wydać drobnostką, w swej ciągłości jednakże, powtarzając się z roku na rok, usługi te dowodzą wysokiej obowiązkowości.“ Wierność Overbecka, posunięta aż do drobnostek, przyczyniła się prawdopodobnie do ułatwienia Nietzschemu pod niejednym względem jego ciężkiego i samotnego losu, szczególnie w tym okresie, gdy go prawie wszyscy byli opuścili, a siostra, która później tak niesłusznie napadła na pamięć Overbecka, bawiła z mężem swoim w Ameryce, pracując nad urzeczywistnieniem „Nowej Germanii.“

Pamiętniki Overbecka wyszły dopiero w kilka lat po śmierci Overbecka. Opóźnienie to wywołane zostało sporami z archiwum Nietzschego. Karol Albrecht Bernoulli jest zarazem wydawcą, komentatorem i rzecznikiem Overbecka. Dzieło jego „Franciszek Overbeck i Fryderyk Nietzsche“ — niezmiernie interesująca

charakterystyka owych dziejów przyjaźni — obejmuje po za pamiętnikami Overbecka bardzo okazały szereg cennych dokumentów biograficznych, dających nam możność głębszego wniknięcia w życie, charakter i indywidualność Nietzschego. Główne zalety pracy Bernoulli'ego dałyby się mniej więcej następująco określić. Jest ona bardzo gruntowną korektą biografii, napisanej przez siostrę Nietzschego, pierwszą ściśle psychologiczną, bezstronną analizą umysłowości Nietzschego, opartą na obszernych i zupełnie nowych dokumentach biograficznych i krytyką jego filozofii, obejmującą szerokie perspektywy.

*

*

*

Stosunek nasz względem filozofii Nietzschego wówczas dopiero będzie owocny, gdy zajmiemy wobec niej stanowisko bardziej krytyczne, niż dotychczas. Uważam tutaj za rzecz może niezupełnie zbyteczną zaznaczyć, że przez stosunek krytyczny nie rozumiem naturalnie negacyi Nietzschego. Negacya mogłaby być równie stronną i mało kompetentną, jak bezwzględne, ślepe uwielbienie. Zasługa Nietzschego, jako herolda idealizmu, jako pierwszego, który znów obudził silną otuchę i nadzieję wyzwolenia Europy z niewoli pozytywizmu i materializmu, jest niezaprzeczenie wielka. Twórczość jego była, jak ów pierwszy błysk świtaającego dnia, który tysiące barw i tonów budzi. Ale co do jednego, i to jak na teraz najważniejszego punktu, nie powinniśmy się łudzić: twórczość Nietzschego była zaledwie pobudką. Drogi, które nam filozofia jego utorowała, okazały się, mimo, że kierunek ich nie jest mylny, drogami bez wyjścia. W Zarathustrze porównywa się Nietzsche do kaleki, stojącego u mostu, który wiedzie w daleką krainę nadczłowieczeństwa. W porównanie to Nietzsche później sam przestał wierzyć, w ostatnim okresie swojej twórczości, gdy poczuł się na siłach do przeszacowania wszystkich wartości; a jednak czemżeż jest ów sen o królestwie nadczłowieka, jeżeli nie najwymowniejszem świadectwem ucieczki przed rzeczywistością, pewnego rodzaju, że tak powiem, rezygnacyą, połączoną z optymizmem *quand même*? Overbeck bardzo trafnie nazywa ten optymizm Nietzschego optymizmem „z desperacyi.“ Przypatrzmy się nieco uważniej psychologii tej przemiana-

ny. Po entuzjastycznym wystąpieniu w „Narodzinach tragedyi“ i pierwszych pismach krytyczno-kulturalnych (Unzeitmässige Betrachtungen) następuje nagły zwrot do sceptycyzmu, zwrot, który staje się powodem rozdzwiewku z Wagnerem i owego listu Cosimy Wagner, pisanego do siostry Nietzschego, a będącego arcydziełem kobiecej zjadliwości. A potem tenże Nietzsche sceptyk, cynik i patolog, chełpiący się tem, że z zimną krwią jest w stanie „zamrażać i analizować“ ideały, przedzierzga się naraz w zachwyconego proroka, poetę, kapłana?... Jakież to były siły, które nagle tak spotęgowały moc jego, na takie go wyżyny wyniosły, że począł mówić o myślach żyjących 6000 stóp nad powierzchnią morza i o wiele wyżej jeszcze po nad sprawami ludzkiemi? Czyż nie były to przypadkiem siły lat młodzieńczych, które wkońcu po tylu „przewycięzonych“ świtach i zorzach zawładnęły znów z niesłychaną mocą całym jestestwem jego? — Tak mniej więcej formułuje Bernoulli problemat biograficzny Nietzschego. I rzeczywiście, twórczość Nietzschego, jeżeli się w nią zagłębimy, jest obrazem nie rozwoju, ale przemian, a metamorfozy te przypominają bardzo wahanie się pomiędzy dwoma krańcami: pomiędzy pozytywizmem a... romantyzmem. Nietzsche był pozytywistą i romantykiem, ale nigdy jednocześnie. Oba te prądy ustępowały sobie nawzajem miejsca w jego umyśle, który posiadał tak wielką skalę impresyi, że był w stanie oba ogarnąć i wyrazić, ale nie mógł ich ani scharmonizować, ani przetopić w nową całość. Pokrewieństwo Nietzschego z romantyzmem wykazał bardzo przekonująco Karol Joël, profesor uniwersytetu w Bazylei, w pięknym dziele swoim: „Nietzsche und die Romantik“ (wydanem w r. 1905 w Jenie w nakł. E. Diederichsa). Schopenhauer i Wagner, których wpływ na Nietzschego jest rzeczą dowiedzioną i przez niego samego, pomimo późniejszych protestów, wielokrotnie zadokumentowaną, byli obaj, według słów tegoż Nietzschego, największymi dziedzicami i kontynuatorami romantyzmu. Czyż więc nie jest w końcu rzeczą naturalną, że i u Nietzschego pewna część tej romantycznej puścizny się znalazła. Już młodość Nietzschego znajdowała się pod wpływem romantyzmu. Novalis i Hoerderlin są dobrymi duchami jego lat chłopięcych, a „Hyperion“ Hoerderlina może pierwszym przeczuciem nadczłowieka. Koberstein, historyk Romantyzmu, jest jego nauczycielem w Schulpforcie, a najlepszy przyjaciel jego z czasów szkolnych, Rohde, kończy swą działalność literacką, jako komentator romantyzmu. Naturalnie, że i u niejednego z romantyków możnaby znów znaleźć pewne pokrewieństwo z twórcą Zarathustrą. Tak np. Tieck nie-

jednokrotnie nazywa człowieka „bufonem,” a Fryderyk Schlegel utrzymuje, „że dobrowolna śmierć jest rzeczą słuszną, gdy tymczasem pozostanie przy życiu niejednokrotnie nieprzyzwoitością.“ Podobnie Nietzsche, który pragnie, aby twórczość jego rozumiana była jako „saturnalie ducha,” żąda Tieck: „niechaj bachiczne szaleństwo zapali każdego ducha; życie jest zawrotnym tańcem. Dalej w dziki płas, a niechaj wszystkie instrumenty zabrzmią wraz gromkimi akordy. Jakiż radosny szal ogarnia ducha naszego, jeżeli danem mu jest ujrzeć mnogie, tysiączne, mieniące się, barwne, kołyszące się, taneczne postacie, odradzające się w nim nieustannie, nowe i pełne wesela. Dotknięta, obłana jasnością uśmiechu tysiąckrotnej miłości, otula się dusza w płaszcz z różnobarwnych pieśni, a radosny okrzyk jej wzlatuje pod niebiosą. Gdzieżby powszednie, ociążałe życie przystęp do niej tak łatwo znaleźć mogło?“ Novalis zaś pyta: „Czyż musimy zawsze być rozważnymi? Kto za stary jest, aby marzyć, ten niech unika schadzek młodzieży. Świąćcimy dziś saturnalie literackie. Im życie barwniejsze — tem lepiej!“ I pod względem formalnym są romantycy, jak to słusznie profesor Joël wykazuje, do pewnego stopnia poprzednikami Nietzschego. Pod tym względem zasługują naprzykład słowa Fryderyka Schlegla o aforystycznej formie twórczości na uwagę. „Piszący jednolite dzieła — powiada Schlegel — są nierównie skromniejsi niż ci, którzy chcą myśli wypowiadać, gdyż dzieła mogą być jedynie zestawieniem dzieł, a myśli wobec tego pozostaje jedynie rola, dać rzeczy pierwszeństwo i skromnie cofnąć się w kąt. Myśli jednakże, pojedyncze myśli, są zmuszone domagać się swojej własnej formy, muszą rościć pretensyę do oryginalności i bezpośredniości.“

Pokrewieństwo Nietzschego z Romantyzmem otwiera nam oczy na właściwe stanowisko jego wobec terażniejszości. Czyż problemat jego twórczości nie dałby się w końcu sformułować w podobny mniej więcej sposób, jak problemat twórczości E. T. A. Hoffmanna naprzykład, albo problemat twórczości Jensa Piotra Jacobsena, Allana Edgara Poe'go, Cypryana Norwida? Podobieństwo tej syntezy romantyczno-realistycznej dałoby się w końcu nawet odnaleźć w twórczości Fechnera, który atoli o wiele szczęśliwiej harmonizuje oba krańce naszej terażniejszości. W Nietzsche bądź co bądź dualizm ten najsilniej i najjaskrawiej się uwytatnia. Nietzsche stał się dla nas owym kwasem, który dopiero umożliwia dokonanie pewnej duchowej syntezy. On to pobudził dwa główne elementy, wypełniające naszą terażniejszość: pozytywizm i romantyzm do silniejszej akcyi. Ale synteza ich mu się

nie udała. Zadanie to jest jednym z głównych zadań przyszłości. Szybki rozkwit i niespodziany zanik romantyzmu w pierwszej połowie XIX wieku pozostanie jedynie epizodem w dziejach pewnej ewolucji kulturalnej, której końca dziś jeszcze przewidzieć niepodobna, a która prawdopodobnie będzie charakterystyczną cechą nie tylko całego XIX wieku, ale i naszych dni. Cały ten okres, bez względu na to, czy romantyzm lub pozytywizm, naturalizm lub symbolizm posiadają przewagę, będzie w końcu problematem nowej syntezy idealizmu i realizmu, a dokonanie tej syntezy — znamiem nowego wielkiego stylu. Dopóki się nam to nie uda, stylu naszego mieć nie będziemy. Nietzsche zaś jest, jak ów okręt strzaskany w pobliżu przystani, do której prędzej czy później zawiązać musimy; ostrzega i wskazuje zarazem drogę.

*

*

*

Stanowisko Nietzschego względem romantyzmu nasuwa drugie ważne pytanie, dotyczące jego stosunku względem kultury klasycznej. Temuż samemu uczonemu Karolowi Joëlowi, który pierwszy wykazał pokrewieństwo Nietzschego z romantyzmem, zawdzięczamy tę doniosłą i interesującą analizę (patrz rozprawę Joëla „Nietzsche und die Antike“). Joël formułuje zagadnienie to następująco: „Problemat kultury klasycznej staje się dziś problematem Nietzschego, a problemat Nietzschego — problematem kultury klasycznej.“ W miarę swego rozwoju oddala się Nietzsche coraz bardziej od ideału greckiego, wobec którego zawsze zajmował stanowisko od dotychczasowych gorących wielbicieli Grecyi starożytnej odrębne (np. w „Narodzinach Tragedyi“). Stanowisko to przypomina pod wieloma względami ilustracyę Wyspiańskiego do Homera. Wyspiański bowiem również przedstawia nam Greków jako silnych, wspaniałych barbarzyńców. Swego uwielbienia dla Greków wyrzeka się Nietzsche w końcu na rzecz „antypodów Grecyi“ — Rzymian. Dlaczego? Nietzsche czuł bardzo dobrze, że Grecy zawiedli go drogą szału dyonizyjskiego w krainę romantyzmu. Stosując więc względem siebie swoją „antyromantyczną“ metodę, z której był wielce dumny, daje Grekom odprawę. W „Zmierzchu Bożyszcz“ znajdujemy aforyzm zatytułowany słowami: „To, co zawdzięczam światowi starożytnemu.“ „W stylu

moim, nie wyłączając Zarathustry — pisze tam Nietzsche z właściwą sobie w tym okresie twórczości przesadą — każdy odnajdzie bardzo poważną ambicję osiągnięcia stylu rzymskiego, stylu owego „aere perennius.“ Nie inaczej przedstawia się stosunek mój względem Horacego. Do dziś dnia żaden poeta nie wzbudził we mnie podobnego chociażby zachwytu artystycznego, jaki od początku zawdzięczam każdej odzie Horacego... wszystko to jest w gruncie natury rzymskiej, a jeżeli słowa moje zasługują na wiarę — dostojnem par excellence. Grekom równie silnych wrażeń nie zawdzięczam; Grecy, mówiąc bez ogródek, nie są w stanie być dla nas tem, czem Rzymianie. Od Greków niczego się nauczyć niepodobna — natura ich zanadto nam już obca, a przytem i zanadto płynna, aby mogła działać nakazująco, klasycznie. Któżby mógł się od Greków nauczyć pisać! i czyż byłibyśmy bez Rzymian do tego zdolni?“

Mimo takich zapewnień widzimy jednakże, jak daleki jest Nietzsche w rzeczywistości od trzeźwości i rzeczowości Rzymian. Tutaj to właśnie, w tym kontraście należałoby szukać głównych wskazówek, dotyczących psychologicznej analizy umysłowości Nietzschego. Dlaczegoż wielbiący trzeźwość pozytywista Nietzsche staje się prorokiem z Sils-Maria — głosicielem wiecznego powrotu wszechrzeczy? Co upoważnia go do tej pozornej dwuznaczności? Bernoulli bardzo słusznie kładzie nacisk na to, że postąpilibyśmy względem Nietzschego, jako filozofa, bardzo niesłusznie, gdybyśmy ową dwuznaczność chcieli jedynie tłómaczyć, jako dowód bezsilności, brak zdolności do stworzenia systematu. Przeciwnie, zagłębiając się w świat myśli Nietzschego z tego okresu twórczości, będziemy musieli przyznać, że twórczość ta nacechowana jest znamieniem genialności. Pozytywista Nietzsche uczuwa potrzebę metafizyki. On, który raz na zawsze zerwał mosty, wiodące w światy nadzmysłowe?... Droga, którą Nietzsche obiera, świadczy wymownie o śmiałości jego, jako myśliciela, wiedzie go ona wprost do podnóża Sfinksa.

„Co było powodem fiaska kultury Aleksandryjskiej? — pyta Nietzsche. — To, że nie potrafiła, mimo wszystkich swoich pożytecznych odkryć, mimo rozbudzenia żądzy i radości poznania, dać temu światu, temu życiu ludzkiemu ostatecznej siły dośrodkowej. Świat nadzmysłowy przeważył! Nietzsche pragnie zachować światopogląd pozytywistyczny, jednocześnie jednakże chciałby wszelkie wartości ziemskie do tego stopnia napoić owem fluidum metafizycznym, żeby ważkość ich dorównała wadze transcendentalnych wartości. Tendencję tę wyraża myśl nadania temu życiu

ziemskiemu, doczesnemu cech wieczności. Życie, jako wieczny powrót wszechrzeczy, jako złoty pierścień powrotu! Oto, według Nietzschego, rozwiązanie tego zagadnienia, oto niesłychana śmiałość jego—próba stworzenia fizykalnej metafizyki. Mistyka Nietzschego nie jest ani dostatecznie uzasadniona, ani dostatecznie przekonywająca, aby można było na niej oprzeć światopogląd przyszłości, jest ona jednakże bądź co bądź znamienym objawem naszych czasów i jako taki posiada swoją wartość specjalną. W tej paradoksalnej na pozór hipotezie, sformułowane zostało zagadnienie, nad którego rozwiązaniem pracuje cała nasza szamocąca się w sieciach relatywizmu i specjalizmów współczesność!

*

*

*

Kiedy Herder zbiorem swoich pieśni ludowych, jakby błyskiem pochodni, zapalił nagle serca poetów „burzy i wrzenia“, a pieśni Ossyana zadrgały nowem życiem w sercu Wertera—i w sercach tysięcy, kiedy całe życie północnej Europy zdawało się budzić z uspienia, zdzierać pseudoklasyczne, zapożyczone u południa, łachmany, i święcić nowe, niesłychane saturnalie ducha—wielkie święta odrodzenia z ducha i z ziemi ojczystej, zrodzona została idea nowej kultury europejskiej, kultury, która bierze swój początek na północy. Preludjum do tej kultury przebiegło dreszczem niesłychanym wszystkie literatury Europy, budząc nowe tony, młode myśli, wspaniałe konstelacye twórcze... Tak mistrz próbuje instrumentu, na którym swoją pieśń nad pieśniami wygrać zamierza. Ręka jego, jakby głaszcząc, przesuwają się po lśniących strunach, targa za trzewa basów, wyrzuca ku niebu kaskady tonów wielorakich, błogosławi hejnałom, płynącym majestatycznie, jak białe obłoki po lazurze nieba, wspina się po cudnej z tęczywych przędzy utkanej drabinie, wzwyż, wzwyż... i jakby ulecieć chciała ku dalekim niebom, zawisa nieruchomo w powietrzu. Gwar wielostrunny brzmi jeszcze dokoła, tony kłóć się i spierają o niedospiewaną zda się pieśń,—w basach szemrzą dalekie gromy, we wiolinach ostatni poszept jedwabisty zamiera,—a ręka nieruchoma wskazuje ku niebu, i naraz... bezwładna, jak ptak trafiony w serce, opada. Hej, pieśni! kiedyż do nas zawitasz? Kiedyż i skąd? Długo jeszcze czekać będziemy na rytm twój tryumfalny? Gdzieś,

jakieś ręce uderzają akordy dalekie... Coś się budzi, coś woła... Gdzież pieśń! A potem znów długie, długie, jak wieczność długie, milczenie. Hej! hejże! Harfo północy! Pieśń nam daj, zapowiedzianą królewską pieśń!... Cisza—jak śmierć, westchnienia tęskne, jak skargi cyprysów—ciemna, ołowiana nawała chmur i przebłyski nagłe krwawych, wypłakanych piękności... Pieśni chcecie?—ależ pieśń już idzie, zdaleka, raz głośniejsz, to znów ciszsz, to prawie zamierając, to znów rosnąc, sunie ku nam. Otwórzcie uszy i wrota serc! Inaczej gra ona harfa, niż wszystkie harfy ludzkie. Gra ona dźwiękami i ciszą, zwycięstwem i porażką, zapomnieniem i przypomnieniem, śmiercią i życiem. Czyż nie czujecie, jak rytm jej powolny, nieuchwytny, niby oddech wiatrów, już się zgęszczać poczyna, jak cisza coraz krótszą się staje, jak coraz gęściej uderzają z niej gromy nowych zachwyków? Trzebaż wam koniecznie polonezowego tętna, aby uwierzyć w istnienie pieśni? Otwórzcie uszy!

Chcielibyśmy, aby sztuka była panią życia, aby jak blask tęczowego łuku przymierza „zajaśniała nad nami po potopach historii...“ Chcielibyśmy... dziś chcemy więcej. *Chcemy życie podnieść do potęgi stylu!* I tutaj znów w tym naszym radykalizmie idealistycznym stykamy się z naczelną tęsknotą Nietzschego. Życie podniesione do potęgi wieczności, życie podniesione do potęgi stylu—inaczej: niesłychane spotęgowanie życia—saturnalnie życia! Pomiędzy ludami Europy, które po przedwczesnem bankructwie romantyzmu najrychlej przyszły do pewnej równowagi, znajdują się przedewszystkiem Anglia i narody skandynawskie. Z tych to ognisk północnych padają znów pierwsze błyski i pierwsze pioruny uderzają. Skandynawii zawdzięczamy rozbudzenie dusz, Anglii—odrodzenie zewnętrznych kształtów, t. j. pierwsze zrównoważenie i szarmonizowanie zewnętrznego i wewnętrznego życia. Do jakiego stopnia wszystkie te objawy, które dotychczasowi „realiści“ zwykli byli nazywać pogardliwie „utopiami idealistów,“ wywarły i wywierają wpływ na życie ekonomiczne, socyalne i polityczne ludów, wykaże historia ruchu w Europie, który należałoby nazwać dążeniem do stworzenia nowoczesnej kultury—kultury północy. Nie miejsce tutaj szkicować zarysy historyczne; fakty i objawy jednakże, o których zamierzam mówić, są przyczynkiem do nich. Chodzi o dzieje odrodzenia sztuki stosowanej w Niemczech i znaczenie tego odrodzenia dla stylu i kultury niemieckiej wogóle. Dzieje te obejmują zaledwie okres dziesięcioletni. W ciągu tego krótkiego czasu jednakże złożone zostały dowody, świadczące bardzo wymownie o pomyślnym rozwoju wspo-

mnianych tendencyj. Mam tutaj na myśli wystawę wszechświatową w St.-Louis, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, na której po raz pierwszy sztuka stosowana niemiecka zwróciła na się uwagę całego świata ucywilizowanego i wystawę Drezdeńską z r. 1906, która stała się jej pierwszym większym tryumfem w obrębie Niemiec. Dotychczas w zakresie sztuki stosowanej znał świat jedynie styl francuski lub angielski. Francya i Anglia dyktowały mody. Z Paryża lub Londynu czerpano przepisy, dotyczące życia zewnętrznego—fakt ten może z czasem wyda się oddalanej przyszłości nieskończenie śmiesznym, jeżeli porówna go z napuszoną mową naszego indywidualizmu i nacyonalizmu. Zagorzali „nacyonalisci“ i „indywidualisci“ ubierają się na modłę paryską lub londyńską, żyją w mieszkaniach, będących mniej lub więcej udanymi kopiami królewskich i szlacheckich pałaców Francyi lub mieszczańskich, zasobnych „home'ów“ Anglii, posługują się przestarzałymi formami i formułkami, nie mającemi żadnej styczności z życiem terażniejszości, pozują na rycerskość Bergerac'ów lub na wolnomyślność wolteryanów... Gdzież i w czem uwydatnia się ta okrzyczana oryginalność, bezpośredniość, prawdziwość ich nacyonalizmu i indywidualizmu? Chyba, że w ich technicznych i naukowych zdobyczach, które są niezawodnie imponującym objawem, ale nie objawem oryginalności ducha, lecz co najwyżej świadectwem wielkiej wprawy i mechanicznej, że się tak wyrażę, zręczności—Nietzsche nazwałby je zapewne wielbłądzimi zaletami. Styl francuski, który przez stulecia całe niepodzielnie panował nad Europą i do dziś dnia jeszcze tu i tam panuje, jest ciąglem odgrzewaniem przeszłości dawno minionej: kultury dworskiej Burbonów lub Bonapartych, nie mającej najmniejszej styczności z naszym, na zupełnie innych podstawach opartem, życiem. Że dysonans ten nas nie raził dotychczas, przypisać należy przedewszystkiem naszemu kompletnemu znieczuleniu i zobojętnieniu na wszelkie objawy stylu lub stylowości, albowiem zdolność formalna Francuzów, ich umiejętność tworzenia zestawień harmonijnych, akademicko-harmonijnych (t. j. harmonijnych w sobie, nie zaś w stosunku do terażniejszości), ich zmysł plastyczny, ich wytworna kultura kolorów i odcieni—nie są w stanie ukryć ich kompletnej bezwyznaniowości i bezstylowości. Przeciw samowładztwu Francyi w sprawach dobrego smaku powstała już ku końcowi XVIII w. reakcyja w Anglii, której wyrazem stał się mieszczański, solidny, do komfortu zmierzający, styl angielski, który przedewszystkiem znalazł wcielenie w umeblowaniu i odzieży. Uzupelnienie, rozwój i udoskonalenie tych idei nastąpiło atoli w drugiej połowie XIX w., po prze-

szło 30-letniej walce i zabiegach, przy żywym współdziałaniu i za inicjatywą takich mężów, jak: Carlyle, Morris, Ruskin, Crane, Beardsley. Styl angielski od lat dwudziestu mniej więcej zapewnił Anglii na rynku świata stanowisko wyłączne. Podczas, gdy w Anglii dokonywała się przy względnie normalnych warunkach politycznych wspomniana metamorfoza, resztę Europy szarpały wojny, rewolucje i niesnaski. Tym to pomyślnym dla siebie okolicznościom zawdzięcza Anglia przede wszystkim swoje pierwszeństwo w sprawach, dotyczących kultury. Obok Francji i Anglii stają w ostatnim dziesięcioleciu Niemcy w szranki współzawodnictwa. Twórczość niemiecka w dziedzinie sztuki stosowanej ograniczała się przez długie lata do tanich imitacji stylów francuskich lub angielskich. Produkcja ta, zapewniająca na pozór wielkie zyski materialne, okazała się jednakże, jeżeli wpływ jej na dalszą metę uwzględnimy, ekonomicznie i moralnie nader szkodliwą. Pojedynczy fabrykanci co prawda z niej ciągnęli poważne zyski, ale na niekorzyść całej nacji. Na rynku wszechświatowym bowiem nie ten naród, nie ta produkcja zyskuje palmę pierwszeństwa, która najtaniej podrabia wyroby cudze, ale ta, która dobrze i oryginalnie tworzy. Widzimy to już z cen, które każdy prawie gotów jest płacić za rzeczy oryginalne, a że takie wyroby szanującej się i dbającej o swoją renomę wszechświatową produkcji wypadają w końcu taniej, niż o wiele tańsze imitacje, wie zapewne niejedyn z doświadczenia własnego. Różnica zaś cen, płaconych na rynku wszechświatowym za wyroby oryginalne i podrabiane, wpływa w końcu bezpośrednio na wysokość płacy robotniczej, utrudnia warunki bytu klasy pracującej w przemyśle, fabrykującym imitacje, i wytwarza nienaturalną nadprodukcję, która się na tymże przemyśle niekorzystnie odbić musi. Wszystkie te następstwa, na fałszywym założeniu opartej produkcji, przemysł niemiecki na sobie doświadczył. Tryumfy polityczne i stworzenie państwa niemieckiego, które się stało źródłem nagłego materialnego rozkwitu Niemiec, nie spowodowały żadnego polepszenia pod tym względem. Przeciwnie, rzucono się z jeszcze większą poządlivością na wszelkiego rodzaju imitacje. Całe życie wielkomijskie w Niemczech ósmego dziesiątka lat wieku XIX począwszy, przybiera coraz ohydniejsze formy tandetności i śmiesznie napuszonej pretensjonalności. Podrabianie nie tylko cudzych stylów, ale materiału, marmuru, kamienia, brązu, drzewa staje się rzeczą powszednią. Wszystko, od marmurowej klatki schodowej do objets d'art z masy papierowej, od nalepionej, imitującej stylowość, fasady gipsatur i jedwabnych obić w apartamentach, jest

kłamstwem, pozą, a co najgorsza, że nikt tego kłamstwa nie widzi. Tombakowy przepych, sięgający, dzięki swej taniości, w sfery nawet mniej zamożne, podnieca instynkta używania à tout prix, budzi i karmi upodobanie do lekkomyślnego życia nad stan i co raz bardziej podkopuje moralne i materyalne siły narodu. Przeciw temu niezdrowemu i obrzydliwemu smakowi, zwanemu słusznie „stylem dorobkiewiczów“, walczy młoda sztuka stosowana niemiecka. Walka naturalnie jeszcze nie rozstrzygnięta, chociaż pierwsze placówki już zdobyte. Nie chodzi tutaj naturalnie o „nowy styl“, który nie może być wynaleziony, jak nowa maszyna lub nowy perkalik, dowody na to złożyły w wystarczającej mierze owe sztuczne, na papierze wykombinowane „style“, jak np. secesya, Jugendstil i t. p., które się już po kilku latach przeżyły. To, do czego sztuka stosowana w Niemczech, a za jej inicjatywą cała młoda sztuka niemiecka dąży, jest przedewszystkiem rozbudzenie w narodzie poczucia prawdy, rzetelności, celowości, samodzielności i rzeczowości. Nowy styl nie jest dzieckiem przypadku lub pomysłowości jednostek. Jako wyraz usiłowań i tendencji pewnej epoki w kulturze narodowej zamyka on w sobie wszystkie cechy duchowe tego okresu—jest ich wcieleniem. O ile owe usiłowania i tendencje są szczerze i usilne, o tyle zewnętrzna ich forma, ich styl będzie oryginalnym i trwałym. Wszędzie jednakże, gdzie chodzi jedynie o zabawkę lekkomyślną, o pozowanie na coś, czem się w rzeczywistości nie jest, wszędzie, gdzie życie duchowe i zewnętrzne nie mają z sobą żadnego bliższego związku, powstaje owa maskarada stylów, w której już przeszło pół wieku żyjemy i która, wyjąwszy Anglię, jest rysem charakterystycznym naszej „kulturalnej“ Europy.

Prawdziwą kulturą jest jedynie podniesienie całego życia do potęgi stylu! Ale ów styl „moderne?“... Jakież styl, jakież oznaki stylowości?... Jałowe pytania, z którymi się nieustannie na łamach gazet i czasopism spotykamy! Tak najzupełniej niesłusznie pytającym i niepokojącym się, przytoczę słowa budowniczego, Piotra Behrensa, który należy dziś w Niemczech do najwybitniejszych i najzasłużeńszych „twórców nowego stylu.“ Słowa te zawarte są w jego pięknym traktacie o teatrze, jako najwyższym symbolu kultury. (Tytuł tego traktatu: „Feste des Lebens“). „Gniewają się ci prorocy fałszywi—pisze Behrens—że mądrość ich okazała się fałszem. Owa mądrość, że nowego stylu w sztuce nie otrzymamy nigdy, że styl nowy jest wynikiem sztuki starej, że go wynaleźć niepodobna. Pod tym ostatnim względem wszakże fałszywi prorocy mieli rację. Dziś mamy dowody na to, że nowy

styl będzie, nowy styl nie ze starej sztuki powstały, że ten nowy styl już istnieje, w zaczątku przynajmniej. Jużci trzeba mieć oczy, aby go dostrzedz i dobrą wolę i wiarę w piękno, a poznacie, że się coś rodzi, że coś powstaje, co życiu naszemu bardziej odpowiada, niż owe wyszukane, dziwaczne kształty, które są na pozór „moderne,“ w rzeczywistości jednakże słabą tandetą, stworzoną przez tych, którzy z nowości chcą zrobić interes... Gniewają się owi prorocy fałszywi, że nie mieli racyi, mówiąc: w sztuce nowego stylu mieć nie będziemy. Gniewają się, że się omylili. I mylą się znów, jeżeli utrzymują, że w sztuce dramatycznej stylu mieć nie będziemy. I będą się znów gniewali. Mylić się i gniewać — to ich los. My zaś cieszymy się i bądzmy szczęśliwi, że jesteśmy dziećmi wieku, w którym znów silna wola, w którym znów wiara w piękno żyją!“

Silna wola i wiara w piękno — oto potęgi i gwarancje nowych rozkwitów, o ile wiara jest niezłomna i natchniona, a wola nie tylko silna, ale i czysta. Reszta jest wynikiem okoliczności i warunków, których ani obliczyć, ani przewidzieć niepodobna. Każdy naród, każda jednostka, każde pokolenie będzie tutaj musiało na własną rękę walczyć, szukać, zdobywać, a cechy wspólne i dążenia pokrewne, które w oczach przyszłości dopiero stają się znamieniem, stylem danej epoki, nie my, ale przyszłe pokolenia będą zaledwie w stanie rozeznąć. Mimo to mamy i dziś już prawo do pewnego rodzaju bilansów, które naturalnie nie mogą mieć żadnej pretensyi do określenia i ujęcia „nowego stylu.“ Charakterystyczną cechą ruchu, który zrodził nową sztukę w Niemczech, jest przede wszystkim, jak to już zaznaczyłem, obudzenie się poczucia rzetelności. Rzetelność ta, która wobec każdego objawu życia dzisiejszego stara się znaleźć odpowiedź własną, która szuka prawdy i rzeczowości, zamiast szablonów i formułek, jest zapewne dzieckiem pozytywizmu, ale pozatem nosi w sobie inne dziedzictwo: posiada łączność ze światem ducha, posiada wrażliwość na rzeczy metafizyczne i wiarę w piękno. (Synteza Nietzschego). Dowodem, jak daleko korzenie jej sięgają w głąb teraźniejszości, jest fakt, że niema dziś prawie dziedziny twórczości w Niemczech, którejby ten nowy prąd nie dotknął. Do zaznajomienia się z nim nadają się przede wszystkim dzieła takich autorów, jak Alfred Lichtwark, Schultze-Naumburg, Herman Obrist, Lotaryusz Kunowski, Piotr Behrens, takie czasopisma jak „Kunstwart,“ redagowany przez znanego poeę, Ferdynanda Avenaryusza, dwutygodnik „Der Türmer“ i miesięcznik „Die Kunst,“ wychodzący w Monachium w nakładzie A. Bruckmann'a, czasopismo, które

pod wieloma względami przypomina znakomity miesięcznik angielski „The Studio“ i chociażby ze względu na porównania ze sztuką angielską, które nasuwa, daje możliwość lepszej oceny odrębności niemieckiej. Obok dzieł Pawła Schultze-Naumburga, któremu, jako jednemu z pierwszych, należy się zasługa uświadomienia Niemcom potrzeby jednolitości w objawach życia zewnętrznego i wewnętrznego, warto by przede wszystkim zwrócić uwagę na twórczość literacką Hermana Muthezyusza. Herman Muthezyusz wydał w r. 1904 szereg studyów pod tytułem: „Kultur und Kunst“ (Kultura i Sztuka); dalszym ciągiem i do pewnego stopnia uzupełnieniem tych prac jest wydany w roku przeszłym pod tytułem: „Kunstgewerbe und Architektur“ (Sztuka stosowana i architektura) drugi szereg rozpraw. Pozatem zasługują na wzmiankę, jego obszerne dzieła, dotyczące architektury: „Das Englische Haus“ („Dom mieszkalny w Anglii,“ 3 tomy, wyd. w r. 1904), „Die Englische Baukunst der Gegenwart“ („Współczesna architektura w Anglii,“ wyd. w r. 1900), „Die neuere Kirchliche Baukunst in England“ („Nowsza architektura kościelna w Anglii,“ wyd. w r. 1901) i dwa dzieła, dotyczące specjalnie architektury niemieckiej, „Stilarchitektur und Baukunst“ („Architektura stylowa i sztuka budowlana,“ wyd. w r. 1903) i „Landhaus und Garten“ („Dom wiejski i ogród,“ wyd. w r. 1907).

Ważną zaletą Muthezyusza jest przede wszystkim jasność jego stylu. Rozprawy jego czytać może każdy z największym zajęciem i korzyścią. Nie chodzi w nich bowiem o teoretyczne zagadnienia, traktowane przed areopagiem fachowców, ale o rzeczy, dotyczące każdego i sięgające niejednokrotnie do źródeł życia współczesnego. Świadczy to, jak bardzo już dzisiejszy ruch artystyczny w Niemczech oddalił się od owych wydeptanych ścieżek dawnych praktyk akademickich. Kto zna owe ciężkie, grube dzieła, dotyczące teorii sztuki, a pisane językiem zagmatwanym i suchym, pełne jałowych kombinacyj estetycznych i uginające się pod ciężarem balastu teoretycznego, dla tego pisarz taki, jak Muthezyusz, będzie nietylko miłą niespodzianką, ale i wymownym dowodem, że rzeczywiście nowy jakiś powiew musnął całą powierzchnię życia niemieckiego. Że można już dziś tak jasno mówić o nowych tendencjach, że dają się one już sformułować, że kontrast przeszłości i terażniejszości już się tak dobrze zarysowuje — wszystko to jest nie tyle dziełem pojedynczych autorów, ile objawem jakichś nowych, bliskich rozkwitów. Nic to jednakże naturalnie nie zmniejsza zasług Muthezyusza. W dość licznym zastępie wybitnych rzeczników nowego ruchu artystycznego w Niem-

czech należy mu się dziś jedno z pierwszych miejsc. Jako przykład trafności i jasności jego wywodów przytaczam słowa, które rozpoczynają jego rozprawę „O lekcjach rysunku i nauce stylu“ (w dziele „Kultur und Kunst“): „Nic chyba lepiej nie charakteryzuje naszego dzisiejszego społeczeństwa—pisze Muthezyusz—jak jego pojęcie o tem, co ma być „wykształceniem.“ Jeżeli np. porównamy dzisiejszego „wykształconego“ człowieka z człowiekiem wykształconym z czasów Goethego, przekonamy się, że utraciliśmy dziś ważną część ówczesnego wykształcenia, a mianowicie: żywy współdziałal w sprawach poezyi, który należał wówczas bezwarunkowo do oznak prawdziwego „wykształcenia.“ Cofnijmy się jeszcze dalej wstecz—w czasy renesansu i porenansowe—a znajdziemy, że do ówczesnego wykształcenia potrzebna była bezwarunkowo znajomość gruntowna sztuk plastycznych. Kawaler ówczesny, nie interesujący się architekturą, malarstwem lub rzeźbą, był niemożliwością. Dziś ludzie „wykształceni“ nie potrzebują ani głębszej znajomości poezyi, ani znajomości sztuk plastycznych. Ze sztuk chyba jedynie muzyka i teatr są dziedzinami, z którymi do pewnego stopnia trzeba być obeznanym, ale i pod tym względem wymagania stały się bardzo umiarkowane. Rzeczywiście, wymagamy dziś od człowieka „wykształconego“ jednego tylko koniecznie: pewnej dozy filologicznej uczoności. Pojęcie naszego społeczeństwa dzisiejszego o znaczeniu wykształcenia jest najbardziej ograniczonym pojęciem o wykształceniu, jakie kiedykolwiek istniało.“

W kilku zdaniach zaledwie określa tutaj autor tak dobitnie i jasno całe ubóstwo oficjalnej „kultury“ europejskiej, że najbardziej nawet uprzedzony powinienby mu przyznać rację. Ale nie dość na tem; myśli, które wstęp ten zaledwie musnął, będą nam towarzyszyły, będą nas niepokoiły, ściagały — będziemy zmuszeni snuć je dalej i zastanawiać się nad niemi. A w tem właśnie leży owocność wszelkich roztrząsań teoretycznych Muthezyusza, że nas do powrotu do rzeczywistości zachęcają, że nie o dalekiej przyszłości mówią, o której nikt nic pewnego powiedzieć nie może, ale o naszej terażniejszości, o objawach, które każdemu mniej więcej są znane. Od czasu napisania rozprawy „O lekcjach rysunku i nauce stylu“ (w r. 1899) upłynęło już 7 lat, w ciągu których właśnie dokonany został ów znamienity zwrot w dziejach umysłowości niemieckiej, którego pierwszym widomym objawem jest rozkwit sztuki stosowanej. Niejedna więc z rad Muthezyusza, zawarta w dziele „Kultur und Kunst,“ należy już poniekąd do przeszłości, ponieważ rzeczywistość ją skutecznie, ale mimo to, dzieło Muthezyusza ze względu na polemiczne zalety swoje zasłu-

guje i dziś jeszcze na jaknajszersze rozpowszechnienie. Zręczność i humor, z jakim Muthezyusz ostrzem swej krytyki kieruje, działa i działać będzie ożywczo nawet wtedy, gdy zagadnienia, o które chodzi, nie będą już dotychczas aktualne. O wiele aktualniejsze jest naturalnie dzieło „Kunstgewerbe und Architektur“, wyszłe w r. 1907, daje bowiem dokładny obraz ruchu artystycznego w Niemczech w ciągu ostatniego ośmioletnia. Przedewszystkiem zasługuje w niem na uwagę fakt, że nowa sztuka stosowana niemiecka po pierwszych już urzeczywistnieniach swoich poczęła wywierać wpływ znamienity na odrodzenie architektury. Tak więc objaw, który początkowo brano za pewnego rodzaju przerafinowanie, dekadentyzmu, zabawkę w style i stylowość — a wielu po dziś dzień jest jeszcze tego zdania, szczególnie ci panowie, którzy zawsze uważali sztukę za rzecz drugorzędną, za... muszkę na policzku życia — zaczyna przekształcać życie nowoczesne i wsiąkać we wszystkie pory jego. Mowa tutaj naturalnie tylko o sztuce niemieckiej. O ile inne narody, o ile Francya lub ludy słowiańskie pójdą podobnymi drogami, zależeć będzie od warunków i prądów, których tutaj roztrząsać nie będę, gdyż zaprowadziłyby mnie za daleko. Przyszłość jednakże, i to nie nazbyt może nawet daleka, wykaże na przykładzie niemieckim kulturalną, ekonomiczną i polityczną doniosłość takiego odrodzenia, podobnie jak przeszłość i teraźniejszość wykazały ją na przykładzie angielskim. Po uświadomieniach, do których doszła młoda sztuka stosowana w Niemczech—Muthezyusz pisze o nich w rozprawie swej „Droga i cele sztuki stosowanej“ (patrz dzieło: „Kunstgewerbe und Architektur“), a które możnaby określić krótko słowami: „obudzenie się sumienia artystycznego w kunszcie i produkcji rzemieślniczej w Niemczech“ samo przez się rozumie się, że ruch artystyczny nie mógł się ograniczyć do przedmiotów li tylko codziennego, że tak powiem, użytku, że nie mógł pozostać w ciasnych ramach sztuki stosowanej. To też już wystawy w Darmstacie (w r. 1901 i 1904) i w Dreźnie (1906 r.) wykazują nie pojedyncze, według nowoczesnych pojęć artystycznych stworzone przedmioty użytku, ale ich szarmonizowanie w przestrzeni, w ramach mieszkania—domu. Sztuka stosowana ustępuje miejsca architekturze, dla której utorowała drogę.

Pierwsze próby reformy tej dotyczą architektury domów mieszkalnych, a ważną rolę odgrywają przytem znów pierwowzory angielskie. W dziele „Kunstgewerbe und Architektur“ znajduje się bardzo ciekawe obszerniejsze studjum, poświęcone architekturze domów mieszkalnych w Anglii, w którym Muthezyusz, jako

wytrawny znawca architektury angielskiej, wykazuje jej wielkie zalety i krytykuje bardzo trafnie i cięto stan obecny oficjalnej architektury niemieckiej. Myśli Muthezyusza, dotyczące przyszłości architektury niemieckiej i zagadnień, w jaki sposób należałoby wpływać na polepszenie obecnego stanu budownictwa, niemającego prawie nic wspólnego ze sztuką, zostały już po części zastosowane w praktyce, czego wymownym dowodem była wystawa drezdeńska z r. 1906. Reforma szkół fachowych, poświęconych kunsztom, architekturze i rzemiosłom, wprowadzenie do planu szkolnego nauki rysunku na bardziej szerokich, artystycznych opartej poglądach, powinnyby wydać pożądane owoce. Wobec bowiem naszego zupełnego braku poczucia linii i kształtu chodzić musi przedewszystkiem o stworzenie fundamentów, na których możnaby dopiero dźwignąć kulturę sztuk plastycznych. Dopóki rysowanie z natury nie będzie rzeczą tak ogólną i obowiązkową, jak pismo, dopóty na polepszenie obecnego stanu zupełnej ślepoty liczyć nie będzie można. Dalszą konsekwencją odrodzenia budownictwa domów mieszkalnych będzie w końcu—styl monumentalny, który całej naszej epoce nada znów wyraz charakterystyczny. Zaczątki tego stylu znajdujemy w twórczości takich budowniczych-artystów, jak Piotr Behrens, Jan Olbrich. Dzieła ich są wymownym dowodem na korzyść budzącej się z wiekowego uśpienia architektury, która znów chce być wyrazem twórczym życia, a nie pstrą maskaradą stylów i służebnicą archeologiczno-historycznych reminiscencyj. Architektura bowiem żyje, nie jest ona, jak to Wiktor Hugo utrzymuje, li tylko mową zamierchłej przeszłości. I terażniejszość może mieć swój styl w architekturze, aby go jednak osiągnąć, trzeba się stać panem tej terażniejszości, potrafić scharmonizować na zewnątrz treść swego bytu i nadać jej wyraz uniwersalny. Do wysokości tego zadania dorastają jedynie czasy silnej woli i głębokiej, czystej wiary w piękno. Jeszcze jeden ważny rezultat mamy pozatem nowej architekturze do zawdzięczenia: powstanie idei miast-ogrodów, której pierwsze urzeczywistnienie jest również zasługą Anglii. (Że zwrócę tutaj przedewszystkiem uwagę na pracę Howarda „Garden cities of to-morrow,” która również wyszła w tłumaczeniu niemieckiem w nakładzie Eugeniusza Diederichsa pod tytułem „Gartenstädte in Sicht.“). Harmonia architektoniczna wymaga nie tylko wewnętrznego zrównoważenia, ale i zewnętrznego, a to zewnętrzne zrównoważenie jest zależne nie tylko od ogrodu otaczającego dom, od ogrodu, który jest jednym z uzupełnień architektury, ale od całego dalszego otoczenia. Ideałem architektury musi być w końcu

zawsze szarmonizowanie dzieła rąk ludzkich z otaczającą naturą. Uświadomienie to stanie się z czasem potężnym vetem przeciw brzydocie i chaosowi dzisiejszych przeludnionych miast, rozrastających się bez żadnego wyższego planu i celu, jedynie za poszeptem spekulacji i z łaski przypadku. I w tym kierunku praca już została rozpoczęta, towarzyszy. twa, mające na celu budowę miastogrodów, istnieją nie tylko w Anglii, ale w Niemczech, Francji, Holandyi i Belgii. Najlepszy dowód na to, że cele tych towarzystw nie są utopiami, mamy w istniejącej już od lat kilku i pod względem finansowym bez zarzutu rozwijającej się kolonii Bournville pod Birminghamem, której twórcą jest fabrykant Jerzy Cadbury i w powstającym obecnie w Hitchin'ie w pobliżu Londynu mieście, którego założycielem jest stowarzyszenie „First Garden City Lim.“ Są to niezawodnie dość liczne i imponujące oznaki budzących się sił twórczych teraźniejszości, z którymi liczyć się należy. Ciekawa jest ze względu na to apostrofa Muthezyusza, skierowana pod adresem Niemiec. Ma ona i dla nas swoje znaczenie.

„Francja—pisze Muthezyusz—przez stulecia całe regulowała produkcję świata w dziedzinie sztuki stosowanej. A nawet aż do ostatnich czasów decydujący wpływ swój zachowała, pomimo że coraz bardziej poczyna tracić wewnętrzne uzasadnienie do takiego wpływu, żyje bowiem z pracy twórczej minionych stuleci, z pracy, która właściwie już przed stu laty przestała być twórczą. Pozatem i cała twórczość kulturalna ras romańskich z roku na rok coraz bardziej ustępuje na drugi plan. Za to narody germańskie coraz silniejszy wywierają wpływ przez swój pod wieloma względami odrębny światopogląd, przez swoje zupełnie inne pojęcia o potrzebach życia, przez swoje poczucie piękna. Nowożytny świat angielski jest zaokrąglonym obrazem kultury, opartej na fundamencie germańskim. A poglądy angielskie zdobywają bez przeszkody świat cały. Niepodobna aby w tym okresie poczynającej się nowej kultury germańskiej wzrastające potężnie siły niemieckie pozostały na uboczu. Pracy twórczej Niemiec w dziedzinie naukowej, oddawna już należy się miejsce pierwszorzędne. W dziedzinie techniki i przemysłu zdobyliśmy w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu jedną z najprzedniejszych placówek. W sztuce zato znaczenie Niemiec ogranicza się prawie wyłącznie do dziedziny muzyki. Rozwój bowiem malarstwa w ciągu XIX wieku jest dziełem Francji. Sztuki plastyczne znajdują się dziś w Niemczech na bardzo jeszcze niskim stopniu rozwoju, a w architekturze można zaledwie początki oryginalnej twórczości

zaznaczyć. Cudzoziemcy nie wiedzą nic o malarstwie niemieckiem, gdy tymczasem dzieła francuskich pejzażystów i impresjonistów są zarówno cenione w Ameryce, jak w Anglii i na całym kontynencie europejskim. Żaden rzeźbiarz niemiecki nie potrafił zjednać sobie sławy wszechświatowej, ale dzieła Meunier'a lub Rodin'a są znane powszechnie dzięki temu, że twórcy ich, stosownie do potrzeb czasu, potrafili rozszerzyć granice swej sztuki. Dzieła młodej niemieckiej sztuki stosowanej są pierwszym światodectwem w dziedzinie sztuk plastycznych, które zwróciło uwagę całego świata.“

Nie zawadziłoby zaznajomić się dokładniej z tendencjami tej młodej stosowanej sztuki niemieckiej. Są one bowiem nietylko dowodem oryginalnej twórczości niemieckiej, ale zarazem przykładem, w jaki sposób inicjatywa angielska została przez Niemców pożytkowana.

*

*

*

Czasy rozkwitów, czasy budzących się nowych sił twórczych odznaczają się zazwyczaj silnym optymizmem. Jedną z ich cech znamienych jest bezgraniczna niemal wiara we własną moc, przeświadczenie, że niema przeszkody, któraby mogła mocy tej przeciwstawić swe potężne veto. Pod tym względem podobne są dzieje ludzkości do rozkwitów wiosennych. Widocznie w tem natura ludzka podlega tymże samym prawom, co natura zwierzęca lub roślinna, a nawet dzieje ducha, jako w bezpośrednim związku z nią będące, wykazują uderzające analogie. Jednym z tych objawów jest olbrzymia rozrzutność zasiewów i elementarna niemal potrzeba tej rozrzutności. Nie każde ziarno bowiem wschodzi, tysiące, setki tysięcy giną, a czasem nawet cały zasiew przepada. Tak np. w „okresie burzy“ i wrzenia zdawało się wszystko początkowo zapowiadać bliskość uniwersalnej kultury niemieckiej. Nadzieje te jednakże nie zostały urzeczywistnione. Zaledwie pojedyncze jednostki zdołały wcielić siłę pierwotnego impetu w życie i w czyn. A czyż nawet Goethe, ten wyjątkowy zrównoważony reprezentant kultury uniwersalnej swego czasu, nie okazał się do pewnego stopnia zdracą idealów i nadziei swej młodości? A gdyby nie tak było, byłbyż wpływ Szyllera równie potężny

i elementarny? Winić wszelako Goethego nie mamy prawa, że w zapale swoim dla sztuki gotyckiej, dla ballad północnych i pieśni ludowych ostygł i rzucił się z zachwytem w objęcia piękności klasycznej. Czyż odkopany przez Winkelmanna problemat świata klasycznego, zaledwie muśnięty przez pseudoklasycyzm, nie był wart tego zapалу? Podobnie romantyzm Tiecków i Schległów nie był w stanie ostać się wobec tych prądów, które po za nim wywierały wpływ na życie ówczesne. Oto powody, dlaczego częstokroć nawet obiecujące początki kończą się przedwczesnym zanikiem. Ale siły zmartwychwstają, domagają się nowych rozkwitów, nowe saturnalia życia chcą święcić. W tej nieustannej walce ich z nieudolnością ludzką wyrażają się dzieje kultury i kultur. Rzeczywistość jest i musi być niemiłosierną korektorką entuzjazmu twórczego. Czyż dlatego mamy wątpić o możliwości realizacji naszych nadziei? o mocy twórczej entuzjazmu? Jako ostry, ale do pewnego stopnia paradoksalny krytyk współczesnych dążeń kulturalnych w Niemczech zasługuje Ryszard Schaukal na uwagę, przedewszystkiem dzieło jego „Leben und Meinungen des Herrn Andreas von Balthesser“ (Życie i myśli Andrzeja von Balthesser'a), w którym autor bardzo subtelnie określa cechy i istotę kultury, starając się wykazać, że teraźniejszość niemiecka o całą nieskończoność oddalona jest od właściwego pojęcia kultury. Książka Schaukala, opowiadająca w formie bardzo wytwornej życie młodzieńca-arystokraty, pracującego trochę w ambasadzie, zajmującego się sztuką, krytykującego najprzeróżniejsze objawy współczesnego życia i ginącego w końcu ze średniowieczną rycerskością w pojedynku, spowodowanym przez śmieszoną błahostkę, nie jest ani powieścią, ani nowelą, ale szeregiem luźnych, częstokroć bardzo dowcipnych traktatów na temat kultury. W swoich poglądach na kulturę i środki do osiągnięcia jej przypomina Schaukal, jak zresztą prawie wszyscy reprezentanci kultury cieplarnianej w Niemczech (np. taki Oskar Bie, Franciszek Blei, Herman Bahr i w. in.), wzory romańskie, przedewszystkiem francuskie. Myśli podobne mogłyby również mieć, dajmy na to, jakiś markiz francuski z wieku XVIII-go. Atmosfera, w której zrodzone zostały te, jak zresztą sam Schaukal je nazywa, salonowe „aperçu“ dandysa i dyletanta (dandys i dyletant są tutaj określeniami, użytymi przez autora, a definicya ich, której poświęcone są dwie rozprawy, określa wymownie stanowisko Schaukala, jako przedstawiciela i rzecznika kultury ekskluzywnej, kastowej) jest atmosferą pałacową, a zdaniem autora zdaje się jedyną, w której prawdziwa kultura powstać i utrzymać się może. Gdyby tak było,

musielibyśmy się raz na zawsze wyrzec wszelkiej myśli o kulturze nacyjalnej. Gdyby kultura zależna była przede wszystkim od form zewnętrznych, gdyby odzież, tryb życia, zwyczaje i warunki materialne decydowały jedynie o możliwości jej powstania, zamiast być jednym z jej późniejszych wyników — to istnienie kultury musiałyby być w ścisłym związku z istnieniem kasty, a niedostępność i skamieniałość kastowa jedną z głównych gwarancyj kultury. A jakżeż wyglądałaby wobec tego idea postępu? Odwieczne zagadnienie, na które ani historia, ani dotychczasowa filozofia historii nie dały nam odpowiedzi wystarczającej. „Przez słowo „Postęp“ rozumie większość — nie zdając sobie z tego sprawy — brak zdolności zapuszczenia korzeni“ — powiada Schaukal w jednym ze swoich aforyzmów. Kastą w swoim rodzaju jest jego „towarzystwo.“ Towarzystwo to jest dlań absolutem. Ma my tylko *jedno* towarzystwo. Przynależność do tego „towarzystwa“ stanowi o wartości kulturalnej jednostki. Pomijając już mglistość tej definicji — trudno byłoby bowiem określić, co to jest „towarzystwo“ i gdzie się zaczyna lub kończy dzisiejsze „dobre towarzystwo“ — niepodobna nie zakwestyonować kwalifikacyj kulturalnych tego właśnie dobrego towarzystwa. Że „kultura obyczajów“, jak ją Schaukal nazywa, jest rzeczą cenną i pożądaną, że ludzie kąpiący się często, noszący lśniącobiałą bieliznę i nieprzypinane mankiety, posiadający dobre formy i czyste paznokcie, robią na zewnątrz wrażenie kulturalne i przyjemne, nie ulega żadnej wątpliwości, ale czyż te formy zewnętrzne stanowią już o kulturze serca i umysłu? Schaukal ma zupełną rację, krytykując ostro wszelkie formy współczesne zaniedbania cielesnego, które musi się niekorzystnie odbijać na naszym życiu duchowym. Że owi, dziś tak liczni, głosiciele kultury, o żółtej niezdrowej cerze, o zaniedbanym zaroście, czerwonych powiekach, mętnych oczach i spotniałych, trzęsących się nerwowo rękach, że owi felietoniści-neurastenicy, przeładowani balastem literackim, którzy dziś piszą o „subtelności“ kultury są do pewnego stopnia cielesnym zaprzeczeniem wszelkiej kultury, a w najlepszym razie oplakawani ofiarami naszej niekulturalnej jednostronności, nie ulega żadnej wątpliwości; ale czyż dlatego już wychwalani przez Schaukale młodzieńcy, którzy służą w gwardyi, lub „pracują“ w ambasadach, klasyków znają jedynie z ławy szkolnej, uczęszczają punktualnie na jour-fix'y wielkoświatowe i chętniej czytają „das kleine Witzblatt,“ lub wiadomości sportowe, niż tekst do „Tristana“ lub „Niebelungów,“ są czemś więcej, niż w najlepszym razie dobrze utrzymanymi rasowymi okazami wiekowej lub wieloletniej

tresury? — „Właściwie należałoby — pisze Schaukal — wypawszy się dobrze, wzięwszy letnią kąpiel w wannie lśniąco-białej i skończywszy z pełną wdzięku starannością swą toaletę, która należy do jednego z dziesięciu przykazań szacunku względem siebie samego, przyglądać się dobrze pielęgnowanym dzieciom, skaczącym przez linę, podziwiać rozkwitające drzewa w ogrodzie, lub też leżeć w pobliżu przepływającego ruczaju na miękkiej kołdrze angielskiej i szukać wzrokiem, jak niegdyś Adonis, własnego odbicia w falach. Trzeba na to jednakże być bez zarzutu ogolonym.“ Ileż więcej prawdziwej piękności zawiera taki np. obraz: Na rusztowaniach żelaznych hali dworca kolejowego pracują robotnicy. Wkoło każdego z wielkich filarów uwija się kilku. Przyjrzyjmy się jednej z tych grup, składającej się z czterech osób. Dwóch barczystych, silnych mężczyzn pracuje w pół zgiętej postawie, trzymając wielkie, ciężkie obcęgi, nieco młodszy, nawpół obnażony, wbija młotem gwoździe stalowe, spajające belki żelazne. Podczas, gdy skupione w sobie postacie dwóch pochylnych są jakby wcieleniem ciężkości, siły, mocy, postać wyprężona z młotem wyraża lekkość, sprężystość, rozmach, pęd. Tuż obok stoi młody chłopak, co najwyżej lat 17-tu w czarnej aksamitnej kamizelce z wielkimi lśniącymi guzikami z perłowej macicy, w szerokich aksamitnych szarawarach, jedną nogę opiera na pedale poruszającym miech, którym rozdmuchuje ogień, w rękę trzyma małe obcęgi, którymi poprawia leżące w rozżarzonych węglach gwoździe. Promień słońca pada skośnie na opaloną twarz jego, której zdrowa cera przypomina gładkością swą dojrzały owoc. Ręce, szyja obnażona, kark, ramiona są tegoż samego koloru, z pod czarnego kapelusza połyskują oczy i pukle kędzierzawych, ciemnych włosów. Chłopak ten zapewne nie ma pojęcia o dziesięciu przykazaniach szacunku względem siebie samego, nie ma czasu leżeć na kołdrze angielskiej i przegłądać się w zwierciadle wód, lub podziwiać dobrze pielęgnowane dzieci, a może nawet skóra na dłoniach jego jest popękana i twarda, ale o ileż piękniejszy i bardziej obiecujący jest on w całym swoim naturalnym zaniedbaniu od dandysa-estety, dla którego prawdziwe człowieczeństwo rozpoczyna się dopiero tam, gdzie się kończy potrzeba pracy. Schaukal napada na wszystkie niemal dzisiejsze tendencje reformatorskie, zarzucając im brzydotę, pospolitość. Być może, że np. ubiór kobiecy, t. zw. „Reformtracht,“ która ma na celu usunięcie niezdrowego gorsetu, lub obuwie amerykańskie o szerokich nosach i niskich obcasach nie jest jeszcze piękne, ale czyż mamy dla tego wyprzeć się olbrzymich korzyści, które ulepszenie to nam fi-

zycznie przynieść może? I cóż natomiast radzi nam Schaukał? „Nie tylko nasz język — powiada pan von Balthesser — ale całe nasze życie utraciło wszelaki styl, a nikt z nas tego nie widzi. Czyż bowiem byłoby podobieństwem, aby ludzie nie pozabijali większości swoich architektów, budowniczych, literatów — literatów przedewszystkiem? Ażeby przynajmniej mieć możność rozpoczęcia czegoś wartościowego, należałoby dziś przedewszystkiem zburzyć miasta aż do fundamentów i wymordować wszystkich „wykształconych“ ich mieszkańców. W ten jedynie sposób możnaby przez wyborową hodowlę młodych ludzi — których należałoby, w miarę rozmnażania się, dziesiątkować — przy pomocy dobrych nauczycieli i świetnych wzorów osiągnąć coś, mającego podobieństwo z prawdziwą kulturą.“ Podobnie „radykalne“ reformy są już dowodem bezsilności.

Mimo całej swej paradoksalności, a może właśnie ze względu na swoją paradoksalność, zasługuje książka Schaukała bezwątpienia na uwagę, a entuzjazm np., z jakim ją powitał Maksymilian Harden, jest do pewnego stopnia uzasadniony, chociaż niezupełnie zrozumiały, ze względu na samego Hardena. Ostre przeciwdziałanie sceptycyzmu i krytyki dzisiejszemu entuzjazmowi kulturalnemu, który stawać się już poczyną w Niemczech modą, jest do pewnego stopnia koniecznością. Ważną jest bowiem rzeczą zachować w pamięci, że kultura—najwyższy tryumf człowieka — nie jest dziełem krótkotrwałych zapałów i upojen własną wielkością, ale długą, nieustanną i wysiloną pracą cielesną i duchową. Ci, którzy będą w stanie życie podnieść do potęgi stylu, muszą mieć w sobie nietylko żar proroczej wiary, ale i bohaterki hart i niezmacony jasny wzrok... i wielką miłość życia!

*

*

*

Wpływ starej kultury francuskiej na dzisiejsze życie umysłowe w Niemczech nie ogranicza się naturalnie do tego, co można by uogólnić pod nazwą kultury ekskluzywnej. Całe zewnętrzne życie niemieckie nosi jeszcze do dziś dnia bardzo wybitne cechy wpływu francuskiego. W dziedzinie mody panuje Paryż prawie że niepodzielnie, szczególnie w południowych i zachodnich dzielnicach państwa, gdy północ bardziej podlega wpływowi Anglii.

Podobnie mniej więcej przedstawia się wpływ mody francuskiej na przedmioty codziennego użytku. Młoda niemiecka sztuka stosowana zdobyła za ledwie, jak to już zaznaczyłem, pierwsze placówki. Cały prawie przemysł niemiecki, dotyczący tej dziedziny, trzyma się w dalszym ciągu wzorów zagranicznych, t. j. przeważnie francuskich, lub też zajmuje się imitacją stylów staroniemieckich, ciesząc się szczególnem powodzeniem w sferach prawniwnie—germańskich. Znamiennym objawem tego jeszcze mało dla młodej sztuki niemieckiej pocieszającego stanu jest, pomiędzy innymi, protest podpisany przez kilkuset fabrykantów i kupców niemieckich, a skierowany przeciw wystawie drezdeńskiej z r. 1906, przeciw młodoniemieckiej sztuce stosowanej i szkołom sztuki i rzemiosł, służącym nowym ideom. — W mieszkaniach zawsze jeszcze przeważają urządzenia w stylu Louis XIV, Louis XV lub Empire. Podobnie repertuar teatrów niemieckich stoi zawsze jeszcze pod znakiem francuskiej lekkiej strawy, gdy wartościowe dzieła niemieckiej sceny dramatycznej napróżno czekają na wystawienie, albo też, o ile nie są dziećmi sensacyi, bardzo szybko znikają z desek teatralnych. Wpływ ten francuski odbija się szczególnie na beletrystyce niemieckiej. Oddawna już beletrystyka francuska jest niedościgłym ideałem większości literatów niemieckich, którzy siłą się nadaremnie, uszczknąć choć gałązkę z tego wieńca sławy europejskiej Francyi. Wszelki brak powodzenia pod tym względem przypisać należy przede wszystkim zupełnie innemu charakterowi uzdolnienia niemieckiego, które można nazwać liryczno-dramatycznym. Wielcy prozaicy niemieccy nigdy co do tego się nie łudzili. Weźmy utwory prozaiczne Goethego: „Werthera“, „Wahlverwandtschaften“, „Wilhelma Meister'a“, utwory Novalisa, Hördelina, Kleista, Eichendorfa, a ostatnio Gotfryda Kellera (szczególniej znakomitą powieść jego „der Grüne Heinrich“) — dzieła te wszystkie posiadają jeden wspólny charakterystyczny rys: — są raczej pamiętnikami, autobiografiami, niż powieściami we właściwym tego słowa znaczeniu. Tego rodzaju pamiętniki mogą dla ludzi, nieprzywykłych do zagłębiania się w utwory artystyczne i czytających jedynie dla rozrywki — a więc dla większości czytającej publiczności — wydać się nudnymi, posiadają jednakże nie tylko wysokie zalety kulturalne, ale niejednokrotnie również duże zalety artystyczne. Zabiegi przeciętnych niemieckich powieściopisarzy są wobec smaku publiczności, do reszty zdeprawowanej przez powierzchowne romansopisarstwo, rzeczczą zrozumiałą. To jednakże, co Francuzom udaje się znakomicie, dzięki ich uzdolnieniu, w ramach twórczości niemieckiej wy-

pada mniej pomyślnie. Pisać referaty o tym odłamie piśmiennictwa niemieckiego nie jest bynajmniej rzeczą pouąteczną. Wobec olbrzymiej liczby powieści, zjawiających się w Niemczech rok w rok, zaledwie jedna lub dwie zasługują na uwagę. Dobrych powieściopisarzy niemieckich w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia możnaby policzyć na palcach, bo czyż powieści takich Spielhagenów lub Freytagów np., które cieszyły się niegdyś takim uznaniem, możnaby porównać z twórczością Flauberta, Goncourtów lub Balzac'a? Powieści Wilhelma Raabe'go są utworami, które po za obrębem Niemiec nigdy nie będą się cieszyły uznaniem. Pozostają więc, jeżeli pominiemy humorystę Fryderyka Reutera, który pisał w narzeczu meklemburskiem, niezrozumiałem dla cudzoziemca, Fontane i Gotfryd Keller i może jeszcze niektóre nowele Konrada Ferdynanda Meyera i Klausea Groota. Żaden z współczesnych powieściopisarzy niemieckich nie dorasta nawet do tej miary. Cóż można np. powiedzieć o takich producentach powieściowych en gros jak bracia Zobeltitz, Baron von Schlicht, von Perfall jeden i drugi, Heer, Herzog, Hegeler, Wassner, von Schimelpennig i o większej części piszących kobiet, takiej np. hrabiny Bethusy-Huc, Eufemii von Adelsfeld, hrabiny Rantzau, Osipa Schubiua (pseudonim) i t. p. Treść tych elukubratów zawsze ta sama: — zdrada małżeńska, miłość z przeszkodami, miłość zawiedziona, miłość oszukana, ... zawsze też same typy towarzyskie — zapracowany dygnitarz, nie mający czasu być człowiekiem, dobroduszny, ale śmiesznie niepraktyczny uczonec, posiadający żonę-gęś albo żonę-kokietkę, oficer, którego honor zależny jest od ... umundurowania, dwa typy artystów: artysta pomalowany na biało — ideał-geniusz i artysta pomalowany na czarno — postać demoniczna, podróżnik-sceptyk, albowiem wszystkie kraje świata tego zwiedził i wszystkiego użył, przemysłowiec — człowiek „kolosalnie“ energiczny, podupadły arystokrata, sprzedający jedyną córkę, syn utracysz, rujnujący ojca i t. d. i t. d. Przytem wszystkie te typy posiadają zawsze tę samą szablonową jednostajność, są jakby wytworami tegoż samego fabrykanta marionetek. Do tej kategorii należy zaliczyć twórczość barona von Omptedy, który jako tłumacz Maupassant'a na niemiecki (o wiele lepszego tłumaczenia Maupassant'a dokonał Artur Moeller van den Bruck) uchodzi w oczach krytyki za jednego z najwybitniejszych naśladowców tego autora w Niemczech. W istocie podobieństwo prawie żadne nie istnieje. „Minne“ ostatnia powieść Omptedy nie jest ani o włos lepszą od jego dawniejszych utworów powieściowych. Minne — wyraz staro-niemiecki, oznaczający miłość — jest tutaj zarazem

imieniem bohaterki romansu. Minne, jako żona jednego z owych dobroduszných uczonych, którego znamioną cechą jest w danej powieści... długość niepomierua wzrostu, należy do kategorii żonkokietek. Ojciec jej jest jednym z owych zapracowanych „Geheimratów,” nie mających czasu być ludźmi, matka-gęś, kochanek-oficer, którego honor zależny jest od munduru. Jako reprezentantów „lepszego“ towarzystwa, mamy cały zastęp owych zjadaczy dobrych kolacyj, których szablonowość, jako statystów powieściowych, jest obowiązkowa. W „gorszem“ towarzystwie, którego członkiem staje się Minne po wykryciu przez „długiego“ uczonego jej stosunku miłosnego, spotykamy znów zwykle szablonowe postacie światka zwanego „światem bohême,” a więc podstarzałe, obowiązkowo podstarzałe śpiewaczki, brutalnego, obowiązkowo brutalnego tenora, posiadającego miliony w krtani i płucach, poetę-dekadenta, autora „Pieśni zamierania,” typ dziś równie popularny, jak kabarety i t. d. Resztę każdy z łaskawych czytelników będzie sobie w stanie sam dopełnić, opierając się na doświadczeniu zaczerpniętem z licznych, w różnych okresach swego żywota dla „zabicia czasu“ czytanych powieści, których mnogość bardziej jeszcze może jest zadziwiająca, niż cierpliwość i dobroduszość publiczności, łapiącej się na tenże odwieczny lep.

Pośród powieściopisarzy niemieckich o cechach wybitnie francuskich zajmuje hrabia Keyserlink stanowisko odrębne. Keyserlink jest jednym z tych niewielu powieściopisarzy, którzy posiadają pewną kulturę. Nawskroś francuskim jest też jego styl o dyskretnych, prawie można by powiedzieć bładych, ale bardzo udatnie zharmonizowanych kolorach, jego lekko sarkastyczny sceptycyzm, posiadający wszystkie cechy prawdziwej wielkopańskiej nonszalancji, jego umiarkowanie i zwartość. Powieści Keyserlinka, jak np. ostatnia „Dumala,” wyszła niedawno w nakładzie S. Fischera w Berlinie, rzadko przekraczają rozmiary większej noweli, zamykają jednakże w tych formalnie ciasnych ramach treść zaokrągloną i dojrzałą. Treść ta różni się zazwyczaj bardzo mało od utartej treści zwykłych powieści współczesnych, ale podana jest w formie bardzo wytwornej. Jeżeli już koniecznie czytać musimy rzeczy „lekkie,” to Keyserlink chyba najbardziej się dziś w Niemczech do tego nadaje.

Jeszcze liczniejszy jest zastęp powieści obyczajowych, będących również pod wyłącznym prawie wpływem Francji. Powieści te, których główną zasługą ma być ich ścisłość—tak przynajmniej sami autorzy utrzymują, nazywając je zazwyczaj „dokumentami”—należą do najbardziej natrętnych much sezonu. Mamy do

kumenty wielkowiejskie — powieści Kretzera, Ostwalda, Lindaua, Stilgebauera np., a ostatnio Turschinsky'ego i Saudeka (Dämon Berlin), mamy dokumenty dotyczące ruchu kobiecego — Meysel-Hess, Klara Blüthgen, Olga Wohlbrück, Marya Janitschek, Ella Mensch—dokumenty dotyczące prostytutcyi, zbrodni, armii, handlu, socyalizmu, magazynów mód, szpitali, teatrów, etc. etc. I w tej dziedzinie nie podobna wyszczególnić ani jednego utworu, mogącego wytrzymać porównanie z pierwowzorami francuskimi. Jedynie pod względem ruchu kobiecego powieści francuskie są może jeszcze gorsze od niemieckich. Tutaj to wzorują się Niemcy przeważnie na beletrystyce skandynawskiej i duńskiej, które posiadają cały szereg wybitnych powieściopisarek i powieściopisarzy, traktujących z pewnem wirtuozowstwem tę specjalność, np. Amalia Scram, Per Hallström, Larsson i w. in.

*

*

*

Pomimo więc wielorakich dowodów zastraszającej wprost produkcji beletrystycznej, pomimo wielkiej liczby olbrzymich powieści, których objętość od czasu sukcesu powieści Tomasza Manna: „Die Buddenbrocks“ (obejmującej przeszło 1000 stron) znów poczyna rosnać, należałoby oryginalną dzisiejszą twórczość niemiecką w dziedzinie beletrystyki wogóle nazwać nader ubogą. Allan Edgar Poe pisze w przedmowie do jednego z wydań swoich poezyj o jakoby nieodzownej potrzebie skracania objętości utworów poetycznych. Wiek nasz, tak utrzymuje Poe, coraz mniej jest zdolny do koncentrowania uwagi na dzieła kolosalne. Są to ten trafnie charakteryzujący stan umysłowości europejskiej w drugiej połowie XIX-go wieku, a mianowicie jej coraz bardziej zanikającą zdolność do skupiania się na dłuższą metę, jej odruchowość — impresyonizm, dałby się równie dobrze i do naszych czasów jeszcze zastosować. Boć i większa część współczesnych tasiemcowych nawet powieści, które od czasów Zoli piszemy przeważnie w niespokojnym, skaczącym stylu reporterskich impresyj, jest niczem innym, jak do potwornych rozmiarów wydętymi karłowatościami. W dziedzinie twórczości lirycznej stan ten wywołał stosunki wprost nie do zniesienia. Nadprodukcya liryczna, która już od lat dwudziestu, jakby jaka epidemia grasuje w Niem-

czek, tak zdyskredytowała subtelną tę sztukę, w której Niemcy niegdyś celowali, że trudno byłoby dziś „narod myślicieli“ nazywać nadal „narodem poetów.“ Szczególniej od czasu, gdy liryka niemiecka pod wpływem impresjonistów, zapominając o zadaniach i granicach poezyi, poczęła silić się o współzawodnictwo z malarstwem (mam tutaj przedewszystkiem na myśli szkołę Arno Holza), liczba niepowołanych, dla których, dzięki podniesieniu fotografii do rzędu utworów „artystycznych,“ otworzyło się obszerne pole łatwej produkcji, wzrosła niepomiernie. Jeżeli do napisania wiersza wystarcza zasiąść przy oknie i skopiować, posługując się rymowanym lub białym wierszem, „nastrój“ danej chwili, jeżeli mniej lub więcej udatne ustawienie takich spostrzeżeń, jak:

Miesiąc wschodzi. Żaby zarechotały. Szary, jak skrzydła olbrzymiego nietoperza, zmrok zapada (poeta „liryczny“ powiedziałby: Zmrok skrzydła nietoperzowe rozpościera). Po za ciemnym wałem drzew, na bładem tle nieba, zabłysła daleka latarnia...

jest już poezya, to jużci każdy jest w stanie pisać wiersze, a sztuka rymotwórcza staje się rzeczą bardzo pospolitą, o której nie warto nawet mówić, gdyż jest prózną igraszką, a poeci — zarozumiałymi gadułami. Takie też jest dziś mniej więcej zdanie oficjalne lub nieoficjalne o poetach i poezyi. Dość przyjrzeć się pogardliwie, złośliwie lub zuchwale uśmiechniętym twarzom, gdy mowa jest o poezyi, albo gdy kto pod „naciskiem“ muzy wypali odę na cześć jubilata, powitalny lub pożegnalny sonet, poświęcony prowincjonalnej piwonii lub wielkowiejskiej tuberozie. A jednak... czyż winić należy głównie publiczność? Skądżeż ten brak smaku, to zdeprawowanie gustu, to lekceważenie? Za czasów Goethego cała inteligencya brała żywy udział w sprawach, dotyczących poezyi. Mamyż dziś, w naszym zadyszczanym, gorączkowym wieku winić wyłącznie „pocziwego“ Müllera lub „zacnego“ Meiera, że nie ma ani czasu, ani ochoty z tysiąca zjawiających się rok w rok zbiorów poezyj lirycznych, z owego olbrzymiego śmietnika mierności i znieprawienia wyszukiwać owe rzadkie perły prawdziwego natchnienia? Sami krytycy podobać temu nie są w stanie. Jeżeli reprezentanci liryki sami nie mogą zdać sobie sprawy z tego, co sztuka ich wyrazić potrafi, a czego się imać nie powinna, jeżeli w swem zaślepieniu pozują na portrecistów, pejzażystów, filozofów, lub linoskoków, a krytyka bije im brawo, to dla czegoż publiczność miałaby być rozsądniejszą? Dziś, w czasach, w których każdy Niemiec, jeżeli nie stale, to napewno od czasu do czasu „tworzy“ lirycznie, w czasach, w których gazety

i pisma urządzają ciągle konkursy obrazkowe i łamigłówkowe, zachęcając publiczność do przesyłania odpowiedzi i rozwiązań w formie wierszowanej, w czasach, w których przymierający z głodu poeci liryczni wykładają damom wielkiego świata w specjalnych prelekcjach sztukę pisania wierszy, a akademie wierszokletoń „wisi“ w powietrzu, jedynym wyjściem z tego filigranowo-porcelanowego lirycznego chaosu byłby zwrot ku sztuce monumentalnej. Zwrot ten poniekąd wyraża twórczość dwóch najwybitniejszych poetów lirycznych Niemiec: barona Liliencron'a i Ryszarda Dehmela, a mianowicie wielki poemat autobiograficzno-satyryczny Liliencrona: „Poggfred“ i epopea Dehmela: „Dwoje Ludzi.“ W dziedzinie beletrystycznej należy się pod tym względem gorące uznanie twórczości Ricardy Huch. Ricarda Huch jest dziś, obok Klary Viebig i staruszki baronowej Ebner von Eschenbach, jedną z tych nielicznych piszących Niemek, których twórczość przynosi chlubę sztuce niemieckiej. Do zaznajomienia się z twórczością tej poetki nadają się przede wszystkim jej trzy główne dzieła, stawiające ją obok jednej z najgłębszych współczesnych poetek europejskich, Selmy Lagerlöf. Są to trzy powieści: „Erinnerungen von Ludolf Ursleu dem Jüngeren,“ „Aus der Triumphgasse“ i „Vita somnium breve.“ Pozatem wyszło jeszcze z pod jej pióra kilka innych bardzo dobrych powieści, kilka nowel, kilka utworów dramatycznych, dwa zbiory liryczne i dwa cenne dzieła, traktujące o romantyzmie niemieckim. Ricarda Huch jest bowiem prawą córką romantyzmu i, że tak powiem, kontynuatorką tradycji Gotfryda Kellera i jednym z najpiękniejszych urzeczywistnień neoromantyzmu. Z rzadką wielostronnością łączy utalentowana autorka zadziwiający artyzm, przepyszną, znakomicie zharmonizowaną konstrukcję i język, którego piękność nie pozostawia nic do życzenia. Spokój i naturalność, z jaką Ricarda Huch opisuje życie, bez względu na to, czy chodzi o los bohatera, czy o zbrodnię zwyrodniałego, ma w sobie coś z majestatu natury. Najbarwniejszym i najdoskonalszym wyrazem jej stylu jest powieść „Vita somnium breve.“ Obrazy i opisy w tem niepospolitem dziele olśniewają wprost swemi wdziękami. Czasem staje się poetka patetyczną, przerywa spokojny, jasny tok opowiadania i uderza kilka akordów potężnych, jak głosy morza. Przykładem jest np. apostrofa do Zurychu w powieści: „Vita somnium breve“ (O miasto młodości i nadziei!), albo ów piękny wstęp, którym rozpoczyna wspaniałą trylogię, opiewającą losy wyzwolonych i zjednoczonych Włoch i bohatera ich, Garibaldięgo: „Der Kampf um Rom.“

„Pieśni nucić będziemy, zaklinając wielkiego umarłego wyspy. Pomiędzy skałami wybrzeża rozciągniemy harfę eolską i zabrzmi z każdym powiewem wiatru świętymi wspomnieniami: o rozpostartych w wietrze chorągwiach i mieczach pijanych szalem, o ofiarach i tryumfach. Śpiew nasz o śmierci i zmartwychwstaniu Włoch—usłyszy Garibaldi: powstanie z falującego łona bogaswiatów i śnić będzie w szerokich akordach harfy, którą morze swym dźwiękiem przenika. Patrzcie, ponad skałami postać jego góruje, głowę jego okalają obłoki, pierścień szafirowy oceanu wiże się wkoło stóp jego. Spiewajmyż stare pieśni, zaklinając lwa wyspy!“ Te wibrujące tryumfem fanfary zwyciężkie nie szkodzą jednakże nigdzie spokojnemu tokowi opowiadania, które odznacza się cechami wybitnie męzkimi. Dwie z najpiękniejszych powieści Ricardy Huch: „Ludolf Ursleu“ i „Aus der Triumphgasse“ pisane są nawet w formie pamiątek, skreślonych przez mężczyzn. Zato liryka Ricardy Huch jest pełna kobiecego wdzięku i kobiecej miękkości.

Romantyzm Ricardy Huch udowadnia nie tylko styl jej powieści, ale i treść ich. Niejednokrotnie w toku najbardziej naturalnej akcji, w toku opowiadania, które ze względu na ścisłość i spokój, z jakimi poetka maluje swe obrazy, miałoby się ochotę nazwać klasycznym, zatrzymujemy się zdziwieni. Toć to księżycowo-blade promienie bajki, tajemnicza przędza marzeń, która nas niespodzianie zewsząd otacza. Z niesłychaną mocą wykwitę z tych na pozór chłodnych, rzeczowych opowieści—wizya lśniaca jak morze podczas zorzy wieczornej, upajająca jak wino południa. Charakterystyczną jest pod tym względem nowela „der Mondreigen von Sehlarauffis;“ czytając ją, czujemy się nieustannie jakby zawieszonymi pomiędzy niebem i ziemią. W noweli tej poznajemy też wytworny humor poetki, którego polyski tłumią częstokroć lekkie mgły melancholii. Podobnymi zaletami odznaczają się również nowele „Teufeleien“ i „Haduwig im Kreuzgang;“ aczkolwiek akcya w nich niekiedy za mało posiada zwartości. Najbardziej puszcza poetka cugle swoim skłonnościom romantycznym w powieści „Von der Königin und der Krone;“ a i powieść „Vita somnium breve“ nie jest wolna od ustępów, w których Ricarda Huch zbyt może silnie podkreśla swoje subiektywne nastroje. Można by tę właściwość jej nazwać poniekąd wadą, o ile można nazwać wadą piękną i szlachetną patetyczność, uwydatniającą charakterystyczne piękności jej jedyne w swoim rodzaju stylu. Każda z jej książek posiada swoje głębie i piękności subtelne, każda jest interesująca i piękna, każda—pełna dobroci i pewnej wielkości ducha. Chara-

kterystyczną nutą twórczości Ricardy Huch jest smutek i cierpkość. W powieściach jej natrafiamy często na tego rodzaju tematy. Tak np. w „Ludolfie Ursleu“ grzeszna miłość Galeidy i Czarda, w „Vita somnium breve“ miłość Michała i Róży, w „Triumphgasse“ losy Farfalli, kulawego Ricarda i księdza Turewicza splatają się w jeden akord minorowy niepokojący, a czasami nawet ponury. Wszędzie jednakże zachowane są granice. Nigdy dyssonans nagłego wybuchu nie przerywa harmonii, opromieniającej całość. Ricarda Huch jest poetką o wytwornej powściągliwości i subtelnym smaku.

Wspaniałemi dowodami tego dojrzałego artyzmu są jej ostatnio w nakładzie lipskim: „Inselverlag“ wydane utwory liryczne.

„Wenn je ein Schönes mir zu bilden glückte

pisze tam poetka —

„War's, weil ich hingegeben deinem Wesen,
Mit meiner Seele mich in dich verzückte,

Und wie der Winzer nach dem Traubenlesen,
Erglüht und schwankt in Purpurgest gebadet,
Wie kranke, die nach tiefem Schlaf genesen,

Wie ein Geliebter, den ein Gott sich ladet,
Ihm teilt am goldnen Tisch des Nektars Blüte,
Zurück mir kam mit Harmonie begnadet,
Unsterblich Feuer wogend im Gemüte.“

(Jeżeli udało mi się kiedykolwiek stworzyć coś pięknego, to za wdzięczam to temu, że cała oddana twojej istocie, o życie, zachwycałam tobą duszę moją. I jak winiarz po winobranii płonie i chwieje się cały skąpany w purpurowych oparach, jak chory, który po śnie głębokim czuje odzyskane zdrowie, jak ulubieniec, którego Bóg przy złotym stole obdarza kwiatem nektaru, tak powrócił mi opromieniony łaską harmonii falującej ogień nieśmiertelny mej duszy).

Bardzo pięknym dziełem jest również kolosalna trylogia Ricardy Huch „Der Kampf um Rom“, której drugi tom wyszedł niedawno (pierwszy wydany został przed dwoma laty). Z właściwym sobie spokojem przedstawia poetka w poemacie tym w potężnych rytmach epickich historię walki Włoch o wolność. Wydarzenia przesuwają się przed wzrokiem naszym z historyczną niemal ścisłością, a jednak jakaś moc szczególna z nich wieje, wabi, interesuje, porywa. Mocą tą jest piękność życia, którą udało się poetce tak po brzegi wypełnić dzieło swoje, że upajamy

się niem, jak wydarzeniami własnego życia. Jedyne głęboka znajomość życia była w stanie tak świetnie wywiązać się z tak trudnego zadania, a jakżeż czystym zwierciadłem być trzeba, aby mózdz tak olbrzymie perspektywy wiernie odtworzyć. Być może, iż pod względem formalnym można by autorce zarzucić, że przestąpiła w powieści swej granice dozwolone, że powieść jej nieposiada bohaterów w utartem tego słowa znaczeniu, że nie jest w gruncie rzeczy powieścią, ale olbrzymim freskiem epickim, ułożonym z mozaiki drobnej anegdot, opisów i epizodów. Zarzut taki jest atoli małostkowością wobec zalet poematu. Oddać w kilku słowach treść jego, wskrzesić symfonię dziejów, przeznaczeń, losów, zbrodni, piękności, zaślepień, czystości, bohaterstwa, symfonię, w której Włochy są kochanką, a kochankiem Garibaldi, niepodobna. Niechaj natomiast kilka prób stylu wykaże niektóre zalety dzieła. Weźmy np. kilka opisów natury. Opisy te są dwojakiego rodzaju: jedne posiadają wielką patetyczną moc, są jakby akompaniamentem do jakiejś daleko ważniejszej treści, służą poetce jako przenośnie i barwne arabeski, drugie—ciche, same sobie celem są, chwilami odpoczynku w barwnym toku akcji.

Oto przykład pierwszych, mających w sobie coś z wyrazistości homerowych pieśni:

„Jak okrety przy zapadającej nocy dążą ku gwieździe latarni morskiej, stojącej nieruchomo w zamęcie i zwiastującej przystań, podczas gdy wiatr dmie w róg, a fale, niby psy niecierpliwie, gonią po gładkiej równinie, tak patryoci śpieszyli do Rzymu, gdy rozeszła się wieść, że Mazzini objął ster rządów rzeczypospolitej.“

Albo owo porównanie lwicy-wojny z czerwcowem upalnym słońcem:

„Maj skończył się. Na pole bitwy występuje słońce, mordując zastępy wiosny. Miedziane podeszwy jego depcą po zawilcach, nareczach i liliach łąk, parujący czerwony dech jego ścina kiście akacyi i kwiaty pomarańczowe z drzew, metalowe wargi wysysają soki z żył ziemi, trawa na pagórkach, na których powstała stopa jego, wysycha, kędziory drzew siwieją. Tak lwica, wietrząca zdobycz, pręży się do skoku i wpija kły w piersi mężczyzny. Pąsowe kielichy ran rozkwitają, a czarny nektar się z nich sączy. Krew wiosny i wolności oszałamia ją, ścieka z grzmiącej rykiem paszczy i z płonących szponów. Pić chce! Któż powstrzyma gwiazdę szalejącą!“

Albo jeden z owych czystych nastrojów wieczornych, gdy Garibaldi, po ucieczce ze zdobytego przez Francuzów Rzymu (tom

pierwszy), po utracie nadziei, towarzyszków, żony, sam jeden, wygnaniec, biedak bez dachu nad głową, opuszczony, ścigany przez wrogów, czerpie nowe siły u łona natury, wiecznej karmicielki:

„Powoli szedł Garibaldi pomiędzy drzewami, które stały jedno obok drugiego prostopadle, jak światło niezachwiane, ukazując boską równowagę swych gałęzi i koron, których piękność jest odwieczna; czuł się pokrzepiony myślą, że drzewa te i po śmierci jego jeszcze przez stulecia tak, jak teraz, stać będą, niby złote filary nieba włoskiego. Pnie powoli coraz bardziej się przed nim rozstępowały — kilka tylko jeszcze wznosiło się potężnie ponad krzakami i gęstwiną zarośli — i ujrzał morze przed sobą, mglistą, drgającą nieskończoność, ponad którą stała zamglona tarcza księżycy, podobna do dalekiej pożogi jakiegoś zbłąkanego okrętu. Z sercem, wypełnionem ciszą wieczoru, zakopał się w miękki piasek wybrzeża, ale stało się inaczej niż myślał. On, który śmierci szukał, który już w jej objęciach leżał, znalazł w tym uścisku odwagę nową do czekającego nań życia, pełnego pospolitych dni i walk bez chluby.“

*

*

*

Po dniu spędzonym wśród dzikiego, szarpiącego nerwy i wysysającego moc zamętu wielkomiejskiego, o godzinie, w której otwierają się podwoje jarzących się tysiącem światel sal teatralnych, koncertowych i balowych, warto skrócić w jedną z biedniejszych dzielnic owych wielkich miast-potworów i odszukać jedną z sal nabożeństwa „Armii Zbawienia,“ znanych dobrze każdemu w tych dzielnicach. Są to zazwyczaj dość duże, niezbyt jasno oświetlone sale restauracyjne 3-go lub 4-go rzędu, w których w niedzielę, przy dźwiękach orkiestry i przy bardziej rześkiem oświetleniu, kręcą się w zapamiętłym walcu lub rheinländerze spocone kucharki w objęciach subjektów, żołnierzy i robotników. W głębi każdej z tych sal znajduje się zazwyczaj mała scenka dla przedstawień amatorskich, której jaskrawe kulisy obrażają wzrok swą zuchwałą kolorowością. Ściany zdobią wielkie lustra i tanie, zrudziałe złocenia, a pomiędzy olbrzymiami kandelabrami z imitowanego bronzu i pobielonemi, udającymi marmur, filarami zwisają różnobarwne festony papierowe. W tych to salach, zasta-

wionych krzesłami, odbywa „Armia Zbawienia“ swoje wieczorne nabożeństwa. Kobiety w kapeluszach, mężczyźni z paletotami na ramieniu, podlotki, dzieci... wszystko przeważnie osoby, należące do biedniejszej ludności wielkomięskiej, stanowią audytorium. Pomiędzy publicznością uwijają się, sprzedając broszury i gazety „Armii Zbawienia,“ umundurowani mężczyźni i kobiety w krótkich, ciemnoniebieskich bluzach z czerwonymi, stojącymi kołnierzami, od których odbijają się blade, charakterystyczne, niekiedy nawet sympatyczne twarze. Jeden z tak umundurowanych mężczyzn intonuje na chrapliwym pianinie jakiegoś marsza i przy dźwiękach tej muzyki, której towarzyszy nieznośne, głucho dudnienie bębna, wstępuje „pułkownik“ z „kapitanami,“ „kapitankami“ i „oficerami“ Armii na podium małej scenki. Nabożeństwo się rozpoczyna. Pieśni nabożne, śpiewane na melodyę walców lub ohydnych polek i powtarzane przy łoskocie bębna i rechotaniu pianina z hypnotyzującą wprost jednostajnością, mowy, których treścią są obrazy ze świata nędzy wielkomięskiej, sprawozdania z działalności Armii, ujęte zazwyczaj w formę osobistych doświadczeń i zabiegów, napomnienia, a w końcu częstokroć fantastyczne wycieczki przeciw grzeszności świata i natury ludzkiej, stanowią główną treść. A potem—prezydujący, kapitan lub pułkownik Armii, wzywa dusze do nawrócenia się i przy dźwiękach wyżej opisanej muzyki, przy nawoływaniu kapitana i historycznych okrzykach umundurowanych kobiet Armii, zbliżają się do rampy pochylone, nieśmiałe postacie szukających zbawienia — kobiety, dziewczęta, chłopcy, niejednokrotnie nawet mężczyźni i dzieci. Obok każdego z klękających u podnóża sceny klęka natychmiast brat lub siostra, kładąc rękę na jego ramieniu i po krótkiej, cichej modlitwie prowadzi go do obok sceny znajdującego się pokoju, w którym nawiązany zostaje stosunek każdego z nowicyuszów do „Armii Zbawienia.“

Tak zadawalnia pewna część mieszkańców wielkomięskich swoją potrzebę religii. Podobne tendencje nie są objawem sporadycznym w życiu współczesnym niemieckim, odpowiada im w sferach inteligencji działalność towarzystw teozoficznych i towarzystw monistów, których popularność rośnie z dnia na dzień. Pozatem literatura, dotycząca tych zagadnień bądź to treści filozoficznej, kulturalnej, artystycznej, bądź teologiczno-praktycznej, stanowi dziś poważny i interesujący odłam współczesnego piśmiennictwa niemieckiego. Pisać o niej, znaczyłoby rozpoczynać specjalne studium, na co naturalnie brak miejsca w niniejszym sprawozdaniu. Dziś tylko w związku z temi tendencjami wspomnę

o twórczości niedawno zmarłego poety niemieckiego, którego do pewnego stopnia możnaby nazwać jednym z pierwszych i najgorętszych wyrazicieli uczuć religijnych w Niemczech współczesnych — o księciu Emilu Schoenaich-Carolath, którego twórczość dotychczas nie została jeszcze należycie oceniona przez współrodaków. Księcia Schoenaich-Carolath, którego filantropijna działalność na wielką skalę przypomina pod niejednym względem pracę „Armii Zbawienia,” możnaby nazwać poetą o cechach wybitnie teozoficznych, pomimo, że jak każdy głębszy i szerszy artysta, był twórcą oryginalnym. Drogi atoli, któremi Carolath dąży do swoich celów, nie są utartymi gościńcami frakcyi, stowarzyszenia, ale stromemi, kamienistemi ścieżkami indywidualnych walk i objawień. We współczesnej literaturze zajmuje twórczość Carolath'a, którego zaliczyć należy do starszego pokolenia młodych Niemiec, stanowisko znamienne. W swoim światopoglądzie należy Schoenaich-Carolath do czasów przed-nietzscheańskich, do czasów najsilniejszego pesymizmu, którego wyrazicielem klasycznym jest Schopenhauer. Stąd też pokrewieństwo jego z takimi twórcami, jak Griesebach, Hammerling, Heine. Szczególniej z Heinem, tym pod względem ideowym antypodą, łączy go wiele wspólnych cech formalnych. Z pod tego formalnego wpływu wyzwolił się Carolath dopiero w późniejszych latach, a liryka jego z tego okresu wykazuje już niejedyn rys pokrewny z liryką Liliencrona i Dehmela, których poprzednikiem możnaby go było pod względem formalnym nazwać. Mimo to, przeważają w jego większych poematach tony bajronowskie. Bajronizm Carolatha w połączeniu z jego typowo-niemiecką skłonnością do olbrzymich syntez poetycko-filozoficznych, jak np. zestawienie w poemacie „Śmierć Don Zuana“ Fausta i Don Zuana, jako dzieci Wenery i Żyda wiecznego tułacza, nadaje jego poezyi epickiej ton specjalny. Utwory jego epickie mają pozatem pewne podobieństwo do poematów Lermontowa, szczególnie ów wyżej wspomniany poemat „Śmierć Don Zuana,” którego scenerya gruzińsko-kaukaska wzięta jest z krainy romantyzmu rosyjskiego. Zamiłowanie do makartowsko-barwnych tematów cechuje wogóle większą część utworów Carolatha, szczególnie zaś jego większe poematy, jak „Angelina,” „Sfinks,” „Falthume.” Wschodnie bogactwo swoich tematów lubi atoli poeta tłumić przez niepokojąco-tajemnicze oświetlenie, nadające barwności jego stylu sytość i połysk dyskretny aksamitów perskich. Charakterystycznym przykładem tego rodzaju utworów są naprzykład pierwsze strofy pięknego wiersza „Requiem,” które też pod

względem rytmicznym, w swem przerywanem, niespokojnem tempie namiętności nurtującej, zasługują na uwagę.

Die Nacht ist weich. Es duften stark
Im Glas die Rosen. Verschwelend knistern
Die Kerzen. Es murr't der Wind im Park,
Gleich Orgelton aus tiefen Registern.

Wir sitzen allein. Es rinnt dahin
Der Atem der Nacht. Wie Gespenstersprache
Verklang das Vorspiel zu Lohengrin,
Ein Heimruf, im schwülen Prunkgemache.

.

Należą one wogóle, jak niejednen z utworów lirycznych Carolatha, do najpiękniejszych kwiatów współczesnej literatury niemieckiej. Pośród utworów nowelistycznych Carolatha znajdujemy też cały szereg rzeczy głębokich i wartościowych. Wspaniałe są w duchu teozoficznym pisane nowelle jego „Der Heiland der Tiere“ (Zbawiciel zwierząt) i „Die Kiesgrube,“ przypominające w swej wielkiej miłości dla całego stworzenia „Ostatnią z Bajek“ Norwida. Miłość i współczucie z pogwałconą przez człowieka naturą zaostrza się w allegorycznym poemacie prozą „Wildgänse“ (Gęsi dzikie) do oskarżeń terażniejszości:

„Czyż można zobaczyć na ziemi tej coś innego, jak wojnę, gwałt i niesprawiedliwość? Z państwem tem graniczą inne państwa, a żadne nie wie, co to spokój. Jeden Cezar boi się drugiego. Każdy z nich ukradł sąsiadowi szmat ziemi—i żyją teraz pełni niedowierzania, na czatach, gotowi do wojny. Złe sumienie ich dręczy. Oto przekleństwo ich i ich niepokój! Strach i troska o zachowanie potęgi są towarzyszami potężnych, a u ogniska biednych przykucnęły niewolniczość i pożądlivość. Ubóstwo cięży nad krajem tym i obojętność względem wszystkiego, obojętność na dobro i zło.“

We wstrząsającej, świetnie napisanej nowelli „Der bürgerliche Tod“ (Śmierć obywatelska) oskarżenia te skierowane są wprost pod adresem Niemiec.

„Żyjemy wśród pokolenia, które grzech za żart ma, a wieczną sprawiedliwość za bajkę. Gdy wielka nadzieja odrodzenia i zjednoczenia stała się rzeczywistością, gdy wielki, utęskniony związek wszystkich państw niemieckich został dokonany, rzucił się naród nasz z okrzykiem zwycięskim naprzód, pełen ufności w swe siły i w swe zdobyte przywileje, bez wnknięcia atoli w siebie—nie odnowiwszy swego związku z Bogiem. Myśleliśmy, że po

świetnem zwycięstwie, wszelka walka będzie zbyteczna, że wszelka wewnętrzna praca jest już niepotrzebna. Nie święciliśmy żadnego ver sacrum, zaniechaliśmy cichych, wielkich ofiar dziękczynnych. Pracowaliśmy tylko bez wytchnienia dalej — powoli poczęło nas jednak opuszczać uczucie szczęśliwego bytu i zadowolenia. Narodowi niemieckiemu brak błogosławieństwa bożego. Strzeżcie się, aby wojna ta olbrzymia, do której, pomimo wszystkich naszych chęci zachowania pokoju, zmierzamy nieodzownie, z fatalną koniecznością, nie nauczyła nas w straszny dla nas sposób, że źle się dzieje zastępom bojowników, od których Bóg odwrócił oblicze swoje.“

Nic dziwnego, że podobna prawdomówność nie mogła wpłynąć korzystnie na popularność księcia-poety w Niemczech, że więcej interesowano się jego stanowiskiem względem kobiety, które nacechowane jest silnym pesymizmem, jego formalnemi zaletami, niż stroną etyczną jego twórczości. A pod tym ostatnim względem właśnie wpływ i znaczenie Carolatha należy do przyszłości. Wobec coraz silniej budzącej się w Niemczech dzisiejszych potrzeby religijnego pogłębienia światopoglądu, Carolath będzie jednym z tych, którzy przeszłość łączą z przyszłością. Prawdziwie nacyonalny światopogląd może wtedy tylko być trwały, jeżeli ogarnie nietylko racjonalne i uczuciowe, ale przede wszystkim metafizyczne skłonności nowoczesnego człowieka. Co do jednej bowiem ważnej kwestyi nie powinniśmy się dłużej łudzić: prawdziwa kultura nie może być stworzona bez współdziałania sił religijnych, które nie są, jak to zastępy różnego rodzaju współczesnych bezwyznaniowców utrzymują, zbytecznym dodatkiem, mającym jedynie znaczenie dla ciemnych, niekulturalnych mas — ale *źródłem wszelkiej kultury*. Może w jednej z późniejszych prac będę miał sposobność poświęcić tej kwestyi, którą uważam za jedną z najbardziej palących, tę uwagę, na jaką niewątpliwie zasługuje. Dziś, rozpatrując warunki ewentualnej kultury niemieckiej, nie mogłem nienapomknąć o tych tendencjach, które zaokrąglają w sposób godny uwagi całokształt pracy kulturalnej Niemiec współczesnych. Tendencye te są jeszcze bardzo młode, ale jako objaw pracy kulturalnej, są one dotarciem do źródeł życia. Wreszcie dałyby się nawet w mało wybrednej filozofii życia i w prymitywnych praktykach Armii Zbawienia, w głębokiej wiedzy porównawczej teozofów, czerpanej z ksiąg świętych całego świata, a przede wszystkim z literatury i tradycyi indyjskich i w próbach monistów stworzenia na podstawie nauk przyrodzonych religii natury, a nawet w tendencjach reformatorskich pewnego od-

łamu teologii niemieckiej—odnaleźć też same budzące się moce, których skoncentrowanie i uświadomienie powinny być zadaniem naczelnem wszystkich bojowników kultury.

Podobne moce pulsują w odradzającym się romantyzmie i nadają mu ową niebywałą ważkość i żywotność, która jest jego znamieniem współczesnem. Nie zewnętrzne bowiem formy i praktyki stanowią o możliwości nowych urzeczywistnień, ale wewnętrzna siła i odrodzenie z ducha. Odrodzenie to nie pyta bojaźliwie o możliwość nowych środków, wcieleń, form — ale stwarza je! Wesole zwiastowanie, jakie przynosi z sobą, przeznaczone jest nie dla uprzywilejowanej kasty, ale dla wszystkich, posiadających siłę i zapał do nowych uświadomień — do postępu, który wbrew wszelkim zapewnieniom bojaźliwych, wątpiących i zgorzkniałych jest *przeznaczeniem* tego świata.

Nowa wiosna idzie—przez zamęt i głuchy gwar wielkomijski, przez brud i błoto dnia, przez pożogę, zawiści i nienawiści. Idzie i śpiewając pieśni pełne nadziei, rozwija sztandar szkarłatny życia!

JAN KACZKOWSKI.

Koniec „wielkiego sezonu.“

I.

Tak się wszędzie nazywa okres życia teatralnego, poprzedzający kilkomiesięczne wszechwładztwo największego wroga teatru—lata. Tak żadną miarą określić nie można wegetacji naszych teatrów w minionym kwartale. Nietylko bowiem „wielkiego,“ ale właściwie żadnego nie było sezonu, a ta nicość bez nazwy może nieprędko się skończyć, może nawet na długo się utrwalić przyczepiona do hasła swego kierownika *j'y suis—j'y reste*. Gdziein-dziej, wiosna jest porą, kiedy zwycięska twórczość inicjatywy kierowniczej stara się godnie uwiecznić całoroczną kampanię i jednocześnie wykwiła pomysłami, z których literatura i sztuka, z końcem lata, zaczną już zbierać owoce Piękna. U nas wiosna zapowiedziała się dotąd tylko w urzędowym stylu, zawitawszy w postaci depeszy z Petersburga: „Uzyskano pozwolenie na spłatę długów teatrów rządowych warszawskich w drodze pożyczki z wolnej gotówki 250,000 rubli, asygnowanej na budowę Domu Ludowego w Warszawie, wraz z narosłemi od kapitału procentami, pod warunkiem, aby wypożyczona suma była zapisana jako dług teatrów i aby porządek amortyzacji ustanowiło ministerjum Spraw Wewnętrznych w porozumieniu się z Generał-Gubernatorem warszawskim.“

Oczywiście, że i taka jaskółka o wiosnie nie stanowi, choćby sobie nawet uwiła tymczasowe gniazdko w dyrekcji teatrów, gdzie, z rozporządzenia władz delegowany *ad hoc* urzędnik do szczególnych zleceń bada „źródła długów“ w teatrach warszawskich. Bo w rezultacie dług, według oficjalnego orzeczenia, ma pozostać długiem, ciężącym na finansach instytucji; a najdogodniej obmyślana amortyzacja na nie się nie zda, jeżeli po wyświe-tleniu przyczyn obdłużenia — które zresztą dla nikogo nie są dziś

tajemnicą—nie nastąpią radykalne w administracyi zmiany, odbierające jej możność gromadzenia nowych długów, żadnemi korzyściami dla sztuki nieusprawiedliwionych. ¹⁾

Ale gdyby nawet wszystko jaknajskładniej się ułożyło; gdyby zmora bankructwa przestała dławić finanse teatrów rządowych; gdyby spełniło się wreszcie niedościgłe dotąd marzenie: odzyskania cofniętej z niewiadomych powodów subwencji, — to i tak do owej wiosny, budzącej życie artystyczno-literackie z poprzednich zasiewów i przygotowującej ziarno do nowych plonów, — bardzo jeszcze daleko. Teatr bez długów może imponować... buchalterowi; teatr bez sztuki może wystarczać urzędnikom; społeczeństwo kulturalne chce w nim widzieć jeden z objawów, jedną z form swej rodzinnej kultury; a takiej wiosny dotąd żadna nie zwiastowała nam jaskółka.

I to jest fakt, nasuwający poważne, ogólniejszej natury refleksye.

Oto dwie placówki, nikłe niewątpliwie w stosunku do całości kształtu samorządnych dla kraju postulatów: dramat i opera. Ale na jednym i na drugim posterunku znaleźli się, bądź co bądź, reprezentanci tych czynników, które, w przeciwstawieniu do tak zwanej ogólnikowo „biurokracyi“, przywykliśmy równie zbiorowo zamykać w określeniu „siły społeczne.“ Nie mam w tej chwili zamiaru zastanawiać się nad tem, co skłoniło sfery administracyjne do ustąpienia na rzecz tych przedstawicieli drobnej części swej urzędniczej wszechmocy. Mniejsza o to, czy to był przypadkowy powiew liberalizmu, czy też wystąpiła cnota z potrzeby. Dość, że powołani „z zewnątrz“ kierownicy najważniejszych dziedzin twórczości w teatrze, zdobyli możność, nawet w tych szczupłych granicach niezależnej działalności, jakie im wydzielono, stanąć na gruncie poniekąd autonomicznym i zapoczątkować na scenie polskiej zwrot ku ideałom prawdziwej sztuki.

Jakże skorzystano z tej sposobności do czynów jako tako samodzielnych; w jakiej mierze wyzyskano względnie pomyslną sytuację? Fakty, na które patrzymy od roku, dają niepokojące na te pytania odpowiedzi.

Na obu stanowiskach widzimy chorobliwy rozrost ambicji, uganiającej się za władzą dla władzy i w samej gonitwie znajdującej egoistyczne zadowolenie, które jej w zupełności wystarcza. Fizyognomia zaś tej władzy rozmaicie wygląda. Rozśmiana szy-

¹⁾ Po napisaniu już tych słów dowiedzieliśmy się, że pełniącym obowiązki prezesa Dyrekcyi teatrów rządowych mianowany został p. Małyszew.

derczo za jednemi kulisami, igra z naiwnym, któremu zdaje się, że ją zręcznie uchwycił; zabawia go, jak stare dziecko, pozorami, na których poznali się wszyscy naokoło, oprócz „dyrektora z urojenia,“ i powagę jego wykrzywia grymasem karykatury. Wśród innych znów kulis, władza, pochłaniająca wszystko i wszystkich, snuje się z obliczem, zastygłym w wyrazie chłodnej bezwzględności i próbując siać wszędzie postrach, stara się osłonić Jowiszową chmurą obcość swoją w krainie sztuki, nie uznającej u siebie „dyrektora z uzurpacyi.“ Tu i tam pyszni się próżność i harecują przedewszystkiem prywatne zachcianki; tu i tam żądza władzy ujawnia się jako jedyna kwalifikacya tych, w czyje ręce się dostała; tu i tam nie zmieniło się nic ani na jotę, nie posunęło się ani na jeden krok ku wyższym celom i zadaniom, do których osiągnięcia i zrealizowania władza za środek jedynie służyć miała; tu i tam dostarczyło się tylko wdzięcznego materiału do odwetowej, urzędniczej krytyki, kopiując niewolniczo, często gorzej, to wszystko, przeciw czemu protestowało się niedawno w odnowicielskim rozpędzie; tu i tam wreszcie myśli się więcej o podsadzeniu własnej osoby na byle jaki piedestalik, aniżeli o podźwignięciu sceny polskiej ku artystycznym wyżynom.

Tak wygląda egzamin z samorządnej dojrzałości, złożony przez dwóch kandydatów do autonomicznych stanowisk. Pomijam już oficjalną cenzurę, wypisaną im podobno przez urzędnika, badającego „źródła“ długów w teatrach warszawskich; pomijam upokarzającą pozycję tych „obciążonych“ maturzystów wobec tryumfującej administracyjnej pedagogii; ale egzamin odbywał się przecież jednocześnie i przed społeczeństwem, dla którego żadną nie może być pociechą, że *fiasco* zdarzyło się na szczuplutkich polach działania; które owszem doznać musi trwogi na myśl o tem, co dzieć się będzie na szerszej arenie, w decydującym momencie, gdy wszędzie siły społeczne zostaną powołane do kierowania donioślejszemi od teatralnych sprawami. Czy i wtedy rzeczy prywatne wystąpią na pierwszy plan, a rzecz publiczna zejdzie na ostatni? Czy i wtedy zdobywcami stokroć ważniejszych posterunków społecznych będą nie najgruntowniej do pełnienia odpowiedzialnych obowiązków przygotowani, nie najzasobniejsi w wiedzę i powagę, ale najsprawniejsi w bliźkowskich o władzę wyścigach?

O ile jest bliska lub daleka przyszłość, która te obawy potwierdzi albo rozwieje, trudno w dzisiejszej naszej sytuacji przesądzać; ale może trudniej jeszcze odtrącić od siebie cisnące się do głowy zestawienia. Przy badaniu stosunków teatralnych obserwowaliśmy dotychczas takie przedewszystkiem objawy, które,

odbijając w kancelaryjnych rządach polityczne prądy, polityką też zabarwiały całokształt tych stosunków i nawet na sztuce wyciskały swoje niewolnicze piętno. Dziś, gdy polityka w teatrze na chwilę w dyskretne skryła się cienie, kierownictwo sceny, wyzwolone do pewnego stopnia z pod jej wpływów, z innej strony przypomniało jednak, że teatr jest zawsze zdrobnioną reprodukcją życia, wprowadziwszy nas w świat odmiennych niiby czynników społecznych, gdzie praca wrzec powinna pod hasłem „sami sobie,“ a gdzie spotyka się przy bezdusznej robocie tylko epigonów „dawnego porządku.“ I tu dopiero występuje na jaw symptomat, przed którym oczów zamykać nie należy. To, co dzieje się w teatrze i co bodaj i gdzieindziej na większą skalę napotkać można, ma chorobliwe cechy infekcyjnego biurokratyzmu, którego zarazek noszą w sobie ci nawet, co niiby z biurokratyzmem walkę podjąć chcieli. Atmosfera, w której oddychaliśmy przez dziesiątki lat, przenikniona jest jeszcze trującymi pierwiastkami. Pod jej technieniem ważna placówka niejednemu wydaje się dotąd „intratną posadą,“ odpowiedzialna władza — korzystnym monopolem; praca twórca—biurowym referatem; pomysłowa inicjatywa—rewolucyjną zachcianką. Przy tem wszystkim—i to jest najosobliwsze—urzędnicze odruchy układają się w pozy reformatorskiego temperamentu. Na takie właśnie pozy patrzimy w dranacie i w operze, a rzut oka, jakim w dłuższym szeregu uwag zdążyliśmy ogarnąć roczną mniej więcej działalność kierowników tych gałęzi, dostatecznie, jak sądzę, wyświetlił, co trzymać wypadnie o ich gestach samorządnych, co o czynach biurokratycznych. Do tej wymownej ilustracji „prawa mimikry“ niewiele już rysów dodadzą ubiegłe trzy miesiące. Repertuar dramatyczny, klecony *vom Fall zu Fall* z tłómaczeń, łata banalność swej „literatury“ debiutami i gościnnymi występami aktorów; opera „operuje“ w ciągu tego czasu koncertowemi popisami solistów śpiewających, wśród których nie brak nawet pani Cavalieri, produkującej „za śmiesznie wyśrubowane ceny cały magazyn klejnotów, zgoła niewokalnych, jak gdyby dla zaakcentowania, że opera, zostająca pod jednym kierunkiem z Filharmonią, powinna przecież pokazać na scenie coś w rodzaju brylantowego motyla panny Kaweckiej, który z takim efektem unosił się nad estradą. A tymczasem reklama sypie na wszystkie strony, jak z rogu obfitości, zapowiedzi na... przyszyły „wielki sezon,“ zapominając prawdopodobnie, że rok temu czytaliśmy te same zapowiedzi, wiadomo już jak urzeczywistnione. Pozostaje nam więc w tej chwili dokończyć rachunku z tych obietnic. Może wynik zamkniętego bilansu uczyni nas powściągliwszy-

mi w udzielaniu moralnych kredytów tam, gdzie już żadne kredyty na nic się nie zdadzą.

II.

Zwracałem już uwagę w poprzednim przeglądzie na niekrytyczność, ujawniającą się stale w kierownictwie naszego dramatu przy układaniu repertuaru w jakąś pstrą mozaikę bez rysunku i barwy, bez artystycznej fizyognomii. Nazwisk w tej grubej malowance nie brak; tylko najlepsze wartości z tych nazwisk wyciśnięto na innej scenie; dla tej, która się sama dotąd „pierwszą“ zwykła nazywać, pozostały porzucone, zmięte łupiny. Tak było z Heijermansem; tak było, niestety, z Przybyszewskim.

Wspominając na tem miejscu przed trzema miesiącami o wystawieniu w Rozmaitościach „Siódmego przykazania“ Heijermana, zamierzałem powrócić do tego melodramatu i rozwinąć szerzej nieco wzmiankę, ujętą wówczas w pośpiesznem *post-scriptum*. Znalazłszy się jednak powtórnie wobec przywołanych pamięcią wrażeń, spostrzegłem, że mógłbym tylko powtórzyć syntetycznie rzucone uwagi o istocie, znaczeniu i dążności utworu, nad którym naprawdę niema potrzeby zbytecznie się rozwodzić. Opacznie do dziś dnia komentowany Proudhonowski paradoks, że „własność jest kradzieżą“ w zastosowaniu do „burżujskiej“ instytucji małżeństwa, uznającej jakoby kobietę poślubioną przed ołtarzem za „własność“ mężczyzny (stąd tytuł „Siódme przykazanie“); protest przeciw tym „mieszkańskim“ formom współżycia obu płci, ukształtowany w związku „wolnej miłości“, który, znosząc z socjalistyczną konsekwencją ową rzekomą własność, nie dba zgoła o przeszłość kobiety ani o różne momenty jej zmiennej do innych mężczyzn przynależności; walka między „porządkiem ustalonym“, który nie chce abdykować, a rewolucją, która nie chce czekać na ewolucję; katastrofa, miażdżąca serca, które przyspieszonym tętnem pragnęły wyprzedzić przyszłość,—oto zewnętrzna i myślowa treść „Siódmego przykazania.“ W literaturze występuje ona coraz częściej, podejmowana przez talenty lub nieudolności różnej miary; Heijermans chwycił ją z całym impetem młodego pióra (dramat ten jest produktem wczesnej twórczości holenderskiego pisarza) i impet właśnie ułatwił mu wielce zadanie, nakładając na paletę najjaskrawsze kolory. Mowa tu oczywiście o ułatwieniu, opartem na niewybrednie zestawionych efektach teatralnych; bo wywołane tą drogą „dreszcze“ uwalniają dramaturga od troski o ur-

tystyczne wrażenia. Tylko dojrzała w obcowaniu z wielką sztuką twórczość umie wznieść się na te wyżyny, gdzie charaktery, dźwignięte siłą ideową, stoją naprzeciw sobie w całej czystości swego wcielenia i, tocząc bój „za błękitami,” zwycięstwa swoje i upadki ideowem znaczą piętnem; tylko poeta zdolny jest kierować się niezachwianem uczuciem sprawiedliwości przy wyborze i odmierzaniu dla walczących broni z arsenału duszy ludzkiej; tylko artysta cofnie się przed pokusą karykatury w charakterystyce przedstawicieli tej idei, którą pokonać zamierzył. Takich szczytów był bliskim Heijermans pisząc „Dzień zaduszny;“ nie dosięga do nich w „Siódmem przykazaniu.“

Oto z jednej strony gniazdo holenderskich filistrów, gdzie ojciec despotyczny, uparty a tępy, matka ograniczona, pochłonięta drobiazgami gospodarskimi, syn starszy w duchowną przyodziany suknią reprezentują różne odcienia skostniałego w samolubstwie rodzinnem konserwatyzmu; z drugiej młodszy syn, student, zaprzyjaźniony z socyalistami, rozpędzony w kierunku „wyzwoleniczym,” którego najpierwszym etapem jest, jak zwykle, wolna miłość w formie najradykałniejszej, bo w pożyciu pod jednym dachem z dziewczyną, z ulicy wziętą. Pozornie autor usiłuje być bezstronnym, rozdzielając na obie strony światła i cienie. Rodzicom dziewczyny, sprawcom moralnym jej upadku, nie żałuje rysów, żrącym wytrawionych jadem i obie te figury, ze swym rozbajającym chwilami cynizmem, w zestawieniu z życiodawcami studenta, są jakby jakąś z góry zamierzoną kompensatą za bezwzględną charakterystykę „porządnych“ filistrów.

Ale zestawieniom i kompensatom Heijermansa nie zawsze można dowierzać—kryje się w nich czasem bardzo sprytny fortel. Spójrzmy na jedną jeszcze osobę z rodziny studenta: na jego siostrę, separatkę. Kocha ona brata i wobec grożącej mu burzy, radaby zasłonić go przed piorunami gniewu ojcowskiego, które spaść mają na jego głowę. Zdawałoby się więc, że Heijermans wyczuł jednak uderzenia jakiegoś serca w tym zeszytniałym organizmie „burzującej“ familii. Nie łudźmy się. Figura nieszcześliwej kobiety do czego innego była mu potrzebna. Jest w jej życiu straszna tragedia, która dla wszystkich pozostała tajemnicą. Jako żona, padła ofiarą rozpusty męża, dotkniętego ohydłą chorobą; jako matka, patrzeć musiała na śmierć swoich dzieci, obciążonych od urodzenia okropnem po ojcu dziedzictwem. „Porównajcie teraz — zdaje się wyzywać widza autor. Kobiecie każecie dźwigać brzemień może niezawinionej, może przemocą rzuconej na jej wątłe barki przeszłości; a mężczyźnie pozwalacie jad

jego przeszłości, świadomie zatrutej, bezkarnie sączyć do własnego gniazda. Nieusankcyonowany związek z taką kobietą jest w waszych oczach hańbą; związek uprawniony z takim mężczyzną uważacie za świętość nietykalną.“

I widz porównywa—ale nie daje się pociągnąć w tę stronę, gdzieby go zapewne autor znaleźć pragnął. I nie jest to wadą utworu; widziałbym w tem raczej zaletę dramatu, zwycięstwo psychologa, wyprzedzającego w dojrzwaniu społecznika. Heijermans lubi tezy, lecz ważniejszą od tezy była dlań dusza ludzka, której w żadnym kierunku nie próbował naginać ku wykreślonym z góry założeniom. Do krzyczących kontrastów miał jeszcze widocznie słabość; ale na najdalej wysuniętych biegunach nie zaniedbywał psychiki przeciwstawionych czynników. Sprawił zatem, że w ostatnich scenach „Siódmego przykazania“ można z żalem, z serdecznem współczuciem patrzeć na dziewczynę, wypędzoną na ulicę „skąd przyszła“ przez nieubłaganego ojca jej kochanka; i trzeba jednocześnie z pewną oględnością oceniać bezwzględny postępek tego ojca, który w zmysłowym szale syna nie mógł widzieć wielkiej, rozstrzygającej o życiu miłości, i który śmierć swego dziecka musiał do pewnego stopnia temu właśnie szalowi przypisywać. Pod jednym i pod drugim dachem niema już obrońców małżeństwa ani „wolnej miłości;“ są ludzie nieszczęśliwi; a nieszczęście zrozumialszym, bardziej przekonującym przemawia językiem, aniżeli wszelka teza. Taką mową potrafił za młodu odezwać się Heijermans i to było właśnie zapowiedzią, że później będzie z żywszem zajęciem słuchany; a winą jest kierownictwa naszego dramatu, że był słuchany gdzieindziej.

Poprzednicy dzisiejszego dyrektora zapoznali publiczność warszawską z Przybyszewskim w najszcześniejszych momentach jego twórczości—i to obowiązywało p. Zalewskiego. Trzeba było liczyć się z silnemi i głębokimi wrażeniami, jakie zostawiły po sobie dramaty tej miary co „Złote runo,“ „Dla szczęścia,“ „Śnieg“ i unikać porównań, zabójczych dla „Ślubów,“ zwłaszcza, gdy się miało pod ręką poemat dramatyczny „Odwieczna baśń,“ który, odbywszy długą kwarantannę w cenzurze, wydostał się nareszcie na wolność. Jedyным motywem, tłómaczącym kierownika, może być chyba to, że on nie kieruje, lecz jest kierowanym; kierunku zaś, jak zwykle, podjął się zapewne traf, a traf znowu przybrał prawdopodobnie postać... aktorki. Bądź jak bądź najgorzej na tem wyszedł Przybyszewski, wychyliwszy z poza swego ostatniego dzieła znużone oblicze poety, usiłującego tragicznem targnięciem powstrzymać twórczość w odlocie.

Czy ten wyraz jest wiernem odbiciem procesu, odbywającego się w duchowych głębiach poety; czy to chwilowe tylko omdlenie, czy początek obezwładniającej niemocy? Przesądzać nikt tu nie zechce i nikt nawet niema do tego prawa. To pewna, że twórczość Przybyszewskiego miała znamienne cechy rozpędów dzisiejszej doby: duże skrzydła i krótki lot.

Dwa typy twórców mieszczą się w tej charakterystyce. Jeden, zamknawszy świat cały w jakiejś kawiarence, przeschacowuje tam wartości moralne, umysłowe, społeczne i „układa dramaty,“ pełne napięcia, z rozdaniami we własnym otoczeniu rolami; ale wydostawszy się z kłębow dymu tytoniowego, które mu się górnemi wydawały obłokami; ujrawszy przed sobą rozległe widnokręgi życia; znalazłszy się w atmosferze, wypełnionej atomami rozpylonej duszy ludzkiej, których nieskończoną wielość i rozmaitość twórczem okiem śledzić i wylawiać trzeba, staje bezradny, nie wie dokąd wzrok skierować, za co spojrzenie zaczepić, z jakiej drobiny psychologicznej wywołać całego, żywego człowieka i onieśmielony wobec ogromu zjawisk, załęczniony poczuciem swej bezsilności, z gestem rozpaczony powraca do swojej kawiarni, do swoich bohaterów „przewartościowanej“ młodości, a każdy taki powrót—to szczybel na dół, ku wyczerpaniu siły twórczej. Drugi typ zstępuje na samo dno własnego *ja* i tam, w przedśionkach podświadomości, wpatrzony w grę głuchych i ślepych instynktów, wsłuchany w tajemnicze szepty „nagiej duszy,“ celebryje misterya Absolutu. Że zaś jedyna ewangelia tego nabożeństwa głosi *Am Anfang und am Ende war das Geschlecht*, a Absolut jest płci żeńskiej, więc dźwignięte do kapłańskiej godności instynktu, pijane wyziewami z erotycznych kadzielnic, opasując ołtarz bóstwa rozszalałem koliskiem, płasają w tragicznych szamotaniach „Taniec miłości i śmierci.“ Ale *ja*, które z siebie na zewnątrz nie wychodzi, jest zawsze tem samym *ja*; „naga dusza,“ gardząca wszystkim w coby ją rozumowa i uczuciowa świadomość przyodziać mogła, jest zawsze tą samą „nagą duszą;“ Absolut, który będąc „na początku i na końcu płcią,“ nigdy swej płci nie zmieniał, jest zawsze tym samym Absolutem: to też powtarza się zawsze ten sam „Taniec miłości i śmierci,“ a każde takie powtórzenie budzi obawę, czy nie wyraża się w niem odpływ siły twórczej?

Do tego drugiego typu należał Przybyszewski i zdawał się usprawiedliwiać do pewnego stopnia tę obawę dość długim milczeniem po trzech swoich kapitalnych utworach. A tymczasem potężny wpływ Słowackiego gromadził inną jeszcze grupę twór-

ców, którym ciasno było nietylko w czterech ścianach knajpki, ale nawet w głębinie własnego *ja*; wyswobodziwszy się więc z egotyzmu literackiego, artystycznego i społecznego, jęli bujać po wielkich przestworach prabytu, przedzierać się przez gąszcze historii i z duszy dziejów snuć tragedye narodów. Kto wie, czy „Odwieczna baśń“ nie jest jedną z fal owego przyływu historyzmu do dramatu polskiego; kto wie, czy Przybyszewski nie szukał w nim szerszego oddechu po męce kontemplacyi w otchłaniach? I tu wprawdzie czciciel Miłości odzywa się do Niej, jako do Tej, „która jest wszystkim, w której jest wszystko;“ i czując się sam wchłoniętym przez tę wszystkość, woła: „ja i Ty i świat cały.“ Ale w takim wszechogarnięciu zginęło jego *ja*, Ona utraciła swoje typowe cechy, a baśń, cofnąwszy się w zaranie dziejów, wprowadza nas do legendowej krainy, gdzie Król, wychowany przez Mędrca i ubóstwiający w pięknej jego córce Miłość, pragnie ją dźwignąć na tron i głowę ukochanej królewską przyozdobiwszy koroną, za sprawą Miłości lud swój uszczęśliwić. Nie dopuści oczywiście do tego „odwieczny Kanclerz.“ Jego rozum stanu w Miłości przeczuwa najzaciętszego wroga; chwyta się więc również „odwiecznego“ sposobu; najprzód podburzy lud przeciw monarsze, potem podburzy monarchę przeciw ludowi. Popłynie krew, a Miłość z przerażeniem zasłoniwszy oczy, z których łzy się poleją, powie królowi: „wolę wraz z ojcem mym opuścić pałac ten i ciebie, ranić moje nogi po krzemiennej drodze, wśród deszczu, wichru i burzy, wśród tysiąca zasadzek na nasze głowy; stokroć razy milsza śmierć w prawdzie i jasności, aniżeli ten ohydny majak życia w krwawych strzępach purpury, wśród obłudy świecącego próchna.“ Wtedy otwierają się oczy Królowi i zaglądadają w głąb duszy Demosa; wtedy Król zaczyna rozumieć, że władcą tych dusz bez tęsknoty może być tylko... Kanclerz — i objawieniem są dlań słowa Mędrca: „Zaprawdę mówię ci, że ten jest największym mocarzem, któremu obce jest panowanie.“ Z dumą więc powie pokonanemu ludowi: „Niech wam panuje ten, co w waszych duszach rozpostarł panowanie. Ja brzydzę się zwycięstwem, które nad wami bronią kanclerza—krwi przelewem odniosłem. To było — jego zwycięstwo. A oto moje zwycięstwo!“ I przy tych słowach chwyta za opasującą czoło jego obrączkę złotą, ciska ją pod nogi tłumowi i oddala się wraz z ubóstwianą.

Takie tryumfy święciła Miłość... w zaraniu dziejów. Daleko stamtąd do tryumfów Olgi i Ewy, a tęskno snuć do nich było Przybyszewskiemu, skoro niedługo zabawił we mgłach prabytu. Wszak już zauważyliśmy: duże skrzydła—krótki lot. Bo skrzydła

i w „Baśni“ sięgnęły „od Nadyru do Zenitu,“ szerokiem rozpięciem obejmując tragedję ludzkości. Ale Przybyszewski wtedy dopiero czuje się w swoim żywiole, kiedy przed oczami jego duszy staje nie człowiek-charakter lub człowiek-typ, albo człowiek-naród czy też człowiek-ludzkość — tylko człowiek-płeć; kiedy w takim człowieku instynkty tworzenia i niszczenia odgrywiają nie „baśń odwieczną“ człowieczeństwa, lecz odwieczną tragedję Wszechświata. Więc wrócił do swoich psycho-fizjologicznych czy fizyo-psychologicznych eksperymentów z „siłami kosmicznemi,“ wrócił do swego w podziemiach duszy laboratorium. Wrócił jednak w „Ślubach“ nie tym samym poetą, który puszczał się na wyprawę po „Złote runo“ szczęścia, który „Dla szczęścia“ miazdżył z bezwzględnością „nadczłowieka“ kochające serca, lub z pod „Śniegu“ wprowadzał i deptał egzotyczny kwiat „tęsknoty do tęsknoty.“ Wrócił jakimś połowicznym i połowiczną fizyognomię ma też ostatni jego poemat dramatyczny. Miłość inaczej w „Ślubach“ wygląda i nie powiedziała by o niej druż Przybyszewskiego, Kasprowicz, jak w swoim „Faunie,“ dopadającym nimfy,

„Czcigodna tajemnica w wszechświecie się czyni.“

Czysta jest owa Miłość—ale ta czystość ma szpony, w których ginie człowiek. To samo z Tęsknotą, unoszącą się w anielskie szlaki na skrzydłach demona; to samo z symbolami o niepewnem, niezdecydowanem obliczu niewieściem, które niewa promienne spojrzenie królowej z „Baśni“ i zagadkową zadumę kusielki z „Śniegu.“

Miłość i Tęsknota wcielone są w „Ślubach“ w dwie postacie kobiece, nie tak jednak, żeby to wcielenie dało każdej odrębne rysy uosobionego indywidualnie uczucia. Jedna kocha i tęskni i druga kocha i tęskni, nie zawsze tylko wiemy, patrząc na nie, słuchając ich, kogo i co która kocha, za kim i za czem tęskni i zdaje się, że obie jasno sobie z tego sprawy nie zdają; że raz jedna jest sama Miłością, druga sama Tęsknotą, to znów zamienią się między sobą dusze, nie mogą rozpoznać, która do której należy i w bezprzedmiotowej trwodze szukają, czego nie zgubiły. Dodajmy nadto, że Miłość i Tęsknota, występujące w dawniejszych dramatach Przybyszewskiego, bądź samodzielnie, bądź przeniknione sobą wzajemnie jako jedna fatalna, nieprzeparta moc rozrodczo-destrukcyjna, porywająca bohaterów w jakąś nieznaną dal, do nieokreślonych celów — miała siedlisko w ich duszach i stamtąd do czynów ich popychała. W poemacie dramatycznym inaczej. Tam Pola i Klara, niezależnie od miłości i tęsknoty wła-

snej, są ofiarami miłości i tęsknoty cudzej, poza niemi z zewnątrz działającej, nie odczuwanej przez nie, a jednak oplątującej obie kobiety w nierozzerwalną sieć mistycznych „ślubów.“ W tajemniczej grozie tych „ślubów“ tkwi cały Przybyszewski. Wzajemna miłość Klary i Zygmunta, w pospolity sposób poślubionych, wyglądałaby dlań po filistersku, dając żonie i mężowi godne „nadludzkiej“ pogardy szczęście, gdyby nie „sataniczna“ przyprawa, która wywyższa ich uczucie do wyzwalającej potęgi. Taką przyprawą jest miłość i tęsknota niegdyś odrzuconego, nigdy zresztą niekochanego człowieka, prześladowająca upiornymi widmami schorzałą wyobraźnię Klary, doprowadzoną do histeryi, gdy brat odtrąconego zjawił się w górskim ustroniu małżonków z wiadomością o jego śmierci. Dlaczego ta śmierć nie przecięła odrazu niewidzialnych więzów, w których szamotała się Klara? Nie trzeba o to pytać — to są arkana demonizmu, utajonego w Miłości bądź odczuwanej, bądź wzbudzanej. Klara żyje pod działaniem nieustannej trwogi; na dnie jednak tej trwogi czai się widocznie jakaś nieokreślona tęsknota, a trwoga i tęsknota, skojarzone z sobą sprawiają jej prawdopodobnie rozkosz, której się boi zapewne, której się wstydzi może, bo uściskiem namiętnym dziękuje Zygmuntovi za nietzscheański sposób pozbycia się tego, kto swoją żalobną wieścią z większą jeszcze siłą wskrzesił upiora. Krzycki, ów brat zmarłego, ginie, spadłszy z „orlej perci,“ dokąd wysłał go był Zygmunt dla obejrzenia najpiękniejszego miejsca na zamierzone dla nieboszczyka mauzoleum. I wszystko w porządku; nie słyhać nawet przebrzmiałego w „Złotem runie“ ostrzeżenia Ruszczyca „grzech się mści.“

A Pola?

Z Polą dzieje się odwrotnie. Od męża odeszła, zawarłszy „śluby“ z muzyką, w której zawsze przeczuwała „jakieś niezgłębione tajemnice, jakieś czarne przepaści;“ i tu mąż znowu jest prześladowcą, gnębiącym żonę z odległości swoją tęsknotą, która ma „straszne, przerażone ręce człowieka, strąconego w przepaść, ściągające za sobą swoją ofiarę z piekielną siłą.“ Od tych widziadeł Tęsknoty chciała Pola ratować się Miłością spotkanego na drodze życia malarza Krzyckiego; ale Krzycki kochać jej nie mógł, znajdując się pod szatańskim wpływem „Czerwonej Krystyny,“ istoty zagadkowej, przez nikogo nieodgadnionej, która jednocześnie razi artystę „Niemocą“ i z duszy jego arcytwory wywołuje. Więc szarpie nieszczęśliwą w przeciwne strony Tęsknota czynna i Tęsknota bierna, ta, która w niej samej ręce ku przyszłości wyciąga i ta, która po nią „rękami przeszłości“ sięga; gdy zaś

Krzycki nie wrócił z „orlej perci,“ walka dwóch Tęsknot o obłąd ją przyprawia.

Nie łudzę się bynajmniej, żeby mi się udało „streścić“ ostatni poemat Przybyszewskiego. W jakim są do siebie psychologicznym stosunku te wszystkie kochania i niekochania, te miłości tęskniące i tęsknoty miłujące; po co szukają się lub odtrącają się wzajemnie te różne widzialne i niewidzialne ręce; dlaczego takie a nie inne szarpią w duszy struny, tak a nie inaczej dźwięczącymi akordami te właśnie wywołują nastroje? Na to poeta zdaje się odpowiadać: „Tak w przestworach Kosmosu gonią za sobą lub odpychają się atomy; w takim wirze kłębią się odwieczne moce między Życiem i Śmiercią.“ I trzeba na tem poprzestać; a streszczając własne wrażenia zdefiniować „Śluby,“ jako „dramat telepatyi,“ z cichem w sekrecie zastrzeżeniem, że to może tragedia psychopaty. Dramat czy też tragedia—z muzyką. I ta muzyka słowa, z uroczą często melodią frazesu, z rozkołysaną rozkosznie harmonią okresów, wydobytą z niespodziewanych rozdźwięków, pozwala niekiedy zapominać o tem, co się na scenie... nie dzieje i wsłuchiwać się w echa tego, co się może dzieje gdzieś... między planetami.

Artyści jednak muszą grać na ziemi i to im cokolwiek utrudnia zadanie. Pani Pytlińska w roli Klary chwilami tylko pokonywała je zwycięsko, o ile zdobyta dotąd technika aktorska zdołała przyjść w pomoc jej inteligencji. Dla panny Palińskiej postać Poli okazała się stanowczo zbyt skomplikowaną. Z subtelnym artyzmem i poetycznym polotem grał Krzyckiego p. Brydziński. P. Maryański nie budził wiary w swoje nadczłowieczeństwo.

III.

Z zagranicznej produkcji przedstawiono nam przedewszystkiem *articles de Paris*, ze szczególnem upodobaniem do wachlarzy. Sztuka francuska — oczywiście Caillavet'a i Flersa — grana u nas pod nazwą „Nowa Circe“ ma prawdziwy tytuł „Wachlarz;“ sztuka angielska Oskara Wilde'a, na której właściwie trzeba wycisnąć stempel *made in France*, nazywa się „Wachlarz lady Windermere.“ W obu utworach to kosztowne cacko nieopatrzenie porzucone i przez niewłaściwą rękę znalezione, utrzymuje chwilowo akcyę na krawędzi dramatu, budzącego w publiczności coś nakształt za-interesowania; w obu, pod osłoną tego wachlarza, uśmiechają się

autorowie mniej więcej dyskretnie z tej ciekawości widza. Mamże wobec tego zasłużonego, mojem zdaniem, uśmiechu opowiadać szczegółowo, w jaki sposób ratuje wachlarzową sytuację w komedyi Caillaveta i Flersa pani Gizella Vaudreuil, przezwana „nową Circe,“ dlatego, że wielbicieli swoich przeistaczała, może niezupełnie w homerowskim stylu, w pożądlivą, salonową trzódkę? Mamże prowadzić czytelnika tą utartą ścieżką felietonowej akcji, wysnuwanej z felietonowych motywów, przy pomocy felietonowej charakterystyki figur, które felietonową elegancję dialogu zaostrzają felietonowym dowcipem? Wszakże widzieliśmy już, jeżeli nie to samo, to coś w podobnym stylu w komedyi „Miłość czuwa;“ więc niech tym razem wystarczy ciekawym zapewnienie, że pani Gizella Vaudreuil jest o wiele lepszą od swej reputacji; że jakkolwiek różniła się od klasycznej Oceanidy w sposobach rzucania uroków i wywoływania w ofiarach zoologicznych przemian, to jednak, podobnie do tamtej, znalazła swego Odysseusza, który właśnie opornością wobec czarów i mądrym nad własnem uczuciem panowaniem, zdobył miłość normandzkiej Cyrcy. Powiedzmy odrazu „wolną miłość;“ piękna Gizella bowiem odsuwa niedwuznacznie do późniejszych czasów małżeństwo, proponowane jej przez Odysseusza w postaci p. Franciszka Trévoux; natomiast występując jako wybawicielka w awanturze, wywołanej zgubionym wachlarzem i rzucającej cień na kogo innego, mianuje p. Trévoux wobec całego wytwornie próżnującego towarzystwa „swoim kochankiem,“ bez żadnych zastrzeżeń ani co do wczorajszej nocy, o którą właśnie wszystkim chodzi, ani co do dni jutrzejszych, w których przewidywaniu o mężu nic nie słyhać. Oświadczenie to wywołuje oklaski. Może publiczność wierzy, że to „nominacja aż do dalszego rozporządzenia;“ może ją wzruszyła gotowość pani Vaudreuil wzięcia na siebie w cudzej sprawie pozorów, budzących plotkarskie podejrzenia; może składa w ten sposób życzenia szczęścia panu Trévoux, który na nie tak długo czekał; dość, że oklaskami przyjmuje to, co odrzuciła w „Siódmem przykazaniu.“ Nie dziwny się. To tak „elegancko“ podane! Nie dziwny się, zwłaszcza, że stało się to w znacznej mierze dzięki pani Federowiczowej, z wrodzonym wdziękiem przedstawiającej postać tytułową i p. Frenklowi, który, nie uląkłszy się mnóstwa szkopolów w roli charakterystycznego kochanka, stworzył postać pełną humoru, artystycznie z sentymentem skojarzonego.

Lady Windermere widzieliśmy także — bez wachlarza wprawdzie — w repertuarze francuskim. Dlaczego zobaczyliśmy ją znów z wachlarzem? Bo tak chciała tradycya benefisowa, która scenę

naszą utrzymuje dotąd na poziomie prowincjonalnym, a starczy jednocześnie za charakterystykę pewnej kategorii utworów. „Miłość czuwa“ wybrana przez p. Wolskiego, zarówno jak „Wachlarz lady Windermere“ wyróżniony przez panią Lüdową — to sztuki aktorskie. Są w nich „dobre role“ — a o to przecież chodzi przede wszystkim beneficantom, jak wogóle aktorom, umiejącym patrzeć na repertuar tylko pod tym specjalnym kątem. Tu właśnie szukać trzeba źródła odwiecznego antagonizmu między krytykiem a aktorem, nie rozumiejącym jak można nie pochwalić sztuki, w której on ma „dobrą rolę;“ tu również tkwi przyczyna powtarzających się nieporozumień między krytyką a publicznością, której krytycyzm wobec słabego lub zgoła lichego utworu kapituluje pod wrażeniem gry artystycznej. Stąd częstsze upadki sztuki dobrej, ale granej bez popisów wirtuozowskich, niż sztuki zupełnie złej, a granej „koncertowo;“ stąd naturalne westchnienia za jakimś Stanisławskim, któryby nie na „gwiazdach“ (zresztą już coraz rzadszych), ale na artystycznej syntezie oparł literacką dyrektywę dramatu i komedyi. Ale Stanisławskiego niema; a tymczasem gramy „Wachlarz lady Windermere.“ Cóż z tego, że to sztuka Wilde'a; což z tego, że pani Lüdowa wywiera tam same tylko estetyczne wrażenia swym wyjątkowym talentem konwersacyjnym i wytwornością arystokratycznego gestu; což z tego, że jej dzielnie wtórują p.p.: Frenkiel, Nowicki, Wolski i pani Tekla Trapszo, kiedy ten „dramat dobrej kobiety“ — jak go nazwał autor — nosi na sobie cechy fabrykatu, którego nie ożywiają nawet błyskotliwe Wildowskie paradoksy! Mistres Erlyne uciekła niegdyś od męża z kochankiem, porzuciwszy kilkoletnią córeczkę. Po latach burzliwego życia, spędzanych w całej Europie, jakiś macierzyński odruch sprowadza ją do Londynu, gdzie córka jest już szczęśliwą małżonką lorda Artura Windermere, a matka, zbrojna swoją tajemnicą, próbuje pogodzić interes z sentymentem, wyłudzać jednocześnie szantażem pieniądze od zięcia i usiłując wedrzeć się do domu jego żony. Jedno i drugie udaje się jej istotnie, ale kosztem spokoju córki; bo czyhający dawno na dobrą sposobność lord Darlington wyzyskuje częste wizyty Windermera u Mrs. Erlyne, aby przekonać lady Windermere o zdradzie małżonka, a wprowadzenie pod jej dach Mrs. Erlyne przedstawia jako brutalne narzucenie żonie towarzystwa mężowskiej kochanki. Zraniona w swych uczuciach lady Windermere zdobywa się na krok rozpaczny i wprost z balu, gdzie zmuszona była znieść u siebie mniemaną zniewagę, ucieka do mieszkania lorda Darlingtona bez jego wiedzy i w jego nieobecności. Tam jednak spotkała się z Mrs. Erlyne, która do-

wiedziawszy się o szaleństwie córki z listu, pisanego zapewne przez Wiktoryna Sardou i widząc w niem z przerażeniem powtórzone pierwszy rozdział przygód własnego życia, używa całej swojej wymowy, wspartej obudzoną na seryo miłością macierzyńską, ażeby skłonić kochającą zawsze żonę do powrotu do niesłusznie posądzonego męża. A kiedy lady Windermere, opuszczając kawalerskie gniazdo niedoszłego kochanka, zostawia tam w popłochu swój wachlarz, który, znów dzięki Wiktorynowi Sardou, dostaje się do rąk lorda Windermere, wciągniętego przez gospodarza na nocną, męską, gawędę, Mrs. Erlyne ostentacyjnem wejściem swoim z przyległego gabinetu i oświadczeniem, że ona to przez omyłkę zabrała z balu wachlarz lady Windermere, zażegnawa zaczajoną już w trójkącie małżeńskim katastrofę. Wachlarz daje wprawdzie pani Erlyne nazajutrz przyzwoity pozór do spotkania się z córką raz jeszcze, ale wybawczyni nie nadużyje tego pretekstu i choć obie kobiety rozstaną się w najlepszej zgodzie, lady Windermere nie dowie się nigdy, że odzyskane szczęście zawdzięcza matce, w której śmierć nauczono ją wierzyć. Tylko twórca „Salome“ będzie miał sposobność pod ostatnią sceną, świetnie poprowadzoną, wyryć lwim pazurem napis *Wilde fecit*. Jedna scena na cztery akty — to nie wiele dla publiczności, to nic dla literatury; to dosyć dla kierownictwa, ułatwiającego sobie znakomicie zadanie przemycańcem pod głośną marką towarów wątpliwej wartości. „Chcecie Wilde'a — zdaje się mówić dyrektor dramatu i komedyi — macie Wilde'a, póki go wystarczy; smakuje wam Shaw, mogę wam dać wszystko, co tylko napisał i co jeszcze napisze. A kiedy zabraknie jednego i drugiego, gdy już wyczerpiemy do dna Caillaveta i Flersa, to poprosimy ładnie Maryana Gawalewiczę o zasilek; on nam zawsze coś odstąpi.“

I Maryan Gawalewicz odstępuje istotnie scenom rządowym nietylko swoich aktorów, ale dzieli się po gentlemeńsku repertua-rem, który on zna, a o którym na Placu Teatralnym nikt nie słyszał. Tą drogą ma podobno wejść na scenę „Rozmaitości“ Molnarego „Dyabeł;“ tą drogą weszła już z pewnem powodzeniem satyra w 4 aktach Gustawa Wieda „ $2 \times 2 = 5$.“

Kto jest Gustaw Wied?

Był czas, kiedy odpowiedź: „Duńczyk“ wystarczała snobizmowi sporego zastępu krytyków i szczupłej garstki publiczności. Dziś nie wystarcza: minęły piękne dni Skandynawii. Trzeba więc rzucić okiem na wizerunek pisarza, którego w pięćdziesiątą rocznicę urodzin nazwano w ojczyźnie „Figlarzem z Lollandu.“

Naprzód jedna osobliwość: syn Skandynawii, który się śmieje i to śmieje się, patrząc jak „w państwie Duńskim“ nie tylko „coś,“ ale mnóstwo rzeczy „się psuje.“ Śmieje się na jednym z portretów oczami, ciskającymi iskry dowcipu, ironii; ustami, ułożonemi w wyraz drwiącej ciętości; śmieje się na drugiej podobiznie, stojąc silnie rozstawionemi nogami na ziemi, którą zdaje się obejmować w posiadanie podbojem satyryka; śmieje się, zanurzając swobodnym ruchem ręce w kieszeniach i podnosząc głowę dużą, nakrytą podanym w tył kapeluszem, pod którym oblicze okrągłe, szerokie, chłopskiego nieco typu, zdaje się rozlewać całe w jednej ekspresyi, drgającej niczem niepowstrzymaną wesołością.

Śmieje się z czego?

„Na tym świecie, widzicie moi drodzy, trzeba się śmiać z siebie i z innych. Ze wszystkiego—bo to jest jedyny pogląd na całą maskaradę życia, który konsekwentnie da się przeprowadzić. Nikt przecie nie może zawsze i wszędzie w karawaniarskim występować stroju. A śmiać się można ze wszystkiego; bo niema na kuli ziemskiej nic takiego, w czemby się nie znalazła strona zabawna.“ Tak przemawia Wied do czytelnika. Więc humorysta? Nie. Za głośno na to brząkają dzwonki na czapce Gustawa Wieda. Głębszy w nim tkwi ironista i bystrzejszem okiem obrzuca kłamców życiowych, których jest osobistym niemal wrogiem. Tylko nie trzeba zestawiać go z uroczystym Norwegczykiem. W stosunku do Ibsena stoi Wied na przeciwległym biegunie, obserwując zgniliznę społeczną nie przez ostre okulary sędziego, lecz pod słonecznym działaniem śmiechu. Ten śmiech sprawia też, że psychika owych „kłamców życiowych“ inaczej nam się przedstawia, niż dusze Ibsenowskich bohaterów. To nie obłudnicy „z jednej sztuki,“ konsekwentnie przeprowadzający w życiu swój faryzeizm; to pęcherze, które wiatry, przygodnie wiejące z różnych stron, wydymają. Dlaczego dziś są pełne, jutro puste; dlaczego raz pod jakimś sztucznym technieniem unoszą się wysoko, to znów zmięte i bezduszne w błoto upadają — to może wyrazić jedyna ich życia formuła: $2 \times 2 = 5$. Więc też komedia pod tym tytułem, przerobiona z najlepszego romansu Wieda „Z dni młodości,“ najcharakterystyczniej może przedstawia i jego materiał obserwacyjny i metodę spostrzegawczą.

Satyryk nie dba ani o zręcznie stopniowaną akcyę, ani o kunsztowną sztuki budowę, ani o pulsujące natężonym komizmem sytuacye. O charakterystykę postaci chodzi mu przedewszystkiem i wydobyć z niej cech znamienych, które dusze ich ukształowały według logiki $2 \times 2 = 5$. Na tę charakterystykę rzucają

światło Paweł Abel, literat i nauczyciel, sceniczne wcielenie samego Gustawa Wieda i Gerhard Konik, karykaturzysta. Oni to obydwaj kombinują w tym „gabiniecie śmiechu“ wklęsłe i wypukłe zwierciadła, w których różne figury rozmaite odbywają metamorfozy. Więc w pierwszym akcie żona Abła, Estera, apatyczne stworzenie, zajęte tylko „wielkiem praniem“ i strofowaniem męża za jego niemoralne książki, odchodzi od niego, gdy go za to usunięto ze szkoły i gdy mu zagrożono więzieniem i zamieszkuje w domu rodzicielskim, gdzie ojciec jej, radca rachunkowy, Haman, celebryta kult konserwatyzmu i lojalności, a syn młodszy, Frydzio, niepoczytalne zda się chłopię w swym naiwnym sentymentalizmie, wzdycha do jakiejś niedoścignionej oblubienicy. Powrót Abła do kawalerskiego życia nastęrcza nam sposobność poznania kokoty Otelli, która na oswobodzonego literata zarzuca po dawnemu jedwabno-złote sieci i przy pomocy pieśni z „Tannhäusera,“ granej w takich razach z niezawodnym skutkiem, wywołuje konieczność zakończenia aktu spuszczeniem zasłony. W więzieniu, gdzie go zamknięto za książkowe przestępstwo przeciw moralności, Abel, z racy niespodzianej wizyty swego teścia, który wraz ze zmianą ministeryum, z konserwatysty przedzierzgnął się na daleko zaawansowanego liberała, ma sposobność przekonać się, jak dalece w życiu $2 \times 2 = 5$,—o czem zresztą zapewnia sam radcę rachunkowego, oświadczając mu, że on, Abel, stał się na odwrót zawołanym konserwatystą. Odzyskana wolność zgotowała mu niespodziankę, jedną z tych, których zawsze spodziewać się trzeba. W zajmowanym poprzednio mieszkaniu, w pokojach meblowanych, znajduje Otelę, gospodarującą z jakimś cyklistą, któremu kokota gra... pieśń z „Tannhäusera.“ Tym razem jednak Wagner nie będzie dla niej „muzyką przyszłości;“ Abel bowiem nie chce dalej odgrywać roli Tannhäusera w grocie Wenery, ani stawać z rycerzem rowerowym do miłosnego turnieju. Wskazując drzwi czulej parze, proponuje jej rekord gdzieindziej, nie przypuszczając, że przez te same drzwi wtargnie do niego za chwilę nowa, jeszcze osobliwsza siurpryza w postaci Estery, przeistoczonej do niepoznania. Na szyję rzuca mu się śliczna, wytwornie ubrana i uczesana osóбка, którą widocznie jakieś „wielkie pranie“ obmyło ze wszystkich dawnych, nieprzyjemnych naleciałości. I nie wie Abel, czemu się więcej dziwić, czy tej metamorfozie, czy też widokowi Frydzia, w krochmalnej postawie usiłującego zaimponować mu swem ożenieniem... z matką ubóstwianej niedawno oblubienicy. Zamiast więc ekspensować podziw, woli Abel śmiać się śmiechem, który jest pieszczotą dla Estery, a zdrowem szy-

derstwem dla jej brata. Gdy tak rozśmiał się ze wszystkich, pozostaje jeszcze ktoś, śmiechem dotąd nie dotknięty — on sam. Nie szczędzi zatem i siebie, przyjmując ofiarowane mu już dawniej przez pewną stateczną szambelanową stanowisko redaktora dziennika zachowawczego. Przecież i on nie może wyłamać się z pod rządzącej światem logiki $2 \times 2 = 5$ i wyłamywać się nie chce, przekonany, że w takiej formule objawia się niekiedy... poezya, którą odczuwa ta dusza chłopca, rozkochanego namiętnie w niepoczytalności natury.

Artystom, grającym w sztuce Wieda niełatwo przyszło oryentować się w psychologii jego bohaterów. Przyzwyczajeni do „konsekwencyi“ figur teatralnych, znaleźli się w jakimś egzotycznym świecie. Najpomysłniej brnęli przez niezwykle trudności panie Lüdowa, Bogusławska, Pawińska i Pichor, pp. Nowicki, Wilczyński i Lenczewski.

IV.

Kiedy w tę rozpaczliwą szarzyznę życia powszedniego, zasłaniającą stale na naszej scenie wszelkie daleko- i wysokosiężne horyzonty i szeregującą w przednim rzędzie wszelaki drobiazg ludzki, uderzył złoty promień geniuszu, pierzchno w jednej chwili wszystko. Rozdarła się od góry do dołu brudna płachta pospolitości; umknęły gromady karzełków, potykających się wzajemnie o szczudła bohaterstwa własnego wyrobu; niewiadomo gdzie się podzieli Oni, domagający się od nas podziwu dla swego pod- lub nadczołowieczeństwa; niewiadomo dokąd skryły się One, wzywające nas tajemniczym gestem do alkowy, która ma być świątynią, lub do świątyni, która jest alkową. Na scenie jest tylko dwoje dojrzewających dzieci; i mówią do siebie o miłości. O jakiej? Nikomu z was nie przyjdzie do głowy zapytać, czy to miłość „wolna,“ czy „ślubna.“ Ale czujecie, że to miłość „silniejsza od śmierci,“ słyszycie nie rozmowę, lecz dwuspiew, w którym zlewają się cudnie dwie melodie w jedną, jak w jeden rytm uderzyły serca, jak przeniknęły się wzajem dwie dusze w jednym drgnieniu nieskończoności, jak wkrótce dwa ciała splecie z sobą jeden dreszcz rozkoszy. Miasto szamoce się naokoło nich w konwulsjach rozterek domowych; sieć poplątanych z sobą nienawiści dławii kogoś na każdym kroku; ulice wyglądają jak wąwozy; każdy dom jest fortecą, krew płynie na placach, jak z wodotrysków,

a oni się kochają. I dramat tkwi nie w waśni krwawej dwóch rodzin, rozstrzygającej o doli kochanków, tylko w samej naturze ich miłości „nieskończonej jak morze,“ podobnej „kwiatkowi, wykwitłemu w dolinie tego świata, rozwiniętemu rankiem, a zmiecionemu nawałnicą w południe.“ Ta miłość, którą jasność księżycowa troskliwie otula, o którą spierają się noc z jutrzeńką i słowik ze skowronkiem, zazdroszcząc sobie wzajemnie jej pieszczot; ta miłość, która nie zna nic pośredniego między łóżem weselnem a grobem, musi z zawrotną szybkością zdążać do katastrofy. Śmierć w ostatnim uścisku łaskawie łączy konającą dziewczynę z martwym już młodzieńcem. Skończyła się tragedia Romea i Julii. Przemówił do nas Szekspir.

Skąd się tu wziął Szekspir?

To pytanie zupełnie jest uprawnione na współczesnej naszej scenie; ale też i odpowiedź może być tylko jedna. Wprowadziły Szekspira, a raczej powróciły go nam kombinacje aktorskie, jak zwykle z przypadku wynika, a oparte tym razem na godnem wszelkiego uznania współzawodnictwie.

Przebywamy letni, wakacyjny paroksyzm debiutów i gościnnych popisów, występujący stale w ciągu kanikularnych miesięcy wskutek anemii repertuarowej i ubytku sił wykonawczych. Publiczność witała oczywiście z przyjemnością marnotrawne dzieci, które przybyły w odwiedziny pod dach, gdzie je pieszczono i rozpieszczono; szczerze oklaskiwała panią Irenę Trapszo, panią Przybyłko-Potocką i zainteresowała się panną Izabellą Kalitowiczówną, która jako Ewa w „Śniegu“ Przybyszewskiego zwróciła uwagę inteligencją w symbolizowaniu tej zagadkowej postaci. Ale najsilniejsze zajęcie obudził p. Karol Adwentowicz, poprzedzony reputacją artysty myślącego i władającego niepospolitą techniką aktorską.

Pierwszy występ artysty lwowskiego usprawiedliwił w znacznym stopniu owe zapowiedzi i dał jednocześnie pojęcie zarówno o psychologicznej treści jego talentu, jak o rodzaju środków, któremi się ten talent posługuje.

Pan Adwentowicz jest realistą, sięgającym po efekty niekiedy aż do naturalizmu; że zaś sięga ręką pewną, której sprawność nie zawodzi go nigdy, więc potrafi wywołać wrażenia wstrząsające. Typowym okazem takiego kierunku jest Oswald w „Upiorach“ Ibsena. Przedstawiając tę postać, artysta uczynił ją bez wahania osią dramatu i wysunąwszy znakomite studjum patologiczne na pierwszy plan, przeraziwszy widzów grozą szpitalnych obserwacyj, zepchnął w tej klinice na ostatni plan tragedję

„kłamstw życiowych,“ odgrywającą się w duszach pani Alwing i pastora Andersa. Czy w ten sposób p. Adwentowicz sprzeniewierzył się idei Ibsena; czy raczej nie poparł jej przerażającym uplastycznieniem owoców takich kłamstw—to sprawa sporna, jak sporną wydaje mi się dotąd kwestya, gdzie właściwie szukać należy środka ciężkości „tego dramatu rodzinnego.“ To pewna, że artysta zainteresował wszystkich i że z tem żywszem zaciekawieniem wyczekiwano „Hamleta.“

Bo nie ludźmy się. Nie inicjatywa kierownicza, lecz szlachetna ambicya aktora była pierwszym bodźcem do zmartwychwskrzeszenia Szekspira i ta ambicya zaszczyt przynosi artyście, choćby urzeczywistnienie jej nie dosięgło tych wyżyn, gdzie się poczęła. Indywidualność p. Adwentowicza zarysowała się przy realizacji tego wielkiego zadania z pewną jednostronnością; i jakkolwiek wszystkie warunki zewnętrznie artysty: postać rosła i szykowna, oblicze ruchliwe, oczy pełne wyrazu, głos pięknie brzmiący, dykcya czysta (o ile tej czystości nie mąca odruchowe przyspieszania rytmów)—słowem cały plastyczny materiał zdawał się oczekiwać tylko na rzeźbiarza, któryby wydobyl z niego idealną postać królewicza duńskiego, — takim rzeźbiarzem nie był pan Adwentowicz. W modelacyi jego zniknął królewicz, przedstawił się tylko dzisiejszy nerwowy nastrojowiec z włoskiej szkoły Maggiego. Wiem, że taka kreacya ma za sobą z góry przygotowane uzasadnienie: swobodę modernizowania typów wszechludzkich, snujących się poprzez literaturę i sztukę z duszą człowieka wszystkich miejsc i czasów. Wiem, że roi się doba obecna od hamleciaków, wywodzących ród swój w prostej linii od wielkiego antenata z Elsinöru; ale to doprawdy nie racya, żeby najwspanialszego z bohaterów szekspirowskich przykrawać według miary krawca. Krawieckim bowiem strojem będzie zawsze ów modernizm, w który przyodziejemy Hamleta, rozebranego z szat królewskich; o duszę zaś wszechludzką nie łatwo. Nie wydziela jej się w retorcji laboratoryjnymi jakimiś zabiegami z mieszaniny czasów i miejsc; potrzeba na to potężnego odczynnika — poezyi; a poezyi właśnie w grze p. Adwentowicza brakowało. Mógł więc być Hamlet w interpretacyi artysty zajmującą próbą i był nią istotnie; ale próba wykazała raz jeszcze, że trudniej grać Szekspira, aniżeli Ibsena i Strindberga.

Na tej to prawdopodobnie trudności oparła się rywalizacya której zawdzięczamy przedstawienie „Romea i Julii.“ Logika rozumowania strony współzawodniczącej może była cokolwiek wątplą; może ryzykownem było powiedzieć: „my, co słabo gramy

Ibsena, będziemy właśnie dobrze grali Szekspira.“ Bądź co bądź przeważała zapewne racya: „pokażmy, że można u nas grać Szekspira bez obcej pomocy.“ I ci co tak mówili postawili na swoim.

Szczery poklask im się za to należy. Było to przedstawienie nie porywające zapewne, ale spokojnie przyjemne, coś nakształt wrażenia, jakiegoby się doznawało, czytając tekst Szekspira, ozdobiony udatnemi ilustracyami. Trzeba o tem pamiętać, że takie talenty, jak p. Józefa Śliwickiego i pani Tekli Trapszo, wegetują już od szeregu lat w dusznej atmosferze literatury „rozrywkowej“, w której nietylko skrzydła nikomu nie rosną, ale wyrośnięte przypadkiem, jaknajskwapliwiej są obcinane. Przy tych warunkach, do form, w jakich wypowiadała się miłość kochanków werońskich, mogły się od czasu do czasu zabłąkać jakieś akcenty mieszczańskiej alkowy; pozy, ruchy mogły się chwilami odchyłać nieco od renesansowych linii; ale niewątpliwa szczerłość uczucia w obojgu artystach; widoczny kult dla arcydzieła i świadomość dźwiganej na swych barkach odpowiedzialności za podjęte zadanie, wytworzyły ogólny nastrój, z jakim oddawna nie zdarzyło nam się spotkać na warszawskiej scenie. Grono artystów, uczestniczących w przedstawieniu: pp. Kotarbiński, Bednarczyk i Maryański, panie Bogusławska i Micińska, zbliżyli się do postulatu, w którego urzeczywistnieniu leży przyszłość naszego dramatu, a może i dramatu wogóle: do dobrego zespołu. Gdybyż znalazła się nareszcie na czele tej rzeszy kierownicza dusza, któraby taki zespół twórczem tchnieniem ożywić potrafiła!

V.

Do teatru Maryana Gawalewicza dążą również artyści zakordonowi, dążą nawet chętniej niż do „Rozmaitości.“ Przyczyna tej atrakcyi bardzo prosta: Teatr Mały ma repertuar, którego nie znajdują przybysze na scenach rządowych; goście mają w czem wybierać, a w razie potrzeby kierownik tej żywotnej sceny nie zawaha się wystawić umyślnie sztuki dla artysty, którego pozyskać pragnie. W ten sposób publiczność poznała jeden z najsubtelniejszych utworów współczesnej literatury rosyjskiej „Wujaszka Jasia“ Czechowa i głośnego ze swej jaskrawości „Ojca“ Strindberga. Gra p. Adwentowicza w obu tych utworach dopełniła tylko charakterystyki, do której materiału dostarczyły widzom odrazu sposoby interpretowania „Upiorów“ i „Hamleta.“ Neurastenia

w tej grze panuje w różnych formach i stopniach, jako wytwór schorzałego jakiegoś intelektualizmu; uczucie milczy zupełnie lub odzywa się słabo. Już w „Rosmersholmie,” przedstawionym w „Rozmaitościach“ w ślad za różnemi innemi teatrami, można było zauważyć nikłe dźwięki tej struny, potrącaney przez artystę prawie niechętnie; brak jej silniej jeszcze zastanawiał w „Wujaszku Jasiu.“ Rzecz dziwna! Zdawałoby się, że artysta, „modernizujący“ Hamleta, powinien był przeniknąć odrazu „hamletyzującą“ duszę rosyjską; tymczasem p. Adwentowicz pomiął w psychologii lekarza Astrowa zasadniczy obu dusz pierwiastek: tęsknotę, która w piersi królewicza jest pragnieniem moralnej w świecie harmonii, u cichego nihilisty tajemniczym dreszczem anarchii; a tu i tam ma wspólną cechę: poezję Nieuchwytnego. Podkreślił więc artysta bardzo umiejętnie zewnętrzny egzotyzm postaci, dzikość jej natury, przebłykującą przez szczeliny w kulturze umysłowej, ale uczuciową jej stronę zaniedbał, co zubożyło niewątpliwie typ, w intencji autora bogaty i skomplikowany. Wdzięczniejszym niewątpliwie dla artysty było zadaniem odtworzenie postaci Rotmistrza w „Ojcu“ Strindberga. Stopniowana przez trzy akty psychoza nerwowca, zakończona obłędem, czyż to nie nęcące *pendant* do „tabesu“ Oswalda w „Upiorach?“ Grał też p. Adwentowicz na tej klawiaturze patologicznej ze sprawnością wirtuoza, wydobywając z niej tony przeraźliwe, od okrzyków bezsilnego gniewu, aż do płacznego bełkotu świadomej siebie niemocy. Było to wcielenie jednego argumentu tezy Strindberga „o słabości szlachetnego z przyrodzenia mężczyzny wobec chytrej, przewrotnej, niszczącej siły jego naturalnego wroga—kobiety.“ Drugi argument wystąpił w postaci pani Stanisławy Wysockiej, artystki teatru krakowskiego, a wystąpił z taką spokojną mocą, z takim wczuciem się i wmyśleniem w symbolizm złowrogiego zjawiska, że dusza straszego dramatu: walka nie Rotmistrza z Laurą, nie męża z żoną, lecz Mężczyzny z Kobiętą, walka śmiertelna dwóch płci—porwała odrazu całe audytoryum. Powiedzmy zatem, że zwycięstwo odniosła nietylko bohaterka dramatu na scenie, ale znakomita artystka w sali teatralnej. Było coś imponującego dziwnym demonizmem w tej postaci wiotkiej, snującej się cicho po scenie w liniach wyniosłych, chwilami tylko wyginających się węzowo; w tem obliczu o zarysie tragicznym, zaostrażającym się w pewnych momentach ekspresją chłodnego okrucieństwa; było coś przerażającego w tej dykcyi, z intencją powściągliwej, rozmyślnie zrównoważonej, jak gdyby szlifującej z każdego wyrazu zatrutą strzałę; było coś grozą przejmującego w tym

tryumfie wyrafinowanej dręczycielki, która z przygodnie rzuconego przez męża aforyzmu, „że właściwie nie można nigdy wiedzieć kto jest ojcem dziecka,“ ukłała narzędzie tortury, doprowadzającej do szaleństwa znieawidzonego człowieka. I ten straszny pojedynek tak całkowicie pochłonął natężoną uwagę widza, że mu znikła z przed oczów cała jednostronność tezy, cała paradoksalność zwyrodniałych typów, cała jaskrawość symboliki owego waryackiego kaftana, który oddaje obezwładnionego Mężczyznę na łaskę i niełaskę Kobiety: pozostało wrażenie wielkiego talentu pisarza i skończonej kreacji aktorki, którą cała bogata i wszechstronna twórczość stawia dziś wśród pierwszorzędných artystów sceny polskiej.

Zatrzymawszy się dłużej na występach gościnných w Teatrze Małym, uważam za słuszne powtórzyć jeszcze z naciskiem, że tego rodzaju popisy nie są u Maryana Gawalewicza cnotą z potrzeby, jak na scenach rządowych. Dość przejrzeć afisze z ubiegłych trzech miesięcy, ażeby powziąć pojęcie o zapobiegliwości dyrektora tej sceny, na żywsze zasługującej poparcie. Dziesięć sztuk w ciągu dwunastu tygodni—to chyba świadczy o pracy zarówno kierownika, jak i zostających pod jego sterem artystów. Można z różnych stanowisk oceniać wartość wytwarzanego w gorączce repertuaru; można sprzeczać się o to, czy lepiej wystawić w Warszawie sztukę nieznaną jeszcze w Paryżu, czy też czekać aż tam przetrwa próbę ogniową; można wreszcie rozmaicie patrzeć na sztuki, które już zagranicą przetrwały tę próbę, a u nas, nie wiadomo dla czego, wytrzymać jej nie mogą; ale trzeba chyba przyznać, że teatr, który wedle ram swoich odtwarza ruch literatury dramatycznej w rozmaitych kierunkach; teatr, w którym spotyka się takie nastrojowe przedstawienie „Wujaszka Jasia;“ gdzie się widzi tak artystycznie i z życiem grane jednoaktówki z tryptyku Saltena „Siła moralna“ i „Zmartwychwstanie;“ gdzie publiczność ma sposobność zobaczyć ciekawą bądź co bądź komedię Bernsteina „Samson;“ gdzie Strindberg podnieca myśl swemi paradoksami, a Maurycy Soulié ze swoim „Dzikiem“ daje się poznać *avant la lettre* w żywej grze pp. Adwentowicza i Weycherta, panny Dunmówny i Stasi Kozłowskiej—taki teatr wart jest baczniejszej uwagi i skuteczniejszej zachęty.

*

*

*

Gdy na estradzie Filharmonii, zamienionej na teatr, rozbrzmiewają tryumfy kobiety, ujarzmiającej mężczyznę, w teatrze Wielkim, przekształconym na estradę, na której koncertowali włoscy śpiewacy w strojach operowych, odgrywał się dramat mężczyzny, wyzwolonego przez kobietę. Na koniec „wielkiego sezonu“ wystawiono „Okręt-Widmo“ Wagnera—i to była jedyna, rzeczywista cecha wielkości owego sezonu. „Okręt-Widmo“ stoi pod wielu względami na punkcie zwrotnym twórczości genialnego reformatora. Jako poeta słowa, wystąpił w nim Wagner poraz pierwszy; jako muzyk, znalazł się w stadyum przejściowem między dawną tradycją opery, a nowemi ideałami „dramatu muzycznego.“ To rozglądanie się po rozdrożu znać zarówno w rysunku literackim figur, niewyswobodzonym jeszcze z romantyczno-balladowych nałogów, jak i w chwiejności melodyjnych motywów, które przy charakterystyce bohaterów wahaają się między wczorajszemi, zamkniętymi formami, a jutrzejszą ich rozlewnością. Duch jednak wieje już tam potężny, i w tym krzyku rozpaczliwym Ahaswerusa oceanowego odzywa się indywidualność twórcy, miotana tęsknotami tułacza za ziemią, gdzie wylądowawszy, znalazłby ocalenie w objęciach ukochanej, a kochającej go i wiernej mu Sztuki.

„Okręt-Widmo,“ wykonany artystycznie z udziałem takich talentów, jak pani Korolewicz-Waydowa i p. Zawilowski, spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności, która potrafiła stanąć na ówczesnem stanowisku twórcy, bo sama szuka dziś dróg od opery do dramatu, — a tych oczywiście nie wskazała jej pani Lina Cavalieri nawet w „wielkim sezonie.“

W. BOGUSŁAWSKI.

Post-Scriptum. W ostatniej chwili zaszły w kierownictwie dramatu i komedii ważne zmiany. Dyrekcya teatrów rządowych rozwiązała kontrakt z p. Kazimierzem Zalewskim. W momencie, kiedy to piszemy, opróżnione stanowisko Dyrektora artystycznego nie zostało jeszcze zajęte. Od powtarzania zakulisowych pogłosek w tej sprawie wstrzymujemy się z zasady. Reżyserem Głównym mianowano artystę p. Kazimierza Kamińskiego, z którym pracę reżyserską dzielił ma artysta p. Józef Śliwicki.

„BARD POLSKI“

(1795)

Adama Czartoryskiego.

Ustalili się już w naszej historii literatury przy omawianiu czasów, poprzedzających romantyzm, taki tok rzeczy: Karpiński i Książnin, a następnie Brodziński—uważani są za poprzedników początkującego romantyzmu (który nazwałbym wileńskim); Woronicz—za poprzednika zenitowego wybijania poezji wieszczej.

Nie samemu jednak i nie pierwszemu ¹⁾ Woroniczowi należą się zaszczyty praecursora. Musi się nimi podzielić, jeżeli nie w zupełności ustąpić, młodszemu od siebie wiekiem, starszemu wystąpieniem, Adamowi Czartoryskiemu.

Jak Morsztyn stanął na widocznym miejscu, na punkcie zwrotnym literatury, wprowadzając do niej nowy kierunek, rozwinięty dopiero po dłuższej pauzie zastoju, tak samo potomek jego po kądzieli zajmuje podobne stanowisko wobec polskiego romantyzmu.

„Barda polskiego“ napisał ks. Adam w r. 1795, mając 25 lat. Nie pierwsza to była próba poetycka, gdyż za lat młodszych, pod okiem nauczyciela, Książnina, przewierszował wiele i nabrał wprawy rymotwórczej; ciągłe zaś obcowanie z poetami, stałymi gośćmi Puław, dopełniło reszty... „Barda“ nie chęć sławy mu dyktowała, nawet do druku go nie przeznaczał; najnowsze dopiero cza-

¹⁾ Nie biorę w rachubę zapomnianej już przez współczesnych „Psalmodyi“ (1695) Kochowskiego, a to ze względu na całkowitą odległość; analogicznie bowiem należałoby przed Brodzińskim postawić Kochanowskiego, autora „Sobótki.“

sy wydobyły poemat z pyłu niepamięci i przyznały mu w historii literatury godnie zasłużone miejsce.

Zamiarem naszym dać szczegółowe opracowanie poematu, które już oddawna mu się należy.

Najpierw zaznajomimy się pokrótce z treścią.

Utwór składa się z sześciu pieśni, nierównej objętości, które później dopiero opatrzone zostały nadpisami (tytułami).

Pieśń I, zatytułowana „Obraz,“ składa się z trzech ustępów; środkowy odpowiada nazwaniu: w usta Młodzieńca, pod którym kryje się sam autor, włożony wyrazisty opis zniszczenia Polski, do niedawna kwitnącej. Wstęp podaje genezę utworu:

„Za cóż to? Za jakież ojców ciężkie zbrodnie
Gniew Jehowy dosięga nas, nieszczęsne syny?“

poucza o wzajemnym stosunku dwu występujących postaci: Młodzieńca-ucznia do Barda-mistrza; tu mamy zapowiedź dalszej budowy poematu:

„Pójdźmy jeszcze zobaczyć, pożegnać tę ziemię,
Ostatnich Polaków wywołajmy cienie!“

Ustęp końcowy, to płynąca skarga do Boga, przeciw Bogu, za niezasłużoną karę.

Pieśń II. „Powstanie:“ Stają u mogiły dawno poległych bohaterów. Bard wstępuje na nią, przyzywa Młodzieńca i, wskazując w stronę Krakowa, opiewa powstanie kościuszkowskie, szerzącą się po kraju wieść o niem, ogólny zapal, powstanie Warszawy, waleczną obronę podczas oblężenia, wreszcie Maciejowice -- upadek; rozwodzi skargi, dokończone przez Młodzieńca.

Pieśń III. „Dziewica.“ Scenerya się zmienia: tam mogiła i Kraków -- tu skaliste, leśne bezdroże; dziewica w siedzącej pozycji, zamysłona, z wyrazem obłędu -- po uśmiechniętych i łzawych Justynach pierwsza Niobe naszej poezji; po wygłoszeniu żalów nad swoim i Ojczyzny losem i po wywnętrzeniu zwidywań -- umiera (najwybitniejszy ustęp z jej słów przytoczymy na innem miejscu).

Pieśń IV. „Młodzieniec.“ Spotykają młodzieńca, opartego o pień dębowy, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi, przedstawiciela zagranicznej tułaczki polskiej -- legionów; straszna rzeczywistość zniszczyła marzenia jego młodości; potomni nie usłyszą o jego zasługach ani w sejmie, ani na polu bitwy; nieznany mu-

si umrzeć! Dalsze słowa legionisty powinnyby wychodzić z ust Młodzieńca—autora, gdyż do jego wyłącznie położenia się odnoszą:

„Mamże przysięgi na przysięgi wkładać?
Sumienie moje obciążać w kajdany,
By kawał roli nie był mi zabrany?
Za kawał kruszcu duch mój zaprzędany
Na przyszłość więzić!?”—

brak więc wyraźniejszego rozgraniczenia, względnie ściślejszego zespolenia obydwu w jednym. Bard zestawia ich położenie: jednego, który

„Zawiedzion dostatkami i w nich bóstwo swoje
Mieszcząc, przezienne męki i haniebne znoje
Ledwo się nieszczęśliwy na końcu dokupi,
Że mu gwałt lichy mienie nie zupełnie złupi“

i drugiego, któremu głos sumienia nie zarzucić nie może, którego zemsta bez cienia zdrady wrogom się dochowa. Autor, oceniwszy obustronne położenie, przyznał wyższość legionście. Spotkanie młodzian idzie na tułaczkę, żegnając się z Bardem.

Pieśń V. „Starzec.“ Urwano dla niej 8 wierszy z poprzednie pieśni i dotąd stale błęd powtarzano. Scena znów inna: w mroku ustępującego dnia, wychodzą ze skraju gęstwy przez otwarte pole, nad urwisty brzeg spienionej Wisły, widząc w dali wieże Warszawy, rysujące się w bladych promieniach zachodu. Bard zestawia obraz stolicy—niegdyś, a dziś. Opodal na wyrwie nadbrzeżnej, jakiś starzec zgrzybiały rozpacza nad śmiercią syna i córki, zamordowanych podczas rzezi Pragi; ustęp ten należy do najświetniejszych; plastyczność przedstawienia, siła wyrażeń, głębokie wczucie się w sytuację, ból patryotyczny — złożyły się na tragiczne piękno. Równie silnem jest zakończenie—potok złorzeczeń na przemoc, groźnych i poważnych, jak anatema Woroniczowe w „Sybilli“ na zdrajców Ojczyzny. Starzec rzuca się w głębokie nurty rzeki ze słowami:

„Gasnąca zgrzybiałość
Nie doczeka już zemstą nasycić mą żalność,“

słowa wielce znaczące, gdyż uczą o późniejszym pochodzeniu ostatniej pieśni,

IV, „Powołanie,“ owianej duchem rezygnacji chrześcijańskiej, na co silnie wpłynęło upokarzające położenie autora, jako zakładnika w petersburskim dworze i późniejsza depresja z okre-

su ministeryalnej dymisy, kiedy miał swobodniejszy czas na dumania o znikomości i na pracę literacką. Nie poddając się indywidualności, szuka wtedy oparcia w Nadziei i chwytą się myśli, że „Bóg skróci karę,“ że dozwoli „Swemu błogosławić słowu;“ Nadzieja ma go nauczyć „głowę schylać pod Jego wyroki.“ Młodzieniec żegna pocałowaniem ziemię rodzinną, zostawiając Mistra, który gotuje się umrzeć między swoimi i składa lutnię na Ojczyzny grobie.

Następuje epilog. Poeta w oczekiwaniu zmian, dnia sądu, przedstawia sobie chwilę, kiedy

„Gwiazdy wstecz ruszą i blade rozbiegną się słońca,
Rozuzdane żywiły w przestrzeni bez końca
Bujać będą, ład niszcząc wszechrzeczy do szczytu,
I nowy świat wystąpi z straszego odmętu!
Co mówię?—Noc jest cicha; gwiazdy błyszczą mnogie,
Niebawem słońce wejdzie promienne i błogie;
Czuję woń kwiatów; — owoc dojrzeje w swej porze;
Dla złych, dla dobrych równie świecić będą zorze;“

ustęp, przypominający wyrażeniami i myślami zakończenie Mickiewiczowskiej „Ody do młodości“ — niedomalowany; jakieś optymistyczne zakończenie raptownie zatarte; ułuda przedświtów nowych dni stawiona twarzą w twarz szarej rzeczywistości:

„Lata biegną... my nikniemy... a Polska nie wraca;“

momentalne wspomnienie o minionych, kochanych snach znów stłumione — ukorzeniem się Bogu:

„Wszak Ty cierpiałeś Boże! cierpieć wolim z Tobą,
Cierpieć to wyższe życie, co górnie spoziera
Na świat; do nieba tęskni, na niebie się wspiera.
Boże! nie daj w materji duszy spełznąć marnie,
Wybaw nas od nieczucia, o zostaw męczarnie!“

Według prof. Kallenbacha istnieje (w archiwum rodzinnem, w Krakowie) kopia oryginału ¹⁾ z r. 1803, pióra ks. Maryi Wirtemberskiej, z innem, krótszem zakończeniem: apelem do bohaterów, poległych za wolność, zaczynającym się od słów: „Żegnamy cię ziemię ulubiona“—zakończenie zaś nasze jest dłuższe—i co

¹⁾ Rękopis ma zawierać drobne odmiany tekstu, których dla niedostępności źródła nie mogłem zestawić.

musimy dodać: biegowi myśli brak przejrzystości. Treść zaś wcale nie przewidywana, wywiera smutne i przygnębiające wrażenie, tem bardziej, że po przejmującym opisie barbarzyńskiej rzezi Pra-gi, należało się spodziewać raczej szczęku oręża, niż kornej prośby o heroizm niewolnika! Na epilog, aby utrzymać jednolitość tonu, nadawały się — w naszym rozumieniu — legiony, w których vox populi, vox Dei, upatrywał gwiazdę nadziei polskich. Ale poeta młodo zabrany z kraju, nie mógł go słyszeć; obce otoczenie nań oddziaływało i oddziało: marzenie zemsty zostało wspomnieniem poetyckiem!

Poemat napisany był w r. 1795; lecz bliższe określenia, kiedy? i jak?, choć łatwo dostępne z „Pamiętników“ i samego tekstu, zostawały dotąd niewyjaśnione. Rząd rosyjski, pokonawszy powstanie Kościuszki, obłożył sekwestrem olbrzymi majątek Czar-toryskich, a stary książę widział się zmuszonym wysłać na dwór petersburski obu synów (Adama i Konstantego), jako zakładników, których pokazywano Europie, jako dowód zaufania do siebie ze strony nowych, dobrowolnych poddanych. W styczniu r. 1795 stanęli bracia, pod strażą Repnina, w Grodnie, gdzie trzymani byli na rozkaz cesarzowej aż do wiosny. Tam właśnie powstawała żałobna elegia, rozpoczynająca poezję porozbiorową. Autor sam zapisuje wyraźnie (w „Pamiętnikach“ str. 34): „Pod tytułem „Pieśń Barda“ opisałem wierszem ówczesny stan mojej duszy podczas pobytu naszego w Grodnie. Przesłałem tę poezję Książninowi i często ją potem z rozrzewnieniem odczytywano w gronie rodzinnem. Przeżyła ona już czas swój, straciła na wartości.“ Zbyt pośpiesznie wydał autor tak niekorzystny sąd o płodzie własnego ducha, o nastroju szlachetnych uczuć polskich z r. 1795, których jedynym był wyrazem.

Poemat nie powstał od jednego rozmachu: zaczęty w Grodnie, dokończony w Petersburgu, dokąd obaj bracia przybyli dopiero w maju (1795). Wskazują na to liczne wzmianki tekstu: w pieśni I-ej niepewność jeszcze dalszego losu (jakby obawa Syberyi):

„Wkrótce przyjdzie uchodzić. Tyran podejrzliwy
Nie da się kryć w zaciszu, siac spokojne niwy.
Z rodzin drogich, z najmilszej wyrwie nas ustroni,
Popędzi w swoje lody, za morza przegoni ...“

w porównaniu z pobytem w Petersburgu, gdy już jakieś lepsze wieści dochodziły z Ojczyzny, lub od legionów:

Nadziejo! „Powiedz mu (Kościuszce), że w Polakach męstwo nie wygasło,
I że jeszcze na jego walczyliby hasło!“

Wyraźnej jednak granicy między tem, co napisane w Grodnie, a co na dworze petersburskim, nie można znaleźć dla braku pewnych danych. Jednym też z dalszych dowodów powolnego tworzenia może być niejednorodność ożywienia poetyckiego, wznoszącego ku końcowi, równoległe z wewnętrzną zmianą metryczną. Przeważający 13-o zgłoskowiec, nieprzekładany, żeński, posiada zwykłą średniówkę, w której zbyt stale umieszczana interpunkcja powoduje monotoność rytmu początkowych pieśni; i tak, na 68 wierszy I-ej pieśni 30 ma interpunkcję w średniówce; — w dalszych widać ciągłą zmianę na lepsze: np. pieśń V-ta liczy w 85-ciu wierszach 34 takich średniówek.

Nim przystąpimy do szczegółowej analizy utworu, musimy wpierym zapytać, co za postacie przewijają się przez poemat?—Dwie główne: Bard i Młodzieniec, widnieją we wszystkich pieśniach, podobnie, jak w grottgerowskiej „Wojnie,“ lub — jak się zwykle mniej szczęśliwie porównuje — w dantejskim eposie ¹⁾.

Wiemy, kim jest młodzieniec, gdyż najmniejszej nie ulega wątpliwości, że młody autor siebie samego w nim przedstawił.

Kogo wyobraża Bard, występujący w charakterze duchowego przewodnika Młodzieńca? Upatruje się w nim Vergilla, oprowadzającego puławskiego Danta po polskiej Gehennie z r. 1795, lecz z jednej strony zapomina się, że pomysł mógł być przypadkowy, lub równie dobrze wzięty np. od Woronicza; z drugiej — że młody książę wcale nie pozował na Dantego; tak więc prócz motywu wędrówki dwu wieszczów — o ile o dwu można mówić — brak wyraźniejszego podobieństwa. Inni znów widzą w nim personifikację dawnej Polski, podobnie jak w osobach z poszczególnych Pieśni — uosobienie uczuć dwu generacyj (młodszej i starszej), współczesnych trzeciemu rozbirowi. Bard nie jest jednak ogólną postacią, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Kryje się w nim konkretna osobistość — natchnionego wieszczą Woronicza. Za naszym twierdzeniem przemawia sam Czartoryski w kilku ustępach „Pochwały Woronicza,“ które nadto przyłożone do poematu, objaśniają go najbardziej szczegółowo i wyraziście: „W jego młodości czasach życie Narodu, cała jego historia była w uczuciach, w żalu, w zwierzeniach wzajemnych, wspomnieniach, w zawartej rozpacz. Czynów nie było. On te uczucia malował, to życie wewnętrzne wynurzał; i dając je poznać w całej jego boleści, tem samem jedynie podobną cierpiącym przyniósł ulgę“ (str. 15).

¹⁾ Dębicki, „Puławy,“ t. IV, str. 213.

„Woronicz był właśnie Bardem, pod klęskami upadającej, z liczby żyjących Narodów, wytraconej Polski. ... Rozpacząca miłość Ojczyzny stała się jego geniuszu Muzą. Wiadomo, że w owych czasach kraj był nawiedzany wszelkimi klęskami, jakie wynikają z srogiej i zawziętej wojny. Jej przerażające obrazy chwyciły rozognioną wyobraźnię Woronicza i już się więcej jej nie puściły. Zdawało mu się wtedy, że głos jego rozlega się na spustoszonej ziemi, wśród żałobnych jęków, tlejących popiołów, zburzonych siedzib; że z lutnią w ręku błąka się po mogiłach bratnich kości, że go obstępują duchy poległych i że między niemi spostrzega smutny cień matki, świeżo otrzymane pokazujący rany.“ (Str. 8, wydanie z r. 1830).

Jaką drogą przyszło do tak blizkich stosunków, łączności duchowej, między uznanym poprzednikiem wieszczkiej poezji, a młodym wierszopisem? Woronicz, obok Książczyna, drugi poeta Puław, zostający z nimi w ścisłym, bezpośrednim stosunku (już od r. 1784), dostaje od Czartoryskich przed r. 1795 probostwo w sławnym niegdyś, a blizkim Puław, Kazimierzu—stałe jednak gości w książęcej rezydencji. Nic więc łatwiejszego, jak zbliżenie się Młodzieńca do natchnionego autora „Sybilli“ — i zrozumiała rzecz, że prócz ogólnego wpływu, któryśmy powyżej wskazali, nie mogło się obejść bez drobniejszych zależności. Przypatrzmy się tylko budowie Woroniczowych poematów: Stale szereg przydługich dyalogów, wpadających w monolog. Taką jest „Sybilla,“ zawierająca długą przemowę Kazimierza Wielkiego (z mogilnego kopca) i krótsze Sybilli, Jędzy i in.; wreszcie przemawia sam autor do królów i bohaterów. Analogicznie w „Lechu“ i „Assarmonicie.“ Poszczególne tyrady kończą się, lub, częściej, przerywają strasznymi widzeniami, omdleniem. Ta sama technika w „Bardzie,“ przemowy idą naprzemiennie, kończą się podobnie. Z wczytania się w oba utwory, doznaje się wrażenia, że Czartoryski musiał znać ogólny plan i gotowe już części „Sybilli.“ Przedewszystkiem uderzająco podobnym jest motyw wstępowania na mogiłę Ojczyzny i wieszczego przemawiania z jej szczytu Jana Kazimierza (początek pieśni III-ciej) i Barda (str. 26); obaj kończą omdleniem. Wspólnem jest założenie obu poematów, wyrażone temi samemi słowy:

(„Bard“ str. 10) „Pójdźmy jeszcze zobaczyć, pożegnać tę ziemię,
Zapłakać na nieszczęsne pozostałych plemię!
Niech raz jeszcze wolności wzruszy nas wspomnienie,
I ostatnich Polaków wywołajmy cienie!“

w początkach zaś II-ej księgi „Sybilli“ pisze Woronicz o Kazimierzu Wielkim:

„A ty się nam odzywasz *lżarem* patrząc okiem!
Dzieci! jakimże dla mnie jesteście *widokiem*!
Lecz nie pytaj nas, ojcze, co się stało z nami...
Ty raczej *raz ostatni* mów nam z tej ustroni,
Czem byliśmy!“

„W przedostatniej pieśni „Barda“ („Starzec“), opis rzezi Pra-
gi przypomina podobny u Woronicza, pod koniec ks. III; w „Bar-
dzie“ tuż wstępuje niezwykle silny potok przekleństw na wroga;
takież streszczenia skierowane są w podobnym wybuchu poetyckim z IV-ej części „Sybilli“, pod adresem sprzedawców Ojczyzny. Jędze, które w „Sybilli“ powodują zniszczenie i rozbiór Polski za Jana Kazimierza, są tutaj wyraźnie wspomniane („Bard“, str. 58):

„Na gruzach, gdzie się Jędze z okrucieństw szczyliły,
Widzę straszne potomkom wznoszone mogiły.“

Tyle z Woronicza.

Zapytujemy teraz, jaki stosunek łączył Czartoryskiego z nauczycielem i jednocześnie głównym poetą puławskim, Książninem? Opierając się na znajomości dzieł Książnina i na znakomitem wspomnieniu pośmiertnym o nim ks. Adama ¹⁾, musimy zauważyć, że struny duchowe ucznia i mentora nie wiele liczyły wspólnych tonów, że nie wiązało ich takie pokrewieństwo ducha, jak łączące Woronicza z Młodzieńcem. Autor „Sybilli“ wszedł do poematu mocą posiadania analogicznej psychy, podobnego sposobu odczuwania i rozumienia losu patryotycznego, wspólnością myśli poetyckich, których nie wcześniejszym, ²⁾ lecz wymowniejszym był głosicielem i które mu zgotowały miano poprzednika poezji wieszczej. Książnin był nauczycielem, w którym uczeń cenił także poetę, lecz zasadnicza różnica ich ducha i usposobień, dodajmy — znajomość słabych stron charakteru domownika Puław, stawiła go niżej w porównaniu z Woroniczem. Dlatego też i brak wyraźniejszego poetyckiego wpływu na utwór. Co najwyżej można mówić o zależności formalnej, lecz niestety! ta strona poezji Czartoryskiego najwięcej szwankuje. Książnin, stracony dla

¹⁾ „Życie Książnina“ Przegl. pozn. 1853.

²⁾ Zarysy „Sybilli“ powstały równocześnie z rozbiorami kraju; Woronicz opracowywał je przez lat kilkanaście; drukiem wyszła „Sybilla“ w r. 1818.

literatury dopiero w r. 1796, miał jeszcze na rok przedtem w swem ręku manuskrypt „Barda,“ przysłany z niemem, czy pisemnem życzeniem, dokładnego przejrzenia i poprawienia. Dla porównania nie waham się przytoczyć losu „Dziejów Wacława“ Garczyńskiego, które, nie ze swej istoty nie tracąc, wyszły z pod ręki Mickiewicza świetniejsze zewnętrzną szatą. Około r. 1807 poświęcił Czartoryski w nowo dorobionem zakończeniu jednowierszowe wspomnienie zmarłemu opiekunowi rękopisu:

„On usnął na swej ziemi.“ (A dalej:
„Lata biegną... my nikniem... a Polska nie wraca“).

Na powyższe przypuszczenie pozwalają następujące okoliczności: Jeszcze w r. 1803 nie było nowego zakończenia; nikt z blizkich Czartoryskiemu nie umiera w okresie lat 1803 — 1807 (ani też w kilku następnych), prócz Książnina († 1807); właśnie w r. 1807/8 wolny od obowiązków ministra osiada książę w Puławach i oddaje się spokojnej pracy; wtedy prawdopodobnie wydobyl rękopis z pomiędzy papierów zmarłego nauczyciela, gdyż — jak informuje Dębicki ¹⁾ — „poemat o powstaniu pozostał tajemnicą nawet przed rodziną w Puławach;“ wreszcie treść i ton zakończenia, zaczynającego się powyższym wierszem, zaczerpnięte są ze współczesnej (1807 —) lektury „Nocy“ Younga (o czem niżej).

Teraz o innem jeszcze wyraźnem zapożyczeniu, od trzeciego z puławskich poetów: Sławne i znane powszechnie żegnanie lutni Karpińskiego w „Żalach Sarmaty“ znajduje odbicie w słowach Barda:

(str. 65) „Ty zaś, ach próżne teraz w mem ręku narzędzie,
Lutni! już twój głos więcej słyszany nie będzie..
Tu kędy bór zapadły, miejsce znajdę tobie;
Tam złożę cię, jak gdyby na Ojczyzny grobie...“

zakończenie jednak mniej rozpaczliwe, bo gdy Karpińskiemu zostały lzy same jedne, Czartoryski przewiduje, że godniejsze ręce wskrzeszą jej głosy.

Prof. Tarnowski, którego zasługą jest wprowadzenie naszego poematu do historii literatury (III, 524—531), rzucił pobieżnie kilka uwag o zależności „Barda“ od poezji angielskiej, którą — dodajmy nawiasem — Czartoryski miał sposobność poznać w oryginale, podczas dwukrotnego pobytu w Anglii.

¹⁾ „Puławy,“ IV, 215.

Szeroko rozwiódł się prof. Tarnowski nad wpływem „Pieśni Ossyana“ i w rezultacie tak go określił: „w tem, że jest Bard z lutnią i że on pokazuje Młodzieńcowi obraz Polski po utracie niepodległości, widać pewien, choćby daleki i pośredni wpływ Ossyana.“ Poznanie makfersonowskiego falsyfikatu zawdzięczał książę przedewszystkiem Książninowi, który tworzył przekład częściami, aż do r. 1795; poznanie następowało — jak to było zwyczajem w Puławach — w miarę kolejnego powstawania pojedynczych pieśni. Co mógł wziąć poeta z „Ossyana?“ — Istotnie nie wiele! Nie treść bohaterską, bo ta, nie będąc na czasie, obcą pozostać musiała. Poemat wyrósł z cierpienia osobistego i nad dolą Narodu, jako elegia pogrzebna nad dymiącymi jeszcze gruzami Ojczyzny i młodocianych marzeń. Niewprawne pióro nie potrafiło odrazu potężnie uderzyć w lament; więc powoli, od nawpół epickiego zdania sobie sprawy z ogromu nieszczęścia, rośnie poetyckie uczucie, by w końcu osiągnąć wyżyny prawdziwego artyzmu. Lecz nim to nastąpiło, sięgnął autor do skarbnicy swej technicznej wiedzy. Tuż przed katastrofą bawiło artystyczną duszę wczytywanie się w dzwieczny 11-o zgłoszkowiec Książninowych „Pieśni Ossyana,“ przenosiło z utęsknieniem w starą skandynawską krainę, między bohaterów, dla których walki, śpiewanie dum i sława pozgonna, były życiem. Zimna rzeczywistość zmusiła widzieć nie własną osobę w tamtych czasach, lecz ujrzeć wypadki dnia bieżącego i tak znalazły się one mimowoli w nieobcej ossyanowskiej sceneryi. Tło poematu bardzo mało, albo nic swojskiego nie przedstawia, co łatwo zrozumiałe, gdyż dopiero nieco później, zlewający się z okresem stanisławowskich sielankopisarzy, romantyzm, pierwszy zajął się seryo krajobrazem i począł go powoli unarodawiać. Czartoryski, bezpośredni poprzednik tego okresu, stoi na kosmopolitycznym gruncie krajobrazu ossyanowskiego: Skalisty, nieuprawny, z omszonymi świerkami i potężnym dębem na przedzie, porosły leśną gęstwą, w której tu i owdzie przemykają bardy i bohaterzy, gdzie niegdzie zaś tylko nad doliną ze spienionym potokiem przeglądają z zaingły wieże zamczyska. Ten krajobraz zawisł nad poematem, harmonizując mrocznym cieniem z posępną treścią. Powie ktoś może, iż poeta nie potrzebował sięgać aż do „Ossyana,“ gdyż tło „Barda“ ma w sobie wiele z samych Puław: otoczonych drzewami, ruinami sztucznymi, położonych nad Wisłą. Owszem! lecz należy wiedzieć, że był to ossyanizm w praktyce; niektóre zaś rysy osób i wiele szczegółów krajobrazowych, związanych z niemi, przemawiają za wpływem literackim. Towarzysząc wędrówce obu po-

staci, nie spotykamy rozłożystych wsi, ni dworu, ni kapliczki przydrożnej; żyjąca przyroda (ptaki), która u nas zawsze jakby na przekór zniszczeniu pulsuje życiem, znikła bez śladu, jak pod zimnem niebem fiordów. Raz tylko ujrzymy z dala wieże Warszawy:

(str. 50) „Wieczór schodzi na ziemię oziębły i siny,
Z lasu wyszliśmy w pole; tu koniec gęstwiny.
Cóż to się błyszczy, rzekłem, i przez mgłę przeziera,
Resztę białych promieni zachodu odbiera?
Czyż nie poznajesz? odparł, wieże to Warszawy.“

i następuje opis byłej świetności stolicy; na str. 18 znów wzmianka o wieżach Krakowa łączy się ze wspomnieniem przeszłości, powstania Kościuszki, podobnie jak w „Ossyanie“ (np. w cz. II „Oskar“ str. 84):

„Żądza śpiewania obudza się w duszy,
I wre mi serce na widok przeszłości,
Widzę, o Selmo! widzę twoje wieże...
Stoją rycerze, Fingal między nimi...
Słucha bohater głosu swoich Bardów,
Śpiewają oni moc jego ramienia,
I co za swojej udzielał młodości.“

Posągowe postaci naszego poematu spotykamy: na polanach leśistych, u stóp dębów (Młodzieniec),—na skale, w ostępie leśnym (Dziewica),—w pustkowiu dzikiem, nad urwiskiem spienionej rzeki (Starzec); lecz ich duch, słowa, nie są z ossyanowych bohaterów.

Wyjątkowo jeden rys wyraźniej zapożyczony: Troska o sławę pośmiertną, żale młodych rycerzy przed skonem, przeczuwających, że wieść o ich czynach razem z nimi zaginie, udzieliła się młodzieńcowi legionście:

(„Bard“ str. 39) „Ujrzym młodzieńca. O pień dębowy oparty...
Oczy, uczuciom najwyższym zrodzone,
Tęskna posepność i smutek przyemiły...“

rozwodzi żale nad swym losem:

Bez celu zmierzchłe życie wlec skazany,
Pożyję próżno i zginę nieznany!...
Żaden sędziwy starzec w ojcowskiej swej mowie
O moich kiedyś czynach synom swym nie powie...“

„Fingal“ str. 31. „Stanie Kuchulin oparły na dębie,
Toczył w milczeniu splomienione oczy
I ucho wiatrom zdawał się podawać...

rozvodzi żale nad poległymi towarzyszami; sam puszcza się na
tułaczkę w lasy:

Tam oddalony od ludzi zostanę,
Tam ja, tam będę nikomu nieznanym!
Żaden Bard mowy nie usłyszy o mnie,
Żaden głaz mojej nie wyda pamiątki.“

Motyw dekoracyjny: bohater oparty o dąb, wyłączna własność Makfersona, daje się spotykać u niego co kartka.

Szczegółowe zestawienie mniej wyraźnych podobieństw opuszczam.

Prof. Tarnowski wspomina następnie o innym europejskim poecie, dziś zapomnianym Youngu, który także wywarł silniejsze wrażenie na wyobraźni ks. Adama. Young, protestancki pastor angielski, z I połowy XVIII w., pisze po stracie całej rodziny poemat w 24 pieśniach, „Nocy“ — elegijne rozmyślanie na temat vanitas vanitatum, na tle dekoracji nocy; skąd poszedł i tytuł. Jeżeli mowa o ewentualnym wpływie, to należy najpierw przytoczyć Noc czwartą (p. t. Narcyza), gdzie autor (Young tworzył w b. podeszłym wieku) płacze i rozmyśla nad utratą córki; wyraźniejszych podobieństw brak, gdyż pieśń zbliża się raczej do „Trenów“ Kochanowskiego, niż do tej części V pieśni „Barda“, w której Starzec rozpacza nad utratą (syna i) córki. Ugruntowanie powyższego przypuszczenia dałoby się wykazać w analogicznym snuciu dalszych myśli: potępieniu bojaźni śmierci (Noc V i następne, a zakończenie V pieśni „Barda“),—z zasadniczą jednak różnicą w efekcie, bo gdy Young znajduje pociechę w osamotnieniu i rozmyślaniach, Starzec topi się z rozpaczy w Wiśle. Natomiast widoczna analogia zachodzi między (później dorobionem) zakończeniem „Barda“, a ostatnią, (t. j. 24) Nocą p. t. Pocięcha—i to nie całą, tylko jej początkiem, który jako objaśniający treść zakończenia, niezgodną—jak wiadomo—z duchem całego poematu, objaśniający przedewszystkiem inne, współcześnie prozą pisane dziełko Czartoryskiego, o zapożyczonym nawet tytule („O pocieszeniu“)—zasługiwałby na szersze uwzględnienie. Dzieło Younga czytał młody książę po raz pierwszy prawdopodobnie w Anglii; powtórnie mógł zabrać się do lektury i jej przetwarzania około r. 1807/8.

Bez charakterystycznych właściwości współczesnej epoki poetyckiej obejść się także nie mogło. Takie np. typowe wyrażenie wskazuje czasy sielankopisarzy Stanisławowskich:

(str. 10)

„Tyran podejrzliwy

Nie da się kryć w zaciszu, siac spokojne niwy.“

Znajdujemy wiele objawów klasycznego stylu, które dziś rażą, choć w swoim czasie były zupełnie na miejscu, jako wyraz wykształcenia literackiego, np. sążniste porównanie (jedno z wielu):

„Jak gdy matce syn drogi pada przed oczyma,
Już martwego ostatnim uściskiem się trzyma,
Rwie szaty, piersi tłucze, głos i zmysły traci,
Tak Polska nieszczęśliwa, w okropnej postaci
Płacze konając, płacze swego bohatera.“

trafia się przepolszczenie łacińskiego *qui* (str. 45); częste uosobienia abstrakcyi:

np. (str. 24) „Tu Polskę raz ostatni wodza broni Cnota,“

lub (str. 21) „Wiarołomnego króla Duma się dziwuje.“

i na tej samej stronie aż trzy podobne figury...

Utwór w licznych ustępach trudny do szybkiego orientowania się, już to dla eliptycznych zdań, już to z powodu dłuższych okresów, z poprzestawianemi wyrazami i mnóstwem interpunkcyi.

Wpływ otoczenia rosyjskiego, zmuszający taić uczucia i kłamać twarzą myślom, wyrzył się już w pieśni II, skreślonej wprawdzie ze szczerym patryotyzmem, w której jednak trwożnie przemilczane są nazwiska, między innymi nazwisko Kościuszki, choć szeroko czytamy o sławie jego oręża. Sam autor tak zwierza się w „Pamiętnikach“ (str. 34): „Nie zmieniły się w owych czasach nasze uczucia, objawy ich tylko na zewnątrz musiały się stosować do okoliczności.“ Pierwszy to u nas przykład deprymującego wpływu duchowej cenzury w naszej literaturze porozbiorowej. Odtąd autorzy będą zostawiali drugą, serdeczniejszą połowę swych myśli domysłowi czytelnika, zaczęli pisać między wierszami. Sam Czartoryski zauważył później ten przygnębiający objaw na poe-
tych Woronicza. ¹⁾

¹⁾ Na str. 11 „Pochwały Woronicza,“ pisze Czartoryski o deprawowaniu myśli twórczej w samym jej zarodzie przez cenzurę, w okresie poetyckiej twórczości Woronicza, co stało się powodem niejasności jego utworów: Ukry-

Tak obliczyliśmy „debet“ poematu.

Co dał jednak nowego, stojąc w przełomowym okresie, jako bezpośredni poprzednik nowego kierunku?

„Sam fakt, że jest poemat, napisany w chwili rozbioru, pod jego wrażeniem i o nim, jest znaczącym i zmywa z poezji ten zarzut, jakoby pozostała nieczułą na nieszczęścia krajowe.“¹⁾ To ogólna wartość—fakt napisania. Szczegółowa tkwi w treści, a treścią: „sprawa między ludzkością a Bogiem.“ Zasadnicze myśli poezji wieszczej wykląda tak jasno i dobitnie, że należało na nie szukać tylko odpowiedzi i dalej rozwijać. Zestawimy je (według wyczerpującego przedstawienia prof. Kallenbacha) pokrótce, w punktach:

1) cicho szerząca się wieść o powstaniu (podobna w „Panu Tadeuszu“),

2) podniesienie znaczenia ludu dla Polski,

3) ostrzeżenie dla Europy: Przez zamordowanie kraju popełniono zbrodnię na ludzkości (co wnet podniesie Brodziński i in.),

4) upadek niezasłużony i żal wobec Boga (jakby pierwszy rzut myśli, rozwiniętych w Improwizacji Konrada),

5) popełniona niesprawiedliwość wypaczyła moralny hart wielu w narodzie,

6) jawna krzywda zmusza do emigracji—legionów, których celem wszędzie bronić sprawy Polski i wolności,

7) nienawiść do wrogów i pragnienie zemsty („Wallenrod“),

8) nadzieja na przyszłość: Bóg skróci karę i pozwoli Szwecji błogosławić słowo,

9) rezygnacja chrześcijańska i wartość cierpienia — zaród messyanizmu: łączenie swych cierpień z cierpieniem Boga, a stąd tylko jeden krok do ubóstwienia ojczyzny.

Wbrew chronologii literackiej postawimy poemat tuż przed romantyzmem wileńskim—bo rzecz znamienita: Przyszły kurator wileński przeczuwając prawie powstanie teorii promionkowej, sam się nią jakby przejmował i tak pierwszy opiewał:

wał bowiem wspomnienia bolesnych wypadków „pod zasłoną straszliwych zjawisk;“ przygnębiające położenie „zmuszało do trwogi i tajemnia się. Mowa też często jego (Woronicza) jest zawila i ponura; widziadła okropne otaczają go, których wytłómaczyć, my teraz żyjący, nie zawsze potrafimy, a których prawdziwe znaczenie przyszłe pokolenia może utracą.“ Przytoczyłem tę luźną uwagę ze względu na zapowiedzianą (Tyg. ilustr.) w tym kierunku pracę p. Matuszewskiego.

¹⁾ Tarnowski III, 528.

(str. 45) „A teraz póki razem, na ziemi ojezystej,
 Złożmy ręce pospołem; duch prawy zasilę;
 Niebo zejrzy; urokiem bratniego ściśnienia
 Dusza się duszy zwierzy; bez słów w jednej chwili,
 Stokroć silniej, jak mową, połączym wzruszenia,
 Powiemy myśli, czucia i przysięgi skryte,
 Które w serc głębokościach Bóg czyta wyrzute.“

Jest to żegnanie się Barda z legionistą.

W niżej zaś przytoczonym ustępie upatruję, na długo przed rokiem 1822, pierwszą polską romanse, godną poprzedniczkę „Romantyczności“ tak w formie jak i w treści, różną od niej tylko brakiem drugiej części, programowej romantyzmu.

W pieśni III, Dziewica żali się na swój los, oplakuje stratę rodziców i w stanie obłądu zwierza się ze swych widywać:

(str. 34) „Nieraz kiedy się zmierzcha, pierwsze nocy wienie
 Przynosi ich żalose nademną jęczenie!...
 A mój kochanek, zawsze mną zajęty,
 Choć nieodwrotną wiecznością przecięty,
 Lekkiem mżeniem powieki byle się skleily,
 Natychmiast mię odwiedza i wszędy znachodzi;
 Wzrok jego razem i smutny i miły
 Tęskność moją niby słodzi.
 Lecz czasem ran tysiącem rażą go morderce,
 Każdą ja czuję, każda rani moje serce.
 O pomoc do mnie, zda mi się, że woła;
 Lecę—wstrzymują, dobiegam—upada,
 Gdy dla ojezyny nie więcej nie zdola,
 Gdy dla niej siły ostatnie postrada,
 Wtedy mnie szuka śmiertelnem wejrzeniem
 I mnie ostatniem pożegna westchnieniem.
 Swego się kwiatu trzyma listek mały,
 Mech się czepia koło skaly.
 Lube me związki już wszystkie zerwane
 I samotna na pustej ziemi pozostanę.
 To mówiąc, listki i mech co skubała,
 Składa znowu, żalując, że je rozłączała...“

Umiera. Cytat powyższy może być wycięty — jak widzimy w zaokrągloną całość. Nienaturalny stan umysłowy Dziewicy, widzenie się ze zmarłym kochankiem — przywodzą na myśl „Romantyczność;“ naprowadza na nią jeszcze formalna strona, gdyż dla odtworzenia niekrępowanego toku myśli, wprowadza autor świadomie pomieszanie rytmu (13-o, 11-o i 8-o zgłoskowiec), tem

widoczniejsze, że nigdzie więcej, tylko w tem miejscu, zjawia się 8-o zgłoszkowiec.

O podobieństwie zakończenia „Ody do młodości“ do jednego z końcowych ustępów „Barda“ wspomnieliśmy wyżej. Wiele też innych zwrotów i wyrażen' znachodzimy potem u Mickiewicza; przytaczam jedno z takich najbardziej zbliżonych miejsc:

(„Bard“ str. 26) „Chciałbym *ująć, uścisnąć*, przyczynić ulżenia“ (nieszczęśliwemu Narodowi), odpowiadające Mickiewiczowskiemu:

Objąłem w ramiona
(Wszystkie przeszle i przyszle jego pokolenia)
Przycisnąłem tu do łona,
Chcę go *dźwignąć*, uszczęśliwić...“

Przypuszczam też z całą pewnością, że literackie kółko akademików wileńskich musiało znóć utwór kuratora uniwersytetu.

„Bard“ krążył w odpisach. Nie potrafię jednak objaśnić, jak szerokie zatoczył kręgi. Pierwsze wydanie, poprzedzone przedmową pióra Niemcewicza, niejasną, bo nie wymieniającą nazwiska autora, przemilczanego i w tytule, wyszło w Paryżu w I tomie „Skarbeca historycznego“ (1840 r.) Karola Sienkiewicza; osobno wyszła odbitka: (ostatni przedruk w r. 1860 w wydaniu Bibl. Polsk.“).

Publikacya przeszła bez odgłosu—i nic dziwnego! zważmy tylko na datę (1840) i wiążąca się z nią wybujałość literatury naszej. Głucho o poemacie na emigracyi, zupełny brak jakiejś wzmianki krytycznej o nim. Jedynie więc niezwykle szczerą autokrytyką, którą znachodzimy w „Pamiętnikach“ (str. 126), domaga się pod koniec zanotowania: „W Pawłowsku ¹⁾ mieszkałem w osobnym domku pod lasem, pod każdym względem bardzo mi wygodnym. Mogłem po kilku godzinach codziennej służby odesobnić się, nie będąc narażonym na nieproszone towarzyszków i mogąc według upodobania oddać się pracy umysłowej i próbom twórczym. Słodkie chwile złudzeń! Myśli się tłoczą do głowy, a zarazem przychodzi przeświadczenie, nie zbyt dla siebie pochlebne, że trzeba wiele wiedzy i długiej pracy, by myśl stała się słowem i że się nie posiada odpowiedniego talentu.“

¹⁾ Jedną z rezydencyj cesarskich blisko Petersburga, w której młody zakładnik początkowo przez dłuższy czas przebywał.

„Bard polski“ nie był ostatnią pracą poetycką Czartoryskiego, lecz sam jeden tylko godny wspomnienia; późniejsze oznaczają krok wstecz, Takim jest wiersz petersburski „Na obcej ziemi i z pod obcej strzechy,“ jakby wariant lub dalszy ciąg „Barda,“ opiewający uwięzienie Kościuszki.

Sam tylko tytuł poematu powtórzy się w r. 1830/1 w ulotnym wydawnictwie patriotycznych wierszy, p. t. „Bard Polski oswobodzonej.“

KAROL KWIECIŃSKI.

EOLITY.

Kwestya istnienia człowieka w okresie trzeciorzędowym nie jest bynajmniej zagadnieniem dni ostatnich dopiero, z chwilą bowiem, gdy, dzięki odkryciom Boucher-de-Perthe'a (1828—1868), została stwierdzona egzystencya człowieka w epoce dyluwialnej czwartorzędu, zrodziło się również pytanie, czy początków jego istnienia nie należy odnieść do okresu jeszcze wcześniejszego, mianowicie do trzeciorzędu, i czy ślady jego egzystencji w tych odległych czasach nie dadzą się odkryć gdziekolwiek.)

Z punktu teoretycznego nic nawet nie stało na przeszkodzie takiemu przypuszczeniu. Według badań wybitnych geologów i paleontologów ostatniego 50-ioletcia, stosunki środowiska w okresie trzeciorzędowym w Europie nie różniły się zasadniczo od warunków obecnych, tak, że istnienie na tym obszarze człowieka nie było bynajmniej rzeczą niemożliwą. Znamieniem zasadniczem trzeciorzędu było stopniowe, coraz silniejsze różnicowanie się warunków fizycznych i biologicznych i wskutek tego wytwarzanie się środowisk specjalnych, odrębnych. W okresie tym następuje powolne ochładzanie się temperatury Europy. W *Eocenie* klimat jej jest podzwrotnikowy i zmiana pór roku wyraża się jedynie tylko w następczości okresów suszy i deszczu. Średnia roczna temperatura na szerokości geograficznej Prowancyi musiała wy-

) Okres czwartorzędowy	{	alluvium.
		diluvium.
Okres trzeciorzędowy	{	pliocen.
		miocen.
		oligocen.
		eocen.

nosić, sądząc z flory, około $+ 25^{\circ}$. Nic dziwnego, iż w podobnych warunkach roślinność Europy była niezmiernie bujna i składała się przeważnie z roślin zwrotnikowych; palmy rosły tu w północnej Francji i Belgii, drzewa kokosowe — w Anglii. Jednak pod koniec Eocenu znać tu już pewną domieszkę drzew o liściach opadających, właściwych strefie umiarkowanej. W *Oligocenie* temperatura ulega ochłodzeniu i klimat tego okresu — zdaje się, iż dość równomierny w całej Europie — musiał odpowiadać mniej więcej klimatowi północnej Afryki, przy większej nieco wilgotności. W *Oligocenie* roślinność afrykańska i indyjska występuje wprawdzie jeszcze w Europie, lecz zaczyna powoli ustępować ku południowi, a natomiast znać tu coraz większy rozwój flory umiarkowanej. W górnym *Oligocenie* np. spotykamy zarówno paprocie podzwrotnikowe, laury, mirty, palmy i mimozy, jak brzozy, dęby, buki, olchy, wierzby i klony. W *Miocenie* ochładzanie się klimatu wciąż postępuje, a jednocześnie z tem przewaga drzew, właściwych strefie umiarkowanej, staje się coraz wybitniejsza. Wreszcie od połowy *Pliocenu* mniej więcej klimat Europy zaczyna się szybko ochładzać i roślinność staje się zupełnie podobna do flory doby obecnej.

Co się tyczy fauny trzeciorzędu, to znamionuje ją szczególnie rozwój kręgowców wyższych, czyli ssaków. Powoli zjawiają się tu przedstawiciele nie tylko tych rzędów, rodzajów i gatunków, które obecnie żyją na kontynencie Europy, lecz i wielu takich, które dziś właściwe są tylko strefom gorącym. Jednak szczególnie ciekawa dla nas jest obecność w trzeciorzędzie małp, jako istot najbliższej z pośród wszystkich ssawców spokrewnionych z człowiekiem i stanowiących z nim razem jeden rząd „naczelných.“ Pierwsze znane nam małpy kopalne pochodzą z dolnego *Miocenu*, choć budowa ich silnie zróżnicowana świadczy, że musiały one istnieć już i znacznie wcześniej. Lemury natomiast występują, poczynając od *Eocenu*.

Widzimy przeto, że zarówno pomyślne warunki klimatyczne, w jakich znajdowała się Europa w trzeciorzędzie, jak silny rozwój gromady ssawców, przypadający na ten właśnie okres — wszystko to stanowiło środowisko zupełnie odpowiednie dla człowieka i czyniło istnienie jego w tym okresie na gruncie Europy rzeczą możliwą.

A egzystencja ta stawiała się tembardziej prawdopodobna, że najdawniejsze wyroby kamienne, znajduwane w czwartorzędzie, były zbyt wykończone i doskonałe, by mogły uchodzić za zaczątek pewnej techniki i nie budziły domysłu długiego rozwoju poprzedniego. Dlatego też, gdy Boucher-de-Perthes przekonał się,

że siekierki krzemienne, znajduwane przezeń w pokładach dyluwialnych, wykazują niezaprzeczoną planowość roboty, t. j. dążenie do nadania narzędziu pewnego, z góry określonego kształtu—powziął on myśl, że przed pojawieniem się tych narzędzi istnieć musiały narzędzia bardziej pierwotne, czyli poprostu kamienie, których kształt naturalny i naturalne spękania zużytkowywał człowiek do rozmaitych czynności. I rzeczywiście byłoby niedorzecznem przypuszczać, że człowiek, lub jego poprzednik, *odrazu posiadał umiejętność ciosania kamieni*, t. j. nadawania bryłom takiego kształtu, któryby właściwościami swych ścian i krawędzi najlepiej odpowiadał zamierzonej czynności. Rzecz oczywista, że ten stosunkowo już wysoki stopień kultury musiał być poprzedzony całym szeregiem mozolnych obserwacyj i kolejnych zdobyczy w zakresie techniki kamienia. Przypuszczać należy, że na razie człowiek pierwotny *zgoła nie obrabiał materiału*, lecz poprostu podnosił pierwszy-lepszy kamień z ziemi i posługiwał się nim, jak się dało: do rozbijania kości zwierząt upolowanych, do tłuczenia orzechów, rozłupywania muszel, mięczaków i t. p. Z biegiem czasu nabrał on wprawy w wykonywaniu tych czynności a jednocześnie nauczył się wybierać te z pośród kamieni, które najlepiej nadawały się do rodzaju wykonywanej pracy. W umiejętności takiego wyboru mieścił się już postęp nielada. Następnie zauważył człowiek, że niektóre ostre odłamy kamienia doskonale się nadają do krajania i skrobania i począł stosować je do takich właśnie czynności. Wzbogaciwszy się w te spostrzeżenia, mógł już człowiek wstąpić na drugi, wyższy stopień techniki i *począł sam łupać bryły krzemienne* w celu otrzymywania ostrych odłamów, oraz *nauczył się* kilku uderzeniami *podwyższać przydatność kamienia*, zaostrażając jego krawędź lub objając wydatności kaleczące rękę. Wówczas dopiero, po nabyciu wielowiekowego doświadczenia, mógł człowiek pierwotny wytworzyć sobie pojęcie „typu“ narzędzia, najlepiej odpowiadającego tej lub owej czynności i mógł zacząć *ciosać krzemienie według pewnego planu*, nadając im kształt z góry powzięty. Był to więc jeszcze wyższy stopień techniki kamienia—okres planowego ciosania; zjawiał się on jako rezultat doświadczenia niezliczonych pokoleń, jako synteza długiego szeregu obserwacyj.

Nazwa „*paleolitu*“ określa właśnie tę fazę rozwoju ludzkości, podczas której człowiek nie zadawał się już prostem „użytkowaniem“ kamienia i prymitywnem „przystosowaniem“ go do swych potrzeb, lecz *ciosał go według z góry powziętego planu*, dążąc do osiągnięcia *kształtu typowego*. Wszelkie wcześniejsze stadya roz-

woju techniki kamienia są oznaczane nazwą „eolitu,” zaczerpniętą przez słynnego geologa i archeologa belgijskiego, A. Rutot, od wyrazu greckiego „eos” — jutrzeńka.¹⁾

Rzecz prosta, iż nie może być mowy o istnieniu jakiejś wyraźnej granicy oddzielającej eolit od paleolitu; umiejętność ciosania narzędzi kamiennych rozwijała się powoli i w paleolicie a nawet i w neolicie obok narzędzi takich posługiwano się również i krzemieniami surowymi, lub tylko przystosowanymi do użytku. Stąd oba te okresy wkraczają w siebie nawzajem i w ten sposób łączą się i zlewają ze sobą.

Lecz gdzież się znajdują i w jaki sposób dają się rozpoznawać owe najpierwotniejsze eolityczne narzędzia przodków naszych?

Czy to, co poczytujemy na krzemieniu za ślad używalności, pozostawiony przez rękę ludzką, nie jest poprostu wynikiem działania sił przyrody?

Odpowiedź na te pytania stanowi właśnie t. zw. „kwestyę eolitów,” a jej rozwiązanie łączy się ściśle z kwestyą *stwierdzenia egzystencji człowieka w trzeciorzędzie Europy*, gdyż dotąd nie znaleziono w tym okresie innych śladów jego istnienia.

¹⁾ Dla łatwiejszego zorientowania się Sz. czytelników w rozwoju techniki kamienia podaję tu tablicę ilustrującą ten rozwój, poczynając od najdawniejszych znalezisk z okresu trzeciorzędowego.

W I E K K A M I E N I A	Czwart. młodszy	Okres	Technika	Robenhauzeńska	
		neolityczny	„	Tardenoażyjska	
	Czwartorzęd starszy	Okres paleolityczny		Technika	Tarandyjska
				„	Elburneńska
			„	Musteryjska	
			„	Aszelska	
			„	Szelleńska	
Trzeciorzęd	Okres eolityczny		Stacye w	Mesvin	
			„	Maffle	
			„	Reutel	
			„	St. Prest (górnym pliocen.)	
			„	Kent (środkowym pliocen.)	
			„	Puy-Courny (górnym miocen.)	
			„	Thenay ? (górnym oligocen.)	
	„	Boncelles (środkowym oligocen.)			

Wprawdzie kilkakrotnie wykopywano z pokładów trzeciorzędowych *szczałki ludzkie*, lecz nigdy co do wykopalisk tych nie można było mieć pewności, że są one rzeczywiście pochodzenia trzeciorzędowego, t. j. że spoczywały w danej warstwie od czasów trzeciorzędowych i nie dostały się do niej dopiero następnie, w okresach późniejszych. Do znalezisk tej kategorii należą szczątki z Sawony (Ligurya), z Castenodolo (Włochy), z Calaveras (Kalifornia). Również bez wartości okazały się *kości zwierzęce* z nacięciami i rysami, licznie znajdowane w pokładach trzeciorzędowych. Na razie uważano owe rysy i nacięcia za dowód działalności człowieka, wkrótce jednak przekonano się, że ślady te powstać mogły w sposób zupełnie inny. Pierwsze znalezisko tego rodzaju odkrył Desnoyers (1863 r.) w piaskach pliocenicznych pod Chartres. Badania następcze dowiodły jednak, że brózdki, rysy i nacięcia, widoczne na nich, zostały wywołane prosto przez tarcie krzemieni przy obsuwaniu się i skupianiu warstw. Również ślady widoczne na kościach z Arezzo, z Neuville, z Billy i Ganant są wywołane przez ucisk lub tarcie kamieni. Lecz brózdki i nacięcia na kościach powstawać mogły w inny jeszcze sposób. Mianowicie w r. 1866 ksiądz Delonay znalazł w morskich osadach miocenicznych w Ponancé (Maine et Loire) kości *Halitherium* — zwierzęcia wymarłego z rzędu waleniowatych — noszące na sobie głębokie rysy i brózdki, które na razie uznano za ślady działalności człowieka. Wkrótce jednak okazało się, że istotnymi sprawcami nacięć owych były rekiny, których potężne zęby znaleziono w tych samych pokładach. Podobne wyjaśnienie stosuje się do śladów, widocznych na szczątkach *Baloenotusa* (waleniowate), które Capellini znalazł w warstwach pliocenicznych we Włoszech.

Widzimy przeto, że żadne z wyliczonych powyżej znalezisk nie dostarczyło najlżejszego bodaj dowodu egzystencji człowieka lub jego poprzednika w okresie trzeciorzędowym Europy.

Nieco inaczej rzecz się ma z *krzemieniami trzeciorzędowymi*. Już w 1867 r., na kongresie międzynarodowym antropologów i archeologów w Paryżu, ksiądz Bourgeois przedstawił zgromadzonemu kilkanaście krzemieni, znalezionych przezeń w warstwach górnego oligocenu w *Thenay* (depart. Cher et Loire), a które, zdaniem jego, nosiły na sobie ślady działalności ludzkiej. Zważywszy, że w czasach tych pojęcie o istnieniu człowieka w diluvium dopiero mozolnie torowało sobie drogę, pojmiemy łatwo, jak wielkie wrażenie w świecie naukowym wywołał referat ks. Bourgeois, cofający egzystencję człowieka do połowy okresu trzecio-

rzędowego. Oprócz tych śladów, które na krzemieniach z Thenay miały być pozostawione przez rękę ludzką, dostrzedz było można na ich powierzchni inne jeszcze zagadkowe ślady, w postaci spękań, które Bourgeois przypisywał działaniu ognia. Opierając się na nich wnosił on, że człowiek trzeciorzędowy umiał już obchodzić się z ogniem i że, między innymi, używał go do łupania brył krzemionych. Jednakże ani wygląd krzemieni z Thenay, ani dowodzenia ks. Bourgeois nie zdołały przekonać członków kongresu. Nie zniechęcony tem niepowodzeniem przedstawił on je powtórnie na kongresie Brukselskim w 1872 r. i przeprowadził wyznaczenie komisji, która ocenić miała wartość jego znaleziska. Jakkolwiek ośmiu jej uczestników oświadczyło się za tem, że krzemienie z Thenay są obrobione ręką ludzką, jednak nie rozwiązało to bynajmniej kwestyi i opinia ta nie zyskała powszechnego uznania.

Przyjrzyjmy się teraz zarzutom, jakie czyniono krzemieniom ks. Bourgeois i jakie przeciwstawiano jego dowodzeniom. Przedewszystkiem, co się tyczy owych spękań, przypisywanych działaniu ognia, to tłumaczono je działaniem czynników atmosferycznych, mianowicie kolejnością szybkich zmian od temperatury wysokiej do niskiej. Rzeczywiście, klimat Thenay w początkach środkowego trzeciorzędu był niewątpliwie gorący; słońce silnie grzało i różnica między temperaturą dnia i nocy musiała być znaczna. Stąd przypuszczać można, że gdy na krzemienie wystudzone przez noc padały raptem piekące promienie słońca, powierzchnia ich ulegała licznym spękanom i odłupaniom. I dziś jeszcze nie trudno o przykłady podobnego zjawiska w okolicach zwrotnikowych, np. w Egipcie lub w Saharze. Lecz spękania widoczne na krzemieniach z Thenay różnią się znacznie od spękań, powstałych wskutek wpływów atmosferycznych i stąd nie mogą im być napewno przypisane. Stawiano również zarzut teorii ks. Bourgeois, że istota, która była o tyle inteligentna, iż umiała posługiwać się ogniem dla łupania krzemieni, mogła równie dobrze posiadać umiejętność ich łupania zapomocą uderzeń, gdy tymczasem krzemienie z Thenay bynajmniej nie ujawniają śladów tego rodzaju czynności. Zarzut ten jednak został odparty przez prof. Quatrefages'a i to nawet na podstawie faktu, zaczerpniętego z teraźniejszości. Wykazał on mianowicie, że pierwotne plemię „Minkopi“ z wysp Andamańskich, zanim poznało użytek żelaza, posługiwało się wyłącznie narzędziami z muszel, ości, bambusu, kamienia i również nie posiadało umiejętności łupania kamieni za pomocą uderzeń. Chcąc rozbić większą bryłę na drobniejsze odłamki, kładzono ją poprostu

na ogniu i zbierano następnie kawałki, które się od niej odłupywały. Kawałki te dopiero były obrabiane zapomocą młotków kamiennych. Przypuszczają, że w podobny sposób postępował w niektórych przypadkach i człowiek trzeciorzędowy, zanim nauczył się łupać bryły kamienne uderzeniami innego kamienia i o ile umiał już wtedy obchodzić się z ogniem.

Druga kategoria śladów na krzemieniach z Thenay, śladów przypisywanych przez ks. Bourgeois działalności ręki ludzkiej, ma postać drobnych wcięć i płaskich wyżłobień, które jednak są zbyt mało charakterystyczne, by mogły uchodzić za niewątpliwe ślady używalności lub obrobienia. Nawet najgorliwsi zwolennicy eolitów nie wyrażają się stanowczo w sprawie uznania ich za ślady ręki człowieka. Wyżłobienia i wcięcia widoczne na ich powierzchni nie są o tyle znamienne, by usuwały wszelką możliwość powstania pod wpływem czynników naturalnych. Stąd też wielu uczonych uważa je za wynik działania wód, obijania się wzajemnego kamieni, ciśnienia i t. p. Wogóle stanowisko krzemieni z Thenay jest niejasne i nie mamy dostatecznych podstaw, by je uważać za niewątpliwe narzędzia człowieka pierwotnego.

Również i krzemienie znalezione wkrótce potem przez geologa Ribeirę w Portugalii w *dolinie Tagu* zaliczyć należy do kategorii eolitów wątpliwych. W tym jednak przypadku nie chodzi bynajmniej o brak znamion obrobienia na tych kamieniach, lecz o nienaruszoność warstwy (miocen górny), z której pochodzą, a która według badań, ostatnio przeprowadzonych przez Maxa Verworna, nie odpowiada właśnie temu warunkowi. Wobec tego Rutot, znakomity geolog i archeolog belgijski, a zarazem jeden z najgorętszych szermierzy, walczących o uznanie eolitów, wykreśla zupełnie to znalezisko z szeregu stacyj trzeciorzędowych.

Inaczej rzecz się ma z krzemieniami, znalezionymi przez geologa Rames'a w okolicy Aurillac, w Owernii. W 1877 r. Rames odkrył w miejscowości *Puy-Courny* w warstwach górnego mioenu krzemienie, które, zdaniem jego, nosiły na sobie ślady obrobienia ręką ludzką. A ślady te były tak wyraźne, że według Quatrefages'a, gdyby krzemienie z *Puy-Courny* zostały znalezione w pokładach nie trzeciorzędowych, lecz czwartorzędowych, nikt nie zawahałby się z uznaniem ich za narzędzia ociosane przez człowieka. W latach ostatnich grono wybitnych badaczy, jak Capitan, Krause, Verworn, Klaatsch, Schweinfurth, Bonnet i Rutot, zwiedzili stacye eolityczne z okolic Aurillac: *Puy-Courny* i *Puy-Boudieu* i stwierdzili, że warstwa, skąd pochodzą krzemienie, jest nienaruszona, a same one ujawniają niezawodne ślady obrobienia

i używalności. Są to więc, zdaniem tych uczonych, rzeczywiste eolity, pierwsze, co do których nie istnieją żadne wątpliwości, że były one narzędziami człowieka.

Odkładając tymczasem na bok dalszy historyczny rozwój „kwestyi eolitów,” chciałbym w tem miejscu obznajmić czytelników z metodą ich rozpoznawania, t. j. z cechami znamionami, stanowiącemi ich kryterium. Trzymać się tu ściśle będę poglądu prof. Rutot, gdyż uczony ten jest w chwili obecnej niewątpliwie najlepszym znawcą eolitów.

Nazwą „eolitów,” jak zresztą mówiliśmy już wyżej, oznaczane są krzemienie, któremi posługiwał się człowiek lub jego poprzednik, *zanim zyskał umiejętność ciosania kamienia, a także i później nawet, równocześnie z narzędziami ciosanemi*. Całokształt tych pierwotnych narzędzi stanowi t. zw. „*technikę eolityczną*“ w przeciwieństwie do techniki „*paleolitycznej*“ i „*neolitycznej*,” składających się już z narzędzi ciosanych i gładzonych. O ile technika paleolityczna i neolityczna wykazują znaczne różnicowanie i mieszczą w sobie cały szereg poszczególnych „typów,” o tyle technika eolityczna odznacza się niemal zupełną jednorodnością i przez długie wieki nie wykazuje żadnej zmiany; dopiero pod koniec starszego czwartorzędu ujawnia się w niej niejaki rozwój. Cechą znamioną techniki eolitycznej jest *proste użytkowanie* brył i odłamów kamiennych i *brak zupełny narzędzi ciosanych*. Stąd też eolity mają postać brył i odłamków różnokształtnych, a odróżnić je można od zwykłych kamieni dzięki śladom, jakie zostawiła na ich powierzchni używalność. Ślady te są następujące: 1-o, *wyżębienie i stępienie krawędzi ostrej*, która służyła do krajania lub skrobania; 2-o, *ślady w postaci zmiążdżeń* gwiazdkowatych lub wyżłobień i odłupań, tworzące na powierzchni brył skupienia, a powstałe wskutek licznych, powtarzających się uderzeń; 3-o, *szereg drobnych wcięć*, biegnących wzdłuż krawędzi i mających na celu zaostrenie tępego lub stępionego ostrza (*retouche d'avivage, d'utilisation*); 4-o, *poobijanie ostrych kantów i wydatności* na powierzchni, na której spoczywała ręka, a niekiedy i obecność wcięć mniej lub więcej głębszych, ułatwiających wygodne ujęcie narzędzia (*retouche d'accomodation*). Dwie pierwsze kategorie znamion są tedy wynikiem zużycia narzędzia, dwie zaś drugie stanowią oznakę przystosowania go do użytku. Rozumie się, iż wszystkie powyższe znamiona nie mogą występować jednocześnie na każdej kategorii narzędzi, lecz pozostają w związku z rodzajem czynności, do jakiej kamień był używany. Wogóle, zdaniem Rutota, całokształt zewnętrznego wyglądu krzemienia stanowi o tem, czy

można go uważać za narzędzie eolityczne, czy też nie. Kamienie z Puy-Courny i Puy-Boudieu odpowiadają właśnie wszelkim żądanym warunkom i większość badaczy nie waha się w uznaniu ich za trzeciorzędowe narzędzia człowieka.

Chcąc śledzić dalsze znaleziska eolityczne musimy z Owernii przejść do południowej Anglii, gdzie słynny geolog, J. Prestwich, znalazł około r. 1890 krzemienie, noszące na sobie, jego zdaniem, ślady używalności i obrobienia ręką ludzką. Pochodziły one z pliocenu środkowego, z *Chalk-Plateau w hrabstwie Kent*; są to już więc narzędzia późniejsze, niż mioceniczne eolity znalezione przez Rames'a.

Do warstw jeszcze młodszych, gdyż do pliocenu górnego należą znaleziska z *Saint-Prest*, koło Chartres we Francji, oraz z hrabstwa *Norfolk* w Anglii; poszukiwania prowadzone w Norfolkku przez geologów i archeologów angielskich, w t. zw. warstwach „*Forest Cromer-bed*“ dostarczają wciąż nowych narzędzi eolitycznych.

W trakcie pisania artykułu niniejszego otrzymałem od dr. Rutota ciekawą pracę, dotyczącą nowego, niezmiernie doniosłego znaleziska trzeciorzędowego. Dlatego też sprawozdanie o niem zamieszczam w tem miejscu dopiero, pomimo że wiekiem swoim sięga ono aż środkowego oligocenu!, czyli że stanowi najstarsze ze wszystkich znalezisk eolitycznych, znanych nam po dzień dzisiejszy. Rzeczywiście, jak dotąd, pierwsze miejsce pod względem starożytności przysługiwało krzemieniom ks. Bourgeois, z Thenay, krzemieniom których stanowisko jako eolitów jest niepewne. Obecnie znaleziska p. Emila de Munck'a cofają ślady istnienia człowieka w Europie jeszcze bardziej w głąb trzeciorzędu, świadcząc o jego egzystencji już w oligocenie środkowym. Eolity, o których mowa, zostały znalezione na lewym brzegu rzeki Ourthy, dopływu Mozy, w pobliżu *Boncelles*. Zdaniem Rutota posiadają one wszelkie cechy właściwe narzędziom eolitycznym. Poszukiwania prowadzone przez de Munck'a na płaskowzgórzu *Hautes-Fagnes*, oprócz znaleziska z *Boncelles*, wykazały nadto i w paru innych miejscowościach eolity, należące również do środkowego oligocenu. Natomiast krzemienie znalezione przez de Munck'a nieco wcześniej na lewym brzegu rzeki Mozy, w *provincyi Liège*, należą, według Rutota, do okresu późniejszego, mianowicie do pliocenu środkowego, a przeto wiekiem swoim odpowiadają eolitom z hrabstwa *Kent*.

Jak wspomniałem wyżej, narzędzia eolityczne nie są wyłączną tylko właściwością okresu trzeciorzędowego, lecz *przecho-*

dzą również i do czwartorzędu. Przytem w dolnych jego warstwach w dalszym ciągu występują one jedne tylko, poczynając zaś od czwartorzędu środkowego obok nich zjawiają się również narzędzia paleolityczne, a następnie neolityczne. Eolity czwartorzędowe na razie nie ujawniają postępu w zakresie techniki i dopiero w miarę zbliżania się do czwartorzędu środkowego technika ta ulega pewnemu rozwojowi i wreszcie wydaje z siebie pierwsze narzędzia, na których znać już ciosanie według pewnego planu i dążenie do osiągnięcia kształtu z góry określonego.

Już przed 40-tu laty belgijczyk, inżynier Neyrinck, wydobyl z warstw dolnego czwartorzędu, w okolicach Mons, w Belgii, krzemienie ze śladami używalności i obrobienia ręką ludzką. Jednak na kongresie w Brukselli w 1872 r. znalezisko to nie zyskało uznania. Dopiero w 15 lat później Delvaux i Cels podjęli ponownie zaniechane poszukiwania Neyrincka i zbadali kilka przekrojów warstw w okolicach Mons. Znalezione tu eolity oznaczył Delvaux nazwą „*techniki Meswińskiej*,” od wioski Mesvin pod Mons.

Dopiero jednak poszukiwania i badania, przeprowadzone w dobie obecnej przez dr. Rutota, wpłynęły na rzeczywisty i znaczny rozwój „kwęsty eolitów,” budząc zainteresowanie w szerokich sferach uczonych i dając impuls do licznych prac w tym zakresie. Na razie Rutot zajął się badaniem przekrojów dyluwialnych Belgii jedynie jako geolog, bynajmniej nie w zamiarze poszukiwania w nich śladów człowieka. Na razie nawet był on przeciwnikiem eolitów i dopiero krzemienie obrobione, które napotykał w trakcie swych badań w warstwach dolnego czwartorzędu rozmaitych okolic Belgii, wpłynęły na zmianę jego przekonań i zrobiły zeń z czasem zapalonego szermierza tej sprawy. Przy zdejmowaniu mapy geologicznej na znacznym obszarze Belgii Rutot miał możność dokładnego zbadania warstw czwartorzędowych tego kraju oraz okolic sąsiednich, co pozwoliło mu stwierdzić w pokładach starszego czwartorzędu istnienie aż kilku warstw techniki eolitycznej. Najstarsza z nich jest to t. zw. *technika Reutelska*, od miejscowości Reutel, we Flandryi; nieco młodsza jest *technika Mafflijska*, od Maffle, w Brabancie; najpóźniejsza wreszcie jest *technika Meswińska*, odpowiadająca górnym warstwom czwartorzędu starszego. Dzięki niezmiordowanej pracy Rutota i całego szeregu badaczy belgijskich, jak dotąd największa ilość eolitów czwartorzędowych została znaleziona w Belgii. Rzeczywiście, wszędzie niemal, gdzie tylko warunki geologiczne pozwalały spodziewać się obecności eolitów, poczyniono odpowiednio badania. Wskutek tego stacye eolityczne rozsiane są po całym

kraju, a Brukselskie zbiory eolitów zaliczają się do najbogatszych. Przypuszczać należy, że gdy w innych krajach zbadanie dolnego czwartorzędu będzie tak dokładne jak obecnie w Belgii i tam również ilość stacyj eolitycznych znacznie się powiększy. W każdym bądź razie eolity czwartorzędowe są obecnie znajdowane w Anglii południowej, we Francji północnej, w Danii i w niektórych okolicach Niemiec.

Cechą znaną kultury eolitycznej jest, jak mówiłem już, jednorodność techniki i stagnacja rozwoju. Stąd zarówno najstarsze trzeciorzędowe eolity, jak te, które należą do czwartorzędu, niewiele różnią się swym wyglądem. Badania nad kulturą okresu kamienia dowodzą, zdaniem Rutota, że wszelkie objawy pracy ludzkiej, dokonywanej zapomocą narzędzi z kamienia, zarówno ciosanych jak nie ciosanych, sprowadzają się do pięciu czynności, mianowicie: *tłuczenia, krajania, skrobania, strugania* i *wiercenia*.

Wśród najstarszych nawet krzemieni eolitycznych rozróżnić można pięć kategorii narzędzi, odpowiadających rzeczonym czynnościom. Widzimy tu więc narzędzia do uderzania i tłuczenia, czyli *tłuki* (*percuteurs*), narzędzia do skrobania i strugania, czyli *skrobacze* i *strugacze*, narzędzia do krajania,—*noże*, wreszcie narzędzia do wiercenia w postaci ostrych szpiców, czyli *przekatacze* (*perçoirs, poinçons*). Przyjrzyjmy się teraz kolejno narzędziom każdej z tych grup poszczególnych, korzystając z objaśnień dr. Rutot. Uczony ten nie zadawałając się jaknajdokładniejszym zbadaniem śladów, jakie użytek i obrobienie pozostawiło na eolitach, nadto własnoręcznie powtarzał na bryłach i odłamkach surowych czynność przystosowania krzemieni do użytku. Doświadczenia te dały możność dr. Rutot obznajmić się gruntownie z techniką eolityczną, poznać cechy znamienne oraz użytek poszczególnych narzędzi i wreszcie zgrupować je w pewne kategorie.

Zaczynam od grupy I-ej, czyli *tłuków*. Dzielią się one na dwie kategorie: czynnych i biernych. Do pierwszej należą bryły kształtu rozmaitego: wieloboczne, owalne, spłaszczone, walcowate i t. p., mogące służyć do całego szeregu czynności, jak: tłuczenie, łamanie, miażdżenie, łupanie, wreszcie rozbijanie innych brył kamiennych. Tłuki o powierzchni uderzającej wypukłej lub płaskiej ujawniają na powierzchni tej ślady licznych uderzeń i postaci zmiażdżeń gwiazdkowatych, lub wgłębień stożkowatych, co jej nadaje wygląd nierówny, chropawy. Nadto widoczne tu są częstokroć koncentrycznie ułożone ślady większych trzasek, odbitych od bryły wskutek silniejszych uderzeń. Tłuki o powierzchni uderzającej ostrej oprócz śladów używalności ujawniają nadto

ślady zaost్రzania. Występują one w postaci szeregu drobnych wcięć, czyli wyźłobień, biegnących wzdłuż krawędzi i wytwarzających nowe ostrze. Czynność zaost్రzania stępionego narzędzia dokonywana była zapomocą innego tłuczka, formy wydłużonej, pałeczkowatej t. zw. „retouchoir”u,“ którym uderzano wzdłuż krawędzi stępionej, odłupując z obu jej stron szereg przylegających trzasek. Retouchoiry również ujawniają na sobie ślady użytkowania w postaci odłupań, biegnących wzdłuż krawędzi, którymi uderzano. Oprócz tych oznak, jakie pozostawiła na tłukach wykonywana nimi praca, oraz zaost్రzanie stępionego narzędzia, częstokroć widać na nich inne jeszcze ślady obrobienia; polegają one mianowicie na usunięciu kaleczących ostrzy z tej powierzchni, na której spoczywała ręka pracującego.

Co się tyczy kategorii tłuków biernych, to stanowią ją tak zwane „kowadła,” czyli bryły płaskie, których używano jako podstaw do tłuczenia, miażdżenia lub łupania rozmaitych przedmiotów. Rzeczywiście, gdyby przedmioty te chciały tłuc bezpośrednio na ziemi, to zamiast żądanego rezultatu osiągnęłoby się jedynie wgniecenie ich lub wbicie w ziemię; natomiast przy użyciu płyt kamiennych, mniej-więcej płaskich, zyskiwało się twardą podstawę, znakomicie ułatwiającą pracę. Ślady pracy tej ujawniają się w postaci odłupań, widocznych na brzegu powierzchni górnej kowadła. Jak wykazały liczne doświadczenia, czynione przez Ruto-ta, przy silnem uderzaniu na kowadło przedmiotów grubych i zaokrąglonych, np. świeżych kości, owoców o twardej skorupie, tłuk często odskakuje lub ześlizguje się i uderza w brzeg płyty, odbijając od niej większe lub mniejsze drzazgi. Stąd rozmieszczenie śladów tych wzdłuż brzegów jest bardzo nieregularne, natomiast wszystkie te odbicia skierowane są jednakowo, t. j. z góry na dół. Jeśli kowadło posiada obie przeciwległe powierzchnie płaskie, to na brzegach ich obu widoczne są odłupania skierowane wręcz przeciwnie na każdej powierzchni. Świadczy to, iż kowadło było używane na obie strony.

Przejdźmy teraz do drugiej grupy narzędzi eolitycznych, mianowicie *noży*. Są to odłamki blaszkowate, wydłużone, płaskie, odłupane drogą naturalną lub sztuczną od bryły krzemiennej. Jeden ich brzeg tworzy krawędź ostrą, tuącą, przeciwległy zaś bywa zazwyczaj gruby i tępy, podobnie, jak u dzisiejszych noży, brzytw, scyzoryków i t. p. Niekiedy na nożach eolitycznych, podobnie jak na tłuczka, widać ślady obrobienia, mającego na celu wygodniejsze ujęcie narzędzia. Polegało ono na obtłuczeniu ostrych wydatności na krawędzi górnej, na której opierał się pa-

lec wskazujący pracującego. Ślady zużycia widoczne są na krawędzi tnącej, w postaci wyszczerbień których całokształt nadaje ostrzu wygląd tępej piły. Stępionych noży nie zaostrzano nigdy ponownie, ponieważ w narzędziu tem chodziło nietylko o ostrość krawędzi, lecz i o to, by kąt jej był mało rozwarty, a użycie retouchoiru zaostrzało wprawdzie krawędź, lecz jednocześnie rozwierało jej kąt.

Trzecią i czwartą grupę narzędzi eolitycznych stanowią *skrobacze i strugacze*. Służyły one do wykonywania czynności pokrewnych, choć kształt ich i metoda ich użycia były różne.

Skrobacze (racloirs), są to odłamki wydłużone lub owalne, podobnie jak noże, posiadające przeważnie jeden brzeg ostry, a drugi przeciwległy mu, mniej lub więcej gruby i tępy. Trzymano je prawdopodobnie w ten sposób, że wielki palec opierał się na jednej powierzchni, wskazujący przyciskał z góry ostrze, a pozostałe palce mieściły się na drugiej powierzchni narzędzia; bądź też poprostu ujmowano skrobacz między palce, tak iż pierwszy znajdował się z jednej strony, a pozostałe, zgięte, ze strony przeciwnej. W każdym bądź razie ostrze narzędzia przy pracy zajmowało pozycję *podłużną* względem osi długości ręki. Sama zaś czynność skrobania, według badań porównawczych Rutota, polegała na posuwaniu ostrzem, trzymanym prostopadle do przedmiotu skrobanego, przyczem ruch wykonywany był zawsze w jednym tylko kierunku, odśrodkowym względem pracującego. Przy czynności tej, wskutek oporu przedmiotu skrobanego, wzdłuż ostrza wytwarzał się szereg odłupań i po upływie pewnego czasu krawędź ulegała stępieniu. Przyczem cechą znamioną dla skrobaczy jest, że wszystkie owe odłupania występują *na jednej tylko powierzchni ostrza*, mianowicie na wewnętrznej w stosunku do pracującego. Stąd stępione ostrze noża *o odłupaniach obustronnych* ma wygląd zupełnie inny, niż ostrze stępionego skrobacza. Nadto o ile nóż nie podlegał nigdy ponownemu zaostrzaniu, o tyle przeciwnie skrobacze poddawane były zazwyczaj tej czynności. Dokonywano jej za pomocą retouchoiru, odłupując od powierzchni zużytej, wzdłuż krawędzi, szereg drobnych, przylegających drzazg. W ten sposób wytwarzało się nowe ostrze. Podobne zaostrzanie skrobacza powtarzane było dwa lub trzy razy z rzędu, aż wreszcie kąt krawędzi stawał się zbyt rozwarty i dalsze używanie narzędzia nie było już możliwe. Krawędź tnąca skrobaczy eolitycznych nie zawsze biegnie prosto lub owalnie; częstokroć widać, iż została ona wcięta zatokowato, co prawdopodobnie miało na celu ułatwienie skrobania przedmiotów walcowatych. Częstokroć

również na jednym narzędziu występują aż dwa ostrza tnące, nawzajem przeciwległe.

Jak już mówiłem wyżej, skrobacze i *strugacze* (grattoirs) różnią się nawzajem metodą użycia i kształtem. O ile u skrobaczy krawędź tnąca stanowi jeden z *boków podłużnych* krzemienia, o tyle u strugaczy krawędź tę tworzy zazwyczaj *bok poprzeczny*, krótszy. Stąd skrobacze, trzymane ostrzem w dół, mają kształt *wydłużony poziomo*, przeciwnie zaś strugacze, trzymane w tej samej pozycji, są przeważnie *wydłużone pionowo*. Nadto boki przylegające z obu stron do krawędzi tnącej strugacza są bądź naturalnie *tępe i grube*, bądź też sztucznie spłaszczone i pozbijane, tak, by palce, spoczywając na nich, miały lepszy punkt oparcia i nie ulegały zranieniu. Strugacze bowiem trzymane były w ten sposób, że palec pierwszy opierał się na powierzchni jednego boku narzędzia, palec zaś drugi, zgięty, przywierał do boku przeciwległego. W ten sposób trzymalibyśmy np. klin płaski żelazny lub drewniany, chcąc nim wykonać czynność heblowania. Przy takim ujęciu narzędzia ostrze miało położenie *poprzeczne* względem osi długości ręki, nie zaś podłużne jak u skrobaczy, i narzędzie posuwane było naprzód w pozycji pochylonej, podobnie jak ostrze hebla. Niekiedy nie zadawano się prostem przystosowaniem powierzchni bocznych do ujęcia palcami, przez pozbijanie ostrych wydatności i spłaszczenie krawędzi, lecz nadto wcinano boki mniej lub więcej głęboko, tworząc w ten sposób rodzaj wgłębień lub zatok, w których umieszczano palce dla tego mocniejszego ujęcia strugacza. Po za różnicami w zakresie kształtu i metody użycia skrobacze i strugacze posiadają jednak ważną cechę wspólną, a mianowicie podobieństwo śladów zużycia i jednakowy sposób zaostrenia stępienego narzędzia.

Ostatnią grupę narzędzi eolitycznych stanowią *przekalacze* (perçoirs, poinçons). Są to odłamki wybiegające w szpic wydłużony, ostry, rodzaj kolca i odgrywające rolę naszych świrdrów. Ślady wiercenia widoczne tu są w postaci odlupai na krawędziach kolca. O ile szpic naturalny był zbyt gruby lub mało wydatny, zaostrzano go zapomocą retouchoiru. Wogóle jednak ta kategoria narzędzi eolitycznych odznaczała się szczególną nietrwałością i kruchością, a stąd znaczna ilość świrdrów eolitycznych ma koniec złamany.

Zdaniem Rutota narzędzia opisane wyżej są właściwe wszystkim okresom kultury eolitycznej i występują zarówno w znaleziskach trzecio—jak czwartorzędowych. Przytem eolity pochodzące z warstw rozmaitych co do wieku nie różnią się swym wyglądem

i niemal nie wykazują rozwoju i doskonalenia się umiejętności obrabiania kamieni. Dopiero pod koniec czwartorzędu starszego ujawnia się pewien postęp w tym zakresie; mianowicie w technice Meswińskiej spotykamy się już ze *sztucznem umyślnem łupaniem* brył krzemiennych, w celu otrzymania ostrych blaszek na noże, skrobacze i strugacze.

Wielu przedhistoryków uznaje wówczas dopiero krzemień za narzędzie, które służyło człowiekowi, gdy na jednej jego powierzchni widoczne jest t. zw. „*znamię uderzenia*.“ Jest to płasko-kulista wyniosłość, odpowiadająca miejscu, gdzie nastąpiło uderzenie odłupującego blaszkowaty kawałek krzemienia od pozostałej bryły. Stąd po odłupaniu od bryły wielu podobnych blaszek, na jej części środkowej, czyli „*jądrze*“, widać liczne dołkowate wgłębienia. Rutot jednak odrzuca tę cechę w znaczeniu kryterium używalności krzemienia i wyjaśnia, że ponieważ większość narzędzi eolitycznych składa się z naturalnych brył i naturalnych odłamków i blaszek, przeto próżno byłoby szukać na nich „*znamion uderzenia*.“ Wprawdzie nieraz, wskutek odskoczeń tłuka na kowadle, mogły odłupywać się od niego kawałki, noszące na sobie „*znamię*“, a które, ze względu na ostrość krawędzi, były użyte następnie, jako noże, skrobacze, lub strugacze — lecz narzędzia takie są stosunkowo nieliczne i dopiero pod koniec czwartorzędu starszego w niektórych stacych meswińskich spotykamy tak wiele narzędzi, noszących „*znamię*“ i tak liczne „*jądra*“, że niewątpliwie mamy tu już do czynienia z umyślnem łupaniem brył krzemiennych.

Pomimo jednak owych badań prof. Rutot, nie wszyscy uczeni, zajmujący się kwestyą eolitów, podzielają pogląd jego i jego zwolenników w tej sprawie. Istnieje mianowicie pewna grupa badaczy, którzy, nie odrzucając teoretycznie możliwości istnienia człowieka w trzeciorzędzie, i uznając, że kultura paleolityczna nie może stanowić zarania kultury ludzkiej — zachowują się jednak sceptycznie względem znalezisk eolitycznych, o których była mowa. Na czele tej grupy stoi obecnie profesor paleontologii w Paryżu, M. Boule. Oba obozy usiłują się przekonać wzajemnie, wykazując błędność poglądów strony przeciwnej, przyczem rozprawy przybierają niekiedy charakter ostry, nie licujący z powagą dysputy naukowej.

Zarzuty prof. Boula stawiane poglądom dr. Rutota, oraz jego własne zapatrywanie na eolity, dają się streścić w wyrazach: „*Ślady, które przypisujecie czynności rąk ludzkich, są poprostu rezultatem działania sił przyrody.*“ Twierdzenie to opiera w znacz-

nej mierze Boule na badaniach, jakie przeprowadził z p.p. Obermaierem i Carthailiac'em nad powstawaniem „*sztucznych eolitów*“ przy wyrobie cementu w Mantes. (Seine-et-Oise). O spostrzeżeniach tych komunikuje on w sposób następujący: W kredzie, używanej jako składnik cementu, a kopanej na miejscu, znajdują się jak zwykle krzemienie, których część, pomimo usuwania przy kopaniu, dostaje się jednak wraz z kredą do kadzi. Tu mieszanina kredy z gliną wprawiona jest w ruch wirowy zapomocą koła poziomego, umieszczonego nad kadzią, a od którego spuszcza się w dół i zanurza w kadzi brony żelazne, sięgające niemal dna naczynia. Szybkość ruchu koła na jego obwodzie wynosi mniej więcej 4 metry na sekundę, co odpowiada szybkości biegu Rodanu w epoce przyboru wody. Krzemienie, które dostały się do kadzi, wirują przeto wraz z gliną i kredą, obijając się nawzajem i o żelazne pręty bron, przyczem uderzenia te składają się na wyraźny szmer, podobny do szmeru potoku, toczącego kamienie. Po upływie 29-iu godzin koło zostaje zatrzymane, a kadź wypróżniona. Otóż niezmiernie ciekawy, zdaniem Boula, jest wygląd krzemieni, wydobytych z takiej kadzi, a to ze względu że przypominają one najzupełniej kamienie czwartorzędowe i przedczwartorzędowe, uważane za eolity. Większość wprawdzie jest poprostu obtoczona, podobnie jak to bywa wśród głazów rzecznych, lecz znaczna ilość okazów nosi na sobie odbicia i odłupania, odpowiadające w zupełności tym śladom, jakie zwolennicy eolitów poczytują za ślady obrobienia ręką ludzką i użycia przez człowieka. Boule zastrzega, iż nie mówi tu bynajmniej o krzemieniach, noszących na sobie bezładne odłupania rozsiane na całej powierzchni, lecz o kamieniach, na których odbicia skupione są w pewnych określonych punktach. Wśród okazów tych, jak twierdzi Boule, znalazł on typy odpowiadające zupełnie krzemieniom, opisywanym przez Rutota, jako narzędzia eolityczne. Taki wynik badań w Mantes utwierdził prof. Boule i jego zwolenników w przekonaniu, że *tak zwane eolity powstawać mogą pod wpływem czynników naturalnych*, mianowicie drogą gwałtownego toczenia kamieni przez potoki lub rzeki. Eolity podobne znajdował Boule podczas badań geologicznych w Owernii, w Velay, w Gévaudan, we wszystkich osadach napływowym o charakterze rwącym; występowały one zarówno w pokładach oligocenicznych, jak miocenicznych, niekiedy na bardzo znacznej przestrzeni.

Otóż na podstawie tych obserwacji oraz rezultatu badań w Mantes, prof. Boule występuje *przeciw przypisywaniu t. zw. eolitom znaczenia pierwotnych narzędzi człowieka*. Przytem zaznacza

on jednak wyraźnie, iż nie twierdzi bynajmniej, by wszystkie eolity bez wyjątku zawdzięczać miały swe powstanie działaniu wód; przyjmując istnienie człowieka w trzeciorzędzie przyjmuje on również istnienie pierwotnych narzędzi kamiennych, lecz uważa zarazem, że nie posiadamy do dziś dnia odpowiedniego kryterium, któreby nam dawało możność odróżnienia narzędzi tych od krzemieni, których wygląd jest poprostu wynikiem działania sił przyrody. Wobec tego, że żadne znaleziska osteologiczne nie stwierdziły dotąd istnienia człowieka trzeciorzędowego w Europie, Boule jest zdania, że opierając się na eolitach można conajwyżej *przypuszczać* to istnienie, lecz bynajmniej nie ma się prawa uważać go za pewnik. Rozpatrując tę kwestyę należy, zdaniem jego, liczyć się w znacznej mierze ze zjawiskami, które odegrały tak doniosłą rolę w dziejach rozwoju świata zwierzęcego, mianowicie z *migracyami*. Jak dotąd nie wiemy przecie, gdzie dokonał się rozwój ludzkości i czy dokonał się na jednym miejscu, a stąd jest bardzo możliwe, że człowiek zjawił się w Europie dopiero w okresie czwartorzędowym, przynosząc tu ze sobą już stosunkowo rozwiniętą kulturę.

Zarzuty stawiane przez Boula autentyczności eolitów spotkały się z ostrą krytyką obozu przeciwnego, który dowodzi, że *wygląd pseudo-eolitów z Mantes różni się najzupełniej od wyglądu eolitów rzeczywistych*, oraz że powstania tych ostatnich nie można żadną miarą przypisać czynności wartkiego prądu wody i obijaniu się wzajemnemu kamieni. Dr. Rutot wraz z dr. Hahnem przeprowadzili szczegółowe badania nad krzemieniami z kilku cementarni i badania te pozwoliły im stwierdzić, że tylko niewprawne oko, lub osoba która nigdy nie widziała rzeczywistych eolitów, może utożsamiać kamienie te z autentycznymi narzędziami eolitycznymi. Różnice zachodzące tu streszcza Rutot jak następuje: 1-o. Znaczna ilość pseudo-eolitów, szczególnie kawałki blaszkowate, odłupane od brył, wykazują na swej powierzchni „znamię uderzenia,” gdy tymczasem na rzeczywistych eolitach z pokładów starszych znamię to spotyka się bardzo rzadko i charakteryzuje dopiero celowe łupanie krzemieni w warstwie Meswińskiej. 2-o. Na eolitach rzeczywistych znać wyraźną różnicę pomiędzy śladami obrobienia, mającemi na celu zaostrenie narzędzia, a temi śladami, których zadaniem było udogodnienie ujęcia; przeciwnie, różnica ta zaciera się u pseudo-eolitów. Z narzędzia bowiem obijano to tylko, co rzeczywiście przeszkadzało jego trzymaniu, a stąd ślady tych odłupañ są zlokalizowane w pewnych określonych punktach i niekiedy nawet nie ma ich wcale. Pseudo-eolity zaś są na całej po-

wierzchni poobtlukiwane, a obtłuczenia te łączą się i zlewają częstokroć ze śladami niby jakiegoś zaostrenia krawędzi lub końca. 3-o. Nawet te odłupania które na pierwszy rzut oka przypominają zaostrenie narzędzi eolitycznych zapomocą retouchoiru, okazują się przy bliższem zbadaniu zupełnie różne; mianowicie kierunek ich bywa *rozmaity względem linii ostrza*, a przytem są one bezładnie rozrzucone po całym krzemieniu, nadając mu wygląd bezcelowo ciosanej bryły lub blaszki, nie zaś narzędzia mającego pewien określony użytek. Przeciwnie w stacyach eolitycznych wogóle z łatwością odróżnić można te krzemienie, które służyły do użytku, od brył i odłamków nieużywanych; pomimo bowiem niskiego stopnia kultury, człowiek eolityczny nie wyrabiał narzędzi bezsensownych i na każdym krzemieniu używanym rozpoznać można wszelkie cechy racjonalnego użytku, lub racjonalnego obrobienia.

Na podstawie tych szczegółowych porównań dr. Rutot i Hahne przeczą stanowczo utożsamianiu eolitów z krzemieniami z Mantès, lub innych cementarni, przyznając im tylko ogólne, bardzo powierzchowne podobieństwo, które jednak zaciera się przy ściślejszem badaniu.

Podobnież i przypisywanie działaniu wód powstawania eolitów jest, zdaniem Rutota, koncepcją najzupełniej błędną. Świadczą o tem między innymi ciekawe badania, przeprowadzone w czasach ostatnich przez pp. de Muncka i Ghilain'a. Jak wspominałem wyżej, pan de Munck odkrył niedawno na płaskowzgórzu Hautes Fagnes, na lewym brzegu Mozy, pokłady plioceniczne krzemieni, zawierające w sobie znaczną ilość eolitów. Potoki spływające z wyżyny porywają w wartkim swym biegu krzemienie i unoszą je ze sobą. Otóż de Munck i Ghilain prowadzili obserwacye oddzielnie i zupełnie niezależnie nad działaniem tych rwących wód na zmianę postaci krzemieni. W tym celu, posuwając się z biegiem potoków, badali oni co pewną odległość wygląd porwanych brył i doszli do przekonania, że działanie polega tu właśnie bynajmniej nie na łupaniu kamieni i odbijaniu od ich powierzchni mniejszych lub większych kawałków, lecz na oglądaniu brył i nadawaniu im, wskutek starcia krawędzi, wyglądu niby obtoczonego. Bardzo nauczające w tym względzie są kolekcye krzemieni, wydobyte kolejno z potoków, w rozmaitych ich punktach, wzdłuż biegu. Widać z nich, że rwący prąd wody żadną miarą nie może być uważany za twórcę eolitów, ponieważ już na odległości jakich 2—3 kilometrów od źródła potoku krzemienie są wygładzone i nie wykazują krawędzi, ostrzy i odłupań,

tak znamiennych dla krzemieni, spoczywających w warstwach niezakłóconych przez działanie wód. Tak więc potoki, zdaniem Rutota, mogą li tylko niszczyć eolity, zacierając ich cechy charakterystyczne i zamieniając je w zwykłe głązy rzeczne. Przeciwnie eolity, pochodzące z pokładów nietkniętych, w których spoczywały od chwili porzucenia ich przez człowieka, wykazują na swej powierzchni ślady rozłupań naturalnych lub sztucznych, oraz ślady użycia i obrobienia. Stąd też Rutot dochodzi do wniosku, że rzeczywiście znaczenie przekonywujące mogą mieć te tylko kolekcje eolitów, które zostały znalezione *w pokładach nienaruszonych przez żadne wpływy naturalne.*

Nie znaczy to bynajmniej, by wszelkie eolity znajdujące gdziekolwiek, w odmiennych warunkach, miały nie być eolitami, lecz rozpoznanie ich jest rzeczą trudniejszą i wymagającą wielkiej znajomości rzeczy i ostrożności. Rutot przypuszcza nawet, że jedną z głównych przyczyn owego niedowierzania i niechęci, jakie wielu badaczy okazuje kwestyi eolitów, jest to, iż mieli oni do czynienia bądź z pseudo-eolitami, bądź z rzeczywistymi narzędziami eolitycznymi, które jednak uległszy w następstwie działaniu wód, lub innych czynników naturalnych, zatraciły w stopniu rozmaitym swe cechy znamienne. W przypadkach tych prawdopodobnie kładziono na karb *sił twórczych* to, co było dziełem *sił destrukcyjnych*. Gdyby uczeni ci—mówi Rutot—zechcieli zbadać np. kolekcję eolitów belgijskich, zgromadzoną w Brukselli, prawdopodobnie pogląd ich uległby zmianie, a w każdym razie wówczas dopiero byłiby uprawnieni do rozstrzygnięcia tej kwestyi.

Dotąd mówiliśmy wyłącznie tylko o eolitach z trzeciorzędu, oraz ze starszych pokładów czwartorzędowych; zaznaczyłem już jednak, że *poczynając od czwartorzędu środkowego*, obok narzędzi eolitycznych poczynają zjawiać się *narzędzia ciosane*, i to ciosane według pewnego, z góry powziętego planu, czyli t. zw. *„narzędzia paleolityczne.”*

Tak więc w paleolicie człowiek nie zadawał się już prostym użytkowaniem brył i odłamków kamiennych, lecz nadawał im kształt określony, najstosowniejszy dla zamierzonej czynności. Rzecz prosta, iż pomiędzy okresem kultury czysto-eolitycznej, a okresem paleolitycznym nie mogło być gwałtownego przeskoku, któryby pozwalał na przeprowadzenie między nimi jakiejś wyraźnej granicy. Umiejętność ciosania kamieni rozwijała się powoli, doskonaląc się stopniowo, tak, iż t. zw. *„technika Strepetyjska,”* należąca już do paleolitu, stanowi właściwie stadyum przejścia między obydwoma okresami.

Jednak i następnie, pomimo rozkwitu kultury paleolitycznej i neolitycznej (kamienia gładzonego), technika eolityczna, zdatniem Rutota, nie ulega bynajmniej zanikowi i eolity, t. j. bryły lub odłamki nie ciosane lecz poprostu przystosowane do użytku, spotykają się w dalszym ciągu obok kunsztownie ciosanych lub gładzonych siekier, tłuków, sztyletów i strzałek.

Jak stwierdziły badania Neyrincka (1868 r.), a następnie Rutota, technika *niemal czysto eolityczna* występuje w niektórych okolicach Francyi i Belgii nawet jeszcze w początkach okresu neolitycznego. Jest to t. zw. „*technika Flenuzyjska*“ (od Flenu w Belgii). Większość jej narzędzi nie różni się niczem od eolitów okresów dawniejszych, do tego stopnia, iż sam Rutot na razie poczytywał te znaleziska za należące do okresu eolitycznego i dopiero ściśle i kilkakrotne badania warstwy, w której spoczywały, udowodniły, że mamy tu do czynienia z *kulturą eolityczną wtrąconą niejako w neolit*. Rutot objaśnia powyższy fakt w ten sposób, że w niektórych okolicach Francyi i Belgii ludność o kulturze neolitycznej została wyparta w początkach czwartorzędu młodszego przez plemiona zdobywcze, pozostające jeszcze na stopniu kultury eolitycznej. Narzędzia flenuzyjskie, podobnie jak narzędzia techniki meswińskiej, składają się przeważnie z odłamków łupanych umyślnie; znamionuje je wspólna wszystkim eolitom prymitywność wyglądu, oraz zupełna obojętność dla formy, t. j. brak wszelkiej dążności do osiągnięcia pewnego, z góry określonego kształtu.

Jeśli jednak znaleziska Europejskie wykazują istnienie narzędzi eolitycznych przez ciąg okresów paleolitycznego i neolitycznego—to badania dokonane w ostatnich latach przez H. Klaatscha i F. Noetlinga w *Tasmanii* dowodzą, że w niektórych okolicach globu *kultura eolityczna zdolata przetrwać aż do czasów teźniejszych*. Ludność autochtoniczna Tasmanii, która przy zetknięciu się z kulturą Europejską wyginęła doszczętnie w połowie zeszłego stulecia, uznana jest przez antropologów za jedną z najprymitywniejszych ras ludzkich. Stąd powstało, niestety zbyt późno, słuszne zainteresowanie się tem ciekawem plemieniem i zechciano przynajmniej poznać o ile możności najdokładniej ślady pozostałe po niem. W tym celu zostały zorganizowane ekspedycje naukowe z Anglii i Niemiec; z ekspedycyj niemieckich jedną, mającą za zadanie zbadać cały kontynent Australii, prowadził prof. Klaatsch, antropolog,—drugą zaś, udającą się wyłącznie do Tasmanii, dr. Noetling, znany geolog i paleontolog. Wkrótce też udało się Noetlingowi dokonać ciekawych znalezisk. Mianowicie

odkrył on na wybrzeżu morskiem i wzdłuż biegu niektórych rzek szereg śladów po siedzibach tasmańskich, oraz t. zw. „native quarries,“ to jest miejsca, z których ludność czerpała krzemienie do użytku. Kamienie zebrane w tych miejscowościach od razu uderzyły Noetlinga podobieństwem swem do eolitów europejskich. Nie dowierzając jednak własnej znajomości rzeczy zwrócił się on do dr. Rutot, prosząc go o przysłanie kolekcji eolitów belgijskich, dla dokonania szczegółowego porównania; jednocześnie wysłał on do Brukselli liczną kolekcję krzemieni z siedzib tasmańskich. Wynik porównań i opinia Rutota okazały się kompletnie zgodne z pierwotną oceną Noetlinga, czyli że narzędzia Tasmańczyków ujawniły najzupełniejsze podobieństwo do eolitów z trzecio — i czwartorzędu Europy. I tu również narzędzia składają się z brył, odłamków i blaszek bynajmniej *nie ciosanych* według pewnego planu, *lecz poprostu użytych po jako-takiem niezbędnem przystosowaniu*; i tu również wśród całokształtu krzemieni rozróżnić można *te same typy pierwotnych narzędzi, które występują w stacyach eolitycznych Europy*. Są tu więc tłuki, kowadła, retouchoiry, skroba-cze i strugacze, noże i przekalacze. Obecność licznych „jąder“ oraz „znamiona uderzenia“ częstokroć widoczne na narzędziach świadczą, że Tasmańczycy posługiwali się nietylko bryłami i odłami-kami naturalnymi, lecz umieli już łupać większe bryły w celu otrzymania ostrych blaszek. Technika ich przeto odpowiadała przypuszczalnie najbardziej technice Meswińskiej, którą, jak wiadomo, znamionuje również umiejętność łupania krzemieni.

Pogląd Rutota i Noetlinga na eolity tasmańskie podzielają również i inni badacze. Klaatsch np. w swej relacji z podróży do Australii poświęca szereg ciekawych uwag narzędziom kamiennym Tasmańczyków. Streścić je można, jak następuje: Technika kamienia, właściwa Tasmańczykom jest czysto eolityczna, narzędzia ich bowiem składają się z krzemieni nie ciosanych, lecz z brył i odłamków naturalnych, lub łupanych unyślnie. Po zaostrzeniu zapomocą retouchoiru i ponownem stępieniu, kamień bywał porzucany i pracowano dalej innym, nowym kawałkiem. Ta właśnie częsta zmiana narzędzi tłómaczy, zdaniem Klaatscha, występowanie znacznych nagromadzeń eolitów na miejscach dawnych obozowisk. W braku dostatecznej ilości blaszek i brył krzemiennych leżących na powierzchni, Tasmańczycy eksploatowali występowania skalne powierzchniowe, odłupując wprzód znaczną ilość brył i trzasek, a następnie dopiero wybierając z nich te kawałki, które nadawały się do użytku. Takie „pracownie“ kamienia niezawsze odpowiadają miejscom, gdzie rozkładano siedzi-

by i częstokroć znajdują się opodal nich. Np. jedna z główniejszych, które zwiedził Klaatsch, mieści się na szczycie wzgórza, w miejscu gdzie występują na powierzchni skały krzemienne. Odłamki i „jądra“ tworzą tu warstwę grubości około 50 cm., natomiast narzędzia właściwe, t. j. kawałki, noszące na sobie ślady zużycia i zaostrzenia, są tu bardzo rzadkie. Znać, iż w miejscu tem litylko trudniono się wydobywaniem materiału surowego. Chcąc zaś odnaleźć dawne koczowiska, potrzeba zejść w dół, ku rzece, wzdłuż której dopiero ciągną się szeregiem ślady siedzib, zasiane mnóstwem eolitycznych narzędzi.

Według badań Klaatscha, *istnienie człowieka na Tasmanii sięga czasów bardzo odległych*; świadczą o tem mianowicie całe zwały muszel mięczaków, stanowiące odpadki kuchenne (kjockenmödinger) licznych pokoleń, a opasujące wyspę dokoła, niby tamą. Głębokiej starożytności tych wałów dowodzą dwa fakty: 1-o) dolne, czyli podstawowe ich warstwy nie ciągną się po linii dzisiejszego wybrzeża, co świadczy, że wówczas, gdy nagromadzenia muszel zaczęły się wytwarzać, rysunek brzegów był różny od tego, jaki widzimy obecnie; 2-o) zwały skorup przedłużają się nawet i po za obręb Tasmanii, przechodząc na niektóre sąsiednie wysepki, skąd wnosić można, że wyspy te oddzielone zostały od Tasmanii już wówczas, gdy człowiek je zamieszkiwał, a co za tem idzie, to istnienie człowieka na nich odnieść należy do czasów bardzo odległych.

Na podstawie tych wszystkich danych Klaatsch ostatecznie dochodzi do wniosku, że ludność, która zamieszkiwała Tasmanię aż do dni dzisiejszych, była *bardzo starożytna, a zarazem niezmiernie pierwotna*, gdyż stanąwszy na poziomie kultury eolitycznej nie zdołała rozwinąć się dalej i pozostała w tem stadyum aż do czasów ostatnich.

Oprócz Klaatscha, Noetlinga i Rutota również i prof. Taylor z Oxfordu, otrzymawszy od ekspedycyi angielskiej kolekcję narzędzi tasmańskich, uznał je za najzupełniej podobne do eolitów europejskich.

Tak więc, dzięki znaleziskom Tasmańskim, teoria uznająca eolity nie za kształty wytworzone drogą naturalną, lecz za pierwotne narzędzia człowieka, zyskała faktyczne poparcie. Zwolennicy eolitów uważają też obecnie kwestyę tę za zupełnie załatwioną, a Rutot streszcza jak następuje dorobek dotychczasowych badań nad znaleziskami eolitycznymi:

Technika eolityczna kamienia istniała nietylko w okresie trzeciorzędowym i w początkach czwartorzędu, kiedy była wyłą-

cznie znana człowiekowi, lecz przetrwała i nadal obok techniki paleolitycznej i neolitycznej. Nie dość na tem, choć w Europie, Azji i Afryce technika eolityczna uległa zanikowi w miarę rozwoju neolitu, to jednak u szczepów pierwotnych, zamieszkujących Tasmanię, zachowała się ona aż do dni ostatnich. Być może, że badania prowadzone w innych okolicach, posiadających ludność pierwotną, wykażą istnienie większej ilości plemion, u których kultura eolityczna zachowała się daleko po za okres jej istnienia w Europie, t. j. do czasów niezbyt od nas odległych.

Tak przedstawia się w streszczeniu rozwój kwestyi eolitów, oraz dzieje walki za i przeciw nim.

K. STOLYHWO.

PIŚMIENNICTWO.

STEFAN ŻEROMSKI: *Dzieje grzechu*. Warszawa, 1908.

Nie bardzo dawno, ale stanowczo zniesiono przepisy cenzury, że tak powiem, pedagogicznej, która zakazywała pisarzom dotykania pewnych stron życia ciemnych lub wstydliwych, a przynajmniej jedne objawy życia uznawała za wyższe i godniejsze poety, inne za marniejsze lub zgoła poecie zabronione. Ustalono pewnik, że linia wznosząca się, lub spadająca w ewolucyi psychologicznej, jeżeli przeprowadzona z twórczą konsekwencją, równej może być ceny dla sztuki, jak i dla etyki. Artysta tworzy sztukę z mułu ziemi, który, choć grzechem nasycony, bywa zdalny do lepienia. Moralista wyciągnie z głęboko realnej psychologii literackiej wnioski zawsze pożyteczne, bez względu na to, czy powieść jest o świętym, czy o zbrodniarzu. Aby zgłębić myślą dobro, trzeba może zgłębić i jego przeciwieństwo.

Ale obok tych nabytków rozszerzających pole autorskie, rozwiązujących skrzydła, pozostała w cenie odwieczna prawda, że książka, jeżeli jest dziełem sztuki, powinna zmierzać konsekwentnie do jednego artystycznego celu. Cel ten pisarz musi nietylko gorąco ukochać, ale i mocno przemyśleć; wysilić swe zdolności spostrzegawcze, syntetyczne i stylowe, aby to, co mu przyszło do serca nocą majową przy śpiewie słowika, albo to, co mu zadrgało wewnątrz od blizkiego zapachu krwi ludzkiej rozlanej, albo to, co mądrego złożył z nieczytelnych dla gminu znaków mijającej przed oczyma epoki, aby to wszystko uchwycił, celowo przerobił na życie sztuczne, do rzeczywistego równoległe, i sensem tego życia przejął czytelnika. Tryumfem artysty jest ten wynik, że dzieło jego wywiera wrażenie silne i wyraźne, niemal jedno ze wzruszeniem oryginalnem autora. Siłą talentu każe pi-

sarz czytelnikowi współtworzyć z sobą, współżyć wytkniętym szeregiem zdarzeń i wzruszeń, a nie pozwala mu jednak oddalić się od twórczego planu, prowadzi go podstępnie do swoich wniosków.

Aby jednak ten cud pisarzów mógł się dokonać, potrzeba, oprócz mocy cudotwórcy, także jego gruntownego przygotowania. Mocą cudotwórczą nazywam talent, przygotowaniem—zasób dobrze uporządkowanych spostrzeżeń, a przede wszystkim skrupioną, dyktatorską wolę stworzenia tego, a nie innego obrazu, wywołania tego, a nie innego artystycznego wniosku. Dyktatura biegłego pisarza jest lekka i skuteczna, jak panowanie dobrego władcy; góruje nad myślą czytelnika, nad jego nerwami, nad jego zabawą. „On to widział, on to wie lepiej, on mi to odsłonił i dał poznać.“ Takie przekonanie o nieomyślności autora, o jego władzy z Bożej łaski rodzi w czytelniku podniosły namysł i wdzięczność.

Prawdziwa wdzięczność należy się Stefanowi Żeromskiemu za godny iście poety zamiar ujęcia „Dziejów grzechu“ w dzieło sztuki. Niema chyba na dzisiaj godniejszego zadania, niż obraz nędzy moralnej, grasującej we wszystkich warstwach społeczeństwa, zagnanego przez klęski historyczne w ponury kąt Europy. Przedmiot dla filozofa i artysty zarówno bogaty, w swej wielkiej aktualności zawiera też znaczne dla pisarza niebezpieczeństwa. Czy dzieje cnoty czy grzechu — to poniekąd dla sztuki obojętne, ale w każdym razie obrał sobie Żeromski przedmiot odwieczny, ciągle nowy i kapitalny: dzieje duszy ludzkiej współczesnej. Na tym gruncie spotkał się ze wszystkim, co nas teraz przejmuje, szarpie, niepokoi, a więc z konieczności poprowadził nas do wniosków tak ważnych, że mylić się w nich, a nawet chybiać lub chwiać się prawie że autorowi nie wolno. Jego przygotowanie do przedmiotu powinno tu być mistrzowskie, jego dyktatorska wola—absolutna.

Ostatnie dzieło Żeromskiego jest już tak znane i popularne, że oszczędzić sobie mogą streszczenia powieści, a sięgnę odrazu po linie i szczegóły potrzebne do uzasadnienia mych uwag. „Grzech,“ swój przedmiot główny, przeprowadził autor w szeregu postaci drugorzędnych, przeważnie wybornych, ale właściwie wcielił w jedną postać, niemal posagową—Ewy Pobratyńskiej. Dzieje tej duszy są rozstrzygające dla znaczenia „Dziejów grzechu“ ze względu na miejsce, które jej autor w powieści wyznaczył, ze względu też na to, że na odlanie tego śpiżu użył wszystkich swych zasobów wrodzonych i nabytych, rzucił do waru, jak Ben-

venuto Cellini, dla dopełnienia formy, swe srebra stołowe. Kruszcem dźwięczy szlachetnie, powierzchnia gładka, szczegóły misterne, ale w linii ogólnej widzimy pewną dwoistość, jakby glina lepiona była z dwóch wzorów o zarysach sprzecznych.

Powiem ściślej: Ewa Pobratyńska wydaje mi się złożoną z dwóch dusz kobiecych nierównomiernych, z dwóch pomysłów nie przerobionych w jeden, które nazwałbym Ewą I-ą i Ewą II-ą.

Czy są ludzie z dwiema duszami? Czy w jednej osobie odzywać się może dusza pierwotna, instynktowa, naprzemian z inną, nabytą przez wychowanie lub przypadek? Te subtelne zagadnienia policzyłbym — przynajmniej w literaturze — do rzędu zbytecznych. Dusza — to treść moralna człowieka, ulegająca ewolucyi, ale jednolita, osobista; może w ciągu życia, a nawet przez krótki przeciąg czasu zmienić się do niepoznania na lepsze lub na gorsze, lecz pozostaje sobą, jednością, monadą wszechświata. Można spostrzeżenia, ze stu osób realnych zebrane, złożyć tak dobrze w osobę literacką, aby dusza jej wydawała się jedną i żywą — ale dwa stworzenia literackie już w głowie autora ukształcone, dwie dusze już konsekwentnie ustalone łączyć w jedno — jest co najmniej niebezpieczne.

I Żeromski w to konwencyonalne rozwiązanie wielu zagadnień psychologicznych zapewne nie wierzy. Innych wypadka szukać przyczyn dla objaśnienia widocznego rozłamu w postaci Ewy.

Nie zdaje mi się ubliżającym Żeromskiemu przypuszczenie, że ten znakomity znawca duszy kobiecej aż do pewnych szczebli degradacyi, gdy powziął zamiar zstąpić jeszcze niżej, aż do piekieł prostytucyi i nożownictwa, nie miał już z tych otchłani osobistych spostrzeżeń. Więc gdy zabrakło na kolosalny posąg Ewy zapasów dobrego śpiżu i Benwenutowych sreber, dodał, aby formę wypełnić, nieco podlejszego kruszcu, zaczerpniętego z cudzych kronik skandalicznych.

Żeromski wzoruje pewną ręką swą Ewę w życiu domowym, w stosunku do rodziców, do towarzyszy młodości, do pierwszego kochanka. Jest to kobieta zmysłowa, ale bynajmniej nie przewrotna; owszem pracowita, czułego sumienia, zdolna do poświęceń bohaterskich, stworzona na kochankę człowieka wyższego polotu, jakim jest, lub wydaje się być Niepołomski. Mądra przytem aż nadto (wogóle osoby Żeromskiego zbyt mądrze rozprawiają barwnym językiem autora). Więc jakkolwiek życie poszarpałoby jej wierzenia, cnotę i dumę, ta Ewa I, pomimo niebezpieczeństw w naturze jej leżących, postać wyniosła, piękna nietylko cieleśnie, postać dobrze stworzona i konsekwentnie aż do połowy

dzieła rozwinięta—nie może w żaden żywy sposób stać się Ewą II, czyli zwierzęciem, pozbawionem sumienia, godności osobistej i estetyki. Gdyby przynajmniej autor zepchnął ją w błoto i tam pozostawił, może uwierzylibyśmy, że tak się stać może, choć nie widzieliśmy stadyów przechodnich, nie byliśmy świadkami mąk lub choćby przemian tej duszy tonącej. Ale dusza Ewy do ostatniego rozdziału powieści bywa naprzemian to biała, to czarna, co stanowi szereg niespodzianek w fabule, ale i szereg nierozstrzygniętych wątpliwości, gorzej—powątpiewań o psychice Ewy. Uważny czytelnik powie sobie po zamknięciu książki, że mogą się zdarzyć takie dzieje Ewy, ale takich dziejów grzechu, tak niekonsekwentnej wędrówki duszy przez życie—niema na ziemi.

Jednak autor nie tworzył tego dzieła na chybi trafi. Pozbył się nawet prawie zupełnie skłonności do epizodów, które przedłużają bez artystycznej potrzeby „Popioły“ i „Ludzi bezdomnych.“ Zeromski wie zawczasu, dokąd zaprowadzi swą Ewę. Więc już w pierwszych obrazach centkuje — i to nader subtelnie a celowo—charakterystykę dziewczęcia drobnymi plamkami zalotnej zmysłowości, pragnienia zbytków: kochane buciki—lady Vaughan — sympatyczne porozumienie z birbantem ojcem — wybornie. Cechy te rozwijają się w dobrze ułożonej seryi wypadków; wschodzi tragiczna miłość z postacią Niepołomskiego, rośnie, wikła się z powodu sumiennosci kochanków, zakwita na wyżynach ducha i w rozpacz się obraca z powodu grzechu zdrajcy mężczyzny. Na co potrzebna autorowi kradzież dokumentów z archiwów rzymskich? — nie wiem.

Banalne to streszczenie bynajmniej nie dowodzi, aby powieść była banalna w tej części. Jest owszem niepospolicie zajmująca i pewna w rysunku. Grzech zakrada się niepostrzeżenie, jak złodziej, zaraz w pierwszych scenach po spowiedzi kościelnej, kusi widziadłami rozkoszy, przybiera na się postać miłości, a raczej zatrzuwa jadem i zdradą święty ogień miłosny. Ciągłe podziwiasz i wierzysz autorowi; widzisz, zgłębiasz życie mądrzejsze od rzeczywistego, bo prześwietlone jasną pochodnią talentu. Ale trafiasz na pierwszy poroż tej pięknej rzeki, płynącej do morza sztuki: na scenę dzieciobójstwa.

Jakto?! — dziecko mężczyzny, którego Ewa nie przestała i do śmierci nie przestanie kochać? I ta Ewa, dotąd właściwie bohaterka, zamiast podrzucić gdzieś dziecko, jeżeli na dalsze bohaterstwo sił nie starczy, wybiera ten ohydny sposób zabójstwa?? Wierzyć już trudno, ale pobłaża się jeszcze autorowi dla wielkich jego zasług poprzednich. No, może — w gorączce? — w przystę-

pie rozpaczy? Może się wreszcie i zdarzyć?... I zapewne autorowi ten ohydny grzech bardzo potrzebny do dalszego wątku?

Znowu przez kilka stają książki (rozdziałów w niej niema) żaden zgrzyt się nie spotyka. Rozwija się romans Ewy ze Szczerbicem, subtelnie wycieniowany. Szczerbic jest typowym próżniakiem ze „sfer wyższych,“ przy pieniądzach i tradycyi, ze znaczną kulturą nerwów — postać zupełnie dorysowana, ani razu nie chybiona. W stosunku zaś ze Szczerbicem Ewa pozostaje sobą, choć losy jej przenoszą się w okoliczności nowe. Na barwnych i zmiennych tłach postać wzoruje się coraz inaczej, jednak logicznie; poznajemy ją lepiej. Serce jej wierne Łukaszowi Niepołomskiemu wychodzi nieomal zwycięsko z obłączenia pokus zawrotowo pachnących. Że tylko „nieomal“ zwycięsko—w tem tkwi prawda życiowa i celowość autorska. Ewa pozostaje, mimo wszystko, przy swych uczuciach delikatnych, przy pragnieniach gorących, lecz hamowanych. Ścigana przez Erynie sumienia, rzuca się w wir zabaw, lecz nie z zamkniętymi oczyma, nie bez pamięci. Wyborny epizod uczciwy z Jaśniachem, zrozumiały i chwilowy grzech na Kōrsyce. Drożenie się ze Szczerbicem jest motywem psychologicznie nowym, znakomicie opanowanym i przedstawionym. Całe upusty estetycznych rozkoszy dla czytelnika, aż do chwili, gdy zdarza się ten wypadek gwałtu w jakimś hoteliku austriackim.

Może to moja osobista idyosynkrazja? Sceny gwałcenia kobiet oburzają mnie bardziej, niż zajmują. Z zabójstw wydobył naprzykład Szekspir ogromne bogactwa estetycznej grozy; z gwałcenia i złodziejstwa, które są same przez się zabijaniem wszelkiej estetyki, nie rozumiem, jak można zebrać co dla sztuki pożytecznego. Może jednak mylę się. W założeniu „Dziejów grzechu“ leży kryminologia, znoszę więc tę scenę, sprawiającą zresztą wrażenie aż nadto realne, czekając, jak ją zużytkuje do dalszego opowiadania pisarz wielkiej miary.

Lecz nagle rozsypuje mi się powieść, a przedewszystkiem postać Ewy, a to w miejscu następującem tekstu, bezpośrednio po przebudzeniu z haniebnych uścisków:

„Schyliła się niepostrzeżenie i tajemny, powietrzny pocałunek złożyła na zmysłowych ustach śpiącego.“

Tutaj umiera Ewa I, a rodzi się Ewa II. Odrazu ta po swemu wierna żona Łukasza, ta aspirantka do poezji miłosnej, ta litościwa osoba, ta sui generis bohaterka staje się zbójcejką suką—i to bez własnej woli, przypadkiem. Dlatego, że spotkała silnego i śmiałego samca?... A czyż Niepołomski nim nie był? Czy kobieta jest tylko taką, jaką ją urobi mężczyzna nad nią panujący?

Nawet na te domysły i konsyderacje niema czasu, ani miejsca odpowiedniego w powieści. Poprostu czytelnik dostaje pałką w łeb.

Od tej chwili nie można już na serio mówić o psychologii Ewy. Wspólnictwo jej z Pochroniem i z jego szajką da się chyba wytlómaczyć przez hypnozę. Ale hypnozę, jak pomieszanie zmysłów, miałem zawsze za niedozwolone dziedziny w literaturze. Człowiek w tych stanach jest nieodpowiedzialny, a przeto i nie zajmujący. Nie będę więc mnożył cytat na dowody, że nasza sympatyczna znajoma z pierwszego tomu nie mogła zamordować w uścisku Szczerbica, ani wykonać, bez wyrzutów sumienia, całego szeregu zbrodni, urozmaiconego jeszcze na domiar wycieczką do owego raiku Bodzanty, do owego „Paradou“ socjalistycznego, któremu sam autor wyznacza tylko parę lat istnienia na ziemi, a za to w książce aż 100 stron miejsca!

Zbyt łatwo zauważyć, że Ewa (czy to pierwsza, czy druga), zamiast służyć bandzie zbójców, mogła uciec od niej do tego samego Szczerbica; że miała setne okazyje w Wiedniu i gdzieindziej wydać Pochronia w ręce policyi, albo strzelić mu w łeb z jednego z tych browningów, które dawano jej do czyszczenia. Ponieważ wreszcie opuścili ją Pochronie i Spławscy, ponieważ z rozkoszą odetchnęła cnotą i zapomnieniem w ogrodach Bodzanty, jakie лихо każe jej znowu uleść nieprawdopodobnym afektom starego społecznika, znowu od nich uciekać za nakazem demonicznego Płazy-Spławskiego, dać znowu nurka w raz już znieawidzoną kałużę, aby nareszcie umrzeć po bohatersku, ratując od śmierci jedyne, przez życie całe umiłowanego Łukasza? Mnożą się niekonsekwencye krzyczące, łamie się dzieło, rzuca się autor, targa i czytelnikiem, aż doprowadza obojętnych do wzruszenia ramionami, a wielbicieli jego talentu do szczerzego żalu. Jaka szkoda, że tak bogaty, żywy, tętniący życiem naszym pomysł Żeromskiego został, jak dziecko Ewy, rzucony do kloaki!

Jeżeli zaś Żeromski miał zamiar stworzyć postać zupełnie „rozmamaną“ moralnie, to, gdy nam ją pierwszy raz pokazał, już w wieku dojrzałym, mógłby doprawdy bardziej ją obnażyć, abyśmy później nie „spadali z chmur,“ a raczej z nich nie złazili z żalem i zawodem. Buciki, halka, planki zmysłowości w stosunku z Niepołomskim—to byłoby wyborne w innym toku powieści, ale przepada bez użytku dla zadziwiającej fabuły drugiego tomu. Nie mogąc przypuścić, aby Żeromski chciał nas zadziwić w drugiej części dzieła samą bajecznością bajki, muszę dojść do smutnego wniosku, że postać Ewy zepsuł z powodu rozdwojenia zamiaru, że wahał się w ciągu tworzenia pomiędzy Psychą, a Naną.

I dlaczego chybił właśnie postać główną?! Któż tedy, jeżeli nie on, porobił tak świetnie owych Pobratyńskich, Horstów, Szczerbiców, Pochroniów — aż do wybornych sylwet Barnawskiej, Nycza...? Na każdej z tych postaci możnaby niemal demonstrować anatomię literacką. Tak się robi. I każda posłużyłoby mogła zarazem za lekcję, jak poprawić Ewę, za dowód, że mógł ją sam Żeromski stworzyć staranniej lub szczęśliwiej.

Umie on bowiem wywołać i utrwalić osoby najróżniejsze. W tej samej powieści, obok Szczerbica, tak lekkimi a pewnymi rysami kreślonego, figura dyametralnie przeciwna — Pochroń. Takiego draba jeżeli widział kiedy Żeromski, to z pewnością nie wszedł z nim w zażyłe stosunki, podobnie jak nie miał wzoru na Ewę zbójcką. A jednak temi władzami duszy, które po staremu zwą się natchnieniem i talentem, zebrał rozpieczętowane doświadczenia krwawych lat ostatnich, cisnął w jedną bryłę, i bryłę ożywił. Niema tu żadnych sprzeczności, ani wątpliwości: ten potwór żyje, ten łajdak jest skończenie piękny. Znany go: właśnie takich spotyka się wczesnym rankiem przy bilardzie w Kielcach. Namiętne zwierzę, dumny zbój. Jeżeli co w nim góruje nad żądzą rozkoszy, to żądza pieniędzy; jeżeli kto go na uwięzi trzyma, to starszy zbójckiego stanu. Jest to śpiżowy złodziej, i dla tego tylko zajmujący, że z jednolitego śpiżu. Gada, działa, ma się do innych, jak być powinno. A że tak być powinno, nie wiedzieliśmy do wczoraj. Dzisiaj wiemy. Ani trochę nie dziwi nas, że Pochroń frymarczy kobietą, którą kocha, bowiem bardziej kocha pieniądze; albo że ulega Spławskiemu, bo to mistrz jego sztuki. Czarna dusza pra-złodzieja tkwi konsekwentnie w Pochroniu. Nie rozculi się on, nie wstąpi w niego inna dusza sentymentalna, gdy, powalony już, celuje pilnie z browninga w swoją ulubioną, zasłużoną Ewę. Zdradziła solidarność cechową — musi umrzeć.

Za przykład doskonałej figury z trzeciego planu biorę Nycza. Zartobliwa technika tej sylwety bawi, ale zaraz i osadza uwagę czytelnika. Tak — bywają tacy „we Widniu“ i gdzieindziej. Syn „d'un malheureux émigré polonais“ — nie może być inaczej. Pogodna, szanowna postać, tylko zabłąkana między bandytów, zapewne nieświadomie. Powoli jednak ten piękny, pracowity bywalec wydaje się nam podejrzany — nie wiemy jeszcze dlaczego. Aż kiedy Ewa w pełnym wdzięku dyalogu nazwała Nycza „kochanym szpicelkiem“ — postać otrzymuje swe dokończenie artystyczne.

— I to ty, ty mówisz mi takie rzeczy! Bolesnie mnie zraniłaś.

Tak przemawia Nycz, pełen godności, i odchodzi z powieści. A my już o nim wiemy, ile potrzeba i na zawsze.

Żeromski tworzy gorąco, żywiołowo, szczęśliwie. Jak mu się odrazu udają (a wyjątkowo i nieudają) osoby jego powieści—można stwierdzić i na odcieniach dyalektu, który autor kładzie w usta tego lub owej. Szczerbic mówi zawsze, jak polski, kulturalny hrabia, Horst ma świetną wymowę kawiarnianego filozofa, Pochroń przemawia, jak nożownik z krwawej Woli. Bo te postacie wyłoniły się żywe i zdrowe z twórczej fantazyi autora. Skoro tylko postać jest trudniej lepiona, kombinowana — uderza nas odrazu i niekonsekwencya w używanym przez nią doborze wyrazów. Ewa rozmawia z Niepołomskim, jak doktor filozofii, z Pochroniem zaś odrazu, jak jego urodzona koleżanka; niepodobna uwierzyć, aby miała tak wybitne zdolności filologiczne. Że stylowe szmermele Horsta, bardzo stosowne w jego ustach, podobne są do wywodów Jaśniacha — rzecz naturalna: typy są odmienne, lecz pokrewne. Ale zadziwia pokrewieństwo tej mowy oryginalnie wysilonej z dyalektem np. Bodzantów, ojca i córki. Bo też cała ta rodzina razem z ogrodami, Majdanem, niedokończonym kościołem, rozprawą polityczno-społeczną—jest fikcją nieożywioną, wstawką dołataną do powieści, szmatem innego zgoła pomysłu, innej, znacznie gorszej techniki. Zdawałoby się, że autor przypomniał, pod koniec pisania, o potrzebie tła historycznego i ześrodkował je w osobnym kącie obrazu. I zaraz, jakby go odstąpiła moc Boża tworzenia, autor usypia, wyrazy kładzie powszednie lub niewłaściwe.

Usypiał i Homer, i Słowackiemu to i owo się nie udało, i Tolstoj, jakby na przekorę, psuje niejedno swe dzieło sztuki inkrustacją szkolno-dziennikarską. Podpatrywanie takie dobrego i szczerego autora, wytykanie mu mniej udatnych rozdziałów, rysów, aż do zwrotów mowy—jest rzemiosłem łatwym, do którego nie mam chęci. Co innego było mi pobudką ogłoszenia tych uwag.

Zamiar literacki duży, silnie z życiem współczesnem związany, doskonale rozpoczęty, zbudził grzmiące echo wśród naszej publiczności. Żeromski położył palce na lirze z czułych, serdecznych strun ogółu złożonej — i cała lira zagrała. Tylko, zamiast wybuchnąć pieśnią choć mniej więcej zgodną i harmonijną, jedne serca zapalały namiętnością, drugie skurczyły się od targających je zgrzytów. Ogromne powodzenie tej książki jest bezpośrednim wpływem siły talentu autora, namiętne o nią kłótnie mają swe źródło w nieporozumieniu, stworzonym nie przez obozy polityczne, etyczne albo literackie, lecz przez samego autora.

Pisarz tej miary, co Żeromski, wchodzi już w poczet nauczycieli narodu; talent go na to stanowisko wyniósł, audytorium swą liczną frekwencją potwierdziło go w godności. Gdy jednak tak jest, i słusznie, wykład o najbardziej palących zagadnieniach życia współczesnego może nie dość gruntownie być przygotowany. „Ciężkie są nauczyciela narodu grzechy”—mówił jeden z Promiennistych.

Skrzywienie bowiem, czy rozdwojenie planu „Dziejów grzechu“ w postaci głównej sprowadza, mojem zdaniem, niepożądane skutki nie tylko w samej artystycznej celowości dzieła. Obierając sobie za przedmiot „grzech“, stwarza się oczywiście szereg wniosków natury etycznej, gdyż bez etyki grzechby nie istniał. A wnioski te byłyby równie dla sztuki, jak i dla moralności pożyteczniejsze, gdyby nie zasadniczy, choć mimowolny grzech autorski.

Powtarzam z naciskiem, że nie mówię o wyborze przedmiotu. Każde, istotne dzieło sztuki, jest zdrowe dlatego, że dyszy prawdą życiową i przejmuje nią czytelnika. Jeżeli nawet książka, pełna scen t. zw. „gorszących“, lecz celowo dla racji sztuki potrzebnych, wpadnie w ręce „panny mądrej“, chodzi tylko o to, aby ktoś jednocześnie albo później lampę jej rozniecił, skoro sama odrazu tego uczynić nie zdoła. Panna głupia, albo zła potrafi i z Biblii wyciągnąć wnioski przewrotne. Deprawacya, zrodzona z przedwczesnego czytania, jest momentem przepadającym w ogólnem działaniu literatury na rozwój myśli i obyczajów współczesnych. Do znacznie zaś gorszych pod względem działania na moralność czytelnika zaliczam książki, w swej artystycznej celowości chybione lub chwiejne, duże dzieła sztuki zepsute i złamane. Te, im silniej pociągają wyobraźnię duszy młodej i wrażliwej, im ją bardziej ponętami artyzmu rozgrzeją, tem łatwiej zaprowadzą ją do wniosków niebezpiecznych, a nawet szkodliwych.

Ale to, co nazywam „grzechem“ Żeromskiego, nie jest na szczęście wadą czucia, ani umysłu; jest raczej częściowem zabłąkaniem twórczego rozpędu w przedmiocie, stanowiącym istotę etyki. Grzech, odwieczny ogień palący w motorze indywidualnym człowieka, pragnienie rozkoszy osobistej z uszczerbkiem porządku i dobra ogólnego, porwanie się bestyi ludzkiej przeciw kratom i okowom—ma w sobie wielkość, rodzajową piękność, która pociągała zawsze pisarzy gorących i twórczych, pociągnęła dzisiaj i Żeromskiego. Przejęty straszną prawdą współczesnego życia, zaczął tworzyć prawdę artystyczną, a zatem piękno. Ale trzeba było bogactwo swych spostrzeżeń ułożyć w inny, celowo wyrazistszy szereg, i nie przeistoczyć swego wielkiego tematu,

grzechu współczesnego, w ból ślepy, w zło panujące nieuchronnie, jak niszczący żywioł.

Grzech ma swe konsekwencye wewnętrzne, dużo godniejsze myśliciela i artysty, niż technika zbrodni. Mniej więcej od epoki rewolucyi francuskiej zaostrza się z każdym rokiem rozłam między etyką ludzi nowych, coraz nowszych, a etyką panującą starą, coraz starszą. Świat trzymany jest dotąd w karbach systemów moralnych, opierających się rzekomo jeszcze na wielkich prawdach Chrystusowych, ale przeistoczonych obłudnie przez ludzi zasadniczo kochających siebie, a nie bliźniego. Każda dusza wolna i lotna przeklina istniejący porządek świata, a przekleństwa zbiorowe biją groźną nawałą w twierdze powag społecznych. Ale rządy i powagi mają na sobie znak Krzyża, który niegdyś coś najwyższego przedstawiał, a może i w przyszłości przedstawiać będzie. Ten znak, choćby obłudnie wystawiony, przeraża jeszcze buntowników. I dlatego w grzechu tkwi walka nie tylko z więzami powag panujących, ale i z samym sobą, bo w sumieniu najśmielszego grzesznika majaczy jeszcze ten sam, co na więzach, znak Chrystusowy; ciąży nad ręką, imającą się noża, goni za głową unoszoną w mroki zapomnienia.

Jest w naszej epoce zmierzchu i pożarów inny jeszcze grzech wielkiej miary, z którego dzielny pisarz dobędzie skarby dramatyczności. Wolna dusza, pragnąc dla społeczeństwa rzeczy najszczytniejszych, zdrowia i wyzwolenia, może zabląkać się, popaść w grzech względny, w grzech niemocy jednostki przeciw tłumom i ich historycznemu rozwojowi. Apostoła idei zwyrodniały w zbójcę, wielka miłość, która, zapomniawszy Chrystusa, zmienia się w nienawiść—to także tematy współczesne i ogromne.

Co innego zaś jest pisać dzieje grzechu, a dzieje brudu, czyli najniższych zbrodni zwierzęcia zwyrodniałego. Takie motywy mogą najwyżej służyć artyście pomocniczo do wywołania, gdzie wyjątkowo potrzeba, wstrętu. Nie jestem pewien, czy niektóre obrazy w ostatniej powieści Żeromskiego są dostatecznie przez istotne wymagania sztuki uzasadnione.

Wielkie dzieje grzechu, dzieje duszy ludzkiej, zbląkanej w odstępstwie od dróg utartych, spalonej przez ogień wewnętrzny, który mógł być świętym, a stał się pożerającym—takie dzieje są jeszcze do napisania.

Kronika miesięczna.

Kwestya jubileuszu Słowackiego. — Organizacya opieki nad dziećmi opuszczonymi. — Drewnica i Karolin.

Komitet, zawiązany z inicjatywy grona literatów warszawskich dla obmyślenia sposobów uczczenia setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego, nie uzyskał zatwierdzenia władz, a wskutek tego został rozwiązany.

W odpowiedzi, jakiej udzielono na złożone podanie o legalizacyę Komitetu, nie zostały wskazane motywy, uzasadniające odmowę, nie możemy więc zastanawiać się nad tą sprawą bliżej. Pozostaje nam liczyć się z faktem dokonany, który jednakże nie powinien osłabić zainteresowania się społeczeństwa w Królestwie Polskiem tem, co dla uczczenia Słowackiego uczynić postanowią Komitety galicyjskie.

Jeden z tych Komitetów, mianowicie Komitet akademicki, zawiązany w Krakowie dla sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju, wystąpił niedawno z odezwą, która w sposób apodyktyczny i stanowczy rozstrzyga kwestyę umieszczenia wielkich prochów w miejscu najgodniejszym i najwłaściwszem.

Odezwę kończą takie znamienne słowa:

„Postanawiamy *walczyć* wszelkimi sposobami, by ogół narodu przekonać o słuszności naszych poglądów (poglądy te starają się uzasadnić, że z Wawelem nie może współzawodniczyć żadne miasto, żadna miejscowość na całym obszarze Polski—*przyp. red.*) i zapobiedz *niechybnej, a niepowetowanej profanacyi prochów Wieszcza*. W razie zaś, gdyby projekt nasz nie został dla jakichkolwiek przyczyn uwieńczony skutkiem, będziemy *dokładali wszel-*

kich starai, aby prochy Słowackiego pozostały w Paryżu tak długo, dopóki ogólna Wola Narodu nie zechce Ich sprowadzić na Wawel.“

Po za tą odezwą ani Komitet akademicki, ani inne Komitety galicyjskie nie wypowiedziały się jeszcze w sprawie obchodu jubileuszowego i nie nakreśliły swoich planów.

Natomiast w prasie warszawskiej zjawiły się dwa głosy, które zanotować na tem miejscu należy, jako wyraz żądań, skierowanych do komitetu warszawskiego, a po jego rozwiązaniu, przechodzących z natury rzeczy pod rozważę i decyzję całego społeczeństwa.

Jedno z tych żądań sformułował i umotywował p. D. S. Zaborski w № 129 *Kuryera Warszawskiego*, oświadczając się za jednoczesnem przeniesieniem z Opinogóry na Wawel zwłok Zygmunta Krasińskiego, którego setna rocznica urodzin przypada w roku 1912.

„Jestem najbardziej zdecydowanym zwolennikiem projektu umieszczenia szczątków Słowackiego na Wawelu—pisze autor cytowanego artykułu—*z tym jednakże warunkiem, że spoczną tam jednocześnie prochy Krasińskiego*. Bez tego nie wyobrażam sobie możliwości skutecznienia projektu wnioskodawców Wawelu. Zwracam też uwagę, że jeśliby to udało się im przeprowadzić z pominięciem Krasińskiego, to wyrządząliby wielką krzywdę pamięci Juliusza, gdyż również fanatyczni wielbiciele Zygmunta daliby niewątpliwie, biorąc rzecz po ludzku, upust swej goryczy.“

Rozwijając myśl swoją dalej, p. Zaborski mniema, że gdyby Komitet lwowski rzucił hasło podjęcia jednoczesnej akcji w sprowadzeniu na Wawel prochów obydwu poetów i złożenia ich obok trumny trzeciego w tej wielkiej trójcy, spoczywającego już w grobach królewskich, Mickiewicza, to hasło takie otrzymałoby prawie jednomyślną sankcyę opinii narodowej.

Postawienie dwóch sarkofagów, nigdy zaś jednego — oto wniosek ostateczny projektodawcy.

Drugi projekt, odmiennej natury, przedstawił w № 143 tegoż *Kuryera Warszawskiego* prof. Kazimierz Król.

Zastanawiając się nad bogactwem i przepychem języka Słowackiego, tudzież nad wpływem, jaki ten język wywarł na wszystkich poetów i pisarzy doby późniejszej, dochodzi prof. Król do przekonania, że za tę doniosłą zasługę poety należy uczcić pamięć jego w sposób specjalny i to niezależnie od wszelkich innych sposobów, które bądź już są, bądź będą zaprojektowane.

Oto należy utworzyć fundację im. Juliusza Słowackiego, któraby przeznaczala nagrody mistrzom słowa polskiego, piszącym czy to prozą, czy wierszem.

We Francyi instytucją taką jest słynna Akademia Francuska; różne „akademie nauk“ zaszczycają także godnością swych członków nietylko uczonych, ale i belletrystów, uwzględniając nietylko wartość wewnętrzną utworów, lecz i zalety formy. U nas Akademii Umiejętności w Krakowie nie przeszkadza również jej ustawa udzielać takiej nagrody za zasługi literackie; mamy nadto kilka fundacyj (zapis Kochmana we Lwowie, zapis J. N. Jaśkowskiego w zawiadywaniu kasy Mianowskiego, zapis Kuryerowa), których statuty nie wyłączają i tej kategorii zasług. Należy jednak utworzyć — zdaniem p. Króla — coś takiego, co wiązałoby się wyraźnie i wyłącznie z imieniem Słowackiego i miało już jedynie cel powyżej wskazany.

„Mowa polska — pisze wnioskodawca — żyć i rozwijać się będzie. Świetna już przeszłość tego oręża duchowego, co to „myśl każdą wydać jest zdolny, gnie się, dźwięczy, grzmi, przenika, jasny, śmiały,“ i dalszy jego rozwój w najnowszej dobie — dobrze pozwalają wróżyć o jego przyszłości; nie brak nam teraz i nie zabraknie zapewne później piszących, co niezależnie od takich lub innych ewolucyj życia narodowego, będą umieli pielęgnować godność pięknego słowa. Nie wyginą godni uznania; dlaczegóżby nie pomnożyć sposobów do wyrażenia im wdzięczności narodu?...

„Szłoby o urzeczywistnienie pomysłu, a więc, mówiąc prozaicznie, o zebranie funduszu. Skąd go zdobyć? Odpowiem nieco zmienionemi słowy Jana Kochanowskiego: „inszy to darmo po drogach miotali, a my nie damy, bychmy w pięknie trwali?“

„Jeżeliby kwota zebrała się stosunkowo nie duża, niech nagrody będą skromne, niech je wyznaczają co powien dłuższy okres czasu. Można by je przyznawać i za piękne dopiero początki w zawodzie pisarskim; byłyby one, jeżeli nie uwieńczeniem zasług, to choćby zachętą do ich pomnażania ku pożytkowi ogólnemu, ale już przez to stałyby się musiały czynnikiem postępu w dziedzinie piękna.

„Obmyślenie form, według których działałaby przyszła fundacja, nie nastęrczałoby zapewne poważniejszych trudności. Można ją związać czy to z Akademią Umiejętności w Krakowie, czy z kasą Mianowskiego, czy wreszcie wynaleźć inny sposób spełnienia wskazanych zadań.“

Taka jest myśl prof. Króla.

Zdobycie nagrody im. Słowackiego, będąc zaszczytem dla tych, którzyby ją już zdobyli, byłoby jednocześnie ostrogą dla późniejszych laureatów. Język nasz się rozwija, jest piękny, mocny i zdrowy, nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo poważniejsze — to prawda. Ale prawdą jest również, że nawet wśród literatów polskich, nawet wśród tych, którzy miłują się w ornamentyce językowej i najwyszukańszych dobierają wyrazów dla oddania swych myśli, coraz częściej trafiają się pisarze, nie dbający dostatecznie o czystość języka i nie zawsze pozostający w zgodzie z duchem mowy ojczystej. Dla obudzenia ich czujności, dla zachęcenia ich do studyów językowych, ustanowienie fundacyi nagrodowej im. Słowackiego nie byłoby bez znaczenia, bo zmusiłoby ich do liczenia się z niebezpiecznym współzawodnictwem innych, o ile nie zaniechaliby zgóry ubiegania się o nagrodę.

I nagrody takie istotnie mogłyby być skromne, nikomu bowiem nie szłoby o zysk materyalny, ale o zdobycie godności laureata książęcego zaiste konkursu na piękno.

*

*

*

Zorganizowanie dobrej opieki nad dziećmi wielkich miast należy do najpoważniejszych zadań filantropii społecznej. We wszystkich państwach, we wszystkich krajach, we wszystkich społeczeństwach zajmują się tą kwestyą, rozumiejąc pierwszorzędne jej znaczenie dla przyszłości, która oprze się na obywatelach, jacy wyrosną jutro z dziatwy. Obywatele ci będą tem lepsi, tem rozumniejsi i więcej pożyteczni dla ogółu, im lepsze otrzymają wychowanie. Z gromad dzieci bezdomnych, pozbawionych nauki i kierownictwa moralnego, wyjdą tymczasem, jeżeli nie przestępcy zdecydowani, to w każdym razie ludzie leniwi, nie zdający sobie sprawy ze swoich obowiązków, niezdolni do samodzielnej pracy, tamujący rozwój społeczny i wlokący się za społeczeństwem, jak obóz ciurów za główną armią, której w marszu nadążyć nie mogą.

U nas — niestety — podobnie jak w wielu innych kierunkach, i w tym zrobiono dotychczas znacznie mniej, niż gdzieindziej.

Dość powiedzieć, że pierwsze i *jedyne* w naszym kraju *Towarzystwo opieki nad dziećmi* istnieje w Warszawie dopiero od roku.

Wyłoniło się ono z t. zw. *Komitetu dla dzieci*, o którego działalności pisaliśmy w roku zeszłym na tem miejscu. W puściźnie po tym Komitecie, działającym w latach najcięższych, bo w okresie strejków, głodu i zamieszek rewolucyjnych, Towarzystwo otrzymało: Dom opieki, 7 ochron, 2 internaty, kolonie wiejskie, organizację dochodów stałych i t. p.

Obecnie zakres działalności Towarzystwa, które wchodzi po woli na drogę utrwalenia swego bytu, przedstawia się, jak następuje:

a) Przez Dom opieki przeszło w roku sprawozdawczym (1907) 300 dzieci, na ogólną liczbę 775 dzieci, zanotowanych przez księgi T-wa od początku istnienia Domu. Z powodu jednak braku funduszków nie można było działać w myśl założeń pierwotnych, t. j. tak, aby wszystkie dzieci z Domu, jako instytucji segregującej, przysyłać następnie na stały pobyt do internatów. Niektóre internaty wypadło zwinąć, a działalność Domu opieki ograniczyć aż do czasu zdobycia na to odpowiednich środków.

b) Co się tyczy działalności *Gniazd*, których Warszawa liczy 11, to mówią o tem najwymowniej osiągnięte rezultaty: 5 ochron dawnych, 8 nowozałożonych, 1 żłobek, 2 ochrony wiejskie, przytułek stały dla dziatwy wraz z dwuoddziałową ochroną dla dzieci przychodnich w Łodzi i 2 ochronki domowe—razem 20 instytucyj o 32 oddziałach, w których wychowywano dzieci, dotychczas dziko i samopas błakające się po ulicach i wystawione na zabójczy wpływ miazmatów rozpusty wielkomiejskiej. Dzieci przytulonych i wychowywanych przez te instytucje jest już obecnie 1,116.

Instytucją gniazdową, t. zw. eksterytoryalną, jest też zapoczątkowane w r. z. „Gniazdo ratowania dzieci od prostytutcy.“ Smutna nazwa, a jednak instytucja taka była bardzo potrzebna.

Gniazdo, w którym rozwinęła czynną działalność znana ze swojej w tym kierunku energii hr. Ludwika Moriconiówna, nie mogło na razie powołać do życia samodzielnego posterunku miejskiego, zdołało jednak wydobyć z grzęzawicy 10 dzieci i umieściło je tymczasowo w przytulku św. Małgorzaty w Piasecznie.

c) Kolonie, jako dalszy ciąg zimowisk, prowadzone są w Towarzystwie z widokiem na stopniowe zmniejszanie dzieci, umieszczanych przy rodzinach na wsi, z dążeniem natomiast do tworzenia drobnych internatów wiejskich, oraz wchodzenia w stosunki z pokrewnymi instytucjami, posiadającymi racjonalnie prowadzone ogniska wychowawcze zamiejskie.

Z zestawienia cyfrowego, jakie podaje sprawozdanie Towarzystwa, dowiadujemy się, że z kolonij wiejskich, licząc i dawniej-

sze zimowiska, od 1 grudnia 1906 r. do 1 stycznia 1908 r. korzystało ogółem dzieci 1,277. Pozostało na koloniach 235 dzieci. Osobna tablica podaje przybytek na wadze i wzroście dzieci, powracających z kolonij. Odpowiednie liczby średnie wynoszą 1.86 kilogr. i 2.8 cent.

Dział ten uzupełniają jeszcze kolonie wakacyjne, poparte odezwą Elizy Orzeszkowej w okresie jej jubileuszu, oraz kolonie w Ciechocinku. Z kolonij wakacyjnych korzystało w okresie sprawozdawczym 20 chłopców i 24 dziewcząt (średnio przez 2 miesiące). Z kuracyi ciechocińskiej korzystało 24 dzieci w ciągu sezonu kuracyjnego.

Zestawiając poszczególne cyfry na cały czas działalności instytucji, dowiadujemy się, że z usług Towarzystwa korzystało dotąd 3,236 dzieci. Pozwala to na zaliczenie nowej instytucji do rzędu rozwijających się pomyślnie. I rzeczywiście, obok T-wa kolonij letnich, oraz fundacyi Rau'a i bar. Lenwała uczyniło ono najwięcej w kierunku otoczenia dzieci bezdomnych i ubogich należytą opieką.

Działalność Towarzystwa wzrasta niemal z dniem każdym, już bowiem po wydrukowaniu sprawozdania, na którym się opieramy, przyłączyło się do niego kilka nowych *gniazd*, jak Gniazdo imienia Baudouin'a, liczące 300 członków czynnych, przeważnie z grona lekarzy, oraz gniazda prowincjonalne w Grodzisku, Bolesławiu, Ząbkowicach, Piotrkowie kujawskim i t. d.

Wszystko to jest niewątpliwie początkiem wielkiej akcji opiekuńczej, która w przyszłości rozciągnie się na kraj cały i otworzy perspektywę lepszej doli przed biednymi dziećmi Polski, która nie może im zapewnić ani światła, ani chleba w dostatecznej ilości.

Taki stan rzeczy panuje nietylko w naszej dzielnicy, pozbawionej możności prawodawczego normowania swoich dążeń w kierunku walki z ciemnotą i nędzą.

Podobnie jest i w sąsiedniej Galicyi.

Z tego względu pozwolimy sobie wspomnieć tu przy sposobności o projekcie p. Kazimierza Jeżewskiego, znanego u nas działacza na polu opieki nad dziećmi, a obecnie promotora zorganizowania w Galicyi krajowej nad dziećmi opieki.

Sprawa ta weszła tam na porządek dzienny z powodu jubileuszu cesarza Franciszka Józefa, który wyraził zdanie, że najmiłszem będzie mu wszystko, cokolwiek dzieci w jego imieniu otrzymają.

P. Jeżewski wystąpił tedy z projektem bardzo szerokim. Odrzucając zasadę masowych zakładów wychowawczych i przytułisk dziecięcych, projektodawca sądzi (najzupełniej zresztą słusznie), że nic nie zastąpi wychowania pod okiem rozsądnych i odpowiednio przygotowanych rodziców i żąda, aby kraj wszystkim bezdomnym i pozbawionym opieki dzieciom wychowanie takie zapewnił.

W jaki sposób? Oto przez tworzenie krajowych gniazd rodzinnych, na wzór sztucznych rodzin belgijskich.

Rodziny takie powstają przez powiększanie gromadki dzieci na wychowanie wybranej rodzinie, najczęściej rodzinie nauczyciela ludowego, za pewną określoną opłatą roczną. „Gniazdem rodzinnym“ nazywa p. Jeżewski wzorową kolonię na wsi, zagospodarowaną w ten sposób, aby gospodarze gniazda, t. j. przybrani rodzice dobranej odpowiednio gromadki dziesięciorga dzieci bezdomnych, pracowali przy pomocy starszych swoich wychowañców na utrzymanie i wychowanie wszystkich.

Kolonia jest własnością kraju. Gospodarz gniazda i jego żona mają zapewnioną emeryturę krajową. Czysty dochód z kolonii, po opłaceniu wszelkich powinności i wydatków gospodarczych, kosztów utrzymania i wychowania całej rodziny, ma być rozdzielony równo pomiędzy rodzone i przybrane dzieci.

Każdy z wychowañców gniazda do lat 18 utrzymywany jest kosztem gniazda, poczem rachunek jego zostaje zamknięty, na miejsce zaś jego wchodzi nowy bezdomny.

Tak zorganizowane kolonie mogą służyć za podstawę pracy Tow. kółek rolniczych.

Czy jednak będą fundusze na założenie takich kolonij?

P. Jeżewski proponuje je zaczerpnąć ze źródła następującego. Oto w t. zw. kasach sierocych w Austrii właściwej, w Czechach, na Morawach, na Śląsku austr. i w Galicyi jest 48 milionów koron nadwyżek z obrotów, które dotychczas nie mają żadnego przeznaczenia ustawodawczego.

Ten kapitał pozwoliłby na urządzenie w krajach korony austriackiej 2,400 gniazd, gdzie wychowanie znalazłoby po wieczne czasy $2,400 \times 10 = 24,000$ dzieci bezdomnych i opuszczonych. Galicya z tego źródła mogłaby mieć 100 gniazd na 1000 dzieci. Prócz tego na cel ten powinny być obrócone wszystkie dary jubileuszowe.

Niezależnie od tworzenia gniazd p. Jeżewski proponuje, aby przy Wydziale Krajowym, jako organie wykonawczym Sejmu,

utworzone zostało specjalne biuro krajowe opieki nad dziećmi, które skupi w sobie całość akcji krajowej i prywatnej w tym kierunku. Akcja ta obejmie poza zakładaniem gniazd jeszcze: zakładanie i utrzymywanie specjalnych zakładów wychowawczych dla dzieci anormalnych i moralnie zwyrodniałych; zakładanie i utrzymywanie szpitali dla dzieci; popieranie inicjatywy prywatnej przez subwencyonowanie Towarzystw wychowawczych lub instytucyj, poświęconych niedoli dziecięcej; zaprowadzenie ochrony prawnej dla dzieci, a przede wszystkim zaprowadzenie (na wzór angielski) specjalnych sądów dla dzieci, wreszcie prowadzenie statystyki dziecięcej.

Praca ta ma uleść decentralizacji i w takim razie zostanie rozłożona na powiatowe opieki.

Poszczególne instytucje prywatne i stowarzyszenia, poświęcone sprawom dzieci, mają mieć w zarządach swoich delegata od właściwej opieki powiatowej i w projekcie wiążą się w pracy krajowej przez delegowanie swego przedstawiciela do rady przy zarządzie biura krajowego. Rada taka będzie miała prawo inicjatywy. Stałe zaś zjazdy jej członków dadzą możność porozumiewania się wszystkim uczestnikom tej pracy, w celu obrania wspólnych dróg dla osiągnięcia jaknajpomysłniejszych wyników.

Tak wygląda w zarysie projekt p. Jeżewskiego. Zbyt długo może zajęliśmy nin uwagę czytelników, ale wszak chodzi tu o *dzieci polskie*.

Nie oceniamy projektu krytycznie, gdyż nie dotyczy on nas bliżej. Jeżeli jednak posiada on jakiegokolwiek wady, to przecież trudno mu odmówić wielkiej doniosłości. Trąca on z miejsca sprawę, dotąd w Galicyi prawie nie ruszoną i wprowadza ją odrazu na szeroki gościniec.

Czy i w jakim stopniu projekt ten zostanie urzeczywistniony, dotychczas niewiadomo. Wystarcza jednak, że zwrócił on na siebie uwagę czynników, które temu urzeczywistnieniu mogą współdziałać. Kwestye zasadnicze postawione zostały w projekcie jasno, zwięźle i prosto. Rzecz pomyślana jest dobrze, oparta zaś została nie na fikcyjach i nie na jałmużnie, ale — z jednej strony na kapitałach sierocych, z drugiej — na pracy, jako czynniku najszluchetniejszym i zarazem najbardziej wychowawczym.

Z tego względu z ciekawością będziemy śledzili obrót, jaki ta sprawa weźmie, kto wie bowiem, czy organizacja galicyjska, jeżeli dojdzie do skutku, nie stanie się w przyszłości wzorem dla

podobnej organizacyi u nas, gdzie *ukrajowienie* opieki nad dziećmi z chwilą, gdy tylko okaże się to możliwe, byłoby również najlepszem rozwiązaniem kwestyi.

*

*

*

Obok opieki nad dziećmi jedną z najbardziej u nas zaniebanych spraw jest opieka nad umysłowo chorymi. Dwa szpitale specjalne, św. Jana Bożego i szpital w Tworkach oddawna już nie mogą zaspokoić istniejących potrzeb, a władze odnośne zupełnie nie spieszą się z wyrównaniem krzywdy, jaką brak odpowiednich zakładów leczniczych wyrządza społeczeństwu.

Zostawione samemu sobie, społeczeństwo polskie musiało więc na własną rękę rozpocząć akcyę w kierunku otamowania szerzącego się zła. Powstały więc, dźwignięte ofiarnością i dobrą wolą jednostek zakłady: w Kochanówce pod Łodzią i w Drewnicy pod Warszawą.

Drewnica należy do Towarzystwa opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi. Towarzystwo to, zatwierdzone w r. 1902, ma już za sobą 5 lat istnienia.

Zobaczmyż, jaki jest stan obecny zakładu Drewnickiego, obleganego nieustannie przez chorych i zmuszonego do odmawiania im przyjęcia z powodu „braku miejsca.“

Z ostatniego (za r. 1907) sprawozdania z działalności Towarzystwa dowiadujemy się, że posiada ono w budynkach, placach i kapitałach majątek, oszacowany na 94,000 rb., że w roku sprawozdawczym w zakładzie Drewnickim było 170 chorych, którzy przebyli 36,520 dni zakładowych, wreszcie, że Towarzystwo przystąpiło do budowy nowego pawilonu, obliczonego na 50 chorych.

Pierwotnie zakład przeznaczony był dla 15 chorych. Cudem prawie zdołano go rozszerzyć, więcej jednakże chorych Drewnica pod żadnym pozorem przyjmować już nie może.

Wybudowanie nowego pawilonu jest więc nie tylko potrzebne, ale wprost niezbędne z uwagi na przepełnienie, które może być zjawiskiem chwilowem, ale nigdy stałem.

Na wzniesienie tego pawilonu potrzeba najmniej 45,000 rb., tymczasem T-wo do tej pory posiada na ten cel zaledwie 12,000 rb.,

wliczając w to już sumę 5,000 rb., którą dopiero ma otrzymać, ale której nie posiada jeszcze.

W roku sprawozdawczym Zarząd musiał odmówić przeszło 100 kandydatom, którzy posiadali wszystkie kwalifikacje do zakładu, dla których jednak nie starczyło miejsca.

Utrzymanie Drewnicy kosztowało w r. 1907 — 23,000 rubli, koszt przeto jednego dnia zakładowego wynosił 59.4 kop., t. j. prawie o $\frac{1}{3}$ część mniej, niż kosztuje dzień zakładowy w odnośnych szpitalach miejskich.

Sprawozdanie daje nam pouczający obraz gospodarki, zaprowadzonej w Drewnicy przez D-ra Karola Rychlińskiego, oddanego całkowicie chorym i zakładowi. Oto z zadowoleniem dowiadujemy się, że obok terenu, przeznaczonego pod parki dla chorych, zakład eksploatuje wzorowy ogród warzywny, posiada własną oborę i czerpie dosyć pokaźny dochód z hodowli nierogacizny.

Towarzystwo oparło byt Drewnicy na samopomocy społecznej i jest przekonane, że przy małej stosunkowo ofiarności publicznej, takich, jak w Drewnicy zakładów dałoby się utrzymać w kraju przynajmniej kilka, na co, zresztą, jest już wielki czas z powodu zastraszającej wprost liczby chorych, pozbawionych opieki, a należących do sfer niezamożnych, nie mogących korzystać z kosztownych szpitali.

Z pośród chorych w Drewnicy przeważna liczba, bo aż 75% należy do ludzi ubogich, a więc do pracowników warsztatowych, wyrobników lub ich rodzin. Jeżeli zaś zważy się teraz, że umysłowo chory doprowadzić może nawet rodzinę zamożną do ruiny, to dość pomyśleć o tem, co się dzieć musi w rodzinie rzemieślniczej, którą nawiedzi choroba umysłowa, aby nabrać przekonania, że nieszczęście, z jakim mamy do czynienia, domaga się jaknajgorliwszej ze strony całego społeczeństwa opieki. W kraju, który, jak nasz, posiada $\frac{3}{4}$ chorych umysłowo *pozbawionych zupełnie opieki*, nędza musi rozrastać się w sposób, budzący bardzo poważne obawy, a skutek tego musi pogłębiać się w życiu nieład, wywołany wprawdzie przez inne powody, ale podtrzymywany przez ogólną niedolę.

Zważywszy też na ogrom potrzeby społecznej w dziedzinie, uprawianej przez Towarzystwo opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi, trudno nie wyrazić zdziwienia, wobec faktu, że na liście członków Towarzystwa widzimy zaledwie 278 nazwisk, gdy — co byłoby rzeczą zupełnie słuszną — dziesiątki tysięcy obywateli powinny na ten cel przeznaczać po kilka rubli rocznie. Gdybyż przynajmniej część tych pieniędzy, jakie np. sama tylko Warsza-

wa traci rocznie w najbardziej nieprodukcyjny sposób na rozmaite gry hazardowe w klubach lub na stawki w totalizatorze, poszła na cele Towarzystwa, mogłoby ono stworzyć i utrzymać przynajmniej 20 takich zakładów, jak Drewnica i wówczas dopiero sprawa tak ważna i niezbędna jako tako byłaby uregulowana.

Towarzystwo, które przed 5-iu laty otworzyło zakład na 15 chorych, a dzisiaj daje opiekę około 200 osobom rocznie, które wykazuje nadto, że dzięki zabiegliwości może utrzymać swój zakład przynajmniej o 30% taniej, niż miasto i rząd—powinno przecież z łatwością zdobyć sobie trwałą grunt do dalszego rozwoju. Społeczeństwo w dobrze zrozumianym interesie własnym, kierując się zasadą „sami dla siebie“ powinno poprzeć działalność i wysiłek tej garstki ludzi dobrej woli, którzy z własnej inicjatywy stanęli do pracy i prowadzą ją z prawdziwym poświęceniem dla sprawy miłosierdzia.

Poparcie to jest tem niezbędniejsze, że zakres działania Towarzystwa rozszerza się przez budowę nowego sanatorium dla nerwowo-chorych w Karolinie pod Brwinowem.

Wiadomo, że nerwowość, wcześniej leczona, w niejednym wypadku może zapobiedz wybuchowi choroby umysłowej. W Karolinie zaś znajdują stosowne leczenie biedni pracownicy, którym kilkotygodniowy odpoczynek, przy odpowiedniej opiece i zabiegach lekarskich, może przywrócić zdrowie i zdolność do pracy. Dla społeczeństwa podtrzymanie takiego sanatorium stanowi czysty i nie zaprzeczony zysk.

Kolonia w Karolinie, ofiarowana T-stwu przez ś. p. Feliksa Bobrowskiego, w zupełności nadaje się na cel powyższy i wkrótce Towarzystwo rozpocznie tam budowę lecznicy według planów, już przygotowanych.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

ś. p. Konrad Prószyński.

(Kazimierz Promyka).

Odszedł nas pracownik wielki a cichy, pożyteczny i zasłużony a skromny, jeden z tych, którzy za godło życia swojego wzięli sobie wezwanie Juliusza z jego Testamentu: „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei, a przed ludem oświaty niech niosą kaganiec!“

W nocy z dnia 8-go na 9-ty lipca r. b. umarł po długiej, dwuletniej prawie chorobie ś. p. Konrad Prószyński, zaszczytnie znany pod pseudonimem Kazimierza Promyka, pisarz i wydawca wielu doskonałych rozpraw, artykułów i pouczających książek dla ludu, założyciel i od lat blisko trzydziestu redaktor najpoczytniejszej pod wiejskimi strzechami „Gazety Świątecznej.“

Pomnikową jego pracą był „Elementarz,“ według własnego pomysłu oparty na metodzie nauki poglądowej, który powagi pedagogiczne u nas i za granicą, jak np. w Londynie, uznały za najlepszy dotychczas na świecie.

Elementarza tego rozeszły się w ciągu lat kilkunastu krocie egzemplarzy—podobno przeszło milion...

Jeżeli z każdej takiej książczyny w kraju analfabetów choć jeden prostaczek nauczył się poznawać głoski i czytać, to zasługa Promyka, jako krzewiciela oświaty, musi pozostać w dziejach naszego rozwoju wiekopomną.

Ale nie dosyć na tem, że tysiączne tłumy tych ciemnych braci na jego Elementarzach nauczyły się abecadła—on je „z kagańcem w rękę“ prowadził ku coraz jaśniejszym dziedzinom duchowej

i fizycznej pracy, rozwidniał umysły, rozgrzewał serca, otwierał oczy na świat najbliższy i dalszy, kształcił i budził ciekawość do nauki, szerzył kulturę w tych warstwach społecznych, względem których przeszłość najczęściej zgrzeszyła, pozostawiając je wieki całe w ciemnocie, zacofaniu i zaniedbaniu.

Stał się też dobrowolnie jednym z tych odkupicieli przeszłości u nas, którzy z ideą w sercu, a z sercem na dłoni, zstąpili do ludu, aby wedle środków i możliwości spłacać długi narodowego sumienia i zaległych obowiązków.

Umiałowanym celem jego życia, a całych dziesiątków lat pracy literackiej i społecznej było: świecić choćby „promykiem“ na nizinach i szerzyć oświatę wśród ludu polskiego; celowi temu poświęcił się bardzo wcześnie, bo w samym zaraniu swojej młodości, kiedy jeszcze jako szesnastoletni uczeń gimnazjalny brał się do pióra.

Zaledwie w r. 1876-ym ukończył Wydział prawny Uniwersytetu warszawskiego ze stopniem kandydata praw, już w r. 1880 zakłada organ własny, tygodnik popularny p. t. „Gazeta Świąteczna“ i zaczyna wydawać kalendarz, nazwany „Gościem“, a przeznaczony dla najszerszych warstw społecznych, pracujących na roli.

W tych dwóch wydawnictwach rozpoczyna się jego działalność pisarska, obywatelska i nauczycielska dla ludu z coraz rozleglejszym i głębszym wpływem; „Gazeta“ wyrabia sobie poczytność i zaufanie, zdobywa dziesiątki tysięcy prenumeratorów, a założyciel, kierownik i główny współpracownik jej—Prószyński, jako „pisarz Gazety Świątecznej“, staje się ulubieńcem, doradcą, przyjacielem tych siernieżnych tłumów, do których co tydzień przez dwadzieścia kilka lat odzywa się głosem starszego, dobrego brata i serdecznego druha.

Pisać przystępnie, zajmująco i zrozumiale dla ludu i dzieci, to zadanie o ile wdzięczne, o tyle bardzo trudne, wymagające specjalnego uzdolnienia, talentu, wprawy i znajomości natury tych prymitywnych czytelników, do których poziomu umysłowego potrzeba się dostosować umiejętnie, a nawet sprytnie, jeżeli się ma odnieść pożądany skutek: zająć, nauczyć i wykształcić.

Kazimierz Promyk, jako pisarz dla ludu, był pisarzem z Bożej łaski; czytywano go chętnie, z zajęciem i zrozumieniem, a co najważniejsza, z wiarą i zaufaniem, z wdzięcznością i uznaniem za każde rozumne, ciepłe i pełne myślowej treści słowo drukowane.

Umiał on do tego ludu przemawiać językiem prostym, jędrnym, przystępnym, czy to, gdy mu opowiadał o „Ciekawych zjawiskach w świecie“, „O Janie Kochanowskim, jego pismach i pa-

miątkach po nim,“ „O Stanisławie Staszycu,“ „O dziejach odkrycia Ameryki,“ „O wyprawach do bieguna północnego,“ czy „O tem, co każdego obchodzić powinno,“ „O gminie, wyborach i głosowaniu,“ lub „O dozorach kościelnych,“ „O pożyczkach i kasach pożyczkowych“ i t. p. rzeczach potrzebnych i pożytecznych.

„Księgarnia krajowa,“ założona przy *Gazecie*, wypuszczała cały szereg takich popularnych wydawnictw książkowych po cenie jak najtańszej, które znajdowały tysiące chętnych czytelników, ciekawych i żądnych nauki lub pouczającej rozrywki umysłowej.

Zadanie, które w innych społeczeństwach, w warunkach pomysłniejszych, spełniają całe stowarzyszenia, instytucje, zakłady, istniejące w celu szerzenia oświaty i wiedzy, spełniał ten jeden człowiek wyjątkowej pracy, wytrwałości i wiary w posiew dobrego ziarna na niwie tak mało uprawianej, tak długo leżącej odłogiem.

Zaorywał i zasiewał własną ręką ugory, plony przekazując przyszłemu pokoleniom.

Z natury rzeczy pisarska twórczość Promyka zamykać się musiała w drobnych, ograniczonych rozmiarach, w artykułach różnolitych, ale krótkich, w rozprawkach i książeczkach o objętości broszurowej, ze względu na czytelników, nie przyzwyczajonych do wertowania dużych ksiąg, nie mających jeszcze ani dość czasu, ani dość cierpliwości do lektury dłuższej i systematycznej; nie pozostawił też po sobie ten pisarz wyjątkowy, pomimo olbrzymiej pracy i dużego talentu, okazałych na oko dzieł, ale nie mniej zdobył prawo do gorętszego może uznania, aniżeli niejeden z najpłodniejszych autorów w naszym piśmiennictwie, bo dostarczał po kęsku przez lat trzydzieści całym rzeszom głodnych duchowego chleba i pożywienia zdrowego.

Kiedy w ubiegłym roku uczczono jubileusz jego czterdziestoletniej działalności pisarskiej (zanadto skromnie w stosunku do zasługi społecznej), jednym z najmilszych i najbardziej pocieszających objawów uznania dla siebie znalazł w listach, grubą, niewprawną, spracowaną ręką kmiecią pisanych przez czytelników *Gazety świątecznej*; pośród tych cegiełek na pomnikową kolumnę za życia dla kochanego i wielbionego przewodnika ludu, była jedna szczerozłota, z której mógł być dumny, bo ona sama starczyć mogła za wiele zaszczytów, które go ominęły. Jakób Grabowski, włościanin z Przytuł, od dwudziestu lat czytelnik *Gazety świątecznej*, w liście własnoręcznym spowiadał się prosto a szczerze z korzyści, jakie odniósł z czytania tego pisma; przyznawał się do ciemnoty i zacofania poprzednio, ale potem w miarę oświe-

cania umysłu swego: „pokochał ludzkość, poczuł się jej członkiem, zapragnął jedności bratniej i zaczął starać się o nią, pokochał ludzi sprawiedliwych i zaczął uwielbiać bohaterów a krzewicieli oświaty prawdziwej uważać za twórców narodu.“

Wykazując dalej zmiany, jakie dzięki naukom, radom i wskazówkom, znajdowanym w *Gazecie*, zaprowadził z dużym pożytkiem we własnem gospodarstwie, zakończył list swój temi słowy:

„Przez czytanie *Gazety* nauczyłem się poznawać i odróżniać dobre książki od złych; zrozumiałem, co to jest być prawym, nieobłudnym na wzór swego mistrza, kochanego Pisarza *Gazety*; zachęcam sąsiadów do dobrego, a gdy widzą przykład, to i naśladowają, a ja się z tego cieszę. Takie to z czytania *Gazety świętecznej* odniosłem korzyści i wiele innych, za co składam Bogu Najwyższemu dzięki. Proszę Wszechmocnego o udzielenie kochanemu Panu Pisarzowi *Gazety* najdłuższych lat zdrowia. Nie mam słów do podziękowania, życzeń, uwielbiania, do wypowiedzenia tego, co w sercu swoim czuję.“

Takich świadectw zasługi i pożytku przez długie lata od wdzięcznych swoich czytelników, Promyk odbierał tysiące i one zapewne podtrzymywały jego ducha, one wyczerpane i zużyte nadmierną pracą siły wzmacniały na nowo, one go upewniały, że życia na marne nie obrócił i że „nie cały umrze,“ gdy do grobu prawdziwie zasłużonych złożą kiedyś jego śmiertelne szczątki.

Promykiem chciał być tylko dla ukochanego ludu swego, ale gwiazdą świecić będzie w jego pamięci i sercu!

M. G.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE ogłasza trzy zadania konkursowe, a mianowicie: w wydziale języka i literatury na temat: „Życie duchowe i twórczość Juliusza Słowackiego.“ Żądaną jest bądź całkowita synteza krytyczna, bądź częściowe opracowanie jednego z dwu głównych okresów działalności poety (lata 1836—1842 i 1842—1849), bądź wreszcie studjum nad genezą i ewolucją samego arcyzmu przy uwzględnieniu pokrewnych zjawisk w dziejach poezji i sztuki innych ludów Europy.

W wydziale nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii na temat: „Znaczenie żywiołu etnicznego litewskiego w ewolucji polityczno-społecznej W. Ks. Litewskiego przed Unią lubelską.“ Praca ta ma stanowić studjum, oparte zarówno na wynikach badań etnograficznych, jako też na danych faktycznych, dotyczących polityczno-społecznego i kulturalnego rozwoju żywiołu rdzennie litewskiego ze szczególnem uwzględnieniem przejawów tego żywiołu w ustawodawstwie, a mianowicie w Statucie litewskim.

Wreszcie w wydziale nauk matematycznych i przyrodniczych na temat: „Zbadanie pod względem mineralogicznym któregośkolwiek z terytoriów Królestwa Polskiego.“ Przez terytorium rozumieć należy pewną całość geograficzną lub pewien kompleks geologiczno-petrograficzny. Praca winna wyczerpywać odnośną literaturę i opierać się nadewszystko na badaniach oryginalnych autora, oraz na laboratoryjnym opracowaniu materiałów zebranych. Autor winien przedstawić duplikaty zbadanych przez się materiałów, jako też i ewentualnych preparatów mikroskopowych.

Nagroda za pracę konkursową na każdy z trzech powyższych tematów wynosi tysiąc rubli. Towarzystwo naukowe zastrzega sobie możność podzielenia tej sumy na dwie nierówne części, w razie gdyby z pomiędzy prac, nadesłanych na dane zadanie, dwie okazały się godnymi nagrody. W razie gdyby, prócz nagrodzonych, znalazły się jeszcze inne prace wyróżniające się, Towarzystwo Naukowe może je oznaczyć wzmianką zaszczytną. Termin osta-

teczny do nadesłania rękopisów oznacza się na 31 grudnia 1909 r. Po upływie tego terminu żadne rękopisy przyjmowane nie będą.

W d. 21 czerwca r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym sekretarz Wydziału, Ignacy Chrzanowski, zdawał sprawę ze swych poszukiwań w Cesarskiej Bibliotece Petersburskiej w dziale rękopisów polskich z w. XVII i XVIII, mieszczących zbiory okolicznościowych, przeważnie politycznych, wierszy i pieśni. Rezultatem tych poszukiwań było znalezienie nieznanych dotąd, ciekawych utworów, a pomiędzy niemi wiersza z okoliczności porwania Stanisława Augusta.

— ARCHIWUM FILOMATÓW W KRAKOWIE. Już od dwóch lat krążyły niepewne wieści o odkryciu archiwum filomatów, które jakoby miało być spalone w r. 1824 w obawie przed śledztwem Nowosilcowa w Wilnie.

Tymczasem archiwum przechowało się dzięki Onufremu Pietraszkiewiczowi, jednemu z najgorliwszych filomatów, który papiery wszystkie ukrył, a po powrocie z Syberyi, dokąd go w r. 1831 ponownie zesłano, wydobył z pod ziemi, uporządkował i przed śmiercią († 1863 r.) powierzył synowcom. Jeden z nich zmarł w r. 1901, drugi — ś. p. Dr. Jan Pietraszkiewicz, umarł w styczniu r. b.

Jeszcze w r. 1906 wezwał on do Wilna Prof. Kallenbacha, z którym porozumiewał się odtąd wyłącznie i stale w sprawie wysłania całego archiwum filomatów do Krakowa w celu wydania go przez Akademię umiejętności. Jako jej delegat, udał się w połowie czerwca b. r. do Wilna Prof. Kallenbach, zawarł umowę z wdową po ś. p. Pietraszkiewiczzu i przewiózł całe archiwum do Krakowa.

Znaczenie jego zrozumie każdy, kto wie o wpływie młodzieży filareckiej na odrodzenie duchowe Litwy w trzecim dziesiątku ubiegłego stulecia. Dopiero teraz odsłoni się cała kulturalna i dziejowa doniosłość pracy filomatycznej.

Dochowały się protokoły oryginalne posiedzeń zarządu filomatów, ich oddziałów naukowych, prac literackich Mickiewicza, Zana, Czeczota i innych. Nieocenionej wprost wartości jest olbrzymia korespondencya filomatów z lat 1817—1830 r. Obejmuje ona przeszło tysiąc listów, które rzucają nowe i autentyczne światło na prace obywatelskie młodzieży litewskiej. Sama korespondencya Mickiewicza, całkiem nieznaną, obejmuje przeszło sto listów, ogółem zaś korespondencya Zana, Czeczota, Jeżowskiego, Malewskiego i Onufrego Pietraszkiewicza zawiera przeszło 570 listów.

Ponieważ Czeczot był korektorem pierwszych dwóch tomików poezyj Mickiewicza, nadesłanych z Kowna, więc dochował się w Archiwum zbiór licznych autografów takich wierszy, jak: „Oda do młodości,” „To lubię,” „Romantyczność,” „Upiór,” ustępy II-jej części „Dziadów“ i t. d. Nadto mamy tu liczne przemówienia Mickiewicza na posiedzeniach Tow. filomatów, jego projekty, pomysły, nawet nieznanne wiersze humorystyczne i poważne.

— TOWARZYSTWO KURSÓW NAUKOWYCH W WARSZAWIE. Sekcja humanistyczna T. K. N. podaje następujący program wykładów na rok akademicki 1908/9:

Grupa I. Językoznawstwo i filologia: 1) Językoznawstwo stosowane (w życiu, nauce i szkole) i 2) wykład naukowy języka francuskiego; K. Appel—2 godz. 3) Gramatyka porównawcza języków słowiańskich, II morfologia: St. Słoński—2 godz. 4) Kurs praktyczny języka łacińskiego: a) kurs początkowy, b) kurs uzupełniający. 5) Starożytne pomniki piśmiennictwa hebrajskiego (Pięcioksiąg, Prorocy i t. d.); Ignacy Radliński—2 godz. 6) Źródła do poznania chrystyanizmu; Ign. Radliński—2 godz. 7) Literatura powszechna XVIII i XIX w.; Ignacy Matuszewski—2 godz. 8) Literatura polska w wieku oświecy; Ign. Chrzanowski. 9) Literatura polska w XIX w. (romantyzm); H. Galle.

Grupa II. Nauki historyczne: 1) Dzieje Polski w XIV i XV w.; S. Kętrzyński. 2) Litwa i Ruś w XVI w.; Jakubowski. 3) Parlamentaryzm w Polsce; Siemieński. 4) Historia Polski w XVIII w.; Wł. Konopczyński. 5) Księstwo Warszawskie; J. Iwaszkiewicz. 6) Królestwo Polskie; Bojasiński. 7) Historia powszechna: wieki średnie; Wachowski. 8) Historia sztuk plastycznych i archeologii; W. Trojanowski. 9) Historia kultury (filozofia pierwotna); L. Krzywicki

Grupa III. Geografia i etnografia: 1) Geografia ogólna (fizyczna); W. Nalkowski. 2) Geografia historyczna ziem polskich; Z. Glogier.

Grupa IV. Nauki społeczne i prawne: 1) O podziale dóbr; St. Bukowiecki—1 godz., 1 semestr. 2) Historia doktryn ekonomicznych; St. Bukowiecki—1 godz. 3) Polityka socyalna; N. Pinkus—2 godz. 4) Nowoczesna polityka kryminalna; E. Rapaport — 1 godz. 5) Prawo handlowe; K. Dunin—2 godz. 6) Czynniki rozwoju dziejowego; L. Krzywicki—2 godz. 7) Nowoczesne teorie socyalne i polityczne; J. Kucharzewski—1 godz. 8) Prawo cywilne; Marcelli Lewy—1 godz.

Grupa V. Filozofia i psychologia: 1) Psychologia ogólna—2 godz., 2) Ćwiczenia praktyczne z psychologii—1 godz. i 3) Psychologia stosowana—1 godz.; J. Wł. Dawid. 4) Estetyka; A. Jabłoński—2 godz. 5) Historia estetyki—2 godz., 1 semestr, oraz 6) Historia etyki—2 godz., 2 semestry; M. Massonius. 7) Historia filozofii od Thalesa do śmierci Hegla—2 godz., 8) Filozofia współczesna—2 godz. i 9) Historia wiedzy—1 godz.; Wł. M. Kozłowski. 10) Historia filozofii od śmierci Hegla do czasów najnowszych; J. Lewkowicz—2 godz. 11) Pedagogika obiektywna (społeczna); J. Wł. Dawid—2 godz. 12) Zasady wychowania—2 godz. i 13) Dydaktyka i metodyka nauczania—2 godz.; A. Szcycówna.

Jak w roku ubiegłym, sekcja humanistyczna pozostawia zupełną swobodę zapisywania się na oddzielne wykłady i nie żąda żadnych formalnych dowodów z przebytego już kursu wykształcenia średniego (którego znajomość przypuszcza się jednak w każdym słuchaczu).

Wykłady sekcji grupują się według następujących specjalności: 1) językoznawstwo i filologia, 2) historia powszechna i polska, 3) geografia i etnografia, 4) nauki społeczno-prawne, 5) filozofia i psychologia. Ktokolwiekby pragnął uzyskać dowód odpowiedniego przygotowania w którejkolwiek z tych

specjalności, będzie mógł przystąpić do egzaminów po studiach, trwających nie mniej od dwóch lat (4-ch semestrów). Część egzaminów może być złożona już po roku.

Niezależnie od tego słuchacze, zapisujący się na poszczególne przedmioty z wymienionych grup, lub przez te grupy nie objęte, mogą według życzenia składać egzaminy z wysłuchanych przedmiotów i otrzymywać odpowiednie świadectwa.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— ATENEUM POLSKIE, miesięcznik, poświęcony sprawom kultury pod redakcją *Stanisława Zakrzewskiego*. Tom II, zeszyt 2 za maj. Zawiera gorąco napisane wspomnienie pośmiertne o Andrzeju hr. Potockim na pierwszym miejscu. Następuje potem rozprawa niezwykle interesująca i z wielkim talentem napisana przez *dr. Wacława Sobieskiego*, zaszczytnie znanego w naszej literaturze historycznej z całego szeregu sumiennych prac naukowych, pod tytułem: „Pesymizm i optymizm w historyzofii polskiej.“ Autor zastanawia się nad sprzecznymi sobie kierunkami historycznymi i daje obraz ciekawy i charakterystyczny tych wahań, jakim historyzofia nasza uległa pod wpływem przeżywanych kataklizmów narodowych. W dalszym ciągu *Antoni Lange* rozpoczyna w tym zeszycie streszczenie „Mahābāraty,“ właściwie wstępu do tego wspaniałego eposu indyjskiego, tak mało na ogół znanego. *Franciszek Krček* podaje rozprawkę krytyczną o poecie czeskim Światopełku Czechu. W dziale zatytułowanym: Rozglądy i Sprawozdania zwraca na siebie uwagę krytyka dzieła *dr. Clemensa Brandenburgera*, p. t. „Polnische Geschichte,“ Lipsk 1907, napisana przez *Jana Friedberga*, a zatytułowana: „Pruska prawda historyczna.“ Autor wykazał cały stok kłamstw i niewiadomości, jakich się dopuścił w tym dziele niemiecki uczonej wiednie i bezwiednie.

— NASZ KRAJ w numerze IX zawiera treść następującą: *Stanisława Przybyszewskiego*: „Przyczynek do etyki płci;—*Juliusza Germana*: „Z dyalogów o szczęściu,“ „Syn marnotrawny;—*E. Gordona Craig'a*: z angielskiego manuskryptu, przeznaczonego dla redakcyi *Naszego kraju*, przetłómaczony artykuł o „Niektórych złych dążnościach współczesnego teatru;“—dalszy ciąg powieści *W. Sieroszewskiego*: *Być albo nie być*;—*Selmy Lagerlöf*: *Królowie z wyspy Ragnhild*. O „literaturze młodej Anglii“ (piśmiennictwie kanadyjskiem) zamieszcza studjum p. *M. Rakowska*. Winiety i inicjały numeru wykonał *H. Kunzek*.

— NASZ KRAJ. Zeszyt X. Na wstępie dyalog wierszowany *Juliusza Germana*: *Na drodze* (Z dyalogów o szczęściu). „Ludzie i idee w literaturze i sztuce francuskiej. I. Klasyczni“ *H. Retingera*;—*St. Rossowskiego*: kompozycja wierszowa *Krew* „Kilka myśli o nowoczesnej sztuce aktorskiej“ z powodu występu trupy japońskiej p. *Hanako*;—*Juliusza Tennera*: przekład z *Marcelego Schwoba* *Mikołaj Loyselew*;— „Z szkiców parańskich“ *Jerzego Hempla*;—„Allegorye“ *Jana Lemańskiego*.

— NASZA PRZYSZŁOŚĆ. Pod tym tytułem wychodzić poczęło w Kijowie nowe czasopismo naukowo-literackie, społeczne i polityczne. W numerze

za maj, w słowie wstępnem zaznacza redakcja, że pismo przeznaczone jest przede wszystkim dla czytelników Ukrainy, Podola i Wołynia. Z szeregu pomieszczonych artykułów wyróżniają się: studjum o ekonomicznem odrodzeniu Litwy i Rusi Kazimierza Tokarzewicza;—przegląd publicystyki wschodnio-kresowej ostatniej doby, „prologi agrarne“ Al. K. Mańkowskiego;—wreszcie starannie prowadzony dział krytyki literackiej oraz korespondencyj.

— OGRODNICTWO, organ Towarzystwa ogrodniczego w Krakowie, zeszyt VI za czerwiec zawiera następujące artykuły: Zajac M.: „Helianthi“ nowa bulwiasta roślina warzywna;—Brzeziński J.: Specjalizacja w ogrodnictwie (dok.);—Benoit K.: Hodowle drzew owocowych w Riond Bosson (c. d. z rycin.);—Sidorowicz A.: Jak to nazwać?;—Préval Wl.: Stożki różne;—Skórczewski Dr. B.: Z polskiej flory;—Lila i jej rodzina (z 6 rycin.);—Pol G.: Hodowla roślin w mieszkaniach (c. d. z 4 rycin.);—Gniewosz Wl.: Korespondencya;—Ze spraw ogrodniczych;—Kronika.

— PAMIĘTNIK LITERACKI, podwójny zeszyt czasopisma kwartalnego, poświęconego historii i krytyce literatury polskiej, wydawanego przez Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, pod redakcją D-ra Ludwika Bernackiego, i zawiera następujące artykuły: Stanisław Wyspiański: Święty Stanisław (wydał A. Chmiel). Rozprawy: Fijałek Jan X. Dr.: Moderniści Katolicy Kościoła Lwowskiego w wieku XVI;—Jarecki Kazimierz: Pierwsze polskie tłumaczenie Anakreonta;—Kallenbach Józef: O nieznanym utworze młodzieńcym Adama Mickiewicza;—Pawlikowski Jan Gwalbert: Źródła i pokrewieństwa towanizmu i mistyki Słowackiego;—Lack Stanisław: Stanisław Wyspiański. Notatki: Miaskowski Kazimierz X.: Z teki bibliograficznej VII;—Kręć Franciszek Dr.: Nieznana kolenda (Okruchy hymnologiczne III);—Simonówna Alicja: Pieśń Kochanowskiego „Nadziei nie trzeba tracić“ w tłumaczeniu niemieckim z XVII wieku;—Pszon Stanisław: „Reminiscencye w Monachomachii“ i „Wojnie chocimskiej“ Krasickiego;—Wojciechowski Konstanty: „Polak w Paryżu“ a „Nowa Heloiza“;—Wasylewski Stanisław: „Klub piśmienniczy“ Tymona Zaborowskiego. Materyały: Bernacki Ludwik: Dyalog na Wielki Piątek;—Mączewski Przemysław Dr.: Z pamiętnika Feliksa Niemojewskiego;—Mączewski Przemysław Dr.: C. Norwid o genezie swej broszury p. t. „O sztuce“;—Pawlikowski Michał: Nieznany list Kornela Ujejskiego. Recenzje i sprawozdania: Dzieje literatury polskiej. Przegląd krytyczny za rok 1907 (* * *);—Łoziński Władysław: Życie polskie w dawnych wiekach (A. Prochaska);—Benzelstjerna-Engeström Wawrzyniec: Alfred Jensen: Obrazy szwedzkie w literaturze polskiej (W. Hahn);—Wiersze polityczne i przepowiednie, satyry i paszkwile z XVI wieku. Wydał T. Wierzbowski (A. Brückner);—Turowski Stanisław Dr.: Wespazyan Kochowski na tle współczesnym, jako poeta;—Niemcewicz Julian Ursyn: Puławy. Opracował J. Kallenbach (K. Wojciechowski);—Mickiewicz Adam: Trybuna ludów. Wydał Wl. Mickiewicz, przełożył A. Krasnowolski (K. Jarecki);—Śliwiński Artur: Mickiewicz, jako polityk (K. Jarecki);—Mazanowski Antoni: Seweryn Goszczyński (Z. Wasilewski);—Sprostowanie;—Bibliografia czasopism polskich za r. 1906 ułożył Stefan Vrtel.

— PORADNIKA JĘZYKOWEGO numer za czerwiec zawiera: O języku międzynarodowym Esperanto przez Romana Zawilińskiego;—Mowa ojczysta przez Lucyana Rydla;—Zapytania i odpowiedzi;—Pokłosie (Germanizmy i dwa listy z Litwy);—Roztrząsania przez D-ra H. Ułaszyna i Królińskiego.

— PRZEGLĄD BIBLIOTECZNY, zeszyt II. A. Gawiński: O książce Wypiańskiego;—W. Mickiewicz: Biblioteka Polska w Paryżu;—St. Demby: Z teki autografów;—E. Trojanowski: Słów kilka o drukarstwie z powodu wystawy Krakow. Tow. Polska Sztuka Stosowana;—Fr. Pułaski: Wiadomości o najdawniejszych i nieznanym drukach brzeskich (1553—1554);—D. Nowe ex-librisy polskie;—Pamięci zmarłych;—Zbieracze polscy;—Bibliografia.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY, zeszyt III. Halpern J.: Filozofia absolutnego idealizmu Hegla w psychologicznym zrozumieniu;—Zengteller Louis: Poglądy J. St. Milla na Przyczynowość;—Bad H.: „Grundlegung“ Kanta w tłumaczeniu polskim;—Święcicki H.: Książka S. M. Trubeckoj i jego pogląd na świat;—Silberstein Ada: Współczesna estetyka eksperymentalna;—Autoreferaty;—Sprawozdania;—Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD NARODOWY. Czerwiec 1908. Zygmunt Balicki: Wobec Nowego Położenia;—Antoni Marylski: Ziemia i Ludność Polska;—Jan Purwin: Ostatnia fala ruchu gospodarczego w Niemczech;—Jerzy Gościcki: Powinności Naturalne w Samorządzie;—Stanisław Warcholik: Sześćdziesięciolecie ruchu narodowego na Ślązku Austriackim;—Antoni Sadzewicz: Przegląd Spraw polskich;—Bohdan Wasiuński: Przegląd polityki Zagranicznej;—Z prasy: Pesymizm i optymizm w historyografii polskiej;—Bibliografia.

— PRZEGLĄD POLSKI w numerze czerwcowym zamieszcza na wstępie wielce zajmujący artykuł D-ra Romana Dybrowskiego: „Powstanie Kościuszki w powieści angielskiej z r. 1803.“ O czterotomowej tej powieści, zatytułowanej *Thaddeus of Warsaw*, a której autorką była Joanna Porter, podaje D-r Dybrowski szczegółowe, zajmujące informacje. Do artykułu dodana rycina Cardona „Kościuszko w Anglii w r. 1797.“ według rysunku Ryszarda Coswaya. — Studium o „najnowszym dramacie niemieckim“ D-ra Józefa Flacha;—ciąg dalszy pracy Stanisława Tarnowskiego o Julianie Klacze;—dokończenie szkicu historycznego D-ra Ludwika Bernatyńskiego „Don Livio Odesealchi kandydatem do korony polskiej.“ Dopelniają treści numeru: kronika literacka;—sprawozdania z literatury powieściowej;—teatr krakowski A. E. Balickiego;—Muzyka w Krakowie D-ra Zdzisława Jachimeckiego;—przeegląd polityczny;—wspomnienia poświęcone księdza Jana Tadeusza Lubomirskiego i Ludwika Górskiego, pióra Stanisława Tarnowskiego.

— PRZEGLĄD PWSZECHNY. Numer czerwcowy rozpoczyna artykuł prof. Stanisława Smolki „Z powodu broszury prof. Wahrmunda;“—Henryka Sienkiewicza nowela *We mgle*;—Dokończenie studium K. Krotoskiego „Nowe idee w naszym szkolnictwie;“—Z dzisiejszej akcyi społecznej „społeczeństwo wobec tych, co zeszi z drogi,“ przez Maryę Straszewską;—Z podróży po Grecyi;—„W pomroce wieków,“ Lucyana Rydla;—„W bibliotece Symajskiej,“ ks. Władysława Szczepańskiego T. J.;—dalszy ciąg studium „Proroicy i ideał mesyjan-

ski w Izraelu," ks. Leonarda Lipkego T. J. Dopelnia treści numeru przegląd piśmiennictwa, sprawozdania z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI w zeszycie czerwcowym zamieszcza na wstępie wspomnienie pośmiertne hr. Andrzeja Potockiego. Następuje referat o „rezerwach państwa w dziedzinie kopalnictwa węgla," przez Jerzego Michalskiego;—ocena dwóch nowych opracowań rzymskiego prawa prywatnego, przez prof. D-ra Łyskowskiego;— dalszy ciąg rozprawy o procesie kryminalnym Teofila Wiśniowskiego i towarzyszy o zbrodnię zdrady stanu prof. D-ra Stebelskiego;— oraz „o podstępnie w procesie," D-ra M. Allerbanda. Dopelniają treści numeru: zapiski literackie;—w części praktycznej: praktyka cywilno-sądowa;— w dodatku: zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych.

— PRZEWODNIK OŚWIATY, organ Towarzystwa Szkoły ludowej, w numerze 5 za maj przynosi treść następującą: „Konieczna potrzeba organizacji szkół ludowych przez T. S. L.," przez Wincentego Sikorę;— „O wypożyczaniu przezroczy prelegentom," przez D-ra M. Stępowskiego;— „Powiat Nowotarski pod względem ekonomicznym i oświatowym," przez Jana T. Dziedzica;— „Biblioteki szpitalne," przez M-ski;— Ś. p. Marya Dzierżanowska, " przez D-ra M. Stępowskiego;— „Przechadzki z dziećmi szkolną po Krakowie," przez K. Stępowską;— Kronika;— Dział sprawozdawczy T. S. L.;— Przegląd krytyczny literatury.

— SFINKS. Warszawa. Czerwiec, 1908. Wł. B.: Tytan;— Aleksander Świętochowski: Duchy (VI Burza);— Józef Kotarbiński: Poemat dramatyczny („Duchy" Aleksandra Świętochowskiego);— Marya Konopnicka: Do Aleksandra Świętochowskiego;— Zofia Rygier Nalkowska: Rówieśnice (powieść, c. d.);— Wilhelm Feldman: Dyalogi o formie i treści;— Henryk Heine: Pieśni współczesne (z nie-tłómaczonych poezyj przełożył z niemieckiego i zaopatrzył przedmową Władysław Nawrocki);— Odezwa sekeyi imienia Chopina;— Tadeusz Miciński: Nieto-ta, powieść z tajemnej księgi Tatr (c. d.);— Jan Topass: Aubrey Beardsley (1871—1898);— Oceny i sprawozdania;— Dodatki artystyczne.

— SKARB ARCHITEKTURY W POLSCE, wydawnictwa D-ra Jana Zubrzyckiego, opuściły prasę w dalszym ciągu zeszyty XII, XIII i XIV i zawierają między innymi 4 tablice, przedstawiające fragmenty z *Collegium Jagellonicum* w Krakowie, dzwonnice przy kościele w Brzezinach koło Dębicy, kratę w stylu odrodzenia z kaplicy grobu P. Jezusa na górze Żarek w Kalwarii, zamek w Mirze koło Nieświeża, zaczęty z końcem XV w., ukończony przez Mikołaja Radziwiłła Sierotkę z początkiem XVII w., wnętrze sali gotyckiej jednosłupowej w klasztorze poddominikańskim w Lublinie z r. 1342.

— STRAŻ POLSKA, miesięcznik, wychodzący w Krakowie pod redakcją p. Kazimierza Bartoszewicza, rozpoczyna numer czerwcowy „deklaracja, pióra M. Konopnickiej, wzywająca do solidarności w obronnej „wojnie narodowej przeciw pruskiemu bezprawiu." Redaktor pisma w dalszym ciągu zajmuje się przyczynkami do „kwesytii ruskiej." Sprawy emigracyjne zajmująco omawia korespondencya D-ra Leopolda Caro „Wrażenia z Tryestu." Doskonale prowadzona rubryka „z sekeyi ekonomicznej" podaje systematycznie ze-

brane wiadomości z działalności sekcji i bojkotu towarów pruskich. Żywa i barwna kronika różnaitości, oraz pełen dowcipu „kącik językowy“ pióra St. Tarnowskiego dopełniają treści wielce zajmującego i prawdziwie pożytecznego miesięcznika.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI, zeszyt za czerwiec opuścił prasę i zawiera na wstępie interesującą pracę Ks. K. J. Kantaka: „Słowacki i Słowiańszczyzna,“ dalej помещa dokończenie artykułu p. Stefana Gorskiego: „Organizacye niemieckie w Królestwie Polskiem;“— „W razie upadku Rosyi,“ przez K. J. K. Aktualnym jest artykuł D-ra Feliksa Konecznego: „Co robić wobec Rusinów?“ Następują rubryki stałe: wyczerpujący przegląd prasy wszystkich narodów słowiańskich, oraz kronika, помещająca, między innymi: List ks. Grzegorza Wołkońskiego do H. Sienkiewicza w sprawie pruskiej ustawy o wyłączeniu, oraz ostrzeżenie z powodu zjazdu słowiańskiego.

— SZTUKA STOSOWANA, zeszyt 10, r. 1908, wydany nakładem Towarzystwa Polskiej Sztuki Stosowanej, ułożyli: Jan Bukowski, Józef Czajkowski i Jerzy Warchałowski. Jest to dalszy ciąg wychodzącego od r. 1902 wydawnictwa. Zawiera 14 plansz z reprodukcjami mebli, kilimów i okazów drukarskich, między innymi: Józefa Czajkowskiego, przedpokój w mieszkaniu prezydenta m. Krakowa;—Józefa Mehoffera, salę posiedzeń Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie;—Stanisława Wyspiańskiego, salon i pokój jadalny w mieszkaniu prywatnem w Krakowie;—dalej kilimy Kazimierza Brzozowskiego i Edwarda Trojanowskiego i prace drukarskie Jana Bukowskiego, Eugeniusza Dąbrowy i Stanisława Wyspiańskiego. Zeszyt odbito w drukarni W. L. Anczyca, klisze wykonane u T. Jabłońskiego w Krakowie, K. Zadrzila na Zwierzyńcu pod Krakowem i B. Wierzbickiego w Warszawie. Wykwintny ten zeszyt, znajdujący się w handlu księgarskim, przeznaczyło Towarzystwo na premium dla swoich członków za rok 1907.



BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA.

ANTONI PROHASKA: Król Władysław Jagiello. Kraków, 1908. Nakładem funduszu Nestora Bucewicza. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. Tom I str. 407, tom II str. 402.

AKTA HISTORYCZNE do objaśnienia rzeczy polskich służące od roku 1508 do roku 1795. Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie, 1908. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. Str. 360.

J. BAUDOIN DE COURTENAY: W sprawie porozumienia się ludów słowiańskich. Odczyt publiczny urządzone przez „Polskie stowarzyszenie przyjaciół pokoju,” a wygłoszony w Warszawie w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa 30 Kwietnia 1908 r. Str. 36.

POMNIKI DZIEJOWE WIEKÓW ŚREDNICH do objaśnienia rzeczy polskich służące Nakładem Akademii Umiejętności, 1908. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie. Str. 388.

FILOZOFIA.— PSYCHOLOGIA.— ESTETYKA.— ETYKA.— KRYTYKA.

BRZOWSKI STANISŁAW: Co jest filozofia i co o niej wiedzieć należy. Napisał ... Część I, do Kanta. Wydanie drugie. Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 71. Nakładem M. Arcta. 16-o, str. 105.

— Część II, od Kanta. Wydanie drugie. Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 78. Nakładem M. Arcta. 16-o, str. 79.

FOULLÉE ALFRED: Szkic psychologiczny narodów europejskich. Tłómaczyła Władysława Zarembina. Warszawa, 1908. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. IV + 565.

HEJN HILARY: Byt i co z nim połączone. I. Wstęp. O rozumowaniu, jego granicach i od czego ono zależne. II. Dobro i zło i cel świata. III. Dusza. IV. Pierwiastki, potrzebne dla budowy świata. V. O Bogu. VI. Parę uwag o religii. Warszawa, 1908. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 85.

SCHOPENHAUER ARTUR: O wolności ludzkiej woli. Przełożył z oryginału oraz wstępem, objaśnieniami i słowniczkiem filozoficznym zaopatrzył Dr. Adam Stögbauer, pod redakcją Henryka Goldberga. Warszawa, 1908. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Z zapomogi kasy im. Mianowskiego. 8-o, str. 296.

POEZJA.— POWIEŚĆ.— DRAMAT.

ASNYK ADAM (EL...Y): Wybór poezji. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. „Biblioteczka Uniwersytetów ludowych“ 96. 8-o, str. 49.

BELMONT LEO: Jedna scena z tragedji polskich (Polska nad przepaścią). Napisał ... Dodatek tygodnika „Wolne słowo.“ Warszawa, 1908. Skł. gł. w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 47.

BLIŹIŃSKI JÓZEF: Opiekun w zalotach. Komedya w dwóch aktach. Lwów, 1908. Nakł. księg. H. Altenberga. „Biblioteka teatrów amatorskich“ № 40. 8-o, str. 30.

CHYLEWSKA-WÓJCICKA ZOFIA: Listy do Pana Boga. Spowiedź grzesznej dziewczynki. Lwów, 1908. Nakład. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Turkuł i A. Hiż). 8-o, str. 176.

CIEŚLIICKI WINCENTY: Nadezłowiek i Tsatsa-Naga. Warszawa, 1908. Skł gł. w księg. S. Sadowskiego. 8-o, str. 87.

CZERNEDA MIECZYŚLAW (M. BIERZYŃSKI): Kancelista. Opowiadanie. Warszawa, 1908. „Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych“ Nr. 80. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 24.

DEJSKI M. A.: Miodowe miesiące. Komedya w dwóch aktach. Lwów, 1908. Nakład. księg. H. Altenberga. „Biblioteka teatrów amatorskich“ Nr. 18. 8-o, str. 28.

DOSTOJEWSKI TEODOR: Biesy. Tłómaczył T. K. Część V. Warszawa, 1908. „Bibl. Dz. Wybor.“ Nr. 539. 8-o, str. 160.

— Część VI. Warszawa, 1908. 8-o, str. 151.

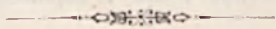
DZETEO: Ludzie Smutni (W jesienne Zmierzchy). Studium do powieści. Lwów, 1908. Nakład. H. Altenberga. Warszawa E. Wende i S-ka. 8-o, str. 110.

GAWALEWICZ MARYAN: Wir. Powieść z niedawnych czasów. Warszawa, 1908. J. Fiszer. 8-o, str. 239.

MALEWSKI KAROL JACEK: Bez tytułu. Warszawa, 1908. E. Wende i S-ka. 8-o, str. 145.

SIENKIEWICZ H.: Zdobyćcie Kamieńca. Z powieści „Pan Wołodyjowski.“ Warszawa, 1908. „Biblioteczka Młodzieży Szkolnej“ Nr. 69. Nakład G. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 29.

SIEROSZEWSKI WACŁAW: W ofierze bogom. Warszawa, 1908. „Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych“ Nr. 66. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 34.



WARSZAWA — KRAKÓW — LÓDŹ